



ANNA FRYCZKOWSKA

SAGA O LUDZIACH ZIEMI

CZAS
RUMIANKU

Anna Fryczkowska

Czas rumianku
Saga o ludziach ziemi. T. 2



Copyright © by Anna Fryczkowska, MMXXIII

Wydanie I

Warszawa MMXXIII

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

Copyright

Dedykacja

*

Część pierwsza. Rok 1852, czas zarazy

Część druga. Rok 1853, czas gniewu i zmian

Część trzecia. Rok 1854, czas pracy ciężkiej i mało widocznej

Część czwarta. Rok 1857, czas spotkań z duchami

Część piąta. Rok 1859, czas burz i płonącego ognia

Część szósta. Rok 1860, czas błyskotliwych pomysłów

Część siódma. Rok 1861, czas wrzenia

Część ósma. Nadal rok 1861, czas niebacznie kiełkujących nadziei

Część dziewiąta. Rok 1865, czas niepokoju

Podziękowania

Strona redakcyjna

Mojej córce, Adeli, w której żyłach płynie całkiem dużo krwi Józwiaków

*

To wszystko zdarzyło się naprawdę. Tak przynajmniej opowiadał mój dziadek.

Część pierwsza. Rok 1852, czas zarazy

Przez stulecia panoszyła się w dorzeczu Gangesu i Brahmaputry, w końcu postanowiła jednak odwiedzić odleglejsze strony. Kiedy Europejczycy najechali Indie i zaczęli z nimi handlować na całego, wyczuła okazję i zabrała się z towarami do Europy. Tu skutecznie opanowywała kolejne ziemie. Do Królestwa Polskiego dotarła z rosyjskimi żołnierzami, którzy tłumili powstanie listopadowe, i szybko zebrała tak obfite żniwo, że postanowiła pokazywać się tu regularnie co kilka lat. Wszyscy uparcie zwali ją „morowym powietrzem”, jak poprzednie zarazy, nie wiedzieli przecież, że cholera wcale nie roznosi się z powietrzem, lecz z wodą, którą ludzie pili prosto z rzek, strug i strumieni. Tego roku znowu postanowiła przypuścić atak i szło jej wspaniale – podróżowała z ich nurtem i skutecznie uśmiercała jedną miejscowość za drugą.

Do nieba stały długie kolejki niedawno zmarłych, zaskoczonych, że tak szybko się uwinęli z umieraniem, bo że poszło im boleśnie, wcale się nie dziwili – życie boli, więc i śmierć musi być dotkliwa. Umierała co najmniej połowa chorych, więc ci, którzy jeszcze się z cholera nie zetknęli, tłumnie pielgrzymowali pod cudowny wizerunek Matki Boskiej zawieszony na drzewie w lesie pod Licheniem. Mówiono, że ta właśnie Maryja czyni największe cuda ze wszystkich i uzdrawia jak żadna. Na widok tych tłumów miejscowi księża polecili przenieść obraz do kaplicy cmentarnej w Licheniu, zawsze i ludziom będzie wygodniej, i Matce Boskiej pod dachem bezpieczniej, a może i jakiś datek wpadnie.

*Tymczasem o niecałych czterdzieści kilometrów na wschód od Lichenia,
w okolicach Izbicy Kujawskiej...*

Janek Józwiak

O nadchodzącej zarazie najbardziej lubiłem gadać z siostrami Lewandoszczankami zza płota. Z przestrachu machały rzesami, ręce załamywały, a nawet, bywało, wtulały się we mnie, wdychałem wtedy z ich włosów zapach dymu, bo sąsiedzi chatę mieli kurną, bez komina, jedyną taką we wsi. Od Lewandowskich dzielił nas tylko płot, więc do nich się najczęściej chadzało, oddać nadmiar mleka, jajek pożyczyć, soli odsypać, z solą bardzo ostrożnie, bo droga. Do innych zagród może nie chciałoby mi się tak co chwila wpadać, ale u Lewandowskich było sześć panien, od najstarszej, najpiękniejszej, Andzi, panny na wydaniu, aż po najmłodsze, które jeszcze były dzieciakami, ale już się zapowiadały na urodziwe.

Stałem więc przy płocie i opowiadałem Lewandoszczankom, że morowe powietrze na nas idzie. Nie miałem pojęcia, kto pierwszy nowinę o zarazie do karczmy przyniósł, dziad wędrowny, kupiec, rządca czy druciarz, co chodzi po wsiach naprawiać garnki, ale naraz wszyscy zaczęli o tym gadać. Żyd karczmarz podniósł włochaty paluch i powtarzał, że morowe powietrze panoszy się już o kilka majątków dalej i że dziady wędrowne widziały na własne oczy, jak ludzie w pół słowa umierają. Dziady mówiły więcej jeszcze, a ja wszystko przekazywałem Lewandoszczankom. A im oczy ogromniały, gdy opowiadałem, jak niektórzy, morowym powietrzem rażeni, zapadają w sen, z którego już się nie budzą, i tak całe wsie zasypiają na wieki, a potem tylko słabnące ryki krów przecinają boleśnie ciszę.

– Te krowy długo by nie poryczały, bo przecież zaraz by je ktoś z sąsiednich wsi umarłakom podprowadził – odezwała się Władka Lewandoszczanka, o rok od Andzi młodsza. Siostry spojrzały na nią, jakby je po łydkach niechcący trzasnęła biczyskiem. – No co? Słusznie przecież mówię.

Nawet odpowiadać mi się nie chciało, kiedy zepsuła taką piękną opowieść. Władka najmniej mnie ciekawiła ze wszystkich dziewczuch zza płota, pyskata była i ode mnie się oganiała. Nigdy też za długo przy płocie nie stała, bo wolała rąbać drewno, niż strześcić jęzor po próznicy, jak powtarzała. Teraz też pomądrzyła się i poszła, duża, barczysta, z warkoczami związanymi w węzeł upchnięty pod słomianym kapeluszem. I dobrze, bo reszcie sióstr mogłem już bajać o zarazie na całego, opowiadałem więc, jak morowe powietrze niewytłumaczonym sposobem przenosi się od chałupy do chałupy, najpierw chorują dzieci i starcy, a potem już wszyscy, jeden za drugim, całymi domami. Kolejni ludzie zaczynają wymiotować wodą, srać wodą, skóra im się zaraz potem marszczy, oczy zapadają, kości twarzy przebijają spod skóry, głos zaczyna chrypieć. Wtedy niektórzy zapadają w litościwy sen, z którego już się nie budzą, a niektórzy mrą i bez spania, umęczeni, pomarszczeni, chrypiący, rzygający.

– O Boże, Janku, o Boże! – wzdychały Lewandoszczanki, marszczyły gładkie czółka, załamywały silne ręce, tuliły się do siebie. – Powiedz, że u nas tak nie będzie, powiedz!

– Pewnie, że nie będzie – odpowiadałem. – A jeśli będzie, ja was przecież ochronię!

W tamtych czasach miałem bowiem cudowną pewność, że złe rzeczy przydarzają się innym, i to wyłącznie dlatego, żebym miał

czym straszyć dziewczuchy.

Choć nasz sąsiad zza płota miał sześć pięknych, pachnących dymem córek, ciągle marzył o synu, więc bardzo naszemu ojcu zazdrościł.

– Dwóch może tylko synów macie, ale za to chłopów na schwał. A i lepiej, że dwóch tylko, bo grunt będziecie dzielić na pół, a nie, jak ja, na sześć kawałków. Jak one potem wyżyją z tego ze swoimi rodzinami, to ja nie wiem.

– Może i jaki bogatszy zięć się trafi, sąsiedzie.

– A bo ja wiem, czy te moje latawice patrzą na zamożność, stateczność, przyzwoitość rodziny, czy tylko słodkich słówek słuchają, do gładkich chłopaków się wdzięczą.

Trochę się wdzięczyły, to prawda. Andzia, najstarsza, chyba najbardziej. Usteczka miała zawsze złożone jak do pocałunku, kiedy się śmiała, robiła to najgłośniej i najszczerzej, a zęby miała bielutkie jak obłoczki. Gdy więc stała pod płotem, rzucałem żart za żartem, a ona każdy nagradzała pięknym uśmiechem. O Władce już mówiłem, nie ciekawiła mnie zbytnio, bo za często widziałem, że kiedy idzie w pole z ojcem, nakłada ojcowskie odzienie i wygląda jak duży chłopak, woli też słomiany kapelusz zamiast chustki. Już bardziej od tej chłopaczory podobała mi się trzecia Lewandoszczanka, Dorotka, co to się śmiała jak dzwonek u sań, lubiłem jej to mówić, a wtedy śmiała się podwójnym dzwonkiem. Jeszcze młodsza, Baśka, też już strzelała do mnie oczami, choć ledwie od ziemi odrosła, ale już się zapowiadała na kraśną pannę. Było na czym oko zawiesić, więc gadałem i gadałem, żeby je przy płocie przytrzymać, a one się we mnie wpatrywały jak w obrazek.

– Dlaczego nie idziesz z Andzią Lewandoszczańką? – spytał mój brat, kiedym się wybierał do karczmy na niedzielne tańce.

– Oj, Michał, Michał! Zaraz za płotem mam ją przecież, jak ją urażę, to będę potem jej krzywą minę na co dzień przez płot oglądał.

– Dlaczego miałbyś ją urazić?

– A bo z dziewczuchami wiadomo? Kiedy raz z jedną na tańce pójdiesz, a potem z inną po kościele wrócisz, wtedy ta pierwsza już płacze i wykrzykuje za tobą na drodze. A na co mi nowe zmartwienia, już starych mam dużo w okolicy. Nowe kłopoty tuż za płotem to zły pomysł.

Bo tych kłopotów we wsi, w okolicy, w parafii, trochę miałem. Żaliłem się dziadkowi, że jak mi się dziewczucha przestaje podobać, zaraz zaczyna chodzić za mną i jęczeć, że tak nie może być, że co innego obiecywałem, a teraz, zamiast swatów słać, uciekam przed nią i na co jej przyszło. Płakały, pod domem wystawały, w kościele nie spuszczały ze mnie oka, więc jak wychodziłem po mszy, czułem się, jakbym po bagnisku skakał, nigdy nie wiadomo, która kępka bezpieczna, a na której możesz się zapaść. Dziewuchy też, jedne odpowiadały na pozdrowienie, ale inne tyłem się odwracały, a te najbardziej zawzięte pluły mi pod nogi. Potem już mi się nie chciało z żadną zaczynać. Wszystko zdawało mi się nudne i powtarzalne, no bo najpierw spojrzenia, śmiechy i chichoty, potem kradzione całusy i ukradkowe spotkania, a i gorsecik niejedna dla mnie rozchyliła, nawet prosić za bardzo nie musiałem, bo każdej wystarczyło, żem ładny, niebiedny z domu, wesoły i wszystkim się podobam. A potem, kiedy uznawałem, że za dużo tego miłowania, kiedy mnie od objęć i całusów mdlić zaczynało, dziewczuchy płakały i nalegały,

żebym się jednak namyślił. Ale im bardziej płakały, tym bardziej miałem ich dość i obiecywałem sobie, że nigdy więcej. Potem jednak mijał tydzień czy dwa i znowu czyjeś sterczące piersi, czyjeś mocne łydki wpadały mi w oko, a ja znowu lazałem w kłopoty.

– Przestań – napominał mnie Michał. Wiadomo, on nigdy nie umiał cieszyć się życiem. Szkoda mi go było trochę i drażnił mnie, że taki niedorobiony, sztywny, ponury.

Zawsze był taki. Nieraz, kiedyśmy z bratem i dziadkiem naszym wujecznym, Kostkiem, poszli orać, a mnie znudziło łożenie za pługiem, zaszywałem się gdzieś w lasku, po chwili dołączał do mnie dziadek. Pozwalał mi popykać fajeczkę i gawędziliśmy, ile wlaźło, każdy czekał, aż ten drugi umilknie i będzie mógł sam coś powiedzieć. Co jakiś czas popatrywaliśmy, jak Michał w polu działa, poważny jak zawsze, sumiennie konia prowadził i skibę za skibą pługiem odwracał, jemu się to nigdy nie nudziło, bo sam był nudny. Ale nigdy na mnie tatulowi nie doniósł. Tak, Michał twardy był i ani słowa nie pisnął, że to przeze mnie orkę skończyliśmy dopiero wieczorem. Stukaliśmy się z dziadkiem łokciami, kiedy słuchaliśmy, jak Michał tłumaczy się tatulowi, czemu tak długo się zeszło. Tatulo zły był wtedy na niego, warknął nawet nieraz, bo kiedy go gniew ogarniał, to zamiast krzyżeć, warczał jak zły pies.

Od zawsze z Michałem spaliśmy w jednym łóżku, nogami do twarzy drugiego, żeby było wygodniej, więc wieczorem brat przychyłał się ku mnie i szeptał, że ostatni raz mnie kryje, a ja odpowiadałem, że oczywiście, bo to właśnie chciał usłyszeć. Potem zasypiał mocno, a ja marzyłem, dokąd pójdę z Sokołowa, kiedy już będę mógł stąd pójść.

A potem nagle z ciemności przychodziła myśl, że może już donikąd nie pójde, bo przecież morowe powietrze nadchodzi. Wtedy zasypiałem z lękiem w sercu i śniły mi się upiorne uśmiechy z Mokrego Dołka, śniło mi się, że za nimi w lodowate błocko wstępuję.

Nigdzie ucieczki przed wieściami o zarazie nie było. W niedzielę pleban, rękę ku niebu wyciągnąwszy, głosił, że idzie do nas morowe powietrze zwane cholera i że jest karą bożą na nas, znaczy na parafian. Niech się więc wszyscy zastanowią, czy dobrze żyją, czy przykazań Bożych przestrzegają, bo jak ich kto nie przestrzega, to i Pan Bóg karę zsyła dla opamiętania. Zupełnie jak rządca chłopa czasem batogiem musi napomnieć, jak dobry ojciec pasem musi dziecko złościć, żeby się grzecznie chowało, bo przecież jak nie ma karania, nie ma posłuchania, tak i dobry Bóg – skoro ludzie go nie słuchają, karę musiał na nich zesłać. Mamy się więc szybko nawracać, do kościoła chodzić, na tacę nie skąpić, na msze dawać, a już zwłaszcza nie pracować w niedzielę, tak jak ci chłopci czynszownicy, co to świątek czy piątek idą harować w pole. I – może nam się zdawało – pleban rzucił wtedy spojrzenie na moich rodziców.

Tatulo aż się w ławce zakręcił.

– Kiedyś było przecież inaczej! – grzmiał pleban. – Kiedyś niedziela była dniem Pańskim! I nadal nim jest, choć niektórzy tego nie przestrzegają! Ludzie może nie zauważą, że ktoś w pole w niedzielę wyszedł, ale Pan Bóg wszystko z góry widzi i wszystko wszechmogącym umysłem spamięta!

Przerazona matula stuknęła naszego ojca w bok.

– Mówiłam ci!

Tatulo udawał jednak, że nie słyszy.

– Przecież Pan Bóg chyba nie chce, żeby zboże na polach gniło, Pan Bóg nie jest za marnotrawstwem – powtarzał nam nieraz, kiedy ruszał w dzień święty do pracy. Na domiar złego czasem jeszcze i nas ciągał ze sobą. Co było robić, szedłem, a teraz wyglądało na to, że należało się tatulowi sprzeciwić.

A ksiądz, poprawiając na nosie druciane okulary, krzyczał z ambony, że właśnie tym Pana Boga chłopcy rozgniewali. Wieśniactwo pije, łajdaczki się, a do tego pańszczyźniany się lenią, a czynszownicy pracują w niedzielę.

– Wszyscy więc mają nieczyste sumienia i dlatego będziecie teraz mieć za swoje – piorunował pleban, a ja się cieszyłem, że ambona jest wysoko, bo pod światło widać było, że im głośniej krzyczy, tym bardziej śliną popluwa.

– Jak ojciec dalej będzie nam w niedzielę w pole kazał iść, to i do nas do domu zaraza przyjdzie, prawda? – szepnąłem do matuli.

– A ty głupot nie gadaj!

Zamilkłem więc i tylko rozglądałem się po kościele, ciekaw, jak się ludzie na wieść o zarazie zachowują.

– Na księdza patrz! – upomniała mnie matula, ale było już za późno.

Nagle bowiem wśród wzdychających, popłakujących i bijących się w piersi bab i chłopów zobaczyłem coś niezwykłego, coś nieskończenie pięknego, prawdę mówię, nigdy w życiu czegoś tak cudnego nie widziałem. Ławkę przed nami klęczała dziewczyna. Modlitwę wyszeptywała, zarazą pewnie przestraszona, głowę chyliła, pewnie Pana Boga za grzechy przepraszała, aż króciuskie włoski na jej karku pokazywały się między warkoczami, a kark

miała białuchny, jakby nigdy w polu nie pracowała. Wychyliłem się trochę i zobaczyłem, że wspiera pośladki na ławce, przez co jeszcze szersza w biodrach, a węższa w pasie się wydawała, piękne miała te szerokości i wąskości. Nie umiałem wzroku oderwać i tak ją w kark spojrzeniem paliłem, aż wreszcie się obejrzała. Wtedy wpiłem się spojrzeniem w jej usta, pełne je miała i czerwone, potem w jej oczy. Zaraz umknęła nimi w bok, a ja wtedy zrozumiałem, że łatwo z nią nie będzie. A kiedy już wiedziałem, że nie będzie łatwo, miłość do pięknej dziewczyny pojawiła się od razu, jakby spłynęła na mnie z krzyża nad ołtarzem, i zaraz poczułem, że mór mi nie straszny, gdym się właśnie zakochał po uszy.

Wiedziałem, kim jest ta dziewczyna, parafia przecież nie była duża, ledwie kilka wsi. Znałem więc z widzenia Jagunię od Wicków, dziewczynę z pańszczyźnianego Naczachowa. Bo inaczej niż nasze Sokołowo, które płaciło czynsz dworowi co roku, a my pracowaliśmy na swoim, Naczachowo było pańszczyźniane. Za te spłachetki ziemi, co im dziedziczka dała w użytkowanie, chłopci musieli odrabiać pracę na pańskich polach, przez co na swoje poletka czasu i sił im niewiele zostawało. Dlatego też unikałem dziewczuch z Naczachowa, bo wszystkie jakieś smutne były, uciśnione jakby, wolałem dziewczyny z wiosek czynszowych, jak nasza, bo śmiały się częściej i głowy wyżej nosiły. Ale nie ta, nie Jagunia, bo na nią napatrzeć się nie mogłem, i już nie wiedziałem, dlaczegośmy nigdy przedtem ze sobą nie rozmawiali, dlaczego nigdy jej się nawet porządnie nie przyjrzałem. Nie wstałem z ławki, aż się podniosła, szedłem za nią, jakby mnie na sznurku wiodła, jakby mi kto spojrzenie przykleił do bielutkiego karku między warkoczami. Szedłem za nią i też zacząłem mamrotać, nie modlitwę jednak,

a może i modlitwę: „Niech Jagunia spojrzy na mnie łaskawym okiem, niech spojrzy raz, raz wystarczy, a potem już sobie poradzę bez Bożej pomocy”. Wreszcie dobry Bóg mnie wysłuchał, bo Jagunia się na mnie obejrzała i zarumieniła. Wtedy postanowiłem, że zaraz do niej zagadnę, ale tuż za drzwiami kościoła wpadliśmy w sam środek jakiegoś zamętu.

Przed kościołem kłębili się ludzie, gadali, wzdychali, ale najgłośniej ze wszystkich słychać było moją matulę. Krzyczała, jakiś mężczyzna jej odkrzykiwał, i zanim pomyślałem, że w tej ciżbie łatwiej mi będzie Jagunię zagadnąć, straciłem dziewczynę z oczu. Przepchałem się więc do środka zamieszania, bo musiałem, ale to musiałem dowiedzieć się, o co chodzi.

Pod murem kościoła na zydłu siedział handlarz, chrześcijaninem był, nie Żydem, z ubrania od razu poznałem. Przed nim, na ziemi, na płócienu, leżały kartki z nadrukowanymi krzyżami, przytrzaśnięte kamieniem, by ich wiatr nie porwał. Nad kartkami stała moja matula, na twarzy czerwona, jak zawsze, kiedy się zaperzyła, obok niej mój brat, który to ją łagodząco po ramieniu głaskał, to głowę spuszczał i nogą w słomianym łapciu grzebał w ziemi jak kura, co robactwa szuka. Tatulo gdzieś w tłumie się schował, jakby udawał, że z całą tą awanturą nie ma nic wspólnego, a matula krzyczała:

– Patrzcie go, handluje w dzień święty! I to pod samym kościołem! A co ksiądz na kazaniu mówił?! Co mówił?!

Babka zaraz jej pospieszyła z pomocą:

– Pan nasz Jezus przekupniów z kościoła batem przepędzał!

I znowu matula:

– Nie może tak być, że najpierw pleban mówi, że grzech pracować w dzień święty, a tu od razu za drzwiami widzimy takiego, który w niedzielę bezczelnie handluje! Błuźnicie, handlarzu! A za bluźnierstwa Bóg Ojciec surowo karze!

Pewnie by i dziadek Kostek do zwady dołączył, już go prawie słyszałem, jak wrzeszczy najgłośniej ze wszystkich, zadowolony, że się coś dzieje, aleśmy go w domu zostawili, żeby pilnował dobytku w niedzielny poranek, strzeżonego Pan Bóg strzeże.

– Ale, drogie gospodynie... – Handlarz próbował wejść kobietom w słowo, ale matula z babką stanowiły siłę przemożną, co wiedział każdy, kto je znał.

– Zaraza przez takich jak wy na nas idzie! – krzyczała czerwona na twarzy matula, zaciskając pięści. – Przez bluźnierców, co niedzieli nie szanują!

Michał znowu ścisnął matulę za ramię:

– Nie denerwujcie się, matulku, proszę, nie denerwujcie się!

Tylko handlarz nie dawał się ponieść nerwom.

– To niech gospodyni sobie popatrzy. – Podał matuli karteczkę, jedną z tych, którymi handlował.

Matula na chwilę zamilkła, na kartkę spojrzała i znowu ją krzyczeć:

– Co to za krzyż mi tu pokazujecie?! Błuźnierca!

Ludzie burzyć się zaczęli, do handlarza pięści wyciągać, bo matula podniosła rękę z kartką, pokazując wszystkim, co ją taką zgrozą przejęło. Nadrukowany krzyż rzeczywiście nie był zwyczajny, bo pod jednym poziomym ramieniem miał drugie, dłuższe, takiego krzyża nigdy nie widział.

Handlarz jednak nawet się nie zaczerwienił.

- Szanowna gospodyni, przecież to krzyż morowy.
- Morowy? – straciła rozpęd matula.
- A tak! Taki krzyż specjalnie na czas zarazy.

I wyjaśnił, że krzyże morowe, zwane także cholerycznymi, chronią silniej dzięki temu, że pod jednym poziomym ramieniem mają drugie, dłuższe, które dodaje mocy i odpędza zarazę. Ludzie od najdawniejszych czasów o tym wiedzieli, dlatego w czasach zarazy takie krzyże zawsze na drzwiach domów wieszali. I właśnie dzięki temu przeżyli.

Bardzo podobała mi się ta opowieść, matula jednak zaraz handlarzowi odparowała:

– Skoro takie dobre te krzyże, to skąd wziął się ten mór, co tu kiedyś tyle osób w okolicy wydusił?

– A stąd, szanowna gospodyni, że ludzie tu, u was, krzyżów morowych jeszcze nie znali. Gdyby je znali, niejeden z tamtych zmarłych by tu jeszcze stał obok nas.

Widziałem aż stąd, że matula się wzdrygnęła, obejrzała za siebie. Bała się rozmów o zmarłych i o śmierci, a teraz, pod groźbą zarazy, jeszcze bardziej się ich lękała, może dlatego zaraz zmieniła temat:

– Po wiele te karteczki? Z tymi krzyżami?

– Dwie kopiejki i moc gwarantowana.

– Za skrawek papieru?! Idziemy, chłopcy, papieru w cenie pańskiego złota kupować nie będziemy! – I matula zawinęła się do domu, a że miała duży posłuch u ludzi, większość ruszyła za nią.

Takim sposobem handlarz ostał się ze swoim zydlem i karteczkami jak niepyszny. Gapiłem się jeszcze dłuższą chwilę na jego minę, bo było na co. Gorzej, że przez to całe zamieszanie zapomniałem o pięknej Jaguni i dopiero nocą mi się przyśnił jej

biały kark i pierścionki włosów nad nim, ale przez sen nie śmiałem ich tknąć.

Zośka Józwiakowa

Mieliśmy ze Szczepanem najmniej dzieci w całej wiosce, bo poza nami nie było chałupy, żeby przynajmniej czwórki się nie dorobili. A u nas było tylko dwóch. Lubiłam patrzeć na nich, tacy się rośli, silni i piękni wydawali. Znaczą bardziej Janek, wysoki i barczysty, prawie dorosły, bo już miał osiemnaście wiosen. Chodził wyprostowany, jakby rzucał wyzwanie światu, jasnowłosa po mnie, ogorzały po ojcu, zawsze uśmiechnięty, z zębami białymi jak opłatek, z zamaszystymi ruchami i głośnym śmiechem. Michaś, o trzy lata młodszy, też szeroki w ramionach, wydawał się jednak sporo niższy, bo się garbił, jakby się do życia skradał. Potrafił godzinami strugać kijek, potem go w ziemię wbijał i patrzył, jak się cień przesuwają, zamierał bez ruchu i w cień kijka się gapił, martwiłam się tym, bo który dzieciak tak robi. Kiedy się zamyślił, potrafił sobie do krwi dziurę w skórze wyskrobać, od pcheł czy wszy się drapiąc. Janek rzadko przy ludziach się drapał, a już przy dziewczynach – wcale, uważał, że nie uchodzi, zupełnie jakby był paniczkiem jakimś, a nie chłopem z dziada pradziada. Michaś rano włosy przygładził ręką i zaraz szedł na podwórze, do zwierząt, Janek wystrugał sobie z drewna sprytny grzebyk i włosy z jego pomocą długo układał, czasem jeszcze wodą moczył. Gdyby nie płócienne ubranie i bosa stopy, to wyglądałby prawie jak panicz. Tacy różni ci nasi chłopcy byli, a przecież obaj skończyli te same trzy klasy w szkółce, którą dziedziczka otworzyła w Izbicy, i obu nauczyciel chwalił, że całkiem pojętni. Teściowa moja powiadała, że

tę szkołę dla wiejskich dzieciaków chciał postawić jeszcze nasz świętej pamięci dziadec, ale dopiero jego córka tę wolę po latach spełniła. Szkoła była zwana zimową, bo wtedy chłopcy nie byli potrzebni w polu, w gospodarstwie też mniej, zatem mogli posiedzieć w ławce i posłuchać nauczyciela.

Janek, choć nieraz za wiercenie się w łapy linijką oberwał, uczył się chętnie i szybko, Michał, bywało, tak się zadumał, że i jego nauczyciel musiał do porządku linijką doprowadzić. Obaj więc obrywali jak trzeba, dzięki temu skończyli szkołę i czytać się nauczyli, liczyć także. O, Janek to i do stu zliczyć umiał, liczył drzewa w sadzie czy rzepy w warzywniku, szybko, aż mu się język plątał, a potem się dopominał, żeby go za to chwalić. Tośmy i chwalili, bo wielka to rzecz tak szybko i dużo liczb wypowiedzieć, jedną po drugiej. Michaś za to starał się wyliczyć, ile potrzeba ziarna na które pole, i czy dokupić trzeba zawczasu, czy raczej sprzedać można, a potem cicho, odwoławszy ojca na bok, tłumaczył, co i jak. Szczepan nie bardzo wierzył w wyliczenia syna, zwłaszcza że ten przy liczeniu sobie palcami albo i kamykami pomagał, ale raz i drugi okazało się, że młody ma rację, więc potem już Michała na ogół słuchał, choć łatwe to nie było, kiedy młodziak gadał cicho i pod nosem.

Kiedy posyłałam Janka do Izbicy na targ z wozem pełnym kartofli, marchwi, kapusty, sprzedawał wszystko w godzinę, dwie, bo kobiety uwielbiały u niego kupować, a po kupieniu pogawędzić i się pośmiać. Gorzej, że potrafił od razu część zarobku przepuć w karczmie, gdzie – bywało – stawiał piwo ludziom, którzy wydawali mu się ciekawi, przez co nasza krwawica poszła na niejednego kufelek dla gawędziarzy.

– Wybaczcie, matulku, ale tamten starzec za młodu bywał we Francji, to taki kraj daleko, a tam – wszystko inaczej, ludzie inaczej mówią, inaczej jedzą, inaczej budują i inaczej uprawiają pola... – zaczynał Janek i zawsze dawaliśmy mu się ze Szczepanem złapać na haczyk opowieści jak naiwne kiełbie, a potem już niesporo było chłopaka ganić, że niecałe pieniądze do domu przywiózł, skoro kupił za nie takie niezwykle historie, którymi potem nas zabawiał przez cały wieczór.

Kiedy na targ jechał Michał, sprzedaż zajmowała mu dobrych kilka godzin i – bywało – obite jabłka czy sparszywiałe marchewki sam gospodyniom z ręki wyrywał, że zaraz da im lepsze. Potem przywoził pieniądze do domu, kładł na stole i czekał pochwał z czołem zmarszczonym i miną mało obecną. Cóż, wolałam, żeby nie przywoził z powrotem najgorszego towaru, ale starałam się wydobyć z siebie jakieś:

– Nieźle ci poszło.

Młody zawsze jeszcze czekał, czy i ojciec czego nie powie, ten jednak uważał, że za spełnienie obowiązku nikogo chwalić nie należy.

Michał także starał się przynosić opowieści z targu, ale trochę plątał się w szczegółach, więc Janek nigdy nie miał cierpliwości doczekać do końca.

– Oj, ty nudziarzu, nawet prostej opowiadki powtórzyć nie umiesz! – Śmiał się i klepał brata po plecach.

Żałowałam, że Michał taki niewygadany, że od zabawy w karczmie czy chałupie woli iść z ojcem w pole i wypytywać, jak ziemię uprawiać. Szczepan coś tam odpowiadał, ale zawsze czekał,

aż i starszy syn o coś spyta. Na próżno jednak, bo Janek rzadko pytał, sam wolał mówić.

I także za to go kochaliśmy.

Szczepan Józwiak

Kiedyś, wcale jeszcze nie tak dawno, śniły mi się inne kobiety, inne miejsca, inne niebo, śniło mi się, że odchodzę od domu, idę przez całą parafię, docieram do granic majątku dziedziczki Słubickiej i idę dalej, nie ustaję, aż dojdę w miejsca, o których opowiadał mi w świecie bywały brat mojej matuli Kostek, albo i dalej jeszcze, za siódmą górę, za siódme morze, gdzie wszyscy są nieznajomi, a życie inne, lżejsze, cięższe, nieważne, ale nieznanne i do odkrycia. Śniłem o tym, aż przeszedłem z pańszczyzny na swoje, pierwszy w rodzinie, pierwszy w okolicy. Od tamtej pory śniło mi się wyłącznie moje pięćdziesiąt morgów, jakby trudno mi było głowę znad ziemi podnieść nawet w nocy.

Kiedy widziałem, że w polu mi się wiedzie, zapominałem o tym, że bardziej udany syn nie chce ze mną gadać, a ten mniej udany co prawda słucha, co mówię, ale wcale nie jestem pewien, czy cokolwiek rozumie. Zapominałem o domu, w którym czekała moja Zośka, wiecznie czemuś niezadowolona. Zapominałem o matuli, która pamięć traciła i rozeznanie, o Kostku, który ostatnio wiecznie powtarzał te same historyjki, zapominałem o wszystkim złym i trudnym, co w domu się kryło. Na szczęście w polu było łatwiej niż w domu.

Jakoś wyczuwałem, że będzie susza, więc siałem żyto. Kiedy znowu miało być mokro, siałem łubin. Jeśli nie przeczulem, jakie lato nadejdzie, to tak siałem, żeby w razie czego nie wszystko

stracić, żeby cokolwiek zostało. I zostawało, i szło. Szło coraz lepiej, nie tylko na czynsz dla dworu starczało, ale i na kolejne pomysły. Bo jeśli co do ziemi, to miałem dużo pomysłów: że len, że rzepak, że jak najwięcej kartofli, że seradela. Mnożyły mi się te pomysły w dzień i w nocy, w dzień powszedni i w niedzielę, nigdy nie przestawałem myśleć o swoich polach. To ja pierwszy w okolicy miałem pług z żelaznym lemieszem, od szwagrów kowali. To ja pierwszy zaprząłem do pługa konia, kiedy wszyscy inni orali wołami. To ja pierwszy zacząłem zboże kosić kosą, bo przedtem wszyscy tylko łąki nią kosili, a już zboże sierpem. Starsi z innych wsi się schodzili, śmiali się z tych dziwactw, ale wytrzymałem kpiny. Kiedy żniwa poszły nam szybciej niż innym, za rok już połowa robiła podobnie, aż w końcu wszyscy. Wiedziałem: naśladownictwo to najlepsza pochwała, a te krzywe spojrzenia łechtały mnie bardziej niż miłe słowa.

I dlatego nawet w niedzielę szedłem w pole, sprawdzałem, czy nic złego się nie dzieje, czy rośnie jak trzeba, czy nie naszło robactwa albo ślimaków. Michał zawsze się napraszał, żeby iść ze mną, ale odmawiałem. Młodzi w niedzielę powinni poznawać dziewczyny, bawić się, a nie sprawdzać, czy ojciec pracą w polu się nie zajął. Młodzi w niedzielę pohulać powinni, jak Janek, wyszumieć się, żeby potem już statecznie gospodarstwem się zająć, a nie jak Michał, stary, malutki, wiecznie zgarbiony i skrzywiony, siedzieć na przyzbie i w głowę się drapać. Tego wszystkiego oczywiście mu nie mówiłem, ale może czytał to w moich zmarszczonych brwiach, bo kiedy odmawiałem, smutniał, gasł, odwracał się i garbił jeszcze więcej, a ja jeszcze bardziej żałowałem, że nie jest do Janka podobny.

Po robocie wracałem do domu, siadałem ciężko za stołem, matka mi miskę z ciepłą wodą do umycia stóp niosła, Zośka, podając obiad, boczyła się, że znowu pracowałem do nocy i się od tego szybko wykończę, ale przepraszałem ją, jak najlepiej potrafiłem, a potem czciliśmy zgodę między nami. To jakoś zawsze nam się najlepiej udawało, ta zgoda w łóżku. A potem zasypiałem, nie zważając na bólenie w krzyżu, i śniłem o swojej ziemi.

Janek Józwiak

Pewnie od razu w poniedziałek bym się przeszedł do Naczachowa, popatrzeć, czy nie znajdę tam gdzie pięknej Jaguni, ale akurat w karczmie gruchnęła wieść, że w Lubominie jeden starzec umarł na morowe powietrze. To wcale nie były dalekie strony, Lubomin był sąsiednią parafią, mieszkał tam handlarz koni, u którego wszyscy lepsze czy gorsze szkapy kupowali, myśmy mu też niejednego żrebaka sprzedali. A teraz łąziła tam morowa śmierć, wymachiwała kosą coraz bliżej nas.

Zaraz głową potrząsałem, bo czego tu się bać, skoro jestem młody i zdrowy, więc dla śmiechu zabrałem Lewandoszczanki nad Mokry Dołek. Było to bagienko w środku lasu, nad które babka lubiła nas prowadzić w dzieciństwie. Stawaliśmy na brzegu, a ona kazała nam wypatrywać ludzkich kości, które czasem, gdy przyszła większa susza, pokazywały się z błota. Snuła wtedy opowieść o tym, jak jeszcze przed naszym urodzeniem morowe powietrze pojawiło się w okolicy i zaczęło dusić ludzi. Babka opowiadała, a my z bratem zamykaliśmy oczy, ale tylko na chwilę, bo zaraz znowu spod zmrużonych powiek zerkaliśmy na wystające z błota morowe kościotrupy.

Kiedy teraz zabrałem Lewandoszczanki nad Mokry Dołek, dziewczuchy popiskiwały, zasłaniały sobie oczy i tuliły się do mnie, a ja niewzruszony patrzyłem na umarlaków, na długie kości nóg, na grzebienie żeber, a już najbardziej na okrągłe czaszki, które szczyrzyły do nas z bagienka zęby zbrukane błotem. Gapiłem się tak i dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie, że ja też mam takie zęby, ja też mam taką czaszkę schowaną pod włosami, ja też tak kiedyś będę wyglądał, może nawet całkiem niedługo. Z tego strachu zacząłem znowu opowiadać dziewczuchom o zarazie, co przeszła przez te strony, gdy babka była jeszcze młoda. Bez przerwy powtarzałem, jak sąsiedzi zwozili umarlaków do Mokrego Dołka, całymi stertami, bo nie nadążali ich w ziemi zakopywać. Zamiast tego wrzucali ich w błocko, i zaraz na drugi dzień sami zaczynali chorować. A gdy marli, zwozili ich tu sąsiedzi, a potem sąsiedzi sąsiadów. Tak umierały całe wsie, rychło po pustych domach wiatr hulał, głodne psy gryzły ciała, bo potem już i zmarłych grzebać nie było komu, a smród śmierci niósł się na całą okolicę. To ostatnie powtórzyłem ze trzy razy, bo bardzo mi się podobały takie słowa, mocne i przerażające, zresztą kiedy Lewandoszczankom oczy ogromniały z przerażenia, we mnie strach malał. Nie znikał całkiem, ale przyczajał się w głębi, jak czaszki umarlaków na dnie Mokrego Dołka.

W niedzielę ksiądz krzyczał jeszcze głośniej, popluwał jeszcze obficie, bo w Lubominie już czterech padło od moru, i jeszcze troje kolejnych chorych położyło się do łóżek, kupiec od koni z żoną i córką. Ksiądz teraz grzmiał o grzechu, a ja ciągle nie byłem pewny, czym zgrzeszył handlarz, poza tym, że koniom czosnek w tyłek wsadzał, żeby się przed sprzedażą zwawsze wydawały, ale na

czosnek w końskim tyłku nie ma żadnego przykazania. Nie wiedziałem też, czym grzeszyła jego żona, ale wiedziałem, czym grzeszyła jego córka, której imienia nie mogłem sobie przypomnieć, za to dobrze pamiętałem jej usta, a jeszcze lepiej drobne, białe piersi, ciągle je miałem przed oczami. Zaraz więc klęknąłem, żeby przeproszać za to, co robiliśmy razem, wtedy jednak usłyszałem taki wrzask sprzed kościoła, że zaraz wybiegłem.

A tam znowu handlarz siedział na zydlu, a przed nim stały czerwone na polikach matula z babką. Matula obracała w rękę kartkę z krzyżem morowym.

– Wielki to grzech na ludzkim nieszczęściu zarabiać! – krzyczała matula.

– Niemało sobie liczycie! – wtórowała jej babka.

– Zawsze taniej niż za pogrzeb płacić – odpowiadał im niewzruszony handlarz.

– Tfu, tfu, co też gadacie, no naprawdę.

Już się baby, chłopcy poczęły tłoczyć, żeby i oni mogli ochronę kupić.

– Wstrzymajcie się! Jeszcze tu stoję! – krzyknęła matula.

Miała posłuch, bo odstąpili.

– Handlarzu, a za ile w takim razie byście mi jeszcze drugą taką kartkę dali?

– A na co ci druga kartka, Zośka? – Tatulo zaraz znalazł się przy niej, zaniepokojony, że miałyby ciężko zarobione pieniądze na papier wydawać.

– A jak to po co? A te nasze sąsiady Olędry to jak sobie krzyż morowy kupią? Skoro one heretyki i u siebie w kościele się modlą? Za kopiejkę mi dajcie drugą kartkę, panie handlarzu.

– A niby dlaczego za kopiejkę tylko?

– A dlatego, że tylu chętnych wam tutaj sprowadziłam.

Handlarz pomyślał chwilę, niezbyt zadowolony, w głowę się podrapał, ale wiele wydrapać nie mógł, bo już drugiej kartki, tej dla Olędrów, z ręki matula wypuścić nie chciała. Zaraz jednak wpadł na pomysł:

– Ludzie, ludzie! Za jedną kartkę dwie kopiejki płaciecie, ale jak kto weźmie dwie, płaci trzy grosze, jak ta oto szanowna gospodyni!

No i kopiejki zaczęły turlać się do handlarza, nie nadążał z liczeniem. A ja w tym tłumie płacących, przepychających się, przekrzykujących znowu Jagunię ujrzałem, jaśniała jak kwiat jakiś, jak gwiazda nawet może, czysta i bez grzechu zupełnie, przez co od zarazy bezpieczna. Zacząłem przepychać się ku niej, spojrzenie jej ucapiłem wzrokiem i nie puszczałem, ona czerwieniała i bladła, ja od tego drżałem, ale nie ustawałem w przepychaniu i już, już prawie bym jej dotknął, tyle że wtedy ojciec z matką i braćmi za rękę ją chwycili i do domu zabrali.

Zośka Józwiakowa

Kiedyśmy tamtej niedzieli wrócili po kościele do naszego Sokołowa, każdy z karteczką lub dwiema, wszyscy odczuliśmy ulgę. A więc jest ochrona! Dobra i pewna! W Lubominie mór zaczął ludzi kosić, bo do ichniego kościoła handlarz krzyżami morowymi nie zdążył dotrzeć, co sam wyznał. Ale my, ze świętymi kartkami na drzwiach, będziemy od tej pory bezpieczni.

Zaraz więc zaczęło się kręcenie klajstru z mąki i wody, na drzwiach każdej chałupy tej niedzieli zawisł krzyż morowy na papierku. Powinniśmy się może uspokoić, ale nijak to nam nie

wychodziło, bo Janek znowu stał obok i opowiadał, jak się umiera od morowego powietrza, ze smakiem opowiadał, jakby go cieszyły te okropności.

– Idź stąd! – Przepędziłam go ścierką, dużo miałam roboty, bo przy niedzieli należało ugotować lepszy obiad, ale ciągle myślałam o tych umierających w pół słowa. Teściowa niby mi pomagała, też stale wzdychała, że śmierć kosą zaczyna wymachiwać bez opamiętania całkiem już od nas blisko, Szczepan z wujem kręcili się po chałupie niespokojnie, jakby ich coś nosiło, nawet kot, zamiast siedzieć w stodole, po izbie się kręcił i węszył za słoniną.

Żur z jajkami uwarzyłam, lebiodkę udusiłam na maśle, teraz szykowałam omastę do szarych klusek, bo choć minęło wiele czasu, odkąd po raz ostatni biliśmy świnie, to jednak kiełbasa bezpiecznie czekała na swój czas w garnuszku, zalana smalcem. Kiedy łzawiąc, siekałam cebulę i kroiałam kiełbasę, wdychając zapach wędzonki, a teściowa z czerwonymi od wspomnień i dymu oczami mieszała w saganach nad ogniem, wuj Kostek podskoczył, żeby wyjść mi trochę kiełbasy spod noża, tak bezczelnie, że go niechcący w łakomy paluch zacięłam. Teraz na przyzbie ssał ranek, zagryzając kiełbasą, której skrawek jakoś udało mu się porwać, a robota przy obiedzie potoczyła się sprawniej. To nie takie łatwe nakarmić czterech dorosłych mężczyzn, jeśli moich synów wliczyć, no i dwie kobiety, choć nie narzekałam, bo były w wiosce gospodynie, które miały więcej gąb do zatkania. Choćby nasza sąsiadka, Lewandowska, która, choć już miała swoje lata, co chwila chodziła z nowym maleństwem przy piersi.

Okazało się, że kiedyśmy się przy obiedzie krzątały, Szczepan z Kostkiem, krwawiącym z palucha, obgadali ze sobą sprawę

morowego powietrza, a potem obeszli wszystkie chałupy i zwołali chłopskie zebranie. Dlatego po obiedzie i zmyciu statków nie mogłam usiąść na przyzbie, żeby nacieszyć się niedzielną chwilą odpoczynku, tylko musiałam gnać pod kapliczkę na środku wsi, bo mój Szczepan kazał przyjść i chłopom, i babom, a jeśli chodzi o Olędrow, nawet dzieciom, bo ktoś musiał rodzicom tłumaczyć, o czym trwa rozmowa. A rozmowa trwała zażarta i niespokojna, jak zawsze, kiedy ludzie się czegoś boją. Niektórzy powtarzali, że jesteśmy bezpieczni, bo przecież powiesiliśmy na drzwiach karteczki z krzyżami morowymi, Kostek jednak mówił:

– Krzyże na drzwiach to już coś, można jednak zrobić więcej.

– A niby co? – spytał Lewandowski. – I po co?

Lewandowski nie lubił kłopotów, tak nam zawsze powtarzał. Zbytecznych kłopotów, podkreślał.

– A bo, sąsiedzie, z domu ciągle trzeba wychodzić, a przecież krzyż na chałupie tylko w obejściu was chroni – odezwał się Kostek, bardzo zadowolony, że wszyscy go słuchają. – Rzeczą więc w tym, żeby nie tylko chałupy, ale i całą wieś krzyżami morowymi ochronić.

Kostek, wuj mojego męża, przez chłopców zwany dziadkiem, wiedział niejedno, bo był człowiekiem w świecie bywałym. W swoim czasie w carskim wojsku spędził całe lata, tak nam opowiadał, a potem długo, przez pół świata, wracał stamtąd do domu, o czym opowiadał jeszcze częściej. Z niejednego więc pieca chleb jadał, nie to co my, którzyśmy poza naszą wioską znali tylko wioski dookolne, kościół i targ.

– A niby jak krzyżami mamy wieś chronić? Kapliczki nie wystarczą?

– Na zwykłe diabliki starczą. Ale na morowe powietrze ich moc za mała. Słuchajcie! – I Kostek głos zawiesił, czekając, aż ostatni, co wzrokiem byle gdzie wodzili, na niego spojrzą. Dopiero wtedy przemówił: – Na zarazę musimy postawić krzyże morowe z obu stron wioski, prawdziwe krzyże, drewniane, drewno przecież mocniejsze niż papier.

Ludzie podumali, pokrzyczeli, ale w końcu się zgodzili, że dobry pomysł z tymi krzyżami, i tak, postawmy krzyże z obu stron wsi, koniecznie, żeby całe Sokołowo było bezpieczne. Nawet Olędry głowami kiwali, bo chociaż byli obcej wiary, w krzyż wierzyli, tośmy, mieszkając obok, wiedzieli od lat.

– Ale czy wy wiecie, ludzie, że krzyży morowych się tak zwyczajnie nie robi? – Wuj Kostek znowu czekał, aż najbardziej oporni zamilkną i popatrzą na niego. – Cała sztuka w tym, że taki krzyż morowy należy wykonać z jednego pnia, i to w ciągu jednej nocy.

– Ale co wy mówicie?!

– Prawdę mówię, samą prawdę! – Kostek dla podkreślenia powagi swych słów pięścią się w pierś huknął. – Jedna noc, jeden pień, inaczej nie zadziała!

Teraz zaczęła się rozmowa, kto zrobi krzyże, i nawet ci, którzy przed chwilą chwalili pomysł, teraz patrzyli w ziemię i milczeli, a już najbardziej Lewandowski. A ponieważ Szczepan nigdy się nie wymigiwał od obowiązków, od razu podjął się wykonania jednego z krzyży. Co do drugiego – wciąż nie było chętnych.

– Ludzie, co z wami?! – krzyknęłam. – Wolicie wpuścić do wsi zarazę, niż poświęcić jedną noc na zrobienie krzyża?

– Kartkęśmy na drzwiach chałupy powiesili i dobrze jest – odezwał się wreszcie Lewandowski, a reszta zaczęła mu teraz przytakiwać, choć przed chwilą przecież przytakiwali naszemu Kostkowi.

– Ludzie, sąsiedzi, no co wy! Dlaczego o dobru wspólnym nie myślicie, tylko ja, moje, tylko o sobie ciągle! – wykrzyknęłam.

Cisza, wszyscy wlepili wzrok w ziemię. I w tej ciszy wszyscyśmy się rozeszli, źli jacyś i gniewni z tego strachu.

Janek Józwiak

Zamiast tłoczyć się w gromadzie, co o zarazie obradowała, zaraz po obiedzie pobiegłem do Naczachowa. Nie musiałem się długo kręcić pod Jaguni chałupą, sporo niższą i bardziej pokrzywioną niż nasza, bo dziewczyna, zapłoniona jak maczek w zbożu, zaraz podeszła do płota, oparła się oń i nawet nie udawała, że mnie nie widzi, jak by to każda inna zrobiła, tylko wpatrywała się we mnie jak żabka w bociana. Oczyska miała jak dwa bliźniacze źródelka, niebieskawe i lśniące. Podszedłem, kapelusz z głowy zdjąłem, powiedziałem, kim jestem. Uśmiechnęła się, odparła, że wie przecież. Wargi miała takie, jakby całować chciała, i przez chwilę myślałem, że skorzystam, ale potem zrozumiałem, że czekanie, aż dotknę jej warg, słodsze być może niż samo dotykanie. Pierwszy raz w życiu coś takiego pomyślałem. Żeby nie brać się od razu do całowania, zacząłem śpiewać, usta musiałem mieć ciągle zajęte i płotu się trzymać, żeby rąk nie wyciągać, a Jagunia słuchała i nie spuszczała ze mnie tych dwóch błyszczących źródełek.

*Oj, żal mi cię, panno młoda, żol mi cię,
żebyś była jagodeczką, zjodbym cię.*

*Żebyś była jagódeczkom borowom,
zjodbym jo cię raniutyńko surowom.*

Jak jej pośpiewałem, to i opowiadać zacząłem, żeby ustom dać zajęcie inne niż całowanie. Mówiłem, że dziadkowie moi przybyli w te strony, kiedy puszcza jeszcze śpiewała pod wiatrem, kiedy droga do Izbicy była kręta i wiecznie wodą zalana, kiedy mokradeł więcej niż pól było i kiedy światem dookoła rządził dziedzic, ten sam, którego potem zabili.

– Zabili? – zdziwiła się Jagunia i pochyliła się ku mnie nad płotem.

– A tak, bo i dziedzica zabić można przecież. Ale to było, zanim się urodziłem – opowiadałem, wdychając zapach Jaguni, mlekiem pachniała i rumiankiem. – Moi dziadkowie tu właśnie zamieszkali, w waszym Naczachowie, wiesz, Jaguniu? Tu i ojciec się mój rodził, to prawie jakbyśmy krajanami byli.

A ona patrzyła na mnie, zachwycona, że w miarę jak mówię, coraz więcej nas łączy, i tylko płot nas dzieli.

Potem obejrzała się na swoją chałupę, nikt się po odejściu nie kręcił, i wyciągnęła do mnie nad płotem gorącą dłoń, a ja ją chwyciłem. Nigdy nie czułem od żadnej takiego gorąca, nigdy żadnego dotknięcia tak nie czekałem. Potem Jagunię do domu zawołali, a ja stałem tam jeszcze, ale tylko mi z maleńkiego okienka pomachała, więcej się nie pokazała. Błąkałem się dookoła jak błędny, słońce nie chciało zachodzić, świat nie chciał ciemnieć, nigdy mi się mniej spać chciało niż wtedy.

I zaraz postanowiłem, że niezadługo wezmę Jagunię nad Mokry Dołek, a tam niechybnie ze zgrozy zaraz się do mnie przytuli.

Szczepan Józwiak

Przez tę zarazę, przez gniew Boży przestałem w niedziele chodzić w pole. Znaczy chodziłem, ale już nie schylałem grzbietu ani na chwilę, stałem tylko i planowałem, co będę robić w poniedziałek od rana, przepowiadałem w pamięci, żeby niczego nie zapomnieć, ale to nie praca przecież, tym Pana Boga nie obrażę, prawda? I wydawało się, że krzyże choleryczne na drzwiach i niepracowanie w niedziele wystarczą za ochronę przed morem, który miał nadejść do nas gościńcem. Nawet już spaliśmy ostatnio spokojniej, o śmierci mniej myśląc, i zanosilo się, że całkiem o niej na razie zapomnimy. Ale nie. Bo któregoś dnia do mojego obejścia zajechał rządcą z majątku, bo sołtysem przecież byłem, i zaczął wykrzykiwać, że kolejne wsie nad rzeką zapadają na cholere, że zaraza podchodzi coraz bliżej. I że dlatego nie powinniśmy brać do picia wody z rzeki, ze strumienia też nie, lecz koniecznie wykopać studnię w każdym gospodarstwie. To się nazywa naukowy sposób przeciwdziałania zarazie.

– Zaraza od wody idzie? To dlaczego nazywa się „morowe powietrze”? – spytała, wzięwszy się pod boki, moja matula, która się nikogo nie bała, rządcy też nie. Nie odpowiedział jej jednak, bo z babami gadać nie lubił.

– Poza tym, panie, my we wsi wszyscy na drzwiach krzyże morowe mamy, jesteśmy więc bezpieczni – wytłumaczyłem.

Ale rządcą nas za przezorność nie pochwalił, tylko powtórzył:

– Kopcie studnię, nie mędrkujcie.

Studnię budować? Teraz, na wiosnę? Kiedy orkę trzeba robić, siew, sadzenie kartofli, toż to tyle dniówek od rana do zmroku, roboty tyle, że nie wiadomo, w co ręce włożyć. Bogu tylko

dziękować, że na wiosnę dzień coraz dłuższy, jakby tam w niebiosach przewidziano, że czasu na robotę człowiek więcej będzie potrzebował, a ten nam każe kopać studnie w obejściach?! Jakby nie wiedział, że jak teraz nie zasiejemy, to latem nie zbierzemy i nie będzie czego jeść, i nie będzie z czego płacić czynszów? Po co komu studnia, pańskie wymysły i tyle. Nasze kobiety nie są tak leniwe, żeby nie mogły iść z wiadrami na nosidle do strugi.

I tak żeśmy z chłopami uradzili, że nie kopujemy, a rządca na pewno z czasem zapomni.

Michał Józwiak

Kiedy trzeba było zabić kuraka, zawsze chodzili dziadek Kostek z babką Hanką. Tak już się przyzwyczaili. Babka łapała kogutka, wszystkie kury wtedy strasznie krzyczały, a ona trzymała go mocno. Przepraszała, że mu życie odbiera, ale głodnych nakarmisz, biedaku, dlatego giniesz. I wtedy – myślała, że nikt nie zauważy – ukradkiem całowała go w łebek. Potem kładła go delikatnie na pieńku, odsuwała się. Dziadek szybko podnosił siekiere, żeby kurak nie zdążył wstać. Kiedy wstawał, było już za późno, bo zanim się zorientował, nie miał głowy. Nawet pobiegał zdziwiony. Bałem się na to patrzeć, ale zerkałem z boku. Babka czekała, aż życie z kuraka z krwią wycieknie, bo niektórym trudniej zauważyć, że już nie żyją. Kiedy kurak się uspokoił, babka brała jego bezgłowe ciało i dziękowała mu za ofiarę dla rodziny.

– Po co to robisz, babciu? – pytałem.

– Tak trzeba. Tak właśnie trzeba, bo każde życie jest ważne.

– Ale niektóre życia ważniejsze, prawda?

– Co ty gadasz, wnuku?

– Nasze ważniejsze niż kurze. Bo kurak już nie żyje, a życie oddał po to, by nas nakarmić.

– Wiesz co? – Babka zatrzymała się nagle ze skubaniem kogutka.

– Wiesz co, Michaś? Ty mi się nawet czasem od Janka mądrzejszy wydajesz.

Za to jeszcze bardziej kochałem babkę. Tak, kochałem ją bardzo, z jej tajemniczym szeptaniem, spluwaniem przez ramię i całowaniem umierających zwierzaków w łebek. Bo ja mądrzejszy od Janka, to naprawdę było coś! I to w ustach babki, bardziej skorej do przygan niż pochwał. O, bo Janek to był ktoś! Już prawie dorosły, więc po robocie wracał do domu, zjadł żuru czy szczawiowej z kraszonymi kluskami, bo zeszłoroczne kartofle już się skończyły, a potem znowu wychodził. Wracał późno, kiedy wszyscy spali, kładł się obok mnie i opowiadał. Pachniał jeszcze karczmą, wiatrem i chyba dziewczynami, nie byłem pewien, bo tego zapachu nie znałem, i chwalił mi się do ucha:

– Mam mnóstwo szczęścia do dziewczyn, bo co mi się któraś spodoba, zaraz i ona mnie kocha.

– To do której będziesz słał swaty?

Osiemnaście wiosen i lat to dobry wiek na ożenek dla syna bogatego gospodarza. Ja w tym wieku zamierzałem już być po słowie.

– Może do Mańki od Marciniaków, tej spod Izbicy. Jaka ona piękna! – Oczy Jankowi tak błyszcząły, że i po ciemku widziałem. – Jakie ma gładkie policzki! Jakie usta gorące! – Tak mi opowiadał jeszcze niedawno.

– Kochasz ją?

– Pewnie, że tak! Jak ona się całuje, Michał, nie masz pojęcia.

Nie miałem pojęcia ani o ustach Mańki, ani o całowaniu, ale obie te rzeczy musiały być wspaniałe, bo Janek leżał obok mnie i wzdychał, aż zasnąć było trudno.

Nie minęło jednak wcale wiele dni, kiedy Janek, wróciwszy do domu, narzekać zaczynał, że Mańka Marciniaków co chwila powtarza, że go miłuje, i każe mu odpowiadać tym samym.

– Przecież ty ją także miłujesz?

– A bo ja wiem? Raz zdaje mi się, że tak, wtedy jej mówię, bo co mi szkodzi. Ale potem ona o ślubie zaczyna gadać, a zaraz potem, czy nasz tatulo odpisze na mnie połowę z tych swoich pięćdziesięciu morgów. Ja tu o jej oczach, ustach, a ta o morgach i o zapowiedziach. I wtedy zaczynam widzieć, że ma włosy w nosie, krosty na szyi, że śmiać się z moich żartów nie umie. Jak tu do takiej swaty słać, kiedy już przed ślubem tak bardzo chce mi się od niej uciekać?

– To nie będziesz się z nią żenić?

– No nie wiem... Bo przecież tyle jest innych dziewcząt, piękniejszych, miłszych, choćby i u nas w Sokołowie, a co dopiero w parafii czy na całym świecie! A ja miałbym być na zawsze z Mańką?!

Od słowa „zawsze” miałem dreszcze, takie było nieodwołalne. I zupełnie do Janka nie pasowało, bo jego pełne żaru „zawsze” szybko zmieniało się w „kiedyś”, a potem zaraz zapominał, bo nadchodziło nowe „zawsze”, równie żarliwe.

Ostatnie „zawsze” tyczyło się Jaguni z Naczachowa. Już całkiem długo, jak na Janka. Kiedy patrzyłem na nią w kościele, trochę mojego brata rozumiałem.

Janek Józwiak

Już i ciepło krążyć w powietrzu poczynało, już i brzozy pokryły się zielonkawą koroneczką liści, już i zawilce w lesie wyciągały łebki ku słońcu, a dziewczyny stroiły sobie nimi warkocze. Wraz z oziminą wzrastała moja miłość, wraz z zawilcami rozkwitały moje uczucia do Jaguni. Staliśmy przy jej płocie, dzień w dzień, aż któregoś wieczora wyszła wreszcie do mnie za płot, szliśmy, krok po kroku, coraz dalej od wszystkich, coraz bliżej siebie, splatałem palce z jej palcami, oplatałem ją ręką w pasie, kładła mi głowę na ramieniu, zamierałem, zamarłbym, ale szliśmy, nie ustawialiśmy z chodzeniem, bo gdybyśmy ustali, zaraz bym się na nią rzucił. I gadałem, nie przestawałem gadać, żeby zająć czymś usta, żeby mnie poznała, doceniła, żeby nie przestawała o mnie myśleć, jako i ja o niej myśleć nie ustawałem.

A w roku, kiedy się urodziłem, właśnie wtedy, powstała także nasza wioska, Sokołowo, tak mówiłem Jaguni, żeby jej nie całować. W tamtym właśnie roku sprowadzeni przez dziedzica z dalekich krajów Olędrzy ziemię tę osuszyli, bo wiedzieli, jak kopać kanały, a nasze chłopcy drzewa wykarczowali, bo wiedzieli, jak wykopać karczce, i tym sposobem, zamiast puszczy i mokradeł, pojawiła się ziemia uprawna i dziedzic zaczął obsadzać ją ludźmi. Najpierw we wsi zamieszkali Olędrzy, ludzie innej wiary i innej mowy, ale że na uprawianie ziemi wyrwanej bagnom było ich za mało, dziedzic postanowił osiedlać w Sokołowie i tutejszych. Pierwszym był mój ojciec, drugim – nasz sąsiad, Lewandowski, a potem już poszło, aż wieś się stała całkiem duża i gwarna, prawie jak Naczachowo.

Wieś nasza dzieli się teraz, tak Jaguni mówiłem, na dwa ramiona połączone kapliczką. Pójdziemy tam, to ci wszystko pokażę. Przy

naszym ramieniu mieszkają tutejsi, cztery chałupy łącznie nas jest, przy drugim stoją chałupy olęderskie, łącznie ich pół tuzina, razem dziesięć wszystkiego, popatrz, Jaguniu, jak szybko liczę. I takie jest nasze Sokołowo. Ale nie myśl sobie, Jaguniu, że to lada jaka wieś, to wieś ważna. Nie tylko dlatego, że pierwsza w okolicy czynszowa, ale i dlatego, że niedaleko nas krzyżują się drogi łączące wszystkie ważne miasta: Izbicę Kujawską, Lubraniec, Chodecz, Przedecz i Kłodawę. Trochę tylko dalej biegnie szlak z Warszawy na zachód, wożą tam wozami nie tylko ludzi, ale i pocztę. To znaczy, że ludzie do siebie piszą i już po kilku dniach ich słowa można odczytać w zupełnie innych miejscach, to cud prawdziwy, i ja też strasznie chciałbym do kogoś napisać, Jaguniu, szkoda, że nie mam do kogo.

– Do mnie pisz – szeptała mi do ucha.

A że przecież do szkoły nie tak dawno chodziłem, to i umiałem wyrysowywać kijem w piachu tajemnicze zawijasy, które miały oznaczać, że Janek i Jagunia, Jagunia i Janek, a ona powtarzała po mnie, com napisał, i składała usta do pocałunku, co jakimś cudem nawet po ciemku widziałem, bo przecież za jasna tylko w niedziele chodzić razem mogliśmy, ale co z tego, skorom po ciemku widział ją wyraźnie jak w dzień, tak jej gorąco w mrocznym powietrzu jaśniało.

Jeśli do karczmy szedłem, to koniecznie do Naczachowa, gdzie mieszkała, i już z nikim nie tańczyłem, z nikim nawet nie pogadywałem, bo przecież była Jagunia. Nie pamiętałem, że kiedyś tamta wieś i ichnia karczma ponure mi się wydawały, wcale tego nie pamiętałem, bo kiedy wchodziłem, już ktoś przygrywał, a to na skrzypkach, a to na basetli, a Jagunia w tańcu wirowała. Tańczyć lubiła i umiała, cienka była w pasie, najcieńsza w parafii, kiedy się

serdaczką ścisnęła, szeroka w piersi i w biodrach, a kiedy się obracała w tańcu, jej warkocze smagały chłopaków po piersiach, po twarzach. Wszyscy aż się nadstawiali na te pachnące rumiankiem razy, ale kiedy ja wchodziłem, to wszyscy dla niej znikali, tylko ja byłem, i kłoniła się cała ku mnie.

Dlatego też wieść o tym, że handlarzowi koni z Lubomina zmarło się jednak na zarazę i że umarły także jego żona i córka, dotarła do mnie dopiero w niedzielę w kościele. Zamiast słuchać plebana, ciągle myślałem o tej córce, której imienia nie pamiętałem, o jej ustach i piersiach. Nie chciałem o nich myśleć, myślałem o nich bez przerwy. Teraz żrą je robale, pomyślałem, i ciemno zrobiło mi się przed oczami.

Zośka Józwiakowa

Gdy rządcą wrócił sprawdzić, czy wykopaliśmy studnie w Sokołowie, bardzo się zagniewał.

– Sobie szkodzicie, nie mnie! – krzyczał z wysokości konia. – Wy umrzecie, nie ja! Patrzcie, jak choroba idzie po Lubominie. Chorują wszyscy, którzy z rzeki wodę biorą. Rzekami, strugami zaraza idzie, chłopcy, nie widzicie tego?!

Trochę ludzi zeszło się do tego zamieszania, słuchali, jak mój Szczepan spokojnie odpowiada:

– Lubomin daleko, panie. Strugę mamy inną. A poza tym pieniędzy u nas na studnię nie ma. No i czasu na kopanie brakuje, bo w polu, na łące trzeba robić, żeby mieć potem czym czynsze płacić.

Nie wiadomo też przecież, jak tu woda głęboko, ile dni musielibyśmy jej szukać, no i ile balików dębowych ułożonych

w kwadrat wkopać by trzeba w taką studnię, żeby jej się ściany nie zapadały. A jak wiadomo, dębowe drewno najdroższe, chociaż na studnię najzdatniejsze, bo inne zaraz od wody butwieje, tak mówił Szczepan, a Olędrzy się z nim zgadzali, głowami kiwali, doprowadzając tym samym rządcę do białej gorączki.

– To od sąsiadów ze studni wodę bierzcie! Byle nie z rzeki, nie ze strugi! Myślcie, chłopcy, myślcie wreszcie!

Cisza zapanowała, wreszcie przerwał ją któryś z tych odważniejszych:

– Tylko że, panie, u nas w Sokołowie nikt studni nie ma.

– Co?! – zdenerwował się rządcą. – W takim brudzie tu żyjecie?!

Teraz to już mnie rozwścieczył. W brudzie? Codziennie sprzątam, co dwie soboty piorę, co sobota myjemy się jedno po drugim w balii, od Świętego Jana w strudze, żeby w kościele godnie się pokazać, jak on śmie, jak on w ogóle śmie!

– A gdzie tam, panie rządcą, w brudzie?! – przysłała mi na pomoc babka. – Ze strugi woda dobra, czysta, gołym okiem widać, że przejrzysta, nie żółta ani mętna, jak w niektórych stawach czy gliniankach!

– A brudnej wody z rowów żadna z nas dla rodziny do picia nie bierze! – dodałam zaraz. – Po czystą chodzimy! Żadnego brudu u nas nie ma! Nie jesteśmy przecież takie leniwe, żebyśmy się nie mogły przejść nad strugę z wiadrami. Olęderki tak samo, jakby rządcą pytał, wszystkie chodzimy!

Jak zwykle, kiedy mówiłam, rządcą udawał, że nie słyszy.

– Ale jak tak się o nas martwicie, panie, to może będziecie z beczułką piwa nam przywieźli? Wtedy, obiecujemy, wody pić nie będziemy – dowcipkował nasz dziadek Kostek.

Rządca jednak do śmiechów nie dołączył, tylko resztę wsi kazał zwołać pod kapliczkę. Kiedy krążyła i ludzi spraszała na to zebranie, wszyscy na pańskie wymysły pomstowali, ale jak już się pod kapliczkę zeszli, pomstować nikt nie śmiał i w ciszy nabożnej słuchali, jak rządca, nie zsiadając z konia, żeby się lepiej głos niósł, mówił, że we dworze postanowiono: studnia we wsi stanie. Skoro jesteśmy tacy leniwi, to jedna tylko, na środku. Obudowana drewnem od dziedziczki, która w swojej łaskawości zgodziła się nam przyznać w tym celu dębowe kołki. I z tej to studni mamy brać wodę do picia. Tak będzie we wszystkich wsiach w majątku. Kto ze strugi weźmie, zapłaci karę. Bo dziedziczka nie chce chłopów tracić, nie chce, żeby chorowali i umierali na cholere. Bo dba o nich.

– O nas dba? A ja bym powiedziała, że o swoje czynsze dba – rzuciłam półgłosem.

Szczepan syknął na mnie, żebym była cicho, rządca i tak moich słów nie słyszał, bo właśnie mówił, że każdy dom w Sokołowie na budowę studni ma przeznaczyć dwa dni robocizny.

I znów ludzie poczęli gadać między sobą, że my czynszownicy, a nie pańszczyźniani, co na każde wezwanie muszą dziedzicze robocizną służyć, że mamy swoje pola i swoje plany. Wtedy rządca huknął:

– Jak kto studni nie przyjdzie kopać, zapłaci karę! Bat też u mnie w kantorku na niepokornych czeka! – I to nas uciszyło, choć wiedziałam, że kiedy tylko rządca pojedzie, nikt już nie będzie wstrzymywać języka.

I nikt nie wstrzymywał.

Fornale z dworu zwieźli jeszcze drewno dębowe na studnię, na środku wsi zrzucili i odjechali. Zostawiliśmy stos dębiny pod

kapliczką, niech czeka na lepsze czasy, i poszliśmy obradować w sprawie krzyżów morowych. Krzyku było a krzyku, wszyscy gospodarze i większość gospodyń pokłócili się nie na żarty, nawet Olędry pokrzykiwały, a te ich krzyki tłumaczyły na nasze ich dzieci, również pokrzykując.

– Dobrze, skoro nikomu nie zależy, ja z synami zrobię oba krzyże – powiedział wreszcie mój mąż, wolno i wyraźnie, co znaczyło, że zły jest jak nie wiem.

– Ja z tobą, Szczepan, ja z tobą! – zakrzyknął nasz dziadek Kostek, który chciał znowu poczuć się ważny, ale zaraz stęknął, za plecy się złapał, że boli, żeby go potem za bardzo do roboty nie pędzić.

Wtedy odezwał się najstarszy syn Jana Olędra zza płota, Peter:

– W takim razie, sąsiedzie, drugi krzyż morowy zrobimy my z ojcem.

– A gdzie?! A bo to krzyż od Olędra ważny będzie?! – zaraz się protesty podniosły. – Olęder przecież innej niż my wiary!

– To sami se krzyż róbcie! – zdenerwował się Szczepan już na całego.

Znowu zapanowała cisza.

Janek Józwiak

Nie sprzeciwiała mi się, Jagunia nigdy mi się nie sprzeciwiała. Kiedy na nią patrzyłem, odpowiadała spojrzeniem, kiedy ją za rękę łapałem, szła, dokąd ją powiodłem, kiedy dotykałem jej gorącego ciała, drżała.

– Dlatego, że mam zimne palce? – pytałem.

– Nie, dlatego, że tak za tym tęskniłam.

Dawniej dziewczuchy odpychały mnie, droczyły się, żebym bardziej ich zachciał, ale nie ona. Jagunia wpadała we mnie jak w wodę, a ja byłem dla niej jak woda łagodny, jak dla żadnej innej.

Kiedy w końcu wracałem do domu, czułem się jak pijany. Nic Michałowi nie opowiadałem, bo zaraz zasypiałem, a kiedy rano pytał, czemu tak w nocy pojękuję, nie odzywałem się. Nie chciałem kazić gadaniem tego, co było między mną a Jagunią.

A ona nic ode mnie nie chciała, tylko żebym ją dotykał, więc robiłem to. Pierwsza to była taka dziewczyna, która się nie wzbraniała, nie udawała, że nie ma ochoty, ona cała była ochotą, więc nie potrafiłem myśleć o nikim innym, tylko Jagunia i Jagunia. W karczmie brałem ją w objęcia, wirowaliśmy przy oberku, ściskaliśmy się przy kujawiaku i aż cały w sobie rosłem, że wszyscy jej chcą, a ona mnie tylko. Tylko czekała, aż zostaniemy sami, rozplatałem wtedy te grube, pachnące rumiankiem bicze warkoczy i wiedziałem, że mogę z nią zrobić wszystko, i robiłem z nią prawie wszystko, bo wszystko, wiedziałem, wszystko jest grzechem. A z powodu grzechu dobry Bóg karę zsyła, mór zsyła, zarazę na ludzi spuszcza, a chciałem, żebyśmy byli z Jagunią bezpieczni.

Zośka Józwiakowa

Tej niespokojnej, złęcznionej nocy spotkali się w naszej stodole Szczepan z Michałem oraz Johannes Olęder ze swoim Peterem, i razem, poświstując, dwa krzyże z dwóch kłód wycinali, bok przy boku, przy niewielu słowach, bo i każdy gadał po swojemu, a my z babką im ciepły żur nosiliśmy i napar z mięty i miodu. Staraliśmy się też nie zauważać, że Janek znowu gdzieś na noc przepadł. Do pierwszego brzasku krzyże zrobili, na koniec oparli je z szacunkiem

o ścianę stodoły, przeżegnaliśmy się przed nimi i poszliśmy jeszcze resztki snu złapać. Rankiem zaś poszliśmy z całą wiejską gromadą na jeden kraniec wsi, żeby wbić pierwszy krzyż, a potem, z drugim, na drugi kraniec, całą drogę zawodząc:

– Od powietrza, głodu, ognia i wojny zachowaj nas, Panie!

Groza nas z tego wszystkiego, z tego śpiewu, z tych krzyży ogarniała, więc wszyscy gorąco pod krzyżami się modlili, w piersi się waląc, żeby Pan Bóg nam grzechy przebaczył, żeby nie karał. Nawet Olędry stały i coś mamrotały, zupełnie jakby były jednej wiary z nami. Janek dołączył do nas dopiero przy drugim krzyżu, rumiany, z lśniącoymi oczami, jakby się dobrze wyspał, a nie bawił do rana w karczmie, bo pewnikiem właśnie tym się zajmował.

Potem z kobietami zrobiłyśmy coś jeszcze. Otoczyłyśmy całą wieś nicią lnianą, która łączyła z obu stron krzyże morowe. To już w tajemnicy przed naszymi mężami, bo nie byłyśmy pewne, czy zrozumieją, że tak trzeba. Nić, szara, niemal niewidzialna, snuła się wśród traw, nikła w ziemi, ale była, chroniła, otaczała nas wszystkich, całe Sokołowo, jak dłoń chroni jajko właśnie wyjęte spod kury.

Janek Józwiak

W niedzielę Jagunia już nie zostawała na modlitwę po sumie, tylko szła ze mną po chłodnej podłodze kościoła na kwietniowy, na majowy, na czerwcowy upał. Kiedyś mi wyznała, cała zapłoniona, po co się tak gorąco po mszy modliła, tamtego dnia, gdyśmy się poznali. Modliła się wtedy o to, żeby odeszły ją te gorącości i pragnienia ciała, co ją dniami i nocami męczyły. Ale teraz już wie, po co były te gorącości, one były dla mnie, wszystkie dla mnie. To

mnie pragnęła, nawet kiedy mnie jeszcze nie znała, to na mnie czekała, to za mną, jeszcze jej nieznanym, tęskniła. To właśnie jej się tamtego dnia w kościele objawiło, potem poczuła przemożną chęć spojrzenia za siebie, a tam stałem ja, i Pan Bóg to wszystko sprawił.

Dopiero kiedyśmy krzyże choleryczne w Sokołowie wystawili, a w Naczachowie, naszym wzorem, ludzie na obu krańcach wsi takie same wbili, zrozumiałem, że jesteśmy z Jagunią bezpieczni, że dobry Bóg już moru na nas nie ześle, skoro nas krzyże chronią.

W wigilię Świętego Jana wyłowiłem ze strugi jej wianek, pachniał miętą i fiołkami, ona pachniała mlekiem i serwatką, miodem i rumiankiem, wszystko razem podobało mi się najbardziej na świecie. I nie mówiła, że nasze pola obok siebie, bo wcale obok siebie nie były, nie namawiała mnie na śłanie swatów ani nie pytała, czy moi rodzice ją polubią, ona po prostu drżała, kiedy jej dotykałem. Słabnę, kiedy mnie tykasz, szeptała. Kiedy muskałem jej kark, dygotała jak w gorączce, kiedy zjeżdżałem dłonią na jej plecy, przywierała do mnie, odchyłała się tylko, bym mógł przesunąć rękę w najokrągłejsze rejony jej ciała. I wtedy dostałem ją całą, bośmy nie bali się już niczego.

Zośka Józwiakowa

Staraliśmy się nie przejmować tym, że w Lubominie nikt żywy się nie został, bo Lubomin był, po pierwsze, daleko, po drugie, skoro krzyży cholerycznych tam nie wystawili, sami sobie byli winni. U nas, w bezpiecznym cieniu krzyży morowych, trwały sianokosy, wszyscyśmy siano grabili, żeby na łące dobrze wyschło, i zastanawialiśmy się, kiedy zwozić, żeby nie zmokło. A tu jednego

dnia rządcą do wsi na spienionym koniu wpada i „gdzieście studnię zrobili” pyta. Jaka studnia, już wszyscy o niej dawno zapomnieli, drewno, co nam tu z dworu od dziedziczki zwieźli, zielskiem zarosło, ten i ów pewnie kołek podprowadził, więcej się bali brać, bo jednak dziedzicowe. I tłumaczymy rządcy, że na studnię po żniwach i młócce czasu będzie więcej, wtedy o kopaniu się pomyśli. Rozejrzyjcie się, panie, nijakiej zarazy u nas nie ma, krzyże stoją, nie jak w Lubominie.

– O, patrzcie, jakie wysokie i solidne, samiśmy je z jednego pnia wyrezali. Bezpieczni jesteśmy, zdrowi także i na wszelki wypadek przez lewe ramię wszyscy spluwamy, żeby nie zapeszyć, wiadomo, że człowiek wtedy od złego bezpieczny.

Rządcą jednak nie splunął jak należy, tylko brwi zmarszczył. Krzyczeń przestał, teraz cicho mówił, co nagle wydało się wszystkim groźniejsze.

– Pytałem dziedziczkę, ale ona mówiła, żeby gąsiora u was we wsi nie stawiać. Tak jednak myślę, że przecież się jej nie poskarżycie. Którego tu najwięcej pyskaty? Którego pierwszego zakuć?

– Panie, teraz każdego chłopca szkoda. Po sianokosach zakujcie, jeśli musicie.

Na to rządcą batem śmignął, aż wszyscy podskoczyli, a że dłuższy rzemień miał niż zwykły fornal, zawadził Lewandowską w twarz. Chwyła się za policzek i zanosła wrzaskiem.

– Cicho mi tu być! Za trzy dni wracam i jak studni nie będzie, wszyscy do gąsiora traficie! Z wami tylko siłą, nie dobrocią, chamy przeklęte!

I jeszcze raz bat podniósł. Wszyscy odskoczyli, a on zaśmiał się tylko.

– Sołtysie. – To do mojego męża było. – Sołtysie, jak studni za trzy dni w Sokołowie nie zobaczą, to wy pierwsi w gąsiorze wylądujecie.

– Ale, panie... – próbował jeszcze mój mąż.

– Powiedziałem – rzucił rządcą. – Wy, właśnie wy, pierwsi za nieposłuszeństwo wsi odpowiecie.

Po czym konia zawrócił i odjechał. Wszyscy patrzyliśmy, czy przed morowym krzyżem przy wyjeździe ze wsi głowę skłoni. Skłonił. To się ludziom spodobało, bo to, co gadał, już znacznie mniej.

– Gąsior – powiedział dziadek Kostek. – Gąsiorem urzędas straszy. O, straszna to rzecz taki gąsior, naprawdę straszna.

– A bo to my nie wiemy?

Niby w naszych stronach gąsior stał tylko przy dziedzicowym folwarku, na postrach, nie mówiło się o nim, na wszelki wypadek nie patrzyło nawet, ale nawet kiedyśmy go wzrokiem omijali, nastrój wszystkim warzył.

Ale Kostek wcale na to nie zważał, bo znalazł sobie temat do gawędy, a im gorsze rzeczy mówił, tym głośniej, szybciej i z większym zapalem. Gadał, że w wielu wsiach do postawienia gąsiora dziedzic zmusza chłopską gromadę. Same chłopcy muszą drewno zgromadzić i gąsior postawić, no i jeszcze kowalowi zapłacić za łańcuch, czyli sami na siebie karę szykują. I że dziedzic zamyka w gąsiorze chłopów tylko w niedzielę, bo wtedy i tak na pańszczyźnie nie robią, więc straty nie ma. Za zakutym stoi długa kolejka innych, którzy na swoją karę czekają, i żaden nie ma prawa się ruszyć. Ci zakuci sikają i srają w tym gąsiorze, bo przecież iść

z tym donikąd nie mogą, i kolejni muszą w tym siedzieć, gorzej niż było w oborze, bo temu się przecież świeżej słomy przyrzuci.

Szczepan z każdym słowem pochmurniał, ale Kostek ciągnął, że wół czy koń w niedzielę ma spokój od jarzma, a chłop nigdy spokoju nie ma, bo w niedzielę odsiaduje kary. I że czasem, jak kto długo w gąsiorze czy kunie siedzi i się wierci, to potem szyję ma obdarta. W poniedziałek od razu po tych szyjach w pańskim polu widać, który karę w niedzielę odsiadywał. Kostek mógłby tak jeszcze długo, więc wreszcie wzięłam go pod ramię, do nas do kuchni zaprowadziłam i odżałowałam kawałek kiełbasy, żeby wreszcie zamilkł.

– Masz więcej? – spytał, kiedy przeżuł.

– Twaróg tylko został.

– Też dobrze.

I tym sposobem zamknęłam mu usta.

Szczepan, poniżony groźbą gąsiora, zaraz ruszył w wieś namawiać ludzi do budowy studni. Jak zwykle wszyscy mu potakiwali, do czasu, kiedy przychodziło się stawić na prawdziwą robotę.

– Jak tam rządca mówił? Dwie dniówki na chałupę? Dziesięć chałup we wsi mamy, nawet i dziesięć dniówek powinno starczyć, jeśli wszyscy się karnie stawiają.

– Ale, Szczepan, nikt na to czasu nie ma.

– Sam mam budować?

Ludziska wzdychali tylko i w ziemię patrzyli. Ta nasza ziemia w Sokołowie była w tamtych dniach najlepiej obejrzaną ziemią na świecie.

W wyznaczony dzień ludzi do kopania pojawiło się mało wiele. Najwięcej Olędrów, z każdej ichniej chałupy po jednym. Od Johannesesa przyszedł wnuk, młody, ale silny, kiedy jednak zobaczył, jak nas mało, zaraz po brata skoczył, bo akurat nikt od Johannesesa od roboty się nie uchylał. Od nas stawił się Michał, przyszłam i ja, ale Szczepanowi ulżyło dopiero, kiedy pojawił się Janek. Zdziwiłam się, że starszy nasz synek ściągnął do roboty bez namawiania, niestety szybko się okazało, że to nasz sąsiad, Lewandowski, zapłacił mu parę groszy, żeby się samemu wykupić od pracy. Szczepan był zły, że syn za jego plecami tak załatwił sprawę, ale Janek dumny był, że zarobi za to, co Michał będzie robił za darmo. Poza tym nie przyszedł nikt, tylko od Jakubka przyszła dziadka, co to się mógł co najwyżej na szpadlu wspierać, szpadel też zresztą miał obluźowany.

– Gdzie reszta?! – spytał Szczepan.

– A pod krzyżem morowym – odpowiedział Jakubkowy dziadek. – Modlą się.

– Teraz?! Kiedy robotę mamy?!

– A bo, sołtysie, zaraza do wsi doszła.

Rzeczywiście, jakeśmy się wsłuchali, i do nas dotarły ponure pienia: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny zachowaj nas, Panie!”.

Łopaty wzięliśmy, żeby nóg nie dostały, i pospieszyliśmy wszyscy pod krzyż choleryczny, gdzie cała wieś biła się w piersi, usiłując przebłagać dobrego Boga.

– Niemożliwe, że krzyż morowy nie zadziałał! – lamentował Kostek. – Przecież krzyż moc na świecie ma największą!

– Kto chory? – krzyknął Szczepan.

Okazało się, że choroba złożyła do łóżka cichą Staszkową, jedyną gospodynię z Sokołowa, która nie lubiła gadać. Gdyśmy zaszli do

niej do chałupy, zobaczyliśmy ją na zapiecku, rozgrzaną, czerwoną. Kasłała jak potępiona.

- W piersi mnie boli! Piecze jak ogień piekielny!
- Cichajcie, Staszkowo, żebyście w złą godzinę nie wypowiedzieli!
- Zła godzina to już na mnie przyszła!

Patrząc na Staszkową, Janek dziwował się, że dziady i karczmarze o kasłaniu ani o gorączce nie wspominali, według nich złożeni zarazą raczej bladzi byli i robili pod siebie, do tego rzygali jak koty.

– Co ty gadasz, Janek – odezwał się Kostek. – Akurat zaraza będzie ciebie albo dziadów słuchać. Zaraza robi z człowiekiem, co chce.

Staszkowa wpatrywała się szklanym wzrokiem w powałę i oddychała chrapliwie.

– Od powietrza, głodu, ognia i wojny... – zaniósła się nagle śpiewem babka. – Od powietrza, głodu, ognia i wojny... – dobiegało z dworu. Ciekawe, czy i w Lubominie tak śpiewali? I dlaczego im nie pomogło?

Wróciliśmy ze Szczepanem do gromady pod krzyżem. Mój mąż odczekał, aż skończą zawodzić: „Zachowaaaaj nas, Paaanie”, i przemówił zdecydowanie:

- Połowa się modli, połowa kopie. Potem zmiana.
- Ale, sołtysie, dobrego Boga obrazimy, jak go nie będziemy wszyscy błagać o litość.

Szczepan odparł od razu:

– A jeżeli studni nie wykopujemy, obrazimy złą dziedziczkę, która każe nas wszystkich w gąsiora zakuć.

I z tymi słowami wrócił z łopata na środek wsi. Za nim podążyliśmy my i Olędry, no i Jakubkowy dziadek, choć ten nie

wiem po co. Kostek chwilę się wahał, czy zostać przy krzyżu, czy iść za Szczepanem, to dał krok w jedną stronę, to zawrócił, w końcu jednak zdecydował podreptać ku nam. Stał obok Szczepana i zakrzyknął:

– Tu chcecie kopać?!

Cały czas popatrywał ku kapliczce, czy tamci zwracają na niego uwagę. Nie zwracali, bo szli akurat hurmą do chałupy cichej Staszkowej.

– Ale rządca tutaj kazał kopać – powiedział Szczepan.

– Może i kazał, ale on nigdy studni nie budował, to nie wie! – gorączkował się Kostek. – Są miejsca, gdzie można i do piekła się dokopać, a nie znaleźć ani kropelki wody. Ale na szczęście macie mnie! Na szczęście, nie bacząc na zarazę, o brzasku poszedłem do sadu i ściałem z wiśni specjalną gałązkę. I to ja zaraz wam wodę znajdę!

Kostek chwycił w obie dłonie rozwidloną gałązkę, ręce wyciągnął przed siebie i chodził tak dookoła kapliczki, po pastwisku gromadzkim, z namaszczonej miną, zupełnie jak pleban w procesji na Boże Ciało.

Normalnie na takie Kostka popisy pół wsi by się zleciało, ale teraz ludzie zajęci byli niesieniem pod krzyż choleryczny czegoś ciężkiego i długiego, no i śpiewaniem „Od powietrza, głodu, ognia i wojny...”.

– Tutaj! – zakrzyknął dziadek Kostek głosem plebana, wymachując wiśniową gałązką. – Tu kopcie!

– Tu? A niby dlaczego?

– A bo wiśnia mi to powiedziała. To cudowne drzewo! – krzyczał Kostek. – Wiśnia i woda pod ziemią schowana to dwie siostry. Rozłączone tęsknią za sobą, popatrzcie.

Znowu wyciągnął przed siebie wiśniowe widełki, a one, w wyznaczonym miejscu, drgnęły w dół.

– Taka to sztuczka! – krzyczał. – Tu kopcie!

– I woda tutaj niby płytko będzie? – powątpiewał Szczepan.

– Tak mówi wiśniowa różdżka!

Ciągle popatrywałam w stronę krzyża i już widziałam, co ludzie tam z takim trudem przydźwigali. To była Staszkowa na sienniku. Teraz ją układali za krzyżem morowym, wyprowadzając w ten sposób zarazę ze wsi. Staszkowa pewnie nadal kasłała, ale przez śpiewy nic nie było słyhać. Jej mąż przezegnał się, córka starannie okryła pierzyną, oboje skłonili głowy i odeszli za wszystkimi, na drugą stronę krzyża, tę od wsi.

Szczepan nie patrzył, co się dzieje u krzyża, bo był skupiony na tym, co ma zrobić tutaj, na środku Sokołowa, niedaleko kapliczki, na gruncie gromadzkim. Właśnie wbijał pierwszą łopatę pod studnię.

– Ja też chcę – powiedział Janek, ale wcale nie chwycił łopaty, lecz wyciągnął rękę po wiśniową gałązkę.

– Nie każdych rąk wiśnia słucha – zaprotestował Kostek.

– Moich posłucha.

Nasz starszy syn chwycił wiśniowe widełki, przed siebie wyciągnął i począł łazić po pastwisku. Kiedy stanął przed miejscem na studnię, różdżka ani drgnęła.

– Dosyć tych głupot! – krzyknął Szczepan. – Kopże wreszcie!

Kiedy ludzie zobaczyli, że robota przy studni już trwa, dwóch chłopów dołączyło, reszta jednak nadal śpiewała pod kapliczką. Kopanie na szczęście nie trwało długo, bo woda wybijała już na dwóch sążniach.

– A widzicie?! – cieszył się Kostek. – To dzięki mnie znaleźliście wodę tak płytko!

Szczepan z synami i Olędrami zaczęli układać w wykopanym dole dębowe kołki w kwadrat, na ściany studni, a ja pospieszyłam do chałupy. Zaparzyłam trochę tymianku na płuca i poszłam do cichej Staszkowej, która pewnie ciągle jeszcze leżała za wsią, choć jej w wysokiej trawie nijak nie było widać. Chyba jej się na szczęście polepszyło, bo już nie było słychać kaszlu. Minęłam ludzi, wpatrzonych w krzyż, tak pilnie mamrotali modlitwy, że nikt mnie nie zauważył, i stanęłam nad chorą. A tam szybko zrozumiałam, dlaczego chora już nie kaszle. Dopiero teraz zauważyła mnie Lewandowska.

– Wracaj na dobrą stronę krzyża! – krzyknęła zaraz. – Szybko, żeby zaraza z tobą nie wróciła do wsi!

Posłuchałam, bo Staszkowej już tylko grabarz mógł pomóc. Nie przystanęłam przy krzyżu, bo bardzo byłam zła na ludzi z wioski, a także na okrutny świat i bezlitosną zarazę, a już najbardziej nie chciałam słyszeć, jak popłakują właśnie osierocone małe córki Staszkowej.

Kiedyśmy skończyli układać w nowej studni kołki w kwadrat, kiedyśmy już zmajstrowali kulkę, czyli taki długi drąg drewniany, na końcu okuty i z haczykiem, na którym należało powiesić wiadro, kiedy wyciągnęliśmy pierwsze wiadro jeszcze mętnej wody, dopiero wtedy zeszła się cała wieś. Poza Staszkową oczywiście, cichą już na zawsze, i poza jej córkami, które nadal zawodziły przy jej sienniku.

– Nie będę mówił, że ci, którzy nie przyłożyli ręki do kopania, wody nie będą mogli ze studni nabierać – mówił gorzko Szczepan – ale im to zapamiętam.

– A bo, sąsiedzie, my przecież do Pana Boga...

– Wiedźcie, że jesteście mi winni dniówkę. Wielu z was jest mi ja winnych. I może się zdarzyć, że kiedyś o nią poproszę. A na razie w pokoju napijmy się wody z nowej sokołowskiej studni.

Wielu się zawstydziło, ale to do nich pierwszych Szczepan chochlę z wodą wyciągnął.

Tylko Michał się nie tłoczył przy studni, tylko on. Wolał odrzucone wiśniowe widełki chwycić i sam łązić dookoła. Niedaleko studni gałązka mu drgnęła, wygięła się w dół, choć trzymał ją mocno. Takie cuda.

Poszłam zaraz do chałupy i wyniosłam z komory garnuszek smalcu, jabłek suszonych i kaszy woreczek, pełne ręce tego miałam, gdy niosłam jedzenie dzieciom Staszki, jej mężowi.

I zaraz z darami dołączyły do mnie inne gospodynie.

Janek Józwiak

Odkąd Staszkową pochowaliśmy, w ogóle przestałem się przejmować morem. A po co miałem o nim myśleć, skoro nikt więcej nie zachorował? Myślałem tylko o tym, że Jagunia ma skórę coraz czulszą, wystarczało, że palcem po wierzchu jej dłoni przejechałem, a już dygotała, by lec ze mną, i byłem z nią, i wsiąkałem w nią, a ona wtulała się we mnie i pachniała mlekiem i rumiankiem.

W kościele nie spuszczałem z niej oczu, wcale też księdza nie słuchałem, który już zresztą nie bardzo miał o czym gadać, bo ile można o Bożym gniewie? Zamiast więc patrzeć na ambonę, wodziłem wzrokiem po plecach, pasie, nogach Jaguni. Dotykałem każdego skraweczka jej ciała, i tych, które pokazywała innym,

i tych, które widywałem tylko ja, i czułem się od tego mocny, wszechmocny prawie, czułem się ważny jak dziedzic, a może nawet silny jak Jezus, co pokonał śmierć.

Zośka Józwiakowa

Woda studzienna inny miała smak niż rzeczna, wyczułam to od razu.

– Woda nie ma żadnego smaku – powiedział dziadek swoim mądrutkim głosem, ale wiedziałam swoje, choć nie miałam zamiaru z Kostkiem dyskutować, bo znowu by mnożył opowieści i nie zamilkł aż do wieczora.

Bliżej było teraz po wodę, lżej trochę, cały czas po równym się szło, więc i plecy mniej bolały, i wody mniej się po drodze wychlapało. Poza tym baby, przyszedłszy z wiadrami, przystawały i gadały, a ja z nimi, całkiem zapomniawszy, że jeszcze niedawno byłam nieprzejednanym wrogiem studni.

Janek Józwiak

– Jagunia to nie jest zła dziewczyna do żeniaczki – odezwała się nieoczekiwanie któregoś wieczoru po żniwach owsianych matula. – My ci w tej sprawie sprzyjamy. Dobra rodzina, choć pańszczyźniana, ziemia od naszej daleko, ale konie mamy, obrócimy i tam, znaczy ty obrócisz, bo twoje to po części będzie. I oni ci radzi, tatulo już z nimi gadał po sumie. To co, Janek? Ustatkujesz się? Dziewiętnasta wiosna to dobry czas, już się wyszumiałeś. I widzę: na inne nie patrzysz, od przednówka tylko Jagunia i Jagunia. I dobrze, bo już się martwiłam, ale i na ciebie przyszła chęć, żeby osiąść przy jednej.

– Jak to?! – zdziwiłem się.

– No tak to, że swatów wypadałoby posłać.

– Swatów?!

– Niby zgoda rodziców i panny jest, ale zwyczajowi musi stać się zadość. Sprowadziłyby się do nas Jagunia, miejsce jest.

– Do nas?!

– A co, myślałeś, że ty się do nich na pańszczyzną przeniesiesz?! Oj, Janek, Janek. Lepiej, żeby Jagunia została czynszową gospodynią.

– Gospodynią?!

Moja rumiankowo-mleczna Jagusia, moja warkoczowa królewna, moje marzenie dotykane w stogu, w stodole, w trawach nad strugą, a tu matulka o swatach, przeprowadzkach i gospodarowaniu?

– A gospodynią. Jakoś się z nią dogadam, miła i rozsądna się wydaje, innej byś nie wybierał, prawda, Janku?

Miła i rozsądna? Wonna i wilgotna dla mnie była, tęsknotą dla mnie była, wytchnieniem i marzeniem, nie szukałem w niej rozsądku. I choć nigdyśmy z Jagunią długo nie gadali, bo po stokroć bardziej woleliśmy zajmować się sobą, tym razem podzieliłem się z nią tym, co matula opowiada o ustatkowaniu, o gospodyni. Że co, swaty mam słać?! – kpiłem sobie i czekałem, aż i Jagunia się roześmieje. Ale ona, zupełnie nieoczekiwanie, uśmiechnęła się do mnie promiennie i powiedziała:

– Myślałam, że już nigdy o swatach nie wspomnisz.

Postanowiłem ją pocałować, by cofnąć jej w gardło te słowa, ale nie dała się uciszyć.

– Jesteśmy sobie pisani, wiedziałam od tamtej pierwszej modlitwy, kiedym się na ciebie obejrzała.

Pisani sobie? Ja też tak myślałem. Ale żeniaczka?! Zapowiedzi, wesele, posag, dzielenie ziemi, wypychanie siennika, wracanie na czas do domu, gdzie byłeś, nic nie zrobiłeś, warkocze schowane pod chustką, zamiast tańców i szeptów w ciemności – kartofle, ścierki i miotły. A przecież ja chciałem poznać inne kraje albo chociaż Brześć Kujawski, a tu jak, skoro co wieczór do łóżka wrócić należy, małżeński obowiązek spełnić, dzieci robić, dzieci wychowywać, dzieci żywić i jeszcze wieczorem się tłumaczyć, gdzie się zapodziałem. A gdzie karczmy, ludzie i szeroki świat, gdzie dyliżanse i opowieści?!

Jeszcze próbowałem ją pocałować, ale zbyt była podniecona rozmową, już zaczęła planować co, gdzie i jak. Milczałem.

– To kiedy te swaty? – spytała wieczorem matulka. – Może w tym tygodniu?

Chodziło jej o czwartek, wiedziałem, swaty się słało we czwartki.

– Po co się tak spieszyć?

– A na co czekać?

– Ja bym jeszcze swatów nie słał.

– Masz rację, żadnego znacznego swata z dnia na dzień nie załatwimy. W takim razie w następny czwartek.

– Ja bym jeszcze więcej odczekał.

– Do kiedy?

– Co?

– Do kiedy chcesz czekać?

– Ile trzeba. Co nagle, to po diable, matulku.

Przysłowia na ogół ucinają wszelkie wątpliwości. Ale nie tym razem.

– Nagle? Przecież od kilku miesiączków właściwie się z Jagunią nie rozstajesz. Coś musimy jej rodzicom powiedzieć. To porządni ludzie, nie można ich tak zwodzić.

A czy ja kogokolwiek zwodziłem? Ja kochałem, nijakiego zwodzenia w tym nie było, miłość tylko, szczerą i piękną, miękka i wilgotna, która wypełniała mnie po brzegi, tak właśnie kochałem, pierwszy raz w życiu tak mocno.

– Ja... Ja... Muszę pomyśleć, matulku. Ja... Zaraz wracam.

Ale kiedy tylko na dwór wypadłem, nabrałem powietrza w piersi, pomyślałem, że za nic do chałupy nie wrócę, bo się tam uduszę. Więc ruszyłem na drogę i łąziłem tak, aż do karczmy doszedłem, nie do Naczachowa, o nie, bo tam mogła czekać Jagunia, ale do karczmy na Pustyni. Tu Jaguni nie będzie na pewno, a poza tym wiele osób było mi winnych kufelki. Piłem, żeby zapomnieć o swatach, o statkowaniu się, o obietnicach, o zapowiedziach, żonach, czepcach, i cały ten strach rozpuścił się w piwie i gorzałce, więc do domu wracałem szczęśliwy i beztroski. Gorzej, że rano znowu obudziłem się życiem przytłoczony.

Od tamtej pory zacząłem unikać Jaguni, żeby nie patrzyła na mnie tymi ogromniejącymi oczami, które na mój widok od razu lśniły, żeby za chwilę wypełnić się łzami, bo ja wolałem, jak dziewczyny się do mnie śmiały. Ale po paru dniach ścisnęła mnie tęsknota i zaszedłem do naczachowskiej karczmy, żeby jednak Jagunię zobaczyć, z nadzieją, że wróci to, co było między nami, takie mocne, nie mogło przecież nigdzie zniknąć. Jagunia jednak, zamiast tańczyć, wolała pytać, czy ją miłuję. Wtulała się we mnie mięciutkim wszystkim i płakała, a ja głaskałem ją po plecach, ale nie po płacze do niej przychodziłem.

– Mówiłeś, że mnie miłujesz... – Smarkała, a nos miała czerwony.
– Swaty miałeś słać... Czym ja ci przewiniłam, Janku?

Przez to wszystko już więcej nie poszedłem do karczmy do Naczachowa, a co do kościoła – zacząłem namawiać rodzinę, żebyśmy jeździli na msze do Izbicy, nie na Pustynię. W Izbicy przecież jeszcze naszego okutego wozu, naszych koników w pompony ustrojonych nie widzieli. Tam ojciec pokaże godny zaprzęg, matulka – zdobny czepiec, babka Hanka – kwiaty w chustkę powtykane, dziadek Kostek języka u ludzi zasięgnie, wszyscy zażyjemy trochę wielkiego świata, większego niż przy kościele na Pustyni.

– A co nam szkodzi, Pan Bóg także w Izbicy mieszka – zgodził się tatulo i pojechaliśmy do Izbicy, raz i drugi, a wielka to była odmiana w życiu i dzięki mnie wszyscy mieliśmy trochę z tego radości, trochę nowości, trochę twarzy mniej znajomych.

A kiedy po kilku tygodniach znowu wróciliśmy do kościoła na Pustyni, z delikatności starałem się Jaguni pod oczy nie wchodzić. Na mszy stawałem z daleka, włosy na oczy spuszczałem, w księżowskie plecy przy ołtarzu wgapiony, ani myślałem się rozglądać. W kościele nie wypada.

Michał Józwiak

Patrzyłem na nią z bólem, kiedy chyliła głowę w kościele, Jagunia od Wicków z Naczachowa. Ze smutkiem patrzyłem, jak cierpi przez mojego brata. I nienawidziłem go za to, po raz pierwszy w życiu go nienawidziłem.

– Rozkochałeś ją, a teraz zostawiasz. Dziewucha jak błędna chodzi, bo się nie chcesz żenić, wszyscy to mówią i wstyd straszny,

tyle czasu żeś jej głowę zawracał. – Musiałem to Jankowi powiedzieć. I powiedziałem wieczorem, kiedyśmy spać się położyli.

– A co ty z tego rozumiesz?

– Tyle, że coś dziewczynie obiecałeś, a nie dotrzymałeś.

– Nic jej nie obiecywałem, nic! Ani słowa o swatach, zapowiedziach czy żeniacze jej nie powiedziałem, nigdy! To rodzice o tym gadali!

– Cicho tam, spać się chce! – huknął ojciec ze swojego z matulą posłania.

Nic już więcej nie mówiłem. Odsunąłem się tylko, żeby Janka nawet paznokciem nie dotykać, taki zły byłem. A on wzdychał, kręcił się, przewracał.

– Dobrze, że masz chociaż wyrzuty sumienia – szeptałem.

Udawał, że nie słyszy.

W nocy się wiercił, za dnia jednak zrobił się nagle pilny jak nigdy. Teraz wstawał pierwszy, potem z nami w pole szedł, pracował równo. Ojciec go chwalił:

– No widzisz, synu? Jak chcesz, to możesz.

Klepał go po plecach z dumy, że syn taki udany. I w ogóle nie zwracał uwagi na to, że przecież ja zawsze chcę i zawsze mogę, a mój brat tylko wtedy, kiedy ma dość jakiejś dziewczyny.

Nie minęło jednak wiele czasu, a Janek znowu zaczął przepadać gdzieś we wsi. Rzadziej też chodził z nami pracować w pole. Ojcu to wcale humoru nie poprawiało, powarkiwał na mnie, skoro Janka pod ręką nie było. Zresztą tatulo z rana zawsze był milczący, chmurny, czoło marszczył, rozgadywał się sporo później. Odważałem się więc zagadywać dopiero w południe, kiedyśmy odpoczywali chwilę, chowając się przed słońcem pod gruszą czy

jabłonią na miedzy. Ciekaw byłem mnóstwa rzeczy, na przykład dlaczego ojciec tak bardzo Janka kocha, a na mnie uwagi nie zwraca, o to jednak zapytać nie śmiałem. Zamiast tego pytałem choćby, dlaczegośmy akurat się na hodowanie owiec zdecydowali, skoro wszyscy wolą krowy trzymać.

– A czy ja muszę robić wszystko jak inni? Co to ja własnego pomysłu nie mam? Co z tego, że wszyscy trzymają krowy? Przez to na targu sera, masła i śmietany jest w bród, więc dużo się na tym nie zyska. Dlatego trzy krowy dla nas akurat wystarczą. A wełny na targu niewiele. No dobrze, ludzie ciągle jeszcze noszą lniane portki, nawet w mróz, dwie pary wtedy zakładają, ale przecież każdy marzy o ciepłych, wełnianych spodniach na zimę. Mało kogo jeszcze na nie stać, ale przecież czynszownicy będą się bogacić.

Janek by na to ziewnął, tego byłem pewien, a ja tylko powtarzałem: „Czynszownicy będą się bogacić”, zadowolony, że to i nas dotyczy.

Ale zaraz moje zadowolenie się kończyło. Bo tatulo pytał, czemu Janka nie ma z nami w polu. Wtedy milkłem, bo dlaczego ciągle o nim, skoro byliśmy tutaj tylko we dwóch. Skoro to ja byłem przy nim, nie Janek.

To było którejś soboty o szarej godzinie. Akurat zdążyliśmy już wszyscy wymyć się przed niedzielą, powoli, bośmy pomęczeni byli srodze w ten żniwny czas. A tu naraz ktoś w nasze okienko puka. Biała twarzyczka okrągłutka, czerwone usta puchate jak pierzynki. Jagunia!

– Janek, Janek, wyjdź do mnie. Pogadać musimy! – zawołała.

Janek pod stół głowę schylił i bał się wyprostować, żeby przez szybkość go nie zauważyła.

- Nie wygłupiaj się, idź! – syknąłem.
- Tchórz z ciebie, synu! – warknął ojciec.
- Wstyd! – zagniewała się matula.

Janek jednak się uparł. Szeptał tylko spod stołu:

– Michaś, ty idź do niej. Powiedz, że w karczmie jestem albo gdzieś, i prędko nie wrócę. Ja nie mam z nią o czym gadać, ja z nią gadać nie chcę wcale.

Wściekał mnie niemożebnie. To jednak nie był czas na waśnie, lecz czas, by Jaguni powiedzieć, żeby koniecznie przestała o nim myśleć.

Kiedy tylko wyszedłem z chałupy, dziewczyna rzuciła się ku mnie. Zaraz jednak zrozumiała, że to ja, nie Janek. Przystanęła. Oczy jej zogromniały, napełniły się łzami. Chciałem ją przytulić, ale nie śmiałem. Powiedziałem tylko:

– Jaguniu, mój brat się do żeniaczki nie nadaje, przecież wiesz. Słyszałaś, musiałaś słyszeć, co z dziewczuchami wyprawiał. Całe życie tak...

- Jest w domu?
- Zapomnij o nim, proszę. Znajdź sobie lepszego.
- Nie chce do mnie wyjść?
- On nie umie kochać, znam go dobrze.

Spojrzała jeszcze w okno. Ten głupek jednak pewnie dalej chował się pod stołem. Obróciła się wtedy na pięcie i poszła. Nie poświęciła mi ani jednego spojrzenia, ale do tego akurat byłem przyzwyczajony.

Następnego dnia, w niedzielę, Jagunia nie przyszła do kościoła.

– A co się stało z waszą córką? – zagadywali ludzie Wickową babę, mocno zaciekawieni. Bo też i rzecz całą między moim bratem a jego dziewczyną obie wsie śledziły, Sokołowo i Naczachowo.

– A poszła gdzieś – mówiła jej matula. – Jakoś świtaniem chyba, bo wieczorem jeszcze w domu była, a myślałam nawet, że u was będzie, Józwiakowie, albo i z tym tutaj Jankiem. Janek, nasza Jagunia nie zachodziła do ciebie?

– Nie widziałem jej wcale – wyparł się mój brat i odszedł szybko.

Kiedys się na słowa o Jaguni rozpromieniał, teraz brwi marszczył, milkł, mrukowaciał. Baby wszystko to widziały i omawiały. Chciałem mu tę gładką gębę rozkwasić za to wszystko, ale że po mszy było, starałem się być dobry i cierpliwy.

Dopiero gdzieś tak koło środka tygodnia wieść nas doszła z Naczachowa, że Jagunia się znalazła. Znaczy znaleźli ją. Znaleźli, tak mówili, i brzmiało to groźnie, takie też było. Wszyscy sobie to opowiadali. Ze zgrozą, z wykrzykiwaniem, z westchnieniami. Bo widok był podobno straszny i niezwyčajny, jako że drzewo było niewysokie, świerczek. To na nim właśnie Jagunia się obwiesiła, na warkoczach swoich zawisała. Tak postanowiła się pożegnać z życiem.

– Nie chciała dobrego powroza zużywać, warkoczy użyła, żeby życie sobie odebrać – popłakiwała jej matula, Wickowa.

I powtarzała każdemu, że to przez nas, przez Janka wszystko się stało. Popłakiwała, że niech nikt nie wątpi, że to młodego Józwiaka z Sokołowa wina. Że on dziewczynie złamał serce, zabrał wianek, a zenić się nie chciał. Tak wyrzekała Jaguni matka, a ja wiedziałem, że ma rację. Jeszcze więcej bolało mnie, że tamtego sobotniego wieczoru nie udało mi się Jaguni pocieszyć, namówić do życia.

O tym już zupełnie nie umiałem przestać myśleć. Nikt o tym nie wiedział, ale ja wiedziałem. Gryzło mnie to nie tylko nocami. Matulę też gryzło, bała się teraz pójść po wodę do studni, znowu do strugi zaczęła się przemykać z wiadrami. Z daleka tylko słyszała niosące się głosy, że warkoczowa Jagunia z Naczachowa właśnie przez Janka się na śmierć obwiesiła. W głębi duszy matula myślała tak jak ja, że te głosy rację mają.

Potem jednak głosy, które się od studni niosły po rosie, zaczęły co innego mówić. Na przykład, że Janek nie z jedną Jagunią chodził, a tylko ona się zabiła. Dlatego może i nie jego to wina. I że Wickowa mogła strzec córki lepiej. Jakby strzegła, toby nieszczęścia nie było. Trzeba było z chałupy córki wieczorami nie puszczać. Trzeba było do rozumu jej przemówić, a nie teraz na Janka wyrzekać. Wiadomo, chłop to chłop, a jeszcze taki Janek, co go tu wszyscy z upodobania do dziewczuch znają. Ale przecież żadne nieszczęście by się nie stało, gdyby Jagunia nie była taka chętna. Tak ludzie wygadywali. W końcu już wszyscy twierdzili, że to Jaguni wina. Bo przecież nie dość, że wianuszek oddała za wcześnie, że do ślubu Janka nakłonić nie potrafiła, to jeszcze sobie życie odebrała. A większego grzechu nie ma, bo po nim zawsze do piekła się idzie. I Wickowa już nie wyrzekała na nas pod kościołem, tylko bokami przemykała, spuściwszy ze wstydu głowę, że córki nie umiała wychować. To nie wasza wina!, chciałem krzyknąć. I nie Jaguni, że kochała! Ale jak zwykle nie umiałem zebrać się na odwagę, żeby zagadać.

Do tego wszystkiego ksiądz z Pustyni nie chciał nieszczęsnej Jaguni dać miejsca w poświęconej ziemi. Samobójczyni, mówił, tam nie wypada chować. Więc Wickowie pogrzebali córkę za płotem cmentarnym, gdzie, przytulony do płotu, trwał samotny drewniany

krzyżyk nad niewielkim kopczykiem. Patrząc na niego nie mogłem, ale się do tego zmuszałem. I co parę dni kwiaty na mogile kładłem. Rozglądałem się tylko przedtem, czy nikt nie widzi.

Hanka Józwiakowa

I w ten sposób do śmierci córki Wickom doszła jeszcze boleść ze sromoty, myśmy stracili przyjaciół w Naczachowie, parafia straciła jedną z najpiękniejszych dziewcząt, a mój starszy wnuk już całkiem stracił sen w nocy. Janek wstawał teraz z łóżka i tłukł się po domu, krążył po podwórzu albo może i gdzieś jeszcze, nie widziałam, czasem tylko słyszałam. W każdym razie, gdyśmy o świtaniu wstawali, spotykaliśmy go drzemiącego na siedząco, wspartego o płot. A że od tego spania na dworze się nie rozchorował, to pewnie tylko dlatego, że choć jesień nadeszła, to jednak noce gorące były jak latem.

Przez te noce pełne gorącości wszyscyśmy pierzynę w nocy z siebie zrzucali, jak nigdy o tej porze roku. Do tego stokrotki na łące zakwitły i rumianek, śliwom w sadku pączki się puściły, komary znowu się pojawiły, takie gorące lato tego roku późną jesienią się stało, że najstarsi ludzie takiego nie pamiętali, my z Kostkiem na pewno nie. I wszyscyśmy się temu dziwowali, ale nikt nie wiedział, że to nie cud, tylko klątwa, bo myśmy moru się bali, a tymczasem złe miało nadejść z zupełnie innej strony.

Jagunia od Wicków

Zgubiła mnie gorącość. Miotłała mną, aż spać nie mogłam, aż w kościele klęcząc, modliłam się, żeby ją Najświętsza Paniienka ode

mnie czym prędzej zabrała. A ona zabrać nie chciała, za to zesłała mi Janka, i tak go zapragnęłam, że przy tym pragnienie wody w znojny dzień żniw zdawało się tylko przemijającą, nieważną chętką.

Nigdyśmy z Jankiem dużo nie rozmawiali, za to dużo ze sobą robiliśmy. Pod te słodkie czyny każde z nas podstawiało inne myśli, ja o miłości do grobowej deski, a Janek o wolności, wilgotności i rumianku. Gorzej, że nadal gorącością pałałam, choć ciało moje już było bardzo zimne. Nigdy przecież jednak nie byłam samym ciałem, czego Janek może nie rozumiał, ale ja już teraz rozumiałam aż za dobrze. Dlatego po mojej śmierci gorąco pojawiło się w sokołowskim powietrzu, i przez to właśnie nastął, jak to ludzie mówili, najcieplejszy październik od zawsze. Tak właśnie odcisnęłam się na losach świata, że po mojej śmierci rumianek na łąkach w październiku zakwitł i zapachniał. Wszyscy się temu dziwowali, a babki zielarki zbierały go na wyścigi, powtarzając, że taki październikowy rumianek będzie miał szczególne moce.

I miał.

Część druga. Rok 1853, czas gniewu i zmian

Wściekłość buzuje pod powierzchnią świata, wybija to tu, to ówdzie, ten czas obfituje więc w spory, zamachy i wojny. Żadne jednak z tych wydarzeń nie będzie miało takiego wpływu na losy świata, jak gniewny szal pewnego czarnego dwudziestopięciolatka na zapleczu taniej knajpy w Saratoga Springs w stanie Nowy Jork. George Crum stara się, jak może, zwija się jak w ukropie, co z tego, skoro klient, który zamówił smażone ziemniaki, narzeka, że zostały za grubo pokrojone, niedosmażone i niedosolone. Chłopak przyrządził kartofle tak, jak robiły jego mama i babka, ale przecież białemu klientowi nie odpyskuje, choć najchętniej dałby mu w mordę. Cały gniew wyładowuje więc na następnej porcji, którą szykuje gburowi w ramach reklamacji. Za grube?! Niedosmażone?! Niedosolone?! A masz! George sieka ziemniaki na niemal przezroczyste plasterki, smaży je, aż prawie się spalą, a potem sypie sól garściami, niech się drań udławi. Wydaje gniewne danie i, zrezygnowany, czeka na ryk niezadowolenia z sali. Już wie, że zaraz znowu będzie musiał szukać roboty. Tymczasem w sali panuje cisza. George nastawia ucha: nie, to nie cisza, bo słychać pomlaskiwanie, wściekły klient zmiata gniewne kartofle z talerza bez słowa skargi. Gdy na drugi dzień nieoczekiwanie wróci do knajpy, i to z kolegami, wszyscy zażądają tego samego co wczoraj. George Crum z nożem w ręku jeszcze nie wie, że za kilka dni szef wprowadzi jego gniewne kartofle na stałe do menu jako Saratoga Chips. George jeszcze nawet nie przeczuwa, że siedem lat później otworzy własną knajpę, a już w najśmielszych marzeniach by nie przypuszczał,

*że siedemdziesiąt lat później wymyślone przez niego z wściekłości chipsy będzie można kupić wszędzie w Stanach Zjednoczonych. Zupełnie już nieprawdopodobne wydaje się, że po kolejnych siedemdziesięciu latach gniewny wynalazek George'a będzie można kupić w każdej dziurze na całym świecie. Ludzie będą jeść wymyślone przez George'a chipsy garściami, będą się od nich uzależniać, hodując zagę, otyłość trzewną i miażdżycę, a znekany dwudziestopięciolatek za pomocą swojego gniewnego dania dokona na ludzkości zemsty doskonałej.
Taką moc ma tłący się gniew bezsilnych.*

Andzia Lewandoszczanka

Wszy były sprytne, bardzo sprytne, małe wściekluchy. Kiedyśmy prały, potrafiły ukryć się w szwach, przetrwać pranie i znowu zacząć gryźć od razu, kiedy się nałożyło czystą koszulę na grzbiet. Dlatego też przed praniem mama gotowała ubrania i pościel w wodzie z ługiem, a odzienie zwierzchnie, kapoty i wełniaki, co to ich gotować nie wolno, bo zmaleją i na czubek nosa ich się nawet potem nie założy, układała w lasku obok większych mrowisk, bo mróweczki były sprytniejsze od ohydneho robactwa i nieźle sobie z nim radziły. Potem tylko trzepałyśmy ubrania, z szacunkiem, żeby nie skrzywdzić żadnej pracowitej mrówki. Ale co z tego, mijało parę dni i znowuśmy się drapały jak wściekłe.

- Swędzenie od wszy to nieodłączna część życia – mówiła mama.
- Cieszcie się i z tych paru dni ulgi po praniu. No i nie czochrajcie się przy ludziach, bo wszystkich porządnych chłopaków odstraszyacie.
- Chłopaki też się czochrają.
- Chłopakom zawsze więcej wolno.

Co do chłopaków, to już mi się bardzo chciało za męża wydać i wreszcie odejść z domu. Najstarsza byłam, siedemnaście wiosen i lat, jeśli mama dobrze liczyła, ale dlaczego miała źle liczyć, skoro każdy rok życia wszystkich córek zaznaczała karbem na framudze? Niektóre słupki karbów kończyły się po jednym albo dwóch nacięciach, to były te moje siostry, które umarły jako maluchy. Co wieczór przy pacierzu przepowiadałam ich imiona, żeby Pan Bóg o nich nie zapomniał i żebym ja też o nich pamiętała. Poza pacierzem jednak starałam się skupiać na tych, które przeżyły, a już najbardziej kochałam młodszą ode mnie ledwie o rok Władkę. Czasem nazywałam ją braciszkiem. Choć Władka młodszą była, urosła już wyższą ode mnie, bardziej krzepka. Jej jednak na żadnym zameścium nie zależało, ja za to szybko chciałam być z kimś po słowie. Matula mówiła, że ona w tym wieku już dziecko piastowała, znaczy mnie, tymczasem ja ciągle nie miałam narzeczonego ani nawet poważnego starającego się. Ale gdzie ja kogo znajdę, jak ojciec ani na tańce, ani do karczmy iść nie pozwala, z łąki gromadzkiej zawraca, tyle co w kościele oczami postrzelam, i w drodze powrotnej. Smutna byłam i nadzieję traciłam, i tyle się pośmiałam, co przy płocie z Jankiem, jeśli wyszedł akurat z domu.

Bo Janek... Na niego mogłam patrzeć godzinami. I zerkałam, z okna, przez płot, z drugiej strony kościoła, z drogi, z pola. A nie tylko patrzeć na niego lubiłam, gadałabym z nim całą noc i dzień, i nigdy by mi się nie znudziło, byłam tego pewna. Ludzie powiadali, że to przez Janka tamta dziewczucha z Naczachowa się zabiła, znaczy Jagunia od Wicków. Spytałam nawet o to jego młodszego brata, ale tylko się zarumienił, głowę spuścił i zaczął stopą w piachu grzebać, tyle się dowiedziałam, ale ten młodszemu zawsze był mrukliwy, nie to

co Janek. O Janku śniłam całymi nocami, dopiero za dnia przywoływałam rozsądek: nie będę przecież wychodzić za sąsiada. Wtedy przecież codziennie patrzyłabym zza płota na groźnego ojca i znękaną matulę, a w sobotę słuchałabym wyjękiwanych przez moje bite siostry podziękowań. Janek nie, powtarzałam sobie, za Janka nie wyjdę, nawet gdyby chciał.

Ale nie chciał.

Sześć nas było córek, sześć Lewandoszczanek. Byłoby dwanaście, gdyby połowa nie pomała jeszcze w kołysce. Dziewczyn tak bardzo nie szkoda, pocieszał matkę ojciec, przecież dużo ich jeszcze mamy. Poza tym ojciec matuli nie pocieszał, tylko zawsze straszył, że jak się nie będziemy starać, wrócimy na pańszczyznę. Na razie co roku dawał radę czynsz zapłacić, choć mało tego nie było, w pieniądzach, plonach i zwierzętach, a każde oddawane panu bolało. To, cośmy księdzu oddawali, znaczy dziesięcina, też bolało, choć akurat o tym mówić nie wypadało, bo to szło na Bożą chwałę.

– Ale przynajmniej na swoim jesteśmy – wzdychał ojciec, kiedy pod wieczór nie mógł się wyprostować z wysiłku. – Na razie na swoim jesteśmy – dodawał zaraz ponuro, a potem czujnie patrzył na nas, czy wszystkie mamy zajęcie.

Na szczęście, kiedy ojciec z Władką szli w pole, w domu robiło się spokojniej. Wtedy matula odzyskiwała głos i pomyślunek. Zachęcała: a usiądźże sobie do tego obierania, po co przy tym stać? Więc siadałyśmy. A namocz w strumyku, zanim zaczniesz prac, krócej ci potem zejdzie. Więc namaczałyśmy. Przy robocie śpiewałyśmy, aż czasem który sąsiad stanął pod płotem, że co to za skowronki chórem w domu wyśpiewują.

Przy tatulu śpiewać nie było można. Krzyczał:

– Po co się tak wydzieracie?! Sąsiedzi pomyślą, że się lenicie, bo kiedy naprawdę człowiek się do pracy przykłada, głowy ani siły na śpiewanie nie ma.

– Ale tatulu, dlaczego?

– Bo robota to nie zabawa. Praca ciężka ma być i w pocie czoła.

I taka była, bo pod wieczór ojciec z Władką wracali z pola, zmęczeni, upoceni. Ojciec siadał ciężko na zydlu, czekając, aż mu podamy wodę do obmycia twarzy, rąk i nóg, i wzdychał, że za pługiem przeszedł dzisiaj tyle, co cztery drogi do Izbicy i z powrotem. Po ojcu obmywała się Władka i też wzdychała jak chłop. Nam wzdychać ze zmęczenia nie wypadało, bo co tu dużo mówić – jest praca ważna i mniej ważna. Ważna jest ta, z której czynsz panu zapłacimy. A ta inna, nasza, babska? To żadna robota, tylko zwykła codzienna krzątania. I nawet tych parę groszy, cośmy za masło czy ser na targu zarobiły, nie szło na czynsz, tylko na sprawy domowe, głupoty, tak nazywał je ojciec. „Wstążki, korale sobie kupują, a ja haruję na czynsz”. A przecież jakie wstążki, raz do roku na odpust, a tak to głównie na sól, na noże, na drutowanie garnków u kowala.

Zimą miałyśmy trochę mniej pracy, bo i warzywniak odpadał, i sadek, i pasionka, ale ojciec z Władką to już sporo mniej, bo w pole wcale nie chodzili. Ojciec za to inną poważną robotą się zajmował – przynosił do kuchni worek z ziarnem i garść po garści przeglądał, odkładając na bok ziarna małe i nadkruszone. Praca ta wymagała skupienia, musiałyśmy wtedy być naprawdę cicho. Te felerne nasiona szły na mąkę albo na kaszę, za to te najpiękniejsze – do wysiewu, bo ojciec liczył, że dzięki temu mozolnemu przebieraniu uzyska większy plon. Kiedy już trochę dobrych nasion

wybrał, to w worek z nimi wsadzał dłoń i gładził je niemal miłośnie, jak nas nigdy nie gładził.

Stary Lewandowski

Porządek musiał przecież być, życie należało ustawiać jak snopy na polu, zgrabiać jak siano w kopy na łące. Wszystko miało swoje miejsce i czas, należało tego pilnować.

Jedna tylko rzecz zgubiła swój porządek – kiedym z pańszczyzny przeszedł na czynsz. Inaczej moje ojce i dziady robili, inaczej we wszystkich wsiach dookoła się działo, i to budziło we mnie zgrozę. Trochę mnie tylko pocieszał widok Szczepana Józwiaka za płotem, że i on ze mną na tym samym wózku jedzie.

Czasem go pytałem, czy się nie boi, że płacąc czynsz, zamiast odrabiać pańszczyznę, wykracza przeciw odwiecznym zasadom, ale wydawał się nie rozumieć.

– Poradzimy sobie, sąsiedzie! – I klepał mnie w plecy.

W domu jednak musiałem wszystkim przypominać, że nie dano nam tego na zawsze. Wystarczy susza, szarańcza, grzyb czy nieurodzaj i nie będziemy w stanie spłacić czynszu, wtedy wysiudają nas stąd z dziadowską torbą, musimy być zawsze na to gotowi, i jeszcze będziemy błagać na klęczkach, żeby rządca znowu nas wziął na pańszczyznę. Dlatego też, żeby córki i żona pamiętały, skąd przyszliśmy i dokąd wrócimy, kazałem im wszystkim zbierać się w domu w soboty pod wieczór, przynajmniej raz w tygodniu musiałem mojej żonie i córkom przypomnieć, jak działa ten świat.

Kiedyśmy się więc po całym tygodniu wyszorowali, siadałem na zydlu w kuchni, z którego przedtem zgoniłem kotkę, i kazałem im się ze wszystkiego spowiadać. Najpierw mówiła moja żona.

Chciałem wiedzieć, jak która córka się sprawowała, a ona opowiadała. Potem one się tłumaczyły, dlaczego zrobiły tak mało. W końcu podchodziłem do kołka w ścianie, wbiłem go tuż koło pieca, żeby zawsze był dobrze widoczny z każdego miejsca izby, i zdejmowałem rzemień. Tłumaczyłem:

– Kto wie, kiedy będziemy musieli wrócić na pańszczyznę. Czynyś to rzecz nowa, mało powszechna, a pańszczyzna jest od zawsze. Na parę lat żeśmy od niej uciekli, ale przecież nie na długo, wszyscy to wiemy. Nas rządca bijał, kiedyśmy na pańszczyźnie się lenili. Uczcie się więc, dziewczęta, że do pracy należy się przykładać, że pan nad wami jest, w tym wypadku ojciec, a brak zapału będzie ukarany. Dla waszego dobra to robię przecież, żebyście umiały żyć w tym świecie.

I tak im tłumaczyłem, a potem kazałem na ławie się kłaść i odsłaniać plecy. Odsłaniały posłusznie, a wtedy unosiłem rzemień.

Ostatnio na targu zastanawiałem się nad kupnem dyscypliny. Kramarz zachwalał, że i dziedzice czymś takim swoje dzieci łożą, wziąłem więc dyscyplinę, w dłoni zważyłem, zamachnąłem się. Nie, stwierdziłem, szkoda na takie bzdury pieniądze wydawać, a poza tym co za sztuka zrobić samemu coś podobnego. I dyscyplinę, ku rozczarowaniu sprzedawcy, odłożyłem.

Stara Lewandowska

Bez złości przecież bił nasze dziewczyny, ze sprawiedliwości tylko.

Andzia Lewandoszczanka

To ja zawsze obrywałam najbardziej. Bo ojciec nie tylko bił, ale i kazał nam za to dziękować. Stary rządca, co chłopów co sobota

bijał, robił tak samo, powiedziała mi raz matula, niektórych musiał mocno poturbować, żeby wydobyli z siebie słowa podzięk. Dla mnie też podziękowania były najtrudniejsze, trudniejsze nawet od znoszenia szczypiącego bólu tyłka i pleców na drugi dzień. Moje młodsze siostry wśród szlochów szybko zaczynały dziękować, wtedy ojciec rzemień opuszczał, ale ja nie umiałam zmusić ust do wypowiedzenia słów wdzięczności, wargi zamiast tego układały mi się w milczący grymas, a kiedy ojciec go widział, bił jeszcze mocniej. W ostatnią sobotę tak długo mnie chłostał za ten brak pokory, że aż matula zaczęła krzyczeć, aż Władka prosiła, żeby poniechał, a ja ciągle słowa z siebie nie wydobywałam.

Tak naprawdę nawet mnie już prawie nie bolało, bo wyszłam ze swojego ciała i trwałam gdzieś daleko. Gdzie? A gdzieś w przyszłości, kiedy już miałam własny dom, a ojca oglądałam tylko na Gody, Wielkanoc i Wszystkich Świętych. W swoim domu mogłam śpiewać, krzyczeć i leżeć, kiedy i jak mnie się podobało, a mąż mój śpiewał i leżał razem ze mną. Znajdę narzeczonego, muszę go znaleźć, zrobię wszystko, by go znaleźć, niech mieszka jak najdalej stąd, i z nim ten dom wreszcie opuszczę. Bicie się skończyło dopiero wtedy, kiedy ojciec porządnie się zasapał, usiadł ze stękaniem na ławie, potrząsając prawą ręką, a matula dała mu kompotu.

Tylko Władki ojciec nie bił prawie nigdy, bo to ona chodziła z nim w pole.

– Władkiem miałam być, na to ojciec czekał, kiedy się rodić miałam, więc Władkiem być mu się staram, żeby nie płakał, że mu się chłopak nie urodził – tłumaczyła.

I ojciec czasem tak na nią mówił, „Władek”, a ona nie protestowała, zadowolona, silna prawie jak chłopak, prawie tak

dobra jak syn, co ojciec często powtarzał. Orała z nim, żęła, dźwigała, polowała i kłusowała, rąbała i zarzynała, tylko gotowała rzadziej, ona ma inne zajęcia, mówił tatulo, takie, którym nie poradzicie, same gotujcie. Z dumą to mówił i Władka z dumą się wtedy prostowała. A potem ojciec przypominał sobie, że syna by chciał, chociaż jednego, i wieczorem kładł się na matuli, nie tracąc nadziei, że jeszcze spłodzi chłopaka. Władka nie znosiła tych chwil, zatykała uszy.

– Boisz się, że chłopaka zrobią?

– Nie, brzydzę się tego stękania.

– Wszystkie nas tak zrobili.

– Ale twojego i mojego robienia przynajmniej nie słuchałam, a następnych szczęśliwie nie pamiętam.

Władka odwracała się tyłem do izby, zasypiając z pięściami na uszach. Rodzice też szybko kończyli i chrapać zaczęli, a potem matula znowu z brzuchem chodziła. Kiedy po raz kolejny rodziła się dziewczynka, ojciec krzyczał:

– Na złość mi robisz, kobieto?

Matula zaciskała wargi i tuliła do piersi płaczące niemowlę. Najstarsza byłam, więc to parę razy widziałam, wiedziałam też, że potem ojciec oswoi się z kolejną córką i będzie już dla nas sprawiedliwy.

– Życie to harówka i cierpienie – powtarzał zawsze.

A ja lubiałam wyrywać skraweczki radości, cieszyć się byle czym, choćby tym, że sobotnim późnym wieczorem od kolejnego wieczoru prawdy dzieli mnie siedem dni. Takie to miałam radości, mimo harówki i cierpienia.

Ojciec nie lubił, kiedyśmy za bardzo się cieszyły.

– Śmiejesz się jak głupia do sera – powiadał na przykład. Albo krzyczał na nas, gdyśmy głupawki ze śmiechu dostawały przy jedzeniu, bo zabrał nam ostatniego kartofla i nasze łyżki trafiały w pustkę. Nie wiem, dlaczego nie pozwalał nam się z tego śmiać. Naprawdę by wolał, żebyśmy płakały? I taka ze mnie głupia dziewczucha była, wolałabym być czasem silna i odważna jak Władka albo pogodna jak Dorotka, byłam jednak dziewczyną tłumiącą ze strachu przed ojcem chichoty w sobie, choć buzowały w środku, aż głowa bolała.

Tak więc było i w tę sobotę, bicie straszne, bo znowu nie chciałam podziękować, ale zaraz potem, choć wszystko mnie bolało, radość mnie niosła, że tyle przed nami dni bez bicia, wybiegłam więc na gromadzką łąkę, gdzie co wieczór zbierały się dzieciaki i подростki. Młode Olędry też biegały, było z nimi śmiesznie, bo już całkiem mówili po naszemu, ale ich rodzice ciągle po swojemu szwargotali, czego dziwnie było słuchać i trochęśmy się przy tym śmiali. I raczej Olędry żenili się między sobą, a my między sobą, ale poza tym czas spędzało się z nimi dobrze, bo silni byli i szybcy, głośni i czasem inne gry niż my znali.

Tyle złego, że Janek Józwiaków ostatnio rzadko na łąkę wychodził. Znaczący ten ich Michał też rzadko, ale ten zgarbiony chłopczyna z krostowatym czołem niewiele mnie obchodził, to Janka zawsze wyglądałam.

Michał Józwiak

Inaczej niż mój brat, do dziewczyn nijakiej śmiałości nie miałem. A już po tej historii Janka z Jagunią to wcale. Jak na mnie spojrzała któraś sąsiadka Lewandoszczanka zza płota, tom się tylko czerwienił

i głowę spuszczał. Zresztą zawsze było za dużo roboty, żeby tkwić przy płocie. Janek jednak robotą się nie przejmował. Stał przy płocie godzinami, śmiał się, gawędził, rękami machał. Dziewczyny wtedy głowy odchyłały i zanosiły się śmiechem. Wszystkie starsze dziewczuchy od sąsiadów tak czarował, i Andzię, i Władkę, i Dorotkę, i nawet Baśkę, choć wcale jeszcze nie była dorosła. Próbowałem posłuchać, czym je Janek tak zjednuje, bo ciągle nie rozumiałem. Nieraz przykucnąłem gdzieś obok, tak już miałem, że ani Janek, ani Lewandoszczanki specjalnie mnie nie zauważali, więc słuchałem do woli, co tam mój brat wygaduje. A on, że rozmawiał w karczmie z kimś, kto mówił, że w obcych krajach czarni ludzie mieszkają, ale Andzia ma takie piękne białe liczka, więc on całkiem tych czarnych nie ciekaw, skoro ma takie piękności za płotem. Albo że Władka warkocze ma ładne i czy można któregoś dotknąć. I że Andzi malinek nazbiera, a może razem nazbierać by poszli. Władka prychała, Andzia się śmiała. I śpiewał im nawet, a głos miał miły, i jak śpiewał, to zaglądał im w oczy po kolei:

*Oj, żal mi cię panno młoda, żol mi cię,
żebyś była jagodeczką, zjodbym cię.
Żebyś była jagódeczkom borowom,
zjodbym jo cię raniutyńko surowom.*

I kiedy tak Janek pośpiewał, pogadał, pośmiał się i poszedł wreszcie, widziałem ze swojego ukrycia, jak Andzia patrzy za nim, usta do pocałunku składa i warkocz gładzi. Zupełnie jakby Janka po ramieniu głaskała, tak to z nią było. A ze mną było tak, że aż mnie brzuch bolał z tęsknoty i zazdrości.

Któregoś dnia, kiedy skończyli dowcipkować i Janek odszedł, Andzia się odezwała:

– A ty, mały, gdzie tam się chowasz? Lubisz podsłuchiwać?

Nie byłem pewien, do kogo mówi, więc skuliłem się jeszcze bardziej.

– Ej, ty, Michałek, do ciebie mówię! Dziewczyn ciekaw jesteś?

– Nie jestem – odpowiedziałem, żeby zachować twarz. A wtedy Andzia z Władką tak się zaczęły śmiać, że nie wiedziałem, gdzie oczy podziać, i uciekłem.

Janek Józwiak

W południe ojciec nigdy nie wracał do domu, przeczekiwał spiekotę w cieniu, jedząc, co mu matula dała do dwojaków, najczęściej żur i kartofle z omastą, to najłatwiej zabrać ze sobą. Drewnianą łyżkę chował za pasem, albo i sobie coś ustrugał, bo ileż to roboty zrobić kozikiem łyżkę z drewna. Potem je, takie nieforemne, przynosił do domu, a myśmy się kłócili, kto ma nimi jeść, bo nikt nie chciał. Ale i tak przynosił, nie lubił, żeby się praca marnowała. Więc w południe do domu nie wracał, dopiero pod wieczór, kiedy zaczynało zmierzchać. Tamtego dnia wszakże już ciemność zdążyła zapaść, a jego ciągle nie było, więc wszyscyśmy się zaczęli niepokoić.

– Gdzie ojciec miał dzisiaj robić? – dopytywała matula.

Nikt nie wiedział, nawet dziadek Kostek, który ostatnio nie chodził z tatulem w pole, bo nienawidził orki, tylko całymi dniami plół kosze, słomiane łapcie, kapelusze, majstrował drewniaki, a potem handlował nimi na targu. Babka Hanka nie wiedziała, ale ona mało co ostatnio wiedziała, coraz częściej szeptała pod nosem,

kury przepraszała, że im łeb odcina, a krowę, że ją cielaka pozbawia. Ja też nie miałem pojęcia. Miał coś siać przy Olęderskiej Niwie? Nie, to chyba wczoraj. Popodlasem? Może? I tak się zastanawiałem, a matula aż krzyczała ze złości, że nie pamiętam, a przecież ojciec mnie dziś rano w pole ciągnął, mogłem przynajmniej zapamiętać.

Furmanki nie wziął, tyle mogliśmy od razu sprawdzić, bo szkapina stała spokojnie w stajni. Pług też był. Matula krzyczała na mnie, co rzadko jej się zdarzało, babka coś mamrotała w kącie kuchni, dziadek jak zwykle, kiedy w domu rozlegały się krzyki, zniknął w stodole.

Michał burknął z kąta:

– Ojciec szedł na pole przy Lisich Dołkach. Owies siać.

– A ty skąd wiesz? – zdziwiła się matula.

– Bo z nim rano byłem. Ale potem mnie odesłał, żebym kartofle do sadzenia na jutro przejrzał.

– Przejrzałeś?

– A pewnie.

– Janek, a ty gdzie wtedy byłeś?

– Ja? – Ociągałem się, na szczęście Michał podniósł się z ławy.

– Sprawdzimy przy tych Lisich Dołkach.

Matula łuczywo wzięła, bo już naprawdę pociemniało, i poszliśmy.

– Kiedyś tak ciebie, Janek, w brzdach szukałam, kiedyśmy na kartoflisku pielili do nocy – odezwała się drżącym głosem.

– Dziecko matula w polu zagubiła?

– Takeśmy się w robocie zapamiętali, a ty tak słodko spałeś, zem cię w brzdę ułożyła, a kiedy pociemniało, a myśmy z pracą uszli

dalej, nie umiałam cię znaleźć. W mroku w bruzdach macaliśmy. A przecież cię znaleźliśmy. I jego znajdziemy, chłopcy, prawda?

– Pewnie, matulku – powiedziałem, a Michał ją przytulił, bo w gadaniu nigdy nie był mocny.

Wołaliśmy:

– Tatulu! Tatulu!

– Szczepan, Szczepan, gdzie jesteś?!

Nic.

Ciemnawo mocno już było, dobrze, że księżyc się zlitował i nie zachodził za chmury. Ojca nie było widać wcale w tym zaoranym polu, szliśmy z Michałem po obu miedzach, matula środkiem, bruzdą między skibami, naraz potknęła się, krzyknęła, upadła, przypadliśmy do niej, weszliśmy w chmurę gorącą, aż dziwną, podwójnie dziwną o przednówku i wieczorem.

Matula leżała teraz obok ojca, dotykała go, ja też wysunąłem rękę, dotknąłem szorstkiego lnu na ciepłej łydce.

– Tatulu?

Jęknął. Żył.

Dopiero kiedyśmy ojca donieśli do chałupy, zobaczyliśmy, że twarz mu wykrzywiło, dlatego gadać nie mógł. Leżał taki, ręka opadła bezwładnie, usta zwisały do dołu, wyglądał jak on i jak nie on zarazem. Machał tą drugą ręką, która nie zwisała, jakby chciał, żeby się nad nim nachylić.

Pochyliłem się. Coś mamrotał, bełkotał.

– Ziarno! – mówił.

– Wzięliśmy, tatulu. Całą płachtę zabrałem z powrotem – powiedział Michał. – I patyk wbiłem tam, dokąd obsiałeś.

Uspokoił się, oczy przymknął, odetchnął z wyraźnym trudem. Skrzywił się, znowu oczy otworzył.

– Dziedzic... – wyszeptał, patrząc na mnie.

– Ale, tatulu, dziedzic nie żyje. Od dawna przecież. Dziedziczka teraz rządzi.

Skrzywił się jeszcze bardziej.

– Ty... mój dziedzic. Gospodarstwo... Twoje. Zarządz. Jak Michał dorośnie, daj mu... pół. Przedtem... zadbaj.

– O Michała?

– O ziemię!

Tyle w to ostatnie słowo siły włożył, że już nic więcej powiedzieć nie poradził. Nateżał się, czerwieniał, ale wargi go już nie słuchały. Gromnica płonęła, babka mamrotała różaniec, a matula coś ojcu do ucha szeptała, łza mu się z oka potoczyła, zamarła, wyschła, twarz mu się wygładziła. Matula szeptała dalej. Trwali tak, głowa przy głowie, i było dobrze, choć nie do końca, bo oddech ojca był wysiłony i chrapliwy.

– Rumianku mu zaparzę – powiedziała babka. – Rumianek go uspokoi, wyciszy. Rumianek na wszystko pomaga.

Zapach, który się zaraz po izbie rozszedł, już zawsze odtąd kojarzył mi się ze śmiercią.

Szczepan Józwiak

Nagle poczułem, jakby ziemia zadrżała mi pod plecami, jakby miała mnie dość i chciała strącić z grzbietu. Zdaje mi się, pomyślałem i wcisnąłem mocniej pięty w siennik, ale wtedy poczułem, że i on drży razem z ziemią. Chciała mnie z siebie strząsnąć, jakby się

zbuntowała, jakby nie dbała o to, że się o nią troszczyłem tyle czasu, jakby mnie chciała wypchnąć w nieznane.

I wypchnęła.

Janek Józwiak

Twarz mu znieruchomiła, oddech zaszemrał i ustał, przez co zrobiło się dziwnie cicho i ta cisza trwała, kiedy babka zamykała ojcu oczy delikatnym pociągnięciem dłoni. Matula zaczęła szlochać, dziadek też, ale uciekł z tym gdzieś na podwórze. Dziadek płacze, to mną chyba wtedy wstrząsnęło najbardziej.

Ja płakać nie umiałem. Patrzyłem na ojca, takiego swojego i obcego jednocześnie, i nie umiałem zapłakać, żal mnie tylko przepełniał.

Co on miał z tego życia? Harówkę od rana do wieczora. Grzbiet bolący. Ziemię wrośniętą w skórę.

Nie uświadomiłem sobie, że powiedziałem to głośno.

– Co on miał z tego? Kochał to – powiedziała matula.

– Męczył się.

– Trudził. Kochał ten trud. Janku, naprawdę można lubić swoją pracę.

Można? Można to lubić pogawędki, dobre historie, kochanie się z dziewczyną i jak ludzie cię podziwiają. Praca być musi, takie życie, ale lubić ją? A za co?

Nieoczekiwanie spod pieca odezwała się babka, która przez to wszystko na dłużej wyszła ze swojej mamroczącej krainy różańców.

– Szczepan był niezwykły, musicie to wiedzieć. Pierwszy z rodu, pierwszy z okolicy, który nie pracował na pańszczyźnie. Ależ nam wszyscy zazdrościli! Ależ ojciec był z niego dumny! Wszędzie

dookoła pańszczyzna, a on na czynszu, jak Olędry. Pierwszy taki był, najodważniejszy. Jedyny!

– Ale, babko, przecież musiał co roku dziedzicze płacić czynsz, wcale nie mały.

– Ale ze swojego. Wy, dzieci, nic nie rozumiecie, boście innego życia nie zaznały. Ale ja wiem. Szczepana trud na swoim nie bolał. A że umarł? Jego ojcu też wcześniej się zmarło. – I otarła oczy, jak zawsze, kiedy wspominała dziadka. – Umarł. Tak jak żył. Pracując.

I obie z matulą szlochać zaczęły. To było nie do wytrzymania.

A Michał? Michał podszedł do kredensu i wyjął jakieś drewniane łyżki, ułożył je w równy rząd, potem przekładał, gładził, dziwny jak zawsze.

Dopiero po chwili dostrzegłem, że były to te niezdarne, naprędce przez tatula w polu wystrugane łyżki do jedzenia żuru z dwojaków.

Michał Józwiak

Na pogrzebie tatula było dziwnie upalnie, momentami z tej rozpaczki wydawało mi się, że trumna z tego gorąca rumiankiem pachnie. Choć to przecież niemożliwe, prawda? Tak czy siak, wraz z ojcem i nasz świat się skończył. Jakby runęła ściana domu, co to ją tatulo stawiał z glinobitki i taki był z tego dumny, że nie z chrustu wzmocnianego gliną, jakie miały wszystkie chałupy w jego starej wsi. Jak te pozostałe ściany mają stać? Na czymś muszą się wesprzeć. Na kimś. Ale na kim?

Na Janku, powtarzałem sobie, przecież jego tatulo do tego wyznaczył. Mój wspaniały brat poprowadzi teraz gospodarstwo. Tyle że jak oczy otworzyłem następnego dnia po pogrzebie, Janka w domu już nie było. Sam poszedł w pole? Nie zaczekał na mnie?

Obszedłem wszystkie nasze grunty, ale go nie znalazłem. W końcu zajrzałem do karczmy. No i był. Siedział z ludźmi za stołem, kiwał się, oczy wycierał.

– O, Michaś, chodźże! Ja, wiesz... – Z trudem wypowiadał słowa, ale się starał. – Nie umiem się pozbierać po tym, jak tatula zabrakło.

– Ja też nie umiem.

– Chodź, wypij za jego duszę.

– Praca czeka.

– Ty zawsze taki rozsądny, co? Nawet po tatulu nie zapłakałeś.

– Pole czeka, Janek.

– Przyjdę jutro.

– Zanosi się na deszcz, to i teraz musimy iść. Rządzić masz, tak tatulo kazał.

Musiałem go prawie wlec do domu, żeby nie upadł, taki był pijany.

Następnego dnia jednak wstał z łóżka, jak należy, o świcie. Chwilę tylko na ból głowy ponarzekał, i zaraz zapowiedział:

– Idziemy w pole obok Lisich Dołków, zasiejemy po ojcu do końca.

Poszliśmy. Jak dziwnie było patrzeć na miejsce, gdzieśmy konającego tatula znaleźli. Aż mi po krzyżu ciarki szły, jak przy grobie. Żeby o tym nie myśleć, powtarzałem sobie: ziemia, ziemia najważniejsza. Zarzuciłem płachtę na ramię. Janek wziął drugą, posuwaliśmy się z wolna, ziarno ciążyło. Plecy już zaczynały boleć, tak to jest, kiedy się jest chłopem, że się na plecy stęka. Ten ból to oznaka dorosłości, więc starałem się go docenić, jak ojciec. Doszedłem do końca bruzdy, w której dwa dni temu znaleźliśmy tatula. Ziemia, ziemia najważniejsza – powtórzyłem sobie – i znowu

schyliłem się do płachty. Zerknąłem za siebie, a tu widzę, że Janek ciągle jeszcze stoi na początku bruzdy. W niebo się gapił, poświstywał, kapelusz na tył głowy zsunął. Jak taki kupczyk z Izbicy wyglądał, a nie jak człowiek odpowiedzialny i do roboty zajadły.

– Będiesz robił? – pytam.

– Nie ty masz mnie pilnować, tylko ja ciebie.

– We dwóch zrobiliśmy mniej niż tatulo sam jeden.

– I popatrz, dokąd zaszedł z tą pracowitością.

– Gospodarstwo utrzymał, komorę mamy pełną, jeść mamy co, czynsz spłacał w terminie. Mało?

– Ja bym chciał więcej.

– A co?

– I tak nie zrozumiesz.

Na drugi dzień Janek postanowił: tak nie można, bez pomysłu. Pięćdziesiąt morgów mamy, planować trzeba. Musimy policzyć, ile ziarna na sianie potrzeba, a ile do jedzenia zostawić, żeby do zniw starczyło. Gdzie które zboże? Gdzie kartofle? Gdzie kapusta? Gdzie len? Gubiliśmy się w tym. Zrobimy tak, jak rządca we dworze robi: zapiszemy wszystko.

Po domu się rozejrzał, matuli spytał, ale nijakiego papieru nie mieliśmy, bo skąd i po co. Ruszył więc po wsi szukać. I tak czas mijał na niczym, na szukaniu rzeczy niepotrzebnych. Matula w kącie popłakiwała, a babka mamrotała różaniec. Normalnie to by o tej porze już krowy na pastwisko gnała, ale chyba ciekawa była, co Janek postanowi. Wrócił, nie wiem po ilu pacierzach, o dziwo z papierem. Znalazł go dopiero u któregoś z Olędrów. Na stole rozłożył, wygładził, osmalony patyk zaostrzył. Zaczął pisać powoli,

uroczyście, gdzie i jakie grunty mamy. Nijak się jednak nie umiał doliczyć do pięćdziesięciu morgów.

– Połowa to pastwiska i łąki – powiedziałem. – Tak zawsze tatulo powtarzał. Połowa z pięćdziesięciu to będzie...

– Dwadzieścia pięć, duraku. Ale nadal chybaśmy nie wszystko doliczyli.

– A to pole na skłonie wzgórza, co tatulo ugorował w zeszłym roku?

Nie zdarzało się prawie, żeby ojciec coś odłogiem zostawiał. Tymczasem w zeszłym roku zostawił wcale niemały kawałek, ten najtrudniejszy w uprawie, bo pod górę. I nagle pomyślałem, że może już od jakiegoś czasu ojciec słabował. Słowa jednak nie powiedział, nigdy ani się pożalił, tylko zostawił kawałek, oszczędzając siły na resztę.

– Parobka weź – mówiła często matula. Tatulo na to, że ma dwóch młodych chłopaków w domu i trzeciego starego, znaczy Kostka, to gdzie będzie obcemu płacił. Szkoda pieniędzy.

Gorzej, że myśmy się okazali tak mało użyteczni.

Radziliśmy tak do południa, co i gdzie powinno być, ja trochę więcej wiedziałem niż Janek, matula niż babka. Babka obiad na stole postawiła. Zaraz Janka po głowie pogładziła, że zmyślny taki, że gospodarką się zajmie. A mój brat przyjął to, jakby mu się należało.

Janek Józwiak

Kiedy ojciec umarł, przeraziłem się, że teraz już wszystko jest wiadome. Że gdzieś tam czeka inny los, inni ludzie, inne pola, inne pagórki, inne chałupy, inny dwór, inny kościół i inny cmentarz, a ja

przez naszą gospodarke nigdy stąd więcej niż na dziesięć wiorst nie odjadę.

Gdyby nasz rządca był ciutkę przystępniejszy, jego bym spytał, co z nieobsianymi polami robić, ale ten chłopów wyraźnie nie lubił, przecież ojca chciał za studnię w gąsior zakuwać. Wiedziałem, co powie, jeśli spytam go o radę: jak nie umiesz, to wracaj, chanie, na pańszczyznę.

We wsi z grubsza zawsze było wiadomo, co gdzie lepiej się udaje, i ojciec to wiedział, ale ja może mniej, bo i po co? Cztery morgi chyba obsadzę kartoflami, najwyżej cztery, bo przy kartoflach mnóstwo roboty: zasadzić, pielic bez ustanku, wykopywać, kopcować. To już zboże lepiej siać, ale zboże to ma każdy, na zbożu wiele nie zarobię. W takim razie grykę może? I tak się gryzłem, czy konia popędzałem, czy w szopie zasypiałem, czy sypałem ziarno z płachty, nie przestawałem myśleć, co z tą ziemią. Bratu się nie zwierzałem z tych wątpliwości, bo jemu miałem jawić się mocny i pewny siebie. Udawało mi się, bo patrzył na mnie z taką wiarą i nadzieją, że na chwilę zapomniałem o strachu. O wolności, która za dużo ważyła i pokazała się tam, gdzie nie chciałem. Wolność, gdzie co siać, a nie wolność, dokąd iść.

Michał Józwiak

– Czym się dzisiaj mamy zająć? – spytałem, kiedyśmy przełknęli po ostatniej łyżce żuru na śniadanie.

Janek wyjął fajeczkę i począł ją nabijać. Ostatnio kupił taką, jaką dziadek Kostek miał od lat. Razem sobie pykali, robiąc przy tym dziwne miny. Tytoń co prawda swoje kosztował, ale przecież to Janek był gospodarzem, on decydował o wydatkach.

Uderzyłem więc do Kostka.

– Dziadku, zarządzcie coś. Od czego mamy dziś zacząć? Po owsie pszenica, prawda? Ale najpierw ją siać czy kartofle sadzić?

– Jakbyś miał siać, Janku, to o jednej rzeczy musisz pamiętać – odpowiedział dziadek, nie patrząc wcale na mnie.

– A o czym? – spytał go Janek nad moją głową.

– Zanim siać zaczniesz, wejdź na zabronowaną ziemię prawą nogą, koniecznie prawą. Potem przeżegnaj się, spluń, ale trzy razy, i dopiero po ziarno do płachty sięgaj.

– Tak tatulo robili? – upewniłem się, bo nie pamiętałem.

– A pewnie, sam mu to doradziłem.

– A, dziadku, to pszenicę dziś siać mamy? – dopytywałem.

– O to już Janka pytaj, on tu teraz rządzi.

– Janek? Co robić? Pszenicę siejemy czy sadzimy kartofle?

– Trzeba to dobrze zaplanować – odburknął mój brat.

Zeżliłem się.

– Matulku, powiedzcie mu. Słońce już wysoko, a my w pole nie idziemy. Przecież to jemu tatulo kazał się ziemią opiekować, gdy umierał.

Matula, jak o umieraniu i tatulu usłyszała, tylko łzy z oczu puściła. W kątku się skryła, z twarzą w dłoniach.

– Jak możesz takie rzeczy przy matulce mówić! – krzyknął na mnie Janek, fajkę z ust na chwilę wyjąwszy.

Babka Hanka zamamrotała spod pieca. Wsłuchałem się, może ona swojego ulubieńca do roboty popędzi, ale usłyszałem tylko: „...łaskiś pełna, Pan z tobą, błogosławionaś ty między niewiastami...”.

– Nie tak ojciec robił. On zawsze wcześniej wychodził – powiedziałem.

– A ja zrobię właśnie tak, bo każdy młody robi trochę inaczej niż stary. Dziadku, powiedzcie, planowanie ważna sprawa, prawda?

– Bardzo ważna.

– Widzisz, duraku? Dziadek zawsze ma rację.

Wyszedłem na podwórze, żeby na Janka dłużej nie patrzeć. Żeby nie słuchać szlochania matuli. Co robić? Wiem, pójdę do sąsiada. Lewandowski w latach, więc doświadczony. Czynniki płacić nadaża, może mi co poradzi. Na szczęście sąsiad kręcił się po podwórzu, nie musiałem do chałupy zaglądać. Bo tam wszystkie te jego dziewczyny pewnie od razu zaczęłyby się ze mnie śmiać. Trudno było mi prośbę o pomoc wykrztusić, ale o tatulu pomyślałem i o tym, żeby jego dziedzictwa nie zmarnować, więc w końcu powiedziałem, co chciałem. A Lewandowski na to:

– Janka spytaj, przecież ten chłopak wszystko wie.

Ręce mi opadły. Tłumaczyć? Odsunąć? Wreszcie wpadłem na pomysł.

– To on kazał poprosić was o radę.

Lewandowski się wyraźnie ucieszył, nawet groźna bruzda między brwiami mu się wygładziła.

– Naprawdę? To ja taką radę mam: z części niech Janek robi łąkę, a resztę podzieli na trzy i na każdym kawałku najpierw ozimina, potem jarzyna, potem ugór, i tak co trzy lata. A tam, gdzie ozimina, niech robi po kolei: najpierw orka, potem siew. – Tak właśnie powiedział, jakbym tego wszystkiego od najmłodszych lat nie wiedział. – Ale pomóc mu nie pomogę, bo sam z robotą nie nadażam, a te moje córki leniwe jak nie wiem.

To akurat nie wydało mi się prawdą, zawsze się uwijały jak mróweczki. Z szacunku do starszego zmilczałem. Pytałbym o różne

rzeczy dalej, na przykład gdzie ojciec w tym roku planował siać len, może akurat przypadkiem się o tym kiedyś zgadali, ale Lewandowski dziwnie ponury się wydawał. Dłużej mu już więc nie zawracałem głowy i wróciłem do nas.

Tu stopą piach podwórza zgarnąłem, wygładziłem mokrą ziemię i patykiem począłem rysować nasze pola. Jedno pole, drugie, drogę między nimi, poza tym nie wszystkie w jednym miejscu mieliśmy. Tu łąki, na nich na razie spokój, jeszcze trawy nie czas kosić. Tu pastwiska, krowy ktoś powinien dzisiaj pognać, może babkę poproszę, za czasów tatula zawsze chodziła. Chyba że na sadzenie kartofli się zdecydujemy, wtedy babka się przyda. Ale to raczej jutro, wtedy od rana byśmy wszyscy pojechali. Ale kto wówczas jedzenie zgotuje? Matula nie daje rady od pogrzebu, babka musi to zrobić. Więc babka z matulą w domu, niech tam zrobią, co trza, tego nigdy nie byłem pewien, co trzeba. W każdym razie obie wiecznie się krzątały i z tego czyste koszule były, jedzenie, woda w wiadrze, mokra podłoga, czyste gary, ogień w piecu i chleb na stole. Kostek pójdzie więc z krowami, pleść te łapcie ze słomy może i na pastwisku przecież. A my co dzisiaj? Siąc trzeba.

Zajrzałem do stodoły, wyglądało, że owies na sianie przygotowany już zużyliśmy. Pewnie więc teraz tatulo planował pszenicę. Gdzie? Tam gdzie najlepsze gleby, pamiętam, jak mi to mówił. Zaznaczyłem krzyżykami, gdzie były najżyźniejsze. No i popatrzcie, ja musiałem rysować, a tatulo wszystko w głowie robił. Jeszcze bardziej za nim zatęskniłem.

Janek wylazł wreszcie z domu.

– Co tu smarujesz? – spytał.

Chciałem rysunek zasłonić, ale mnie przytrzymał.

– Portret narzeczonej? – zaśmiał się i dorysował dwa oczka, a pod nimi dwie wielkie piersi, zamazując prawie wszystko, com zaznaczył.

Skuliłem się w sobie, jak dawniej, kiedy mnie wyśmiewał. A potem, nieoczekiwanie, dla siebie samego też, grzmotnąłem go pięścią w pierś. Aż się zatoczył, zaskoczony. Zawsze przecież to on mi dawał kuksańce, a ja sądziłem, że na nie zasługuję. Ale teraz patrzył na mnie z rozwartą gębą. Nabrałem powietrza, wyprostowałem się i krzyknąłem:

– Tam były plany!

Zdziwił się. Mocno nawet.

– Ty? Planujesz?

– Ktoś musi! I nie trzeba do tego pół dnia papieru szukać!

Taki zły byłem, że mi wszystko zamazał tymi durnymi żartami, że dopiero po dłuższej chwili zrozumiałem: niepotrzebny mi rysunek. Wszystko zapamiętałem.

– No i co według ciebie mamy zrobić, panie karbowy? – Nie mógł się powstrzymać, musiał mi przygadać.

– Pszenicę zasiać. Ale najpierw musimy popatrzeć, czy tatulo już zdążył zaorać pola. Jak nie, to zaorać będzie trzeba. Pod kartofle głęboko, pod zboże płycej.

– A potem?

– A potem jęczmień.

– Nie żyto?

– Żyto przecież dopiero jesienią.

– Skąd wiesz?

– Tak tatulo mówił, nawet wierszyka uczył: owies pszen, jęczmień żyt, nie pamiętasz?

– Jak, mówisz, to szło?

Powtórzyłem, a Janek zaczął podśpiewywać „owies pszen, jęczmień żyt” na różne melodie.

Starąłem się przypomnieć sobie wszystkie rozmowy z tatulem, jedną po drugiej.

Kiedy do tatula przychodzili sąsiedzi się poradzić, za dzieciaka chowałem się pod stołem, bo zawsze byłem ciekaw, o czym radzą. Odzywałem się dopiero, kiedy gość poszedł.

– A co to jest morga, tatulu?

– Tak się mierzy pola. To akurat tyle, ile można zaorać, pracując od rana do południa, z jednym zaprzęgiem. A my tych morgów mamy aż pięćdziesiąt.

– Czyli pięćdziesiąt dni na zaoranie?

– Nie, bo na połowie mamy pastwiska, ich przecież orać nie trzeba.

I takeśmy sobie pogadywali, ja cały dumny, że tatulo ze mną jak z dorosłym rozmawia, tatulo od niechcienia. Ale krótko to trwało, bo szybko pytał:

– A Janek gdzie się podział?

Tak się i rozmowa, i moja duma kończyła.

Zdarzało się też, że położyłem się w południe na miedzy i w niebo zaczynałem gapić.

– Nie leń się, chłopie! – krzyczał tatulo. Od razu myślałem, że źle robię, kiedy tak leżę, w sunące obłoki się gapię i rozmyślam. Myślenie to lenistwo, powtarzałem sobie. Wstawałem więc i szedłem choćby z kijka łyżkę strugać, by rękom dać zajęcie, a czasu nie marnotrawić. A Janek leżał dalej i myślał do woli.

I chyba tego zazdrościłem mu najbardziej.

Nie, nie najbardziej. Ale tego także.

Kiedy sąsiedzi przychodzili prosić ojca o radę, na ogół znałem odpowiedź. Siedziałem jednak cicho, bo kto by tam słuchał mądrości dzieciaka? Natomiast mój brat sam się zawsze mądrzył. Siadał w środku gromady i opowiadał, a oni podrostka słuchali. Bo i umiał pięknie gadać. Na przykład, że wieś jest jak ciało człowieka. Dziedziczka to głowa, bo rządzi wszystkim, rządcą to oczy i uszy, bo o wszystkim jej donosi. A chłopcy? Ręce oczywiście, zawsze z rękawami zakasany do roboty. Woły czy konie to nogi, ziemię to tobołek pełen jedzenia, zarzucony na plecy. Bez pomocy rąk żadnego jedzenia się z niego nie wyciągnie, tak mówił Janek. Baby i chłopcy słuchali go z rozdziawionymi ustami.

Ja też bym coś wesołego powiedział, ale brata trudno było przegadać. Smutno mi było, że ludzie na Janka patrzą, jakby anioł z nieba zstąpił, a na mnie, gdy czasem doszedłem do głosu, jakby kret z nagłą przemówił. Czasem spoglądałem w lusterko, przy którym się golił w niedzielne poranki tatulo, a ostatnio i Janek. Patrzyłem na swoją gębę, zastanawiając się, czy nie zaczynam już wyglądać jak kret.

A teraz, krok po kroku, okazywało się, że to ja, ten milczek i kret, wyznaczam robotę. Ciekawe, czy tatulo by mnie wreszcie za to pochwalił, czy znowu by się za Jankiem rozejrzał.

Andzia Lewandoszczanka

Odpust w kościele na Pustyni, zaraz na początku maja, w dzień Świętego Floriana, w tym roku przypadł we wtorek. To było wielkie święto, tym większe, że Floriana należało dobrze uczcić, żeby się nie

obraził i dalej chronił naszą wieś przed pożarem. W Sokołowie większość domów była z glinobitki, czyli z gliny ubitej ze słomianą sieczką, stodoły drewniane, a strzechy wszędzie słomiane. Takie zabudowania zapalały się nie wiadomo od czego, ludzie się wtedy ustawiali z wiadrami i polewali pożar. Nie żeby uratować budynek, bo to niemożliwe, ale żeby się ogień na inne chałupy nie przeniósł. Czasem się udawało. Potem należało pogorzelncom pomóc w odbudowie. Nikt jednak takiego losu nie chciał, więc zawsze chodziliśmy Świętego Floriana chwalić i na tacę dawaliśmy więcej niż zwykle, by okazał większą łaskę. Pewnie właśnie dzięki temu na razie oszczędzał Sokołowo.

– Jakie na razie?! – krzyczała mama. – Wypluj te słowa, bo zapeszysz.

Co roku chodziliśmy więc na odpust floriański, tego roku miałam jednak plan szczególny. Bo gdzie poznać chłopaka, który nie jest z twojej wioski? Odpust, kiedy zjeżdża się cała okolica, to najlepsza okazja. Pod warunkiem że ojciec pozwoli nam zostać na zabawie.

– Ale pójdziemy na odpust? Pójdziemy?! – dopytywały młodsze. – Na stragany? Mamusiu, kupisz nam po obwarzanku?

– Po co kupować, same sobie zróbcie – warknął ojciec.

– A cukierka kupisz?

– Weź je, Jadźka, uspokój, bo w ogóle nigdzie nie pójdziemy.

– Święty Florian się wtedy obrazi.

– Świętemu na mszy zależy, nie na łażeniu po straganach – orzekł ojciec.

– A ty, Władka, na zabawę idziesz? – szepnęłam do siostry.

– A po co? Jeszcze będę musiała z jakim tańczyć.

– Po to się idzie na zabawę.

Wzruszyła ramionami.

– Wszyscy tam będą – cisnęłam.

– Nie potrzebujesz mnie, żeby z chłopakami się pośmiać.

Może nie, ale zawsze byłoby raźniej. W każdym razie cesałam włosy przez cały wieczór przed odpustem, żeby mi warkocze lśniły, twarz przemywałam mlekiem, bo dziewczuchy mawiały, że to skórę wybiela, korale drewniane, czerwone i lśniące, od matuli pożyczyłam, wstążki czerwone miałam, w warkocze je wplotłam tak, jak widziałam u dziewczuch w kościele, choć mnie plecy po sobotnim biciu bolały i trudno było ręce do plecenia unieść. Tyle tych przygotowań, strój niedzielny wszystkie miałyśmy włożyć, i nie bosy, gdzież tam, wszystkie miałyśmy eleganckie, nowe łapcie.

– Nie stroje, tylko uśmiech, obycie u dziewczuchy najważniejsze – pocieszała mnie matula, a ja jej wierzyłam.

To jutro, jutro właśnie znajdę sobie chłopaka na resztę życia, myślałam, a taka mnie radość z tego powodu niosła, że śmiałam się i pokrzykiwałam jak nigdy, bo radości miałam więcej w sobie niż bólu. Moje krzyki i śmiechy z gromadzkiej łąki dotarły niestety do ojca, który drzemał po wieczery. Obudził się i szybko uznał, że za dobrze się bawię, a tymczasem życie to nie zabawa i poza tym jutro musimy wstać wcześniej do kościoła, więc zamiast drzeć się z podrostkami, powinnam wracać do domu. Tak mi powiedział, kiedy dotarł chmurny na gromadzkie pastwisko, i dodał jeszcze:

– Życie to wysiłek, a nie durnoty.

Ale to był przecież poniedziałek, nie sobota, więc czułam się bezpieczna, od następnego bicia dzieliło mnie mnóstwo dni, to zamiast od razu za ojcem ruszyć do domu, próbowałam utargować jeszcze trochę czasu. Wtedy ojciec zęby zacisnął, za warkocz mnie

złapał i siłą do domu zaciągnął, a patrzyły na to w zamartwym milczeniu wszystkie dzieciaki i podrostki, polskie i olęderskie. Taki wstyd. No i znowu, chociaż był to poniedziałek, dostałam swoją porcję batów, prawie tak solidną jak w sobotę. Po raz pierwszy zbił mnie w poniedziałek!

Potem matula przykładała mi chłodną, wilgotną szmatkę do pleców, do tyłka, żebym na drugi dzień nie ruszała się jak staruszka, ale wiele to nie pomogło, ledwie łąziłam.

Michał Józwiak

Gospodarstwo nieśliśmy teraz na naszych barkach. Dlatego choć w żałobie po tatulu byliśmy, to Świętego Floriana należało uczcić i uszanować, żeby dalej chronił dom nasz i wioskę przed pożarem. Teraz Janek rządził domowymi pieniędzmi, więc dał mi parę groszy na odpust. Sam też sobie wziął, i wcale nie jestem pewien, czy nie więcej, ale odpust floriański przypada przecież tylko raz do roku, tak tłumaczył.

Czułem się więc jak panisko, pobrzękując kopiejkami w kieszeni. Chodziłem wśród straganów, śledzie w beczce dziwnie wyglądały, ale już wiedziałem, jaka dobroć w nich się kryje. Zaraz więc byłem po dwóch i z trzecim w garści. Łaziłem i patrzyłem, jak z wozów, koszów czy płacht rozłożonych na ziemi sprzedają przeróżne rzeczy. Czasem nawet myślałem, że jest tu wszystko: święte obrazy, medaliki, korale, wstążki, cukierki, pierniki, ciastka z tatarczanej mąki, kiszony ogórek, kwas chlebowy. Każda rzecz kusiała, ale musiałem być rozsądny. Pogapiłem się na Cyganów, którzy na skrzypkach zagrali, a wtedy wielki niedźwiedź na łańcuchu począł przytupywać i jak człowiek tańczył. Przypominał mi z urody

i wielkości trochę mojego wuja Ćwiartasa, najmłodszego brata naszej matuli. Kiedy przymrużałem oczy, niedźwiedź jeszcze bardziej na mojego wuja wyglądał, nawet z kudłów, bo Ćwiartasowi zawsze czarne włosy spod koszuli wystawały, z rękawów, na grzbiecie. Długo dziwowałem się temu podobieństwu. Umknąłem od niedźwiedników, dopiero jak poczeli ciżbę z kapeluszem obchodzić, prosząc o datki. Wtedy pożałowałem kopiejek i precisnąłem się do tyłu.

Dwa kroki dalej ktoś stół rozstawił na środku. Skąd stół na tym piaszczystym placu?, zdziwiłem się. A potem jeszcze bardziej zacząłem się dziwować, bo siedział tam chłop, który wsadzał kopiejkę pod jeden z trzech garnuszków, a potem szybko wszystkie przesunął. Wtedy należało zgadywać, pod którym garnuszkiem leży kopiejka. Kto nie zgadł, dawał kopiejkę, kto zgadł, zarabiał kopiejkę. Wydawało się to łatwe i już, już chciałem usiąść i o kopiejkę zagrać. Tylko że wtedy Janek nie wiadomo skąd się za moimi plecami wziął i za kapotę mnie przytrzymał.

– Z tym oszustem nigdy nie wygrasz, zawsze pieniądz stracisz.

– Ale przed chwilą tamten chłop z nim wygrał. I ja też poradzę.

– To jego szwagier, zawsze razem jeżdżą. Razem nabierają naiwniaków.

Zaraz mi się głupio zrobiło, żem naiwniak. Janek mnie jeszcze w plecy poklepał z tej swojej mądrości i poszedł. Już mnie odpust tak nie radował, bo przypomniałem sobie, że mój brat zawsze będzie ode mnie lepszy. I zawsze będzie mnie denerwował. Teraz też: starałem się poważną minę zachować, natomiast Janek wcale nie wyglądał na człowieka w żałobie po ojcu, strzelał ślipiami, zagadywał do dziewczuch. Nawet garnuszek gorzałki wychylił, co to ja

przekupień jakiś sprzedawał na kwaterki, wprost z beczki. Wiedziałem, że pod wieczór, kiedy już wielu nieźle sobie podchmieli, zaczną się kłótnie, bójki o głupie rzeczy. Czasem wystarczało, że jeden drugiemu drogę zaszedł albo mu pod kościołem furmankę swoim wozem zastawił, wtedy obaj kłonicie z wozu wrywali i zaczynali się okładać. Po każdym odpuście wielu nowe szczyrby w gębach miało.

Niedługo miały się zacząć tańce. Wiadomo, nie dla nas, Józwiaków, ale popatrzyć żadna żałoba nie zakazuje. W tym roku dziedziczka zadbała nawet o deski, które zbili, żeby było gdzie tańczyć, nawet muzykantów opłacała. Na razie posilali się z boku, czekając, aż będą musieli zacząć grać.

I wtedy je zauważyłem. Szły. Wszystkie Lewandoszczanki, rządkiem. Najpierw Andzia, obok pod rękę ją podtrzymywała wyższa od niej Władka, a potem cała reszta. Na tamte już nie patrzyłem, bo nie odrywałem oczu od Andzi, kwiecistej, ozdobnej, która opierała się na siostrze, jakby trudno jej było samej iść. Pochylała się, jak ojciec, kiedy go po robocie plecy bolały, a wtedy nad gorsecikiem widać było więcej, niż pewnie chciała pokazać. Kiedy Lewandoszczanki doszły do desek, młodsze poczęły wirować bez muzyki. Andzia z Władką stanęły obok, wsparte o siebie. Nie czekały długo, bo muzykanci wstali i chwycili instrumenty. Pierwszy odezwał się bęben, do niego dołączyła bassetla, na koniec gęśle. Grali, a mnie noga sama chodziła. Zaraz więc ją uspokoiłem, nie wypadało przecież.

Janek Józwiak

Ach, jak żałowałem, że tańczyć mi nie wypada, taka zabawa często się nie trafia, dziewczuchy z całej parafii, w tańcu można je bezkarnie dotykać, a kiedy się tańczy z wieloma, nikt potem nie zawraca głowy swatami. Na odpuszcie było mnóstwo wystrojonych dziewczyn, oglądałem się za co piękniejszymi, unikałem tych, z którymi łączyły mnie przykre historie, nie zawsze się udawało, ale wtedy skłaniałem głowę i odchodziłem czym prędzej. Gawędziłem, pożartowałem, karmelka jednej czy drugiej kupiłem, przeszedłem się kawałek między straganami. I wtedy nadeszły Lewandoszczanki, ale co tam Lewandoszczanki – nagle się okazało, że widzę tylko ją jedną. Władkę.

Nigdy na nią specjalnie nie patrzyłem, najmniej mnie ciekawiła ze wszystkich dziewczuch zza płota, pyskata i ode mnie się oganiająca, za długo też nigdy przy płocie nie stała, bo wolała rąbać drewno, niż jęzor po próżnicy strzępić, tak powtarzała. Dziś jednak jakbym ją zobaczył po raz pierwszy, szła pod rękę z Andzią, skuloną i smutną, przy niej jeszcze śmielejsza się wydawała, strzelista mi się zdała jak świerk w lesie, przy swojskiej, smutnej Andzi nowa, obca, odświętna. Nagle zauważyłem, jaką Władka skórę ma złotawą i piękne na policzkach rumieńce, a warkocze, grube prawie jak jej ręce, z wierzchu jaśniejsze, przy skórze ciemniejsze, sięgające niżej pasa. Do tej pory zawsze ją z zasupłanymi warkoczami widziałem, pod chustką ukrytymi, a dziś majtały jej się na piersiach, i szła, górując nad wszystkimi dziewczuchami, patrzyła im trochę ponad głowami, przed siebie, jak królowa jaka. Zaraz chciałem do niej przyskoczyć, zagadać, ale ludzie się koło desek skłębili, więc mozolnie między chłopakami się przeciskałem, a kiedy wreszcie doszedłem, zobaczyłem, że Władka się ogania od jednego

z kowalczyków z Naczachowa, mojego wuja, Ćwiartasa. Wołali tak na niego, bo ćwierć wieprzka za jednym posiedzeniem potrafił zjeść, choć inni znowu gadali, że dwoma cięciami potrafi cielaka na ćwiartki podzielić. Pytałem wuja, którzy mają rację, a on śmiał się i mówił, że obie te rzeczy to prawda. Tak czy siak, teraz, nie bacząc, że jest starszy ojca Władki, ciągnął ją na deski i chciał tańczyć. Ona wtedy spojrzała na mnie i byłem prawie pewien, że widzę w jej wzroku: „Ratuj mnie, Janku, ratuj, nie chcę ze starym się obracać!”.

I cóż było robić, żałoba nie żałoba, należało pospieszyć na ratunek, więc nie zwlekając, pociągnąłem ją do tańca, a ramię miała chłodne, co przez bluzkę poczułem i zadrzałem. Zaraz rzekła, że wcale jej się tańczyć nie chce, nic a nic, choć z kowalczykiem jeszcze mniej niż ze mną, ale zaczęliśmy wirować. Nie poddawała mi się, jak inne dziewczuchy w tańcu, musiałem ją przymuszać, by chciała tańczyć tam, dokąd ja chciałem. Chciałem zagadać, ale grali od ucha i się nie dało, więc tylko Władkę tuliłem, a było to ciekawe i niespotykane, bo prawie równa mi wzrostem, usta miała na tym samym poziomie co ja. Najpierw więc dotknąłem wargami jej policzka, potem kącika ust, a skoro nie protestowała, pocałowałem ją w sam środek różowych warg.

Wtedy zarobiłem w gębę. Ległbym na deskach, gdyby nie inne pary, ciasno stłoczone, chwiałem się więc między tańczącymi, a Władka przepychała się, byle dalej ode mnie. Zaraz rzuciłem się za nią, ale już przypadł do niej Ćwiartas. Teraz razem z Władką zeszli z desek i kierowali się między stragany, przeciskałem się za nimi, a że byli wyżsi niż reszta, udawało mi się nie spuszczać ich z oczu. Widziałem, jak wuj kupił Władce karmelka, jak śmiali się i gawędzili, jak szli coraz dalej. Zły byłem jak nie wiem, bo nigdy

żadna ode mnie nie uciekła do innego. Rozglądałem się, czy ktoś widział moją klęskę, ale nikt, chyba nikt, aż zobaczyłem oczka mojego brata, które dziś lśniły wyjątkowo złośliwie. Wzruszyłem ramionami, że nic takiego, ale widział swoje, byłem tego pewny.

Dziwne to wszystko było, z tym Ćwiartasem, bo ani on, ani pozostali dwaj bracia mojej matuli nigdy się specjalnie dziewczuchami nie interesowali. Zamiast się do którejś zalecać, woleli iść do karczmy i dać parę groszy dziewczynom, które tam pracowały, szybko i bez kłopotu, niektóre się na to zgadzały. Mieszkali wszyscy w dużym zapuszczonym domu w Naczachowie przy kuźni, tam pracowali, kuli konie, wyrabiali narzędzia żelazne, sami gospodarzyli, mieli pieniądze, to i czasem komornicę wynajęli do prania czy sprzątnia, czego im brakowało? Czyżby wuja na starość przypiliło i chce pochodzić trochę z gospodarską córką? Ale nawet jeśli, to dlaczego musi nią być moja Władka?

I aż sam się zdziwiłem, jak szybko mi przyszło pomyśleć o niej „moja”.

Michał Józwiak

Patrzyłem, jak Janek dostał kosza od Władki. Ucieszyłem się. Pomyślałem, że mój zarozumiały brat ma za swoje, że wreszcie ma za swoje! Sam tańczyć nie miałem zamiaru, tatulo zmarł ledwie kilka tygodni temu, nie zrobię mu tego. Stałem więc tylko i patrzyłem, jak Janek z Władką mimo żałoby na deskach wiruje. Dobrze, że matula tego nie widzi, myślałem, ale została w domu, popłakująca i smutna. Potem Władka zdzieliła Janka w gębę, a na koniec poszła sobie od niego z naszym wujem kowalem. Los jakby

się odwrócił, myślałem, Janek pierwszy raz w życiu dostał kosza, a w domu mnie słucha. Jaka szkoda, że tatulo tego nie widzi!

Przez to wszystko aż nabrałem odwagi, żeby do Andzi zagadać. Jakoś dzisiaj mniej się jej bałem niż zazwyczaj, bo smutna taka, zgaszona przy deskach stała. Chwilę z jednym się niezgrabnie w tańcu pokręciła, ale kolejnym chłopakom już odmawiała. Podeszedłem więc, zagadałem, że ładnie wygląda, co nie do końca było prawdą, i że ładna pogoda, co łatwo się dało sprawdzić. Na moje zagadywanie odpowiadała jednak mrukliwie. I nawet na mnie nie spojrzała. Przez cały czas rozglądała się nad moją głową, czy ktoś ciekawszy nie nadchodzi. Już myślałem, że przeproszę i pójdę dalej, ale wtedy podeszła do nas jej młodsza siostra, Dorotka. I ta Dorotka zaraz śmiać się zaczęła ze wszystkich moich żartów. Chichotała, jakby miała skowronka w gardle, no urocza była, naprawdę. Powiedziałem jej to, a ona zaśmiała się podwójnym skowronkiem. Skoro nie mogłem jej zaprosić do tańca, wziąłem ją między stragany. Chętnie poszła. Spytałem, czy ma ochotę na śledzia. Znowu się zaśmiała, więc stanęło na karmelku. I takeśmy chodzili, gawędzili i się śmiali, a ja już zupełnie nie czułem się jak kret. A potem nawet ukradła mi buziaka, naprawdę! I to mnie tak ośmieliło, że w zamian ukradłem jej tych buziaków z tuzin! A okazało się to całkiem przyjemne i może nawet na chwilę przestałem się dziwić Jankowi.

Janek Józwiak

No i stało się tak, że po tym odpuście floriańskim całe dni czuwałem przy płocie, żeby ucałować Władkę i chwilę z nią pogadać, choć Michał głowę zawracał, że orka, siewy i kartofle, jakby mu

przeszkadzało, że przez chwilę się z dziewczuchami pośmieję. Ostatnio dziwnie się czułem, jakby mi kto ciągle w plecy patrzył, jakby mi kto czasem w kark gorącym oddechem dmuchał, czasem w nocy się bałem, że jakieś złe się mnie uczepiło. Za dnia jednak, jak tylko Władkę zobaczyłem, zaraz o wszelkich zgrozach zapomniałem i do płotu biegłem. Czasem nawet ze mną postąpiła, a ja cuda wymyślałem, żeby ją przy rozmowie przytrzymać.

– Napiszę twoje imię na drodze – zapowiadałem choćby, pamiętając, jak bardzo Jagunia lubiła, kiedy pisałem na ziemi.

– Nudne to – odpowiadała mi Władka.

– Nie wiesz tego, bo czytać nie umiesz.

– Nudne, że się tak popisujesz. – I jeszcze udawała, że ziewa.

– Gdzie nudne, ciekawe, jakie piękne zawijasy! – wykrzykiwała zaraz Andzia i śmiała się do mnie, i oczami strzelała, i kazała swoje imię pisać, więc pisałem, ale patrzyłem tylko na Władkę, choć ta do domu już się wybierała. Więc zaraz szybko zagadywałem:

– A wiesz, Władka? Ja to pamiętam, jak się rodziłem.

– A tam, opowiadasz.

– Pamiętam, jak matula krzyczała. A wtedy Golcowa mówiła, że już niedługo, że niech matula jeszcze trochę wytrzyma, że zaraz dzieciak się pokaże.

– Golcowa? Z Naczachowa? Przecież u nas w Sokołowie Olęderka Greta dzieci na świat przyjmuje.

– Ale ja się przecież jeszcze w Naczachowie rodziłem! No i sama widzisz: pamiętam wszystko. A ty?

– A ja bzdur gadać nie będę, bo mam co robić.

I odwracała się, aż jej warkocze w powietrzu furczały, i szła od płotu, gdzie Andzia próżno próbowała mnie zabawić.

Innym znowu razem opowiadam Władce, że w innych krajach żaby, ślimaki jedzą, i to nie biedacy, ale dziedzice nawet, a ona:

– Zmyślasz, chłopie. Toż ty z Sokołowa nigdy dalej niż do Izbicy nie wyjeżdżałeś, to co gadasz o innych krajach?

Albo:

– A niby od kogo żeś się tego dowiedział? Królowna żabka ci wygadała?

Władka pierwsza tak do mnie mówiła i jedyna nic a nic się nie wdzięczyła, nie powtarzała, jak inne, że gładki jestem i że jakbym się wysilił, mógłbym im nawet skraść całusa, po czym od razu się nadstawiały, więc wcale się wysilać nie musiałem. Władka w ogóle o całusach słuchać nie chciała, a jak pytałem, co mam zrobić, żeby od niej jednego dostać, to burczała, żebym nie gadał głupot, a usta miała jak różane płatki, i przy tych słowach niezbyt przyjemnych jeszcze bardziej urocze mi się wydawały. Nie ustawałem więc w wysiłkach, by Władkę sobą zainteresować, a ona nadal niczego nie ułatwiała, do czego zupełnie nie byłem przyzwyczajony.

Drażniło mnie to, raz więc przez płot do niej sięgnąłem, przycisnąłem do siebie i dalejże wymuszać całowanie. Inne wtedy miękły, przestawały się bronić albo przynajmniej zamierały jak zajęce w sidłach, ale od Władki znowu dostałem w gębę, aż zadzwoniło. Potem przez dwie niedziele ani patrzeć na mnie nie chciała, zła jak osa, choć cuda wyrabiałem i przy płocie naszym, i pod kościołem. A to na rękach chodziłem, a to naszego psa tresowałem, żeby martwego udawał, a to ciężary podnosiłem. Czego to ja na dodatek nie wygadywałem, żeby zwrócić na siebie jej uwagę.

– Ja starszy brat, ty młodsza siostra. Pasujemy do siebie jak ulał.

- Tak, bo tak właśnie ludzie się dobierają.
- Nie pożałowałaś. Co rano budziłbym cię pocałunkiem.
- A potem byś wrzeszczała: „Dlaczego jeszcze nie ma śniadania?!”.
Aż się zarumieniłem, bo nieraz zdarzało mi się tak do babki krzyknąć, kiedy lewą nogą z łóżka wstałem.
- Pyłki bym ci spod stóp usuwał.
- A potem kazał worki nosić.
- Nie przegadam cię, prawda?
- Po raz pierwszy masz rację.
- Władka, nie bądź taka. Uśmiechnij się do mnie. Tak pięknie wtedy wyglądasz.
- Tak za nic zęby szczyrzyć?
- Popatrzyłbym na nie.
- Chcesz zęby zobaczyć? Uśmiechnij się do lusterka.

Odchodziła, uśmiechu nie pokazawszy, i co z tego, że obok Andzia szczyrzyła te swoje białutkie jak obłoczki ząbki, kiedy ja tylko Władki chciałem, Władki, za którą już i inni we wsi zaczęli się oglądać, a ona nie chciała na nikogo patrzeć, Władki strzelistej, która szła, jakby płynęła, nawet kiedy ciężkie wiadra z wodą niosła. Przez to bez przerwy o niej myślałem, z Andzią już żartować mi się nie chciało, bo chichrała się, ledwie na nią spojrzałem, a Władka tylko rzucała ognistymi spojrzeniami. Wszystko bym zrobił, żeby to spojrzenie dłużej na mnie zatrzymała. I choć drażniło mnie, że zawsze taka ze mnie niezadowolona, to jednak ciągle się zastanawiałem, jak ją zadowolić.

O żadnej już nie myślałem, na żadną nie patrzyłem, tylko Władkę miałem w głowie, śniła mi się i o niej pierwszej myślałem przy przebudzeniu, a co mnie obcięła w rozmowie, czułem się, jakby

mnie po głowie pogładziła. Aż zrozumiałem, że inaczej Władki nie zdobędę, jak tylko się z nią żeniąc, i była to myśl przerażająca.

– Swatów będę słał – oznajmiłem w domu.

Matula się zdziwiła.

– A niby do kogo?

Powiedziałem. Ucieszyła się, dziadek też pochwalił, bo Lewandowscy porządna rodzina, dziewczyny pracowite i dobrze wychowane, Władeczka silna i zdrowa, całkiem by się matuli spodobała jako synowa, choć dziadek uważał, że raczej na starszą, Andzię, powinienem spojrzeć, bo każdy woli wydawać córki za mąż po kolei, od najstarszej.

– Serce nie sługa – odparłem wtedy.

Matula poczochnęła mi czuprynę, co robiła zawsze, kiedy się wzruszyła, i już nawet o Jaguni ani słowa nie powiedziała. I może Władka mało gruntów w wianie dostanie, skoro córek u Lewandowskich tyle, ale na pociechę będą to grunty tuż przy naszych, uprawiać będzie łatwiej.

– A rada ci ta panna? – dopytywała matula. – Bo ja widzę, że bardziej ta starsza, Andzia, za tobą patrzy. Rada ci jest Władka?

– No pewnie! – zapewniałem ją i siebie.

Zanim jednak swaty do Lewandowskich posłaliśmy, dziadek Kostek postanowił delikatnie rozeznac się w sytuacji, bo swaty odrzucone to sprawa przykra, zwłaszcza między najbliższymi sąsiadami, potem może być kwaśno.

– Po co, dziadku, po co? – protestowałem, jednak zrobił swoje.

I nieoczekiwanie się okazało, że miał rację. Lewandowski wyznał, że chętnie się z nami spowinowaci, tyle że dla mnie planował

Andzię, bo zawsze mu się wydawało, że się ku sobie mamy, natomiast Władeczkę upodobał sobie właśnie kto inny i rozmowy o ślubie już trwają, nie wypada ich zrywać, bo chodzi o osobę znaczną.

Nie miałem zamiaru w to wierzyć. Nigdy, ale to nigdy nie było przecież dziewczyny, która by mnie nie chciała.

Jagunia od Wicków

Czy czułam do Janka nienawiść? Na początku to ona mnie trzymała przy ziemi, zamiast puścić dalej, jak wszystkich umarłych, ku zaświatom. A może to była miłość? Nie byłam pewna, bo obie były gorące, i obiema otaczałam Janka tak, żeby czuł je z każdym oddechem.

Próbował nie czuć.

Wtedy szukałam szpar jego w życiu, wkładałam w nie gorący palec i wierciłam, żeby wreszcie do niego dotarło.

W końcu poczuł.

Michał Józwiak

Wuj Ćwiartas przysłał do Władki swatów i został przyjęty.

A Janek? Zły był strasznie. Tylu dziewczuchom w głowie zawrócił, Jagunię na świerk śmiertelny wysłał, a kiedy się wreszcie na którąś namyślił, dostał odmowę. Dobrze ci tak, myślałem. Bardzo ci tak dobrze. Zrozum wreszcie, jak to jest cierpieć, kiedy ktoś ci złamie serce. Gadałem o tym z Dorotką. Wolałem przez płot z nią rozmawiać, bo jak mi się te odpustowe buziaki przypominały, aż się czerwieniłem w środku. To znaczy myślałem, że w środku, bo

Dorotka powiedziała, że i na zewnątrz mi czerwień na policzkach widać. Potem więc starałem się stać w cieniu, żeby mniej było widać te niemęskie rumieńce.

Opowiadałem Dorotce o moich wujach, bo nadziwić się nie mogłem, że najmłodszy z nich na żeniączkę się namyślił. Wujowie, wszyscy trzej kowale, czasem na obiad do nas zajechali, jak to rodzina. Podobni do siebie, silni, krzepcy, siwawi, wąsaci i rubaszni, sporo od naszej matuli starsi, zawsze głośno gadali. Bardzo lubili dowcipkować o dziewczynach, a przy tym zawsze nam opróżniali kredens z gorzałki. Wszystkim wydawało się, że nigdy się już nie ożenią. Matula wiele lat temu przestała powtarzać, że powinni jakiejś miłej dziewczyny przed ołtarz zaciągnąć. Wujowie pili za dużo, gadali za głośno, i nieraz wymknęło im się grube słowo, co z Jankiem jako dzieci uwielbialiśmy. Matula zawsze wtedy na nich psykała, że przy stole tak gadać nie uchodzi.

Wuj Ćwiartas z braci był najmłodszy, ale najsilniejszy. Kiedy znowu do nas na obiad zjechali, żeby oznajmić o ożenku, Janek, ponury i zły, zaraz zagadał do wuja, że Władka mogłaby być jego córką, może nawet wnuczką, a nie narzeczoną. Wuj na to się tylko zaśmiał, bo śmiać się lubił.

– I po co wujowi taka dziewczucha?! Żle tam wujowi z braćmi? – cisnął Janek.

– Kobieta na gospodarce zawsze się przyda, a komornice się mało starają – odpowiedział Ćwiartas. I zaczął się zachwycać, że dziewczyna z Władki mocarna, że nie da sobie w kaszę dmuchać, że pyskata jak chłopak. To wszystko mu się podobało i nigdy tego u żadnej dziewczyny nie znalazł. A nam nie powiedział, że się do żeniączki szykuje, bo wolał najpierw z Lewandowskim rzecz

załatwić, żeby wstydu potem nie było. Lewandowski zgodził się od razu, bo wiadomo, że kto ma kowala w rodzie, tego bieda nie ubodzie. I nieważne, że Ćwiartas sporo starszy, skoro pola od Lewandowskich nie chce, sam bogatym będąc.

– Od razu widać, żeście z Jankiem rodzina, te same dziewczyny wam się podobają – zaśmiała się matula. Kiedy jednak spojrzała na mojego brata, przestała się śmiać, bo ten stał blady jak ściana.

– Andzię bierz – powiedział Jankowi dziadek Kostek. – Ona ci rada, a i od Władki ładniejsza. I Lewandowski się zgadza.

– Władka ładniejsza. A po drugie: albo Władka, albo żadna – odpalił od razu Janek, ponury jak nigdy, i wyszedł z domu postać przy płocie Lewandowskich. Władki się jednak nie doczekał. Andzi też zresztą nie, wiem, bo patrzyłem z okna.

– Jak temu Ćwiartasowi nie wstyd takiej młódki brać! – narzekał mój brat wieczorem w łóżku. Było mi z nim tutaj coraz ciasniej, coraz gniewniej, coraz bardziej kanciasto. – Jak mu nie wstyd własnemu siostrzeńcowi ukochaną odbijać!

– Tyle miałeś tych ukochanych, że może Ćwiartas nie zauważył, że akurat Władkę wybrałeś.

A Janek ani odpyskował, ani nic, odwrócił się tylko i milczał. Od rana znów łaził przy płocie i Władki wypatrywał. Wreszcie się doczekał. Wtedy i ja usłyszałem, co Władka o tym wszystkim myśli.

– Ja to w ogóle za żadnego chłopca bym nie szła, jakby mnie kto pytał. Bo po co mi chłop? Ale ojciec nie pytają, kazali za mąż iść.

– Zgodzisz się?

– A na co mi taki stary pijus? A do tego jeszcze dwóch jego braci w tej samej chałupie? I ja mam ich obsługiwać? Pewnie, że się nie zgadzam. Żadnego ślubu nie będzie.

Trochę mi się nieswojo zrobiło, w końcu o rodzinie naszej tak nieprzychylnie mówiła, ale Janek się ucieszył.

Pod wieczór Władka chyba powiedziała ojcu, jak bardzo nie chce za Ćwiartasa iść, bo u Lewandowskich straszne krzyki się rozległy. Potem także odgłosy razów usłyszeliśmy, widać ojciec postanowił córce wybić z głowy to całe niechcenie. I bił długo.

Bicie u Lewandowskich to nie była pierwszozna, sąsiad przecież co tydzień, w soboty, wybijał córkom z głów różne rzeczy, lenistwo najczęściej. Wszystkośmy u siebie w domu słyszeli. Ale żeby bił Władkę, swoją ulubienicę, pierwszy raz się chyba zdarzyło.

Nigdy nie byłem pewien, co robić, kiedy sąsiad córki wychowywał. Nie wszystkie wówczas krzyczały, część znosiła karę w milczeniu. Wtedy bicie trwało dłużej, a my słyszeliśmy tylko głos Lewandowskiego:

– A teraz za karę podziękuj!

Dziękowały. I bicie się powoli kończyło.

Teraz Władka znosiła karę w milczeniu.

– Nie odzywasz się? A nauczę cię jeszcze dziękować! Dziękuj, że zamożnego męża ci znalazłem!

I znowu dobiegały do nas odgłosy razów. Za każdym wzdrygnięciem się obaj z Jankiem, matula uszy zatykała.

Nas ojciec nigdy nie bijał, czasem tylko groził, że któryś z nas rzemień powącha, albo matula ścierką któremuś w gniewie przez głowę dała. Ale to nie bolało, może bardziej na honorze.

Już wszystkie siostry Władki krzyczały:

– Podziękuj tatulowi, Władka, podziękuj, bo cię zabije!

I:

– Poniechaj, tatulu, Władki, poniechaj!

Już i Janek pięści zaciskał, już i Lewandowska prosiła męża, żeby córce odpuścił. Wreszcie sąsiad chyba się zmęczył.

– Za Ćwiartasa pójdiesz, on cię rozumu nauczy. – I ostatni raz ją głośno smagnął na znak, że ducha w córce zwyciężył.

Władka płakała później, w sadzie się schowawszy. Gdyśmy tam z Jankiem poszli, uciekła przed nami, osłaniając twarz łokciem.

– Dzielna jak zawsze – wzruszył się Janek. I znowu mnie zaskoczył, bo do tej pory ani się wzruszał, ani też dziewczyny żadnej wychwalał, chyba że za urodę.

Nie było zwyczaju młodszej córki przed starszą za męża wydawać, ale Lewandowski uznał, że nie ma na co czekać. Władka to dziewczucha rogata, mówił, więc należy ją szybko uspokoić. Zaraz więc dali na zapowiedzi i Lewandowski zamknął Władkę na skobel w komorze aż do ślubu, żeby jakiejś głupoty nie zrobiła.

Przed ołtarzem wypluła z obrzydzeniem słowa przysięgi, a Janek wtedy pięści zacisnął, patrząc z nienawiścią w szerokie plecy Ćwiartasa odziane w nowusieńką sukmanę.

Jako rodzina byliśmy oczywiście zaproszeni na wesele. Kowalczyki umieli się bawić, no i mieli pieniądze, żeby wynająć całą karcznię na zabawę. Bardzo chciałem tańczyć z Andzią, ale ciągle mi odmawiała, prawie cały czas przetańcowałem z Dorotką. Andzia patrzyła za Jankiem, który jednak ani razu jej do tańca nie poprosił, nie poprosił też żadnej innej. Co i rusz jednak ruszał w tany z panną młodą, aż mu matula uwagę zwróciła, że ludzie będą gadać. Wuj Ćwiartas nic jednak nie zauważył, bo zajęty był przepijaniem do wszystkich. Bardzo chciał udowodnić, że z całego Naczachowa, a pewnie i Sokołowa, głowę do picia ma

najmocniejszą. Władka starała się głowę ze ślubnym przystrojeniem wysoko nosić, ale wcale nie wyglądała na szczęśliwą. W końcu zaczęła i Jankowi tańca odmawiać. Wtedy mój brat usiadł pić z wujami. Wkrótce siadł ciężko pod ścianą, nie odrywając przekrwionych oczu od Władeczki, która po oczepinach wyglądała już na całkiem dorosłą. Siedział i śpiewał, ponuro, jakby złorzeczenia rzucał:

*Oj, żal mi cię panno młoda, żol mi cię,
żebyś była jagodeczką, zjodbym cię.
Żebyś była jagódeczkom borowom,
zjodbym jo cię raniutyńko surowom,*

i zęby szczyrzył jak wilk.

Oczepiny też były dziwne, bo Władka nie dała sobie ściąć warkoczy.

– Nie ruszajcie moich włosów! – krzyczała.

Wuj Ćwiartas nieoczekiwanie ją poparł, niech z włosami zostanie, powiedział, lubię te jej włosy. Wtedy Władka powiedziała:

– Namysłłam się. Tnijcie przy samej skórze!

Za późno już jednak było, skoro Ćwiartas powiedział, że warkocze mają zostać.

Po weselu Władka zniknęła z naszego płota. Janek chodził po obejściu jak błędny, w polu na nic liczyć od niego nie mogłem. Do tego ciągle wynosił z domu pieniądze, bo coraz częściej do karczmy zaglądał. Nie mówił, tylko warczał, a wieczorem nawet słowa ze

mną nie zamienił. Z Andzią też nie, choć co chwila wyglądała go przy płocie z nadzieją. Podeszedłbym tam do niej, pogadał, ale swój honor miałem i wiedziałem, że nie na mnie czeka. Pieniądze, któreśmy zawsze w matczynej skrzyni wyprawnej trzymali, przełożyłem za jeden ze świętych obrazków. Wybrałem ten z Aniołem Stróżem, bo miałem nadzieję, że anioł ich przed Jankiem upilnuje. Tatulo zresztą najbardziej ten obrazek lubił i do niego najczęściej się modlił. Powtarzał: „A gdzie ja tam z samym Panem Bogiem mówić będę, chłop prosty, mnie Anioł Stróż wystarczy”.

– Gdzieżeś ruble schował? – spytał Janek od razu na drugi dzień.

Odpowiedziałem, że jak chce mieć na karczmę, niech sam zarobi. Ale najpierw powinien zarobić ze mną na czynsz. Miałem siedemnaście wiosen i lat i tak gadałem do mojego dwudziestoletniego brata. A on mnie słuchał i głowę ze wstydu spuszczał. Z tego wstydu nawet poszedł ze mną chwasty przyorać, nawet naszą szkapinę popędzał z wyczuciem, nawet pokazał, że jak chce, to może. Na kilka dni tego wstydu starczyło, dobre i to.

Szliśmy wtedy w pole, ale Janek, chmurny i ponury, jeszcze szybciej się nudził, i zaraz coś wymyślał, jak to on. Bo na przykład pieliliśmy kartofle. W południe przerwaliśmy, żeby chwilę odpocząć, żuru pojeść. Zjadłem i szedłem po między, patrząc na brązową, pozbawioną chwastów ziemię między łącinami.

– Tatulo też tak chodził i patrzył – powiedział Janek. – Po co komu tak łązić?

– Żeby się robotą nacieszyć.

Kręcił głową w zadziwieniu.

Kiedy słońce trochę niżej na niebie zeszło, wróciliśmy na kartoflisko. Zakasaliśmy rękawy, pochyliśmy się. Janek stęknął.

– Już się chyba nigdy nie dam rady wyprostować.

Zaraz jednak się wyprostował i zagadał:

– Michaś, patrz, kartoflane łąciny są sporo wyższe od chwastów, może więc poradzą sobie z zielskiem bez wyrywania?

– A gdzie tam, chwasty rosną szybko, zaraz całą uprawę zagłuszą.

– Ale wtedy kartofle będą w cieniu, to i nie będą wysychać. Pomyśl, Michał, jakie by to było wspaniałe odkrycie, że nie trzeba kartofli pielić. Ilu chłopów byłoby nam za to wdzięcznych!

– Ale w tym celu musielibyśmy całe to pole kartofli zmarnować?

– Jakbyśmy to odkryli, to przecież nie.

– Przecież tatulo zawsze kartofle pieliał.

I znowu pochyliłem się nad bruzdą. Janek jednak, zmarszczony i posepny, wolał chodzić, patrzeć, mierzyć palcami, krzyż sobie masować. Minęło kilka pacierzy, aż wreszcie i on się pochylił do roboty, szło mu jednak dużo wolniej niż rano. Stękał głośno, na plecy narzekał, prostował się z jękiem, pochylał z jeszcze głośniejszym. Jak zwykle musiał być najważniejszy ze wszystkich, nawet kiedy tylko ja i kartofle mu towarzyszyliśmy.

Janek zresztą znowu zaczął znikać z domu, więc zamiast niego musiałem brać w pole Kostka, z krowami puszczać babkę, a matulę prosić, żeby obejściem się zajęła. Czasem się to wszystko nawet udawało, choć częściej miałem wrażenie, że w domu i w gospodarce wszystko się rozłazi na szwach, że już nad niczym nie panuję. Postanowiłem zwrócić się o pomoc i radę do rodziny, czyli do wujów.

Zaraz o świtaniu, przed robotą, zaszedłem więc do Naczachowa. W kuźni uwijało się dwóch kowalczyków, czarnych na gębach jak

diabły, bo kiedy ręką pot ocierali, zaraz się brudzili. Trzeciego, Ćwiartasa, świeżo upieczonego małżonka, z nimi nie było. Wujowie posłuchali, o co proszę, i powiedzieli, że pomoc nie pomogą, bo mają pilne dla dworu zamówienie. Zaraz jednak dodali, że Janek na pewno wszystko wie, bo zmyślny ten chłopak prawie jak pleban.

I znowu Janek, już siły od tego traciłem. Ale już wypróbowałem, co mam mówić w odpowiedzi.

– To Janek właśnie o pomoc was kazał prosić.

Na to wujowie, że w takim razie może bym dzisiaj Ćwiartasa ze sobą w pole wziął, to może dzięki mnie na nogi stanie. Bo oni sami już nie wiedzą, co z nim robić.

– Ale o co chodzi?

W gadaniu wujowie nigdy nie byli mocni, więc tylko machnęli tymi łapami wielkimi jak bochny i iść do kowalowej chałupy kazali. No to poszedłem. Pukam, wchodzę, w środku nieład nieludzki, gorzej niż u nas w obórce, śmierdzi też podobnie, a wuj Ćwiartas siedzi za stołem, oczy przekrwione.

– Poszła sobie – mówi. – Poszła precz.

– Władka?

– A kto? – I tak zaniósł od niego gorzałką, aż mnie zemdliło.

– Dokąd poszła? Bo przecież do Lewandowskich nie wróciła.

– Całkiem na żonę nienadająca się była.

– Ale gdzie jest?

– A kto wie, dokąd ją zaniósł. Już trzeci dzień jej nie ma. A tyleśmy na wesele wydali i nic mi z tego nie przyszło. Czegoś tu przyszedł? Na klęskę moją patrzeć?!

– No co wuj...

Ale on już się podnosił, żeby to mnie w zastępstwie Władki uderzyć, więc czmychnąłem stamtąd czym prędzej. Zrozumiałem, że od wuja nijakiej pomocy nie dostanę. To jemu by się raczej pomoc przydała.

Janek Józwiak

Dopiero w południe, kiedyśmy przerwę w bronowaniu zrobili, Michał powiedział mi, że Władka od wuja uciekła. Nie słuchając dalej, zostawiłem go z kobyłką i broną, żeby pobiec do Naczachowa i znowu zobaczyć moją piękną, mocarną Władkę, co kosz ziemniaków na ramieniu bez trudu nosiła, Władkę, która się od niechcianego męża uwolniła, żeby być moja.

W chałupie u wujów śmierdziało, Ćwiartas leżał na łóżku, a jego chrapanie słychać było pewnie w całej wsi. Władki jednak nie było nigdzie widać, nie znalazłem jej także w kuźni, gdzie wujowie diabłom podobni krzatali się w gorącu od paleniska. Łaziłem po obejściu, nawoływałem, myślałem, że może w stodole w sianie się skryła, w obórce na stryszku, za kopcem na warzywo, ale w końcu zrozumiałem: skoro uciekła, nigdzie jej tu nie ma.

Szedłem przez wieś, po drodze, wznosząc tumany pyłu, i nawoływałem:

– Władka, Władka, chodź, ja ci pomogę!

Ale ani się pokazała, ani odezwała. Zataczałem coraz większe koła, wołałem, aż ochrypłem. Do domu wróciłem dopiero na noc, matulę ze spania zerwałem i mówię, że Władka zniknęła.

– Wiem przecież – szepnęła rozespana.

– Co się z nią stało, matulu?

– Dajże spać, męczybuło! – warknął Michał, nakrywając głowę poduszką.

Matula z trudem wyczołgała się spod pierzyny, na plecy chustę zarzuciła i poszliśmy przed dom, gdzie dowiedziałem się wszystkiego.

Więc podobno Władka po ślubie wcale się nie chciała z Ćwiartasem do łóżka kłaść. Wuj namawiał, prośbą i groźbą, Władka jednak nic, odpychała go, a wcale od niego dużo słabsza nie była, więc jak napierał, odpychała go i uciekała do stodoły, do sadku, spała gdzieniebądź, byle nie obok świeżo poślubionego męża. Bracia śmiali się z Ćwiartasa, a po kilku takich nocach doszło do tego, że wuj Lewandowskiego wezwał, żeby córkę napomniał. Sąsiad nasz pojechał do Naczachowa, by z rzemieniem w garści napędzić Władkę do ślubnego łóżka. Ona się długo napędzić nie dawała, ojciec jednak był nieustępliwy, więc w końcu położyła się obok Ćwiartasa. Zrobiła to jednak z takim rozpędem, że mąż wypadł z łóżka z drugiej strony. Tak się przez to mocno potłukł, że ledwie się z ziemi pozbierał. Kiedy się wreszcie podniósł i wciągnął portki, Władki już w chałupie nie było.

– To gdzie jest?

– Nikt nie wie. Lewandowska się martwi.

– A Ćwiartas?

– Mamy mówić ludziom, że sam ją z domu wyrzucił. Mniejszy wstyd będzie. Ale wtedy wstyd będzie Lewandowskim, więc na razie nic nikomu nie mówię.

O świcie znowu byłem w Naczachowie, szukając mojej Władki. Wszystkie sady złąziłem, wszystkie mokradła, laski i gaje, wszędzie patrzyłem, ale zniknęła jak śnieg na wiosnę. Przychodziła do mnie

tylko w nocy, we śnie, znajdź mnie, mówiła. Śniłem o niej niemal co noc, o silnej, prędkiej w rękach, różowoustej Władeczce, która gdzieś właśnie rozplata warkocze grube jak przeguby. Może poszła tam, dokąd wielu ucieka? Na Dzikie Pola, o których dużo w karczmie słyszałem? Mówią, że nie ma tam panów ani sług, chłopów ani dziedziców, tylko ludzie wolni. Nie muszą pracować, dzikie pola same im ziarno rodzą, dlatego to miejsce się tak nazywa. A jak który nie chce z dzikich pól zbierać, to pardwę złapie czy królika, i batów za to nie dostaje, bo ziemia tam nie do pana, lecz do wszystkich ludzi należy. Strug tam ponoć niewiele, ale łowi się w nich, ile chcieć, nie trzeba nikogo prosić o pozwolenie, żeby usmażyć szczupaka czy dwa. Śniłem, że Władka tam na mnie czeka, śniłem, że do niej dołączam. Co trochę zarobiłem, chowałem pod siennik, co sprzedałem z plonów, zawsze parę groszy urwałem, bo byłem pewien, że podróż na Dzikie Pola będzie swoje kosztować.

Część trzecia. Rok 1854, czas pracy ciężkiej i mało widocznej

Właśnie trwa wojna krymska, w Turcji Francuzi i Anglicy walczą z Rosją. Ranni żołnierze trafiają do lazaretów, gdzie w brudnych i zakrwawionych mundurach kładzie się ich tuż przy chorych na tyfus i czerwonkę. Bałagan organizacyjny, brud i smród, a jedzenie takie, że pacjenci masowo zapadają na szkorbut. Nikt się więc nie dziwi, że umiera czterech na dziesięciu. Wojna to wojna.

W tym piekle zjawia się trzydziestoczteroletnia Brytyjka Florence Nightingale, osoba z pomysłem, pasją i ambicjami. Za własne pieniądze kupiła potrzebne leki i środki opatrunkowe, zebrała trzydzieści osiem ochotniczek i załatwiła sobie oficjalną nominację brytyjskiego ministra wojny. Ze swoją grupą trafia do trzeszczącego w szwach polowego szpitala w tureckim Skutari niedaleko Stambułu, gdzie zaczyna organizować od podstaw opiekę nad rannymi wojakami. Jest ich tutaj dobrze ponad trzy tysiące, w dodatku wkrótce w szpitalu wybucha cholera. Trudniej niż z epidemią jest się jednak Nightingale uporać z uprzedzeniami lekarzy, urzędników i oficerów, którzy nie znoszą jej władczego tonu, a zwłaszcza tego, że kobieta wie lepiej.

Ale Florence Nightingale naprawdę wie lepiej. Jest zwolenniczką dyscypliny, pedantycznej czystości i izolacji zakaźnie chorych, ale ceni nie tylko umiejętności medyczne, lecz także ofiarność, empatię, życzliwość, zaangażowanie swoich ochotniczek. Organizuje kuchnię i pralnię szpitalną, odizolowuje chorych od zdrowych, pacjentów w czystych ubraniach kładzie w czystej pościeli, odkrywa, że żołnierze

cierpią nie tylko od ran, ale i od szoku pourazowego, więc stara się łagodzić jego skutki. Pracuje po dwadzieścia godzin na dobę, nawet nocami chodzi po szpitalu z lampą, sprawdza, czy nikomu nic nie potrzeba. Od swoich wolontariuszek wymaga podobnego zaangażowania. W ciągu dwóch miesięcy dzięki zmianom, jakie wprowadza Nightingale, śmiertelność wśród pacjentów spadnie z czterdziestu dwóch do dwóch procent.

Florence wymyśliła zawód, który jest jednocześnie powołaniem, ustaliła jego zasady, według jej pomysłów będą od tej pory pracowały tysiące pielęgniarek i pielęgniarzy na całym świecie, wojując z lekarzami i pacjentami o uznanie dla swojej pracy: ciężkiej, potrzebnej, podstawowej, niewidzialnej.

Czasem to, co najpotrzebniejsze, najmniej się rzuca w oczy.

Michał Józwiak

Aż dziwne, ale trochę mi ulżyło, kiedy zrozumiałem, że w ogóle nie ma co liczyć z gospodarką na Janka. Przedtem czekałem na niego, planowałem, co razem zrobimy. Ani się obejrzałem, a już go w domu nie było, a nawet jak się ze mną powłókł, trzeba było go pilnować z robotą jak dzieciaka. Teraz już nie czekałem, bo po co.

Pomagał mi dziadek Kostek, ile dał radę. Starał się od dnia, kiedy przeprowadziłem z nim poważną rozmowę. Przydybałem go wtedy w stodole, krył się tam zawsze, kiedy trzeba było z rana iść w pole. Z daleka już poczułem zapach dymu z fajki. Zezłościłem się, bo tatulo mu w stodole palić nie pozwalał, strach przecież z tym całym sianem i słomą dookoła. Widać jednak teraz dziadek zapomniał o zasadach.

Wszedłem, wyrzuty mu zacząłem robić, a on fajkę z ust wyjął tylko po to, żeby powiedzieć:

– Ale ja przecież uważam! Nijakiego pożaru nie wywołam!

I znowu sobie fajkę w usta wraził.

Widziałem, że ta nasza gospodarka zaczyna się rozłazić, jak kury, co uciekły z kojca, więc począłem się żalić dziadkowi.

– W polu nikt nie robi, trzeba więc będzie zacząć zapasy wyprzedawać, żeby na czynsz na koniec roku starczyło. Będziemy więc kaszę jeść i wodą popijać. Jeśli na kaszę starczy – mówiłem. – Słonina, masło, kiełbasy, wszystko sprzedać trzeba będzie, bo jak inaczej?

Dziadek Kostek się przejął, bo słoninę i kiełbasę kochał najbardziej. Cisnąłem więc dalej:

– Może się zdarzyć, że nie będziemy mieli wcale na wasze, dziadku, utrzymanie. Może się nawet zdarzyć, że kij żebraczy przyjdzie wam wziąć i w drogę ruszyć, dopiero na zimę was przytulimy, tylko czy jedzenia starczy?

Słowa o Janku nie obeszyły go w ogóle, ale przy słowach o kiju żebraczym drgnął, jakbym go w tyłek ukłuł, a przy jedzeniu drgnął po raz drugi. Kułem więc żelazo, póki gorące:

– Tyle dobrego, że w drodze nikt wam fajki kazać gasić nie będzie.

Dziadek, przejęty, zaraz do fajki popluł. Zasyczało, dymek się puścił, zgasło. Czoło miał zmarszczone i wydawał się jeszcze starszy niż normalnie.

– Nie spodziewałem się, że chłopak, którego chowałem, tak do mnie powie, ledwie jego ojciec oczy zamknie.

– Nie nastarczymy na czynsz, jeśli nikt mi w polu nie pomoże.

– To Janek miał przecież gospodarstwo prowadzić... Ja przecież stary jestem.

– Stary, ale jary, wszyscy tak mówią.

Trochę się wyprostował.

– Babka też?

– O, babka Hanka mówi, że macie, dziadku, mnóstwo siły!

I zamilkłem. Czekałem. Doczekałem się:

– Co dzisiaj planujesz robić?

– Bronować. Potem marchew siać.

Nic nie rzekł, ale po krótkiej chwili wypełził ze stodoły, gotowy do pracy, i począł na kobyłę nakładać uprząż.

Hanka Józwiakowa

Odkąd Michał nakazał dziadkowi w pole chodzić, strasznie mi Kostka brakowało. Bo przedtem mnóstwo rzeczy robiliśmy razem. Kompan był z Kostka najmilszy. Wszędzie lubił pójść, nic go nie nudziło, a i ja się radowałam, że mam towarzysza gadatliwego, zmyślnego, który na każdy temat coś ciekawego umie powiedzieć. A już najbardziej brakowało mi go na targu w Izbicy, gdzie od lat co tydzień sprzedawałam masło od swojej krowy, jedyny sposób, bym miała dla siebie trochę grosza, bo przecież syna ani synowej o pieniądze bym nie poprosiła.

Masło ubijałam w kizynce, zwanej przez moją synową maślnicą, następnego dnia po dojeniu, kiedy śmietana odstała. Czasem udało się masło ubić w miarę szybko, ale czasem, nie miałam pojęcia dlaczego, czas mijał, ale co zaglądałam do konwi, ciągle nie było widać żółtych maślanych grudek.

– Łeb mi pęka od tego walenia – narzekał Kostek i uciekał z chałupy do swojej stodoły, bo że często tam przesiadywał, wszyscy ją zwali Kostkową. Mnie też łeb pękał, poza tym od ruszania bijakiem ręce mdlały, jednak odejść od kizynki nie mogłam ani na chwilę, bo wtedy się przecież masło nie uda. Ruszałam więc bijakiem w górę i w dół, w górę i w dół, drugą ręką muchy odganiałam, bo wielce śmietanę lubiły, i starałam się wytrzymać.

Kiedy masło wreszcie się ubiło, odcedzałam je z maślanki i wyrabiałam długo w soku z marchwi, aż nabierało miłego dla oka żółciuchnego koloru. Ludzie chętnie takie kupowali, bo przez ten kolor myśleli, że tłuszczu w nim więcej, nigdy więc na targu długo nad sprzedażą nie siedziałam, już po krótkim czasie zawijałam kopiejki w szmatkę i chowałam za gorsecikiem.

Tak właśnie było, aż jakiś czas temu poszłam na targ z Kostkiem. Pomyślałam, że sam poradzi sobie z zachwalaniem towaru, więc poszłam stragany pooglądać i podziwować się ludziom nieznanym, bo nade wszystko lubiłam patrzeć na to, czego jeszcze nie znałam, a zdarzało się, że na targu pojawiali się ludzie, wozy, konie, których nigdy nie widziałam, dziady i baby prozalne o nieznanych twarzach, o ubraniach niebywałych, z historiami z daleka. Patrzyłam, podziwiałam, aż wróciłam wreszcie do Kostka i masła, a tu widzę, że wcale nie mogę się do nich dopchać, taki tłum się zgromadził dokoła.

– Co się stało? – pytam ludzi. – Co tu się dzieje?

– A, masło sprzedają, strasznie drogie, ale żółciutkie, bo tłuszczu w nim dużo, a nie wody, jak u niektórych.

– Jak to drogie?

– O pięć kopiejek za osełkę więcej niż u innych.

– Nie może być!

– No właśnie! W głowach się tym chłopom przewraca. – To była akurat mieszczka z Izbicy. – Pięć kopiejek więcej niż u innych, słyszane to rzeczy?

I już się chciałam zapaść pod ziemię ze wstydu, już zapłoniona podchodziłam bliżej, żeby tę niewyparzoną gębę Kostkowi zatkać, za głupi pomysł go upomnieć, aż tu nagle widzę, że Kostek siedzi nad pustym niemal garncem i śmieje się, patrząc, jak te dwie izbickie mieszczki kłócą się o to, która ma kupić ostatnią osełkę. A potem podnosi uradowany wzrok na mnie, uśmiecha się szeroko swoimi dwukolorowymi zębami i pobrzękuje w garści świeżo zarobionymi pieniędzmi.

Potem już nigdy nie chciałam iść na targ sama, tylko z Kostkiem. On też lubił wybrać się ze mną, bo zawsze mu parę kopiejek więcej wpadało do tych, które zarabiał na swoich koszach. I łapciach. I drewniakach. Takeśmy prawie nierozłączni się stali, brat i siostra, siostra i brat.

Aż do teraz, kiedy na stare lata w pole znowu musiał zacząć chodzić.

Michał Józwiak

W pole chodziłem więc z dziadkiem Kostkiem. Pomagał, ile dał radę. Nie był jeszcze całkiem stary, niejeden w jego wieku przecież pańszczyznę całymi dniami odrabiał. Ale żeby naprawdę się przykładał, a nie tylko stał na miedzy i gadał, musiałem go chwalić jak Janka, czasem bardziej mnie to męczyło niż cały dzień orki. No i troskałem się dniami i nocami, czy na czynsz wydolę, czy plonów nie zmarnuję, czy tatulowego dziedzictwa nie przetracę. Przez to

nawet odetchnąć głębiej nie potrafiłem, może bym przez to już całkiem zwariował i łąził po wsi jak jeden dziad wędrowny, co ślinę z ust toczył spienioną i tylko krzyczał: „Aaaaaaa!”.

Na szczęście była jeszcze Dorotka.

Tak, Dorotka.

Wymykała się z domu, kiedy Lewandowski zasnął. Czekałem przy płocie i zaraz biegłem do niej. Co robiliśmy? A całowaliśmy się, oboje to lubiliśmy, zasmakowałem w tym strasznie. Potem aż mnie usta bolały, nie tylko usta zresztą, ale siły więcej dzięki temu do życia miałem, do trudu i strachu.

Wiedziałem jednak, że muszę być z Dorotką uczciwy.

– Nie kocham cię, Dorotko – powiedziałem jej od razu na początku. Było to niedługo po tamtym floriańskim odpuszcie. – Śliczna jesteś i cię lubię, ale miłości w sobie nijakiej nie widzę.

Zaraz przestraszyłem się, że się rozplącze. Wpatrzyła się jednak we mnie, a potem roześmiała, serdecznie, jakby jej skowronek w gardle siedział i już, już miał wyjść na wolność.

– To się dobrze składa, Michasiu, bo ja ciebie też nie kocham.

Trochę mi ulżyło, a trochę poczułem się urażony. Ale całowałem się z nią dalej, teraz już z czystym sumieniem.

– Ja chcę wszystko dobrze umieć, kiedy już trafię na swojego chłopaka – powiedziała Dorotka. – A i tobie się przyda, kiedy już się ta moja głupia siostra, Andzia, namyśli.

Skąd wiedziała o Andzi, nie miałem pojęcia. Ja jeszcze tego nie byłem pewien, a Dorotka już o tym mówiła.

Czerwcowe wieczory były długie, całowanie szybko przestało nam wystarczać, Dorotka zgodziła się mi więc pokazać, jak wygląda dziewczyna bez ubrania. Pokazała i okazało się, że nigdy czegoś tak

pięknego nie widziałem. Potem ja jej pokazałem, jak wygląda nagi chłopak, i mówiła, że na to także miło popatrzeć. I tak sobie oglądaliśmy, czasem nawet się dotykaliśmy, ona tłumaczyła mi co i jak, że nie za mocno, że tu lepiej tylko leciutko. Ja też jej tłumaczyłem to i owo. Mieliśmy z tego mnóstwo przyjemności, moja przyjemność od tego dotykania była czasem taka ogromna, że Dorotka z zaciekawieniem na to patrzyła, a ja powoli przestawałem się wstydzić. Raz nawet tego spróbowała.

– Słodkie – ucieszyła się. – Ale i gorzkie. – Roześmiała się po chwili i odtąd, kiedy doznawałem samotnie tej przyjemności, słyszałem w sobie ten jej śmiech jak skowronki.

Dobrze mi z nią było. Kryliśmy się przed naszymi, znaczy ja za dużo kryć się nie musiałem, bo odkąd zacząłem zarządzać gospodarką, chodziłem, dokąd chciałem, i nie musiałem się nikomu opowiadać. Bardzo jednak nie chciałem, żeby Janek nas razem zobaczył.

– A dlaczego? – dopytywała.

– Bo wtedy cię zacznie podrywać.

– A ja mu się nie dam. Nie jestem taka głupia. Nie chciałabym go. Janek jest niebezpieczny, nie to co ty.

I znowu, jak to często mi się przy Dorotce zdarzało, poczułem ulgę i urazę jednocześnie.

Andzia Lewandoszczanka

Prałam te szmatki, całe wiadro się uzbierało, bo ostatnio nawet Basia zaczęła, wszystkie krwawiłyśmy naraz, matula nie nastarczała z darcim płótna i doszywaniem tasiemek, żeby spomiędzy nóg nie wypadło. Przekleństwo Ewy, mówiła, tyle że Ewa sobie liście tam

wkładała, bo pierwsi ludzie nie znali płótna. Chyba nie znali, bo w raju się przecież nie pracowało, nie tkano więc także. Próbowałam wkładać sobie tam liście, żeby mieć mniej do prania, ale krew się z nich ześlizgiwała i płynęła po udzie, wstyd tylko.

– A czego tu się wstydzić – mawiała Władka, kiedy jeszcze z nami mieszkała. – Pan Bóg nas takie stworzył z tym krwawieniem. Wstydzisz się, że z palca zakrwawisz, jak się zatniesz? Przecież to taka sama krew, tylko jej więcej.

Dużo tej krwi było, kiedy zanurzałam nasze szmatki miesięczne w strudze i przywalałam kamieniami, żeby nurt ich nie porwał. Woda stawała się krwawa, ryby łapały czerwien pyszczkami, żywiłyśmy całą ławicę. Strumień czerwieni stopniowo bladł, a ja waliłam pałką te jaśniejsze szmatki, żeby resztki krwi z nich wybić, waliłam, aż mi ręce w kostkach puchły, tarłam, aż mi ręce drętwiały od chłodu wody, starając się nie myśleć o Władce. Ani ją przytulić, ani zbesztać, zniknęła, wessało ją. Po raz ostatni widziałam ją, jak z tego głupiego wesela jechała furmanką z durnym starym mężem w stronę Naczachowa. Później ojciec zabronił mi do niej iść, sam za to poszedł tam z tym swoim głupim rzemieniem, wrócił wściekły, skosił nim pokrzywy przy całej drodze w Sokołowie, tak się gniewał. Na wszelki wypadek zesłam mu z oczu i młode też schowałam, by nie oberwały za Władkę. A potem się okazało, że Władka zniknęła, i do tej pory nikt nie wiedział, gdzie ona jest, nawet nasz groźny, wszechmogący ojciec. Miałam nadzieję, że trafiła w jakieś miejsce lepsze niż brudny dom kowalczyków przy kuźni.

A Janek marniał. Już nie patrzył na mnie, nawet zarcików nie rzucał, aż mnie zazdrość skręcała, że tak za Władką tęskni, a nie za mną. Bladł, słabł, sechł, przy płocie pusto i smutno się zrobiło.

Nawet Michałek nie podchodził, ważny teraz i mocno po śmierci ojca zapracowany, jakby to on był starszym bratem u Józwiaków, ale jego mi akurat mało brakowało. Teraz jednak, kiedy siedziałam nad strugą i w cichości patrzyłam, jak czerwona woda blednie, usłyszałam nagle jakieś chichoty, kobiecy, męski, głos był jakby Janka, czyżby odżył wreszcie? Ucieszyłam się, ale zaraz po chwili usłyszałam także moją siostrę śmieszkę, Dorotkę. Dorotka i Janek?! Cichutko rozgarnęłam gałęzie, wyjrzałam.

To nie był Janek! Ale przecież jego młodszy brat nigdy nie śmiał się z dziewczuchami, nigdy nie gadał tak głośno, czasem coś poburczał pod nosem i tyle, a teraz szedł z Dorotką, trzymał ją za warkocz, zagadywał, zupełnie jak nie on. Wyglądał też inaczej, lepiej, roślej, prosty, a nie taki ścichapek jak przedtem, i nawet krost na czole już nie miał. Usiedli, pośmiali się, z Dorotki była zawsze śmieszka, ale ten Michaś... Jakby go boginki na lepszego zamieniły. Po co tu przyszli, nie wiedziałam, ale zrozumiałam, kiedy zobaczyłam, jak Dorotka rozchyła bluzkę, a on patrzy. A potem już nie tylko patrzył, a tyle czułości dla niej miał, taki był dla niej uważny, i taki piękny, kiedy i on swoje ubrania zrzucił, że patrzeć mogłam na niego a patrzeć.

I patrzyłam, ale potem się zawstydziałam, cofnęłam, gałęzie opadły, a ja wróciłam do swoich szmatek. Woda była całkiem już biała, a ja drżałam i uspokoić się czemuś nie mogłam.

– Czy Dorotce za mąż nie trzeba? – spytałam wieczorem matule.

– Dorotka? Młoda przecież jeszcze, ma czas. Najpierw ciebie musimy za jakiegoś wypchnąć.

Wypchnąć? To nie było ładne słowo, to było słowo paskudne.

– Któremuś miła jesteś? Bo teraz nam trudniej będzie z tym zamążpójściem, bo ani wy bogate, ani dobrej sławy, przez Władkę. – Matula chlipnęła. – Tyle że ładne na szczęście.

Poszłabym za mąż choćby jutro, byle zdążyć przed sobotnim wieczorem, ale za kogo?!

Kiedy wieczorem zgrabiałyśmy z Dorotką siano na kopki, żeby je ochronić przed nocną wilgocią i poranną rosą, podśpiewywała pod nosem, zapatrzona widać w miluchne wspomnienie.

– Widziałam was – strzeliłam.

Drgnęła, zatrzymała się, trzonkiem grabi twarz przesłoniła, jakby się chciała bronić.

– Nie powiedziałaś ojcu? Powiedz, że nie.

– Kochasz go?

– Ojca?

– Michała!

– Nie. Chyba nie.

– To po co to robisz?

– Ale on mnie też nie kocha.

Sensu w tym nie było żadnego.

– To co wy tam robicie?

– Widziałaś przecież.

– Po jednym wstydzie z Władką jeszcze nam drugi potrzebny? Bachor nieślubny?

– Uważamy. Swój rozum mam.

– To ma być zabawa? Czy o co chodzi?

– Trochę tak, wiele zabawy w życiu nie mamy, prawda? A poza tym...

Zamilkła.

– Co?

– Nic. Głupio tak gadać.

Nie należałam, wiedziałam, że zaraz sama wszystko powie. I rzeczywiście.

– Bo Michał planuje wszystkiego o dziewczuchach się nauczyć, żeby być jak Janek. Ćwiczy, żeby wszystko umieć, kiedy już będzie z tobą.

Nie byłam pewna, czy dobrze usłyszałam.

– Michał chce być ze mną?!

– A nie wiedziałaś?

Skąd miałam wiedzieć? Nigdy tego małego podsłuchiacza nie brałam poważnie. Dziwaczny mi się zawsze zdawał i nie wart uwagi, a teraz już całkiem, no naprawdę, nie przestawałam o tym myśleć, że ten chłopaczek o mnie marzy, potem mi się przypominało, że tam, nad strugą, wcale już na chłopaczka nie wyglądał.

I nie minęło wiele czasu, aż zaczęłam popatrywać na niego zza płota, nawet czasem posłałam mu uśmiech, żeby popatrzeć, jak się czerwieni. Lubiłam czuć, że mam władzę nad jego rumieńcem, nad nim władzę miałam i dawało mi to dziwną przyjemność. Potem zaczynałam się zastanawiać, co on właściwie z Dorotką ćwiczy, i ciągle sobie wyobrażałam, w jaki sposób to robią. Czasem aż się zagapiłam z wiadrami, kiedy wodę ze studni niosłam, bo nie przestawałam o tym myśleć. No i ciągle czekałam, aż do mnie zagada, skoro mu się podobam. A on nic. Więc któregoś dnia sama przystanąłam i się do niego odezwałam. To znaczy chciałam, ale kiedy spojrzałam na niego, nagle zabrakło mi języka w gębie, dopiero po dłuższej chwili wyjąkałam:

– Twój brat to jak się czuje?

Michał wzruszył ramionami, a ja nagle zauważyłam, jaki jest szeroki w barach.

– Janek cierpi, bo raz w życiu jakaś dziewczucha go nie chciała.

– Ale że Władka?

– Ona przecież. Raz z którąś mu się nie udało i już od miesiąca przeżywa. Gorzej, że jakby się zgodziła, już by się dawno rozglądał za inną. Taki jest mój brat.

Zaskoczyło mnie, jaki ostry, złośliwy jest ten Michał, jak szybko, choć nieuważnie wymawia słowa, ale jeśli się wsłuchać, nie było trudno go zrozumieć. Spojrzałam mu w siwe ślipia, rzęsy miał czarne, włosy płowe, zęby białe, bo się do mnie uśmiechnął, więc dobrze widziałam, tyle kolorów i wszystkie razem wyglądały tak pięknie. Zaraz przypomniało mi się, jak stał przed Dorotką bez odzienia, taki umięśniony, tu i ówdzie obrośnięty jasnym włosem, silny, szlachetniejszy dużo niż w tych nieforemnych kubrakach, które nosił na co dzień. Chciałabym kiedyś jeszcze zobaczyć go bez ubrania, tak pomyślałam, i wtedy to ja się zaczerwieniłam. A on na mnie ciągle patrzył.

Wolałam, kiedy się przy mnie peszył.

Nie, jednak nie wolałam.

– Janek nie nadaje się na męża – dodał.

– A ty się nadajesz? – spytałam szybciej, niż pomyślałam.

– Jeśli coś obiecuję, dotrzymuję. Więc tak, nadaję się.

I wtedy, właśnie wtedy się w nim zakochałam.

Jak to jest, że do tej pory Michał bladł mi przy Janku? Teraz w kościele widziałam to dobrze. Ksiądz coś mamrotał przy ołtarzu tyłem do nas, więc czas na patrzenie miałam i dostrzegałam, że

Janek jest przy Michale jak cień, wyższy, ale blady jak chusteczka, skrzywiony, jakby nieświeżą rybę zjadł, a Michał krzepki, mocny, kapota mu się na piersi mocnej opina, usta uśmiechają się do myśli, może o Dorotce, a ja patrzyłam tylko na niego. Zerknął na mnie może ze dwa razy, a potem już tylko na księdza patrzył. Do domu wracał z Jankiem, coś zagadał do Dorotki, do mnie wcale.

Szłam za nimi, chciałam, żeby Michał się odwrócił i na mnie spojrzął, ale gdzież tam, szliśmy i szliśmy, a ten nic. Podbiegłam więc, wyprzedziłam braci Józwiaków i teraz na moje plecy, na moją kibić ściśniętą gorsecikiem, na moją spódnicę fałdzistą, na moje czarniawe od kurzu łapcie mieli patrzeć. W połowie drogi obróciłam się. Patrzyli? A gdzie tam! Janek się gapił w las, Michał na Dorotkę, mogłam się tu do naga rozebrać i żaden by nie zauważył.

Widziałam, jak któregoś wieczoru Michał z Dorotką przemykali po zastodolu do zagajnika, i zazdrość mnie straszna opanowała, próbowałam ruszyć za nimi, ale zgubiłam ich w zapadającym zmierzchu. Wróciłam do domu i kiwałam się jak głupia przy stole, żałując, że nie umiem, jak ojciec, walnąć w blat pięścią, bo ojcu to na chwilę dawało ulgę od gniewu.

Sporo później Dorotka wróciła do domu rumiana, roześmiana, z bluzką niedbale wepchniętą w spódnicę. Złapałam ją za ramię, wyciągnęłam na podwórze.

– Znowu z Michałem chodziłaś?

Wpatrywała się we mnie przez chwilę, aż wybuchła śmiechem.

– Nie! Naprawdę?!

– Co?

– Mówił, że tak będzie.

– Jak?!

– Że wy z Jankiem zawsze chcecie tego, co niemożliwe. Dlatego Jankowi tak na Władce zależało. I tobie na Janku, bo zawsze biegał za innymi. A teraz, kiedy Michał jest mój, i jego zechciałaś. Patrz, jaki mój Michał mądry, patrz tylko, jak wszystko zrozumiał.

– Bzdury gadasz.

– A mnie się wydaje, że wcale.

– Za młoda jesteś na zameście.

– Tylko o rok od Władki młodsza.

– Chce cię za żonę? – spytałam. – Naprawdę cię chce?

– A co, takie dziwne? Chce mnie i za żonę, i za ukochaną, a kochać to on umie, i to jak! Samiśmy się od siebie wszystkiego nauczyli.

– A ja bym nie chciała iść za chłopaka z za płotu i codziennie, do końca życia, dalej na ojca patrzeć.

– A mnie tam nie przeszkadza. Za płot ojciec rzemieniem nie sięgnie.

Za płotem coś zaszeleściło, czyżby Michał, jak za dawnych czasów, krył się w porzeczkach? I słyszał całą tę moją sromotę z tej rozmowy?

– Kto tu?

Krzaki już się nie poruszyły.

Janek Józwiak

Gorącość czułem ostatnimi czasy nawet w nocy, kiedy słońce się chowało, zwłaszcza w nocy. Kręciłem się wtedy pod naszą z Michałem pierzyną, aż marudził, odkrywałem się, ale nie pomagało, gorąco i tak otaczało mnie chmurą i nie dawało spać. Myśli mi się wtedy goniły jak psy za suką, nieustające, nieusłuchane,

zajęte sobą. Wstawałem, szedłem na próg domu, patrzyłem na podwórze, czekając, by przejął mnie chłód nocy, muskał mnie jednak tylko, nie chciał we mnie wejść, goniące się myśli miejsca mu nie ustępowały.

Patrzyłem na płot Lewandowskich, ich chałupę w mroku, najniższa, najbardziej rozkraczona w Sokołowie, bo Lewandowski nie postawił ścian z glinobitki, tylko zrobił je, jak się dawniej robiło, z chrustu przeplatane między palikami, oblepionego gliną. Mówił, że nie będzie łądował ani grosza w jakieś wymysły, skoro nie wiadomo, ile na tym czynszu posiedzimy.

Ale nie o Lewandowskim moje goniące się myśli opowiadały, lecz o Lewandoszczankach. Bo jak to się stało, że naraz wszystkie dziewczuchy zaczęły na Michała patrzeć? Kiedyś to za mną wodziły oczami, a teraz Andzia i Dorotka tylko się po mnie prześlizgiwały wzrokiem, by zaraz błyszczące spojrzenie przenieść na mojego brata. Dlatego właśnie siedziałem w krzakach przy płocie, słuchając, co mówią, ale nie chciałem tego słyszeć, bo wszystko było o Michale. Niby o Władce ciągle myślałem, Władce mojej strzelistej i utraconej, ale ja się Andzi zawsze podobałem, to było równie pewne jak to, że komary na mokradłach się lęgną. A teraz co?

Ale zaraz pomyślałem: zrozumiała pewnie, że ze mną nie ma szans. I trochę mnie to pokrzepiło na duszy.

W domu też mnóstwo było o Michale, że co synu dziś robicie, że oczywiście, będzie, jak powiedziałaś, wszystko do mojego brata mówione było, że mną się nie liczyli, o nic nie pytali. Jakby nie widzieli, że przecież Michał robi to wszystko bez głowy, bez planu, pracowicie jak ta mrówka, co to po ziemi biega jak wściekła, widzi sosnową kolkę, widzi mech, ale nie zauważa wielkich drzew. A ja

chciałem widzieć szerzej, patrzeć bystrzej, poradzić się mądrych ludzi, zamiast krzątać się w popłochu, szedłem więc do karczmy, gdzie o Michale nawet nie słyszano, i tam zagadywałem o nowinki. I słyszałem, że niektórzy rzepak uprawiają, ale nie trochę, dla siebie, tylko dużo, bardzo dużo, i majątki na tym robią. Wróciłem do domu, zacząłem bratu klarować co i jak, on wysłuchał nowinek, kiwnął głową i spytał, czy jutro pójdę z nim poprzerywać marchew, w ogóle go moje wielkie plany nie interesowały. To już wolałem wrócić do karczmy, gdzie wszyscy się pchali, by blisko mnie usiąść. Tam, po kufelku, umiałem nadal wygłosić z pamięci całe niedzielne kazanie naszego plebana z Pustyni, wystarczyło, że wysączyłem piwo i słowa same wychodziły z pamięci w odpowiednim porządku, nawet rękami ruszałem jak nasz ksiądz. Cała izba karczemna się śmiała, wszyscy po plecach klepali, że nikt ich tak nie rozbawi, jak ja, i że jakim cudem słowo w słowo pamiętam, jakim cudem taki ze mnie mądrała.

Taki już byłem.

Michał Józwiak

Dnie galopowały jak klacz dziedziczki. Ledwie się obejrzałem, a już wieczór, ledwie się drugi raz obejrzałem, a już nadchodziła niedziela. Czasem myślałem, że dzień święty następuje za często. Wtedy dobrze tatula rozumiałem, że czasem po mszy do roboty poszedł. A Janek? Raz się w polu pojawił, raz nie, dopiero na żniwa go ściągnąłem, że jak nie przyjdzie, jeść do następnych żniw nie dostanie. Stawił się, choć sarkał, żał, choć się rzucał. Pewnie szybciej by mu szło, gdyby się bardziej skupiał na tym, co jest do roboty, niż na tym, że musi mnie słuchać. Ale ktoś rządzić musiał,

żniwa, żytnie i pszenne, jęczmienne i owsiane, na koniec gryczane wymagają planu. Ktoś musi pomyśleć, kiedy żąć, kiedy suszyć, kiedy zwozić, gdzie co wrzucać w stodołę. Ktoś musi o wszystkim zdecydować i wszystkiego dopilnować.

Ale wreszcie żniwa minęły, a i z młócką żeśmy się zaczęli obrabiać. Trudny czas, kiedy za koszulą co i rusz wymłócone plewy znajdujesz, kiedy spać trudno, bo kolczasta łuska pod pachą się zawieruszy. Czasem nawet nie miałem siły, żeby ją sobie wyjąć, bo zasypiałem strudzony i budziłem się swędzący. W żniwa ani w młóckę nie miałem sił zachodzić do Dorotki, ale kiedy wreszcie dożynki nadeszły, znowu zaczęliśmy wieczorami przepadać za stodołą i nad strugą, choć od Świętej Anki chłodne wieczory i ranki. Brałem jednak derkę czy kapotę i jakoś nam się udawało nie zmarznąć. Zresztą grzaliśmy się wzajemnie. Życie moje wyglądało tak, że praca i Dorotka, a potem czarna dziura snu.

– Chrapiesz – mówił Janek. – Spać przez ten warkot nie mogę.

Tatulo też kiedyś z utrudzenia chrapał, ta myśl mnie krzepiła, że w jego ślady poszedłem, bo to były dobre ślady. A że Janek ciągle mnie w łóżku trącał, nie warcz, mówił, i stukał mnie w nogę, ledwie zasnąłem, w końcu przeniosłem się na osobny siennik. Czy byłem na niego zły, że mnie z gospodarką samego zostawił? Byłem zły. Ale czasem i wdzięczny. Bo teraz mogłem zacząć rządzić samemu i nagle się okazało, że potrafię.

Teraz inni gospodarze zagadywali do mnie z szacunkiem. Kłaniali się, jak niegdyś ojcu, na targu, po kościele. Często pytali, jak mi się wszystko udało. Tylko patrzeć, jak o radę zaczął prosić, a największa to dla gospodarza pochwała. Już nikt, zem młokos, nie mówił.

Poza rządcą. Ten późno się spostrzegł, że tatula mojego zabrakło, bo widać nie do końca panował nad chłopskimi duszami. Zaraz jednak, kiedy się spostrzegł, wtargnął któregoś wieczoru do nas do domu i kazał Janka wołać, jako najstarszego. Mój brat akurat był nie wiadomo gdzie, jak zwykle zresztą. Przy stole siedzieliśmy tylko ja, matula, babka i dziadek Kostek. Rządca się rozejrzał i od razu w pierwszych, gniewnych słowach powiedział, że jeśli czynszu na czas nie zapłacimy, to na pańszczyznę wrócimy. Krzyczał, że dlaczego od razu nie zawiadomiliśmy, że gospodarz nie żyje, że nie ma komu gospodarką zarządzać, to rzeczy niewidziane. Ale ukryć tego i tak się nam nie udało, przecież się dowiedział! I żeby nie wiem co, do Świętego Marcina czynsz mamy spłacić, a jak nie, to koniec tego dobrego!

Przestraszyłem się, przez co słów znaleźć na odpowiedź nie umiałem. Głowę tylko spuściłem i w środku liczyć zacząłem, ile już na czynsz uzbieraliśmy i ile jeszcze uzbierać nam się uda. Kostek począł jakieś stare historyjki opowiadać, żeby zagłuszyć babkę, która zaraz chciała rządcy pyskować. Matula całkiem otwarcie zaczęła prosić o zmiłowanie, popłakując, bo od śmierci tatula płakała prawie codziennie. Nic z tego rządcy nie ułagodziło, przeciwnie, już był gotów zaraz nam kazać na pańszczyznę wracać, nawet do Świętego Marcina nie czekając.

Wtedy do chałupy wszedł Janek, przynosząc ze sobą zapach świata, czyli karczmy, piwa, machorki i kurzu z drogi. Najpierw się ucieszył, że taki znaczny gość nas nawiedził, naprawdę wydawał się zadowolony, nie przestraszony. Potem rządcę siadać poprosił. Sam rozsiadł się naprzeciwko, matulę po rękę pogłaskał, gorzałki kazał podać, i kiełbasa może się dla pana rządcy znajdzie.

– Nie przyszedłem tutaj jeść – wzbraniał się rządcą. – Przyszedłem tu pańskie wyegzekwować.

– I wspaniale! Wiadomo, że czynsz zapłacimy, jak co roku. Jak w zeszłym roku i dwa lata temu, niech się jaśnie pan rządcą nie martwi, czyśmy kiedy się z czymś spóźnili?

Podziwiałem, że tak umie, podziwiałem, że Janek ma tę pewność, że sobie ze spłatą poradzi. Skąd ją miał, skoro nic ku temu nie robił? W zeszłym roku nam się udało, aleśmy jeszcze szli po śladach tatula. W tym roku jednak, kiedy się niemal sam rządziłem, nie miałem żadnej pewności, że z wszystkim poradzę. Na szczęście Janek gadane miał, do stodoły rządcę poprowadził, pokazał, że zboża i siana po sufit. Nic o mnie rządcy nie wspominał. Zamiast tego tłumaczył, mówił, że on już młokosem nie jest, że nad wszystkim panuje, że niech się pan rządcą nie boi, czynsz na czas będzie. Potem wziął koszyk, z tych przez Kostka świeżo uplecionych, co to się w stodole suszyły, jajek dał rządcy tyle, że tamten ledwie uniósł, choć matula sykała, żeby niekoniecznie. Kiedy rządcą ułagodzony wyszedł, Janek wytłumaczył matuli, że lepiej dać znać, że u nas obfitość, a nie strach panuje, i że to taka sztuczka była.

– Sztuczka taka, że ani jaj na targu nie sprzedamy, ani jajecznicę prędko nie zjecie – martwiła się matula.

– Jajecznicę nieważna, kiedy można rządcę ułagodzić – odezwał się Janek.

Wtedy pomyślałem, że choć mój brat do roboty wrywny nie jest, to jednak z jego gadania coś czasem przychodzi. W tamtej chwili dużo mu wybaczyłem.

Ale do spania z nim na siennik nie wróciłem, bo już zasmakowałem w samodzielności.

Andzia Lewandoszczanka

Stało się. Ciągłe w to uwierzyć nie mogłam, ale się stało. Zaczęło się jednym wstydem, a potem przyszedł drugi, większy jeszcze. A przecież sobotni wieczór mijał jak zwykle, ojciec krzychał, żeśmy leniwe, że Dorotka się śmieje za dużo, a wszystkie śpiewamy niepotrzebnie, potem nadszedł czas bicia. Tego dnia ojciec mnie pierwszej kazał na ławę się kłaść. Pierwsze razy bolały najgorzej, potem już uciekałam z bitego ciała, myśląc o wszystkim, co w życiu przyjemne, czyli głównie o nagim Michale, takim, jakim go nad strugą wtedy widziałam, a matula i siostry krzychały:

– Tatulu, poniechaj już Andzi! Poniechaj! Ona przeprasza i dziękuje!

Ojciec jednak nie ustawał.

Nikt przez to nie usłyszał, jak stuknęły drzwi od chałupy, jak ktoś od drzwi zawołał: „Sąsiedzie!”, tylko do mnie jakimś cudem dotarło.

– Tatulu! – wyjąkałam z głębin swojego poniżenia.

– Dziękować będziesz?! – ucieszył się ojciec.

– Ktoś przyszedł.

Ojciec, nie opuszczając rzemienia, ku drzwiom się odwrócił, matula z siostrami umilkły. W progu stał Michał Józwiaków i patrzył na nas ze zgrozą.

Zaraz zerwałam się z ławy, obciągnęłam koszulę, żeby sąsiad mnie takiej nie widział. Ojciec jednak nadal stał z uniesionym rzemieniem i wcale w nim złość nie malała, przeciwnie.

– Poniechajcie jej, sąsiedzie – powiedział Michał, a piękny był w tym i dostojny jak archanioł.

– A tobie co do tego?! Jeszcze tak nie było, żeby podrostki moje dzieci wychowywały! – huknął ojciec.

– Andzia już nie dziecko. Nie wypada takiej dużej dziewczyny bijać.

Wtedy ojciec opuścił i rzemień, i dolną szczękę, przez co po raz pierwszy tego wieczoru nie wyglądał groźnie, lecz głupio. Dorotka na ten widok rozchichotała się i nie umiała przestać, choć wszystkie na nią sykały, a ojciec piorunował spojrzeniami. Matula zatkała jej w końcu usta, ale śmiech wydobywał się stamtąd parsknięciami. Ja jednak myślałam tylko o jednym: obronił mnie! Michał mnie obronił! Mój królewicz, jak z bajki! Mój, teraz się nie wyprze!

Ojciec usta wreszcie domknął, by je zaraz otworzyć ze słowami:

– Ty mi się, chłystku, do spraw domowych nie wtrącaj!

– Dobrze sąsiad mówi – odezwała się nieoczekiwanie matula. – Dzicioki co tydzień rzemieniem smagasz, aż w sąsiedztwie słyhać, może i hałas z tego na wieś całą, prawda, sąsiedzie?

Michał głową skinął.

– Tylko wstyd i zła sława przez to, bo wszyscy myślą, że mamy leniwe córki, skoro je tyle bić trzeba.

Nigdy nie słyszałam, żeby matula tak odważnie przy ojcu gadała.

– A ty cicho, kobieto! – wrzasnął ojciec. – Po coś tu przylazł, młokosie? Ojciec was odumarł i już zapomnieliście, jak należy rozmawiać z sąsiadami?!

Michał Józwiak

Po co przylazłem? Bo nagle poczułem, że już dłużej tych cotygodniowych wrzasków nie wytrzymam, po to właśnie. Wtargnąłem do środka bez żadnego planu. Już usta otwierałem, żeby Lewandowskiemu powiedzieć dużo do słuchu, ale zaraz je zamknąłem. Nagle zrozumiałem bowiem, że przez to na wieki nas z sąsiedztwem zza płota skłócę. A właśnie sąsiedzkie to najgłupsza rzecz na świecie! Janek pewnie by się jakoś z tego najścia Lewandowskich wyłgał, ale ja umiałem tylko gadać szczerze albo milczeć, to drugie zresztą robiłem częściej. Rozejrzałem się po izbie, spojrzałem na krztuszącą się od śmiechu Dorotkę i nieoczekiwanie wypowiedziałem zdanie, które na zawsze zmieniło moje życie.

– Sąsiedzie, przyszedłem, bo... bo... chciałem spytać, czy mogę do was przysłać swatów.

– Co?! – zdziwił się Lewandowski. Jego żona aż westchnęła, dziewczuchy zamarły. Sam nie wierzyłem, że coś takiego wyszło z moich ust. Ja i ślub?!

– Twój brat chce do nas swatów słać?

– Janek? Nie. Nie Janek. Ja chcę.

– Ty, młokosie?

– Może i młokos, ale to ja prowadzę naszą gospodarkę, odkąd tatula zabrakło.

Sąsiad znowu gębę rozwarł.

– Do Andzi chcesz słać?

Obie, Andzia i Dorotka, drgnęły jak smagnięte batem. Też się zdziwiłem. Andzia?! Spojrzałem na nią. Koszulę na udach obciągała, zerkąła na mnie zarumieniona, przypomniało mi się, jak o niej marzyłem, jak o niej śniłem i jak się ze mnie śmiała. Na początku Dorotka była tylko dlatego, że jej starsza siostra nie chciała mieć ze

mną nic wspólnego. Przesunąłem spojrzenie na Dorotkę. Jeszcze dusiła w sobie resztki tego skowronkowego chichotu. Kryła roześmianą twarz za dłońmi, spoglądała na mnie spomiędzy palców odważnie i z radością. Teraz, kiedy o miłości myślałem, widziałem tylko jej nieduże piersi z ciemnymi sutkami, białe plecy z dwoma dołeczkami u dołu. Andzia? Nie, już nie.

– Do Dorotki, sąsiedzie. Od odpustu floriańskiego mamy się ku sobie.

– Prawda to? – zdziwił się Lewandowski.

Dorotka znowu zachichotała.

– Prawda to, smarkulo? Nie za młoda na takie rzeczy jesteś?! Najstarsza powinna pierwsza za mąż wyjść! Sąsiedzie, to jeszcze smarkula, podfruwajka, ta nasza Dorotka, sam widzisz.

– Tylko rok od Władki młodsza jestem!

I wtedy z izby wybiegła Andzia, trzasnęła drzwiami, znikając gdzieś w podwórzu.

– Ślij swatów, Michale, skoro tak postanowiłeś – powiedział Lewandowski. I dodał, już z szacunkiem należnym dorosłemu: – Ślijcie, sąsiedzie.

I rzemień na ścianę odwiesił. Nieswój, zadziwiony tym, co się stało, obróciłem się, żeby wyjść z sąsiedowej chałupy.

– A ty dokąd, podfruwajko? Nie jesteście jeszcze po słowie! – osadził Lewandowski w miejscu Dorotkę, która już się wybierała iść za mną.

Kiedy wyszedłem na podwórze, usłyszałem z sadku na tyłach obejścia Lewandowskich Andzine szlochanie. Już nic z tych dziewczuch nie rozumiałem.

Andzia Lewandoszczanka

– Nie chciałaś Michała, sama tak mówiłaś – napadłam Dorotkę zaraz na drugi dzień, kiedyśmy poszły z wiadrami do sokołowskiej studni.

– Niby nie.

– Niby?!

– To ty go nigdy nie chciałaś.

– Nieprawda!

Druga moja siostra wyjdzie z domu, a tymczasem ja, której najbardziej na tym zależało, mam tu siedzieć dalej, wszyscy będą myśleć, że jestem jakaś felerna. I zaczęłam płakać.

– Oddać ci go? – spytała.

Ale Michał to przecież nie motyczka, żeby ją można sobie oddawać.

– Janka weź, zawsze go chciałaś – dodała.

Janek też nie motyczka, a poza tym wcale już o nim nie myślałam.

– Mówiłaś, że nie chcesz za płot mieszkać iść. Mówiłaś, że Michał pryszczaty i nudny.

– I po co mnie słuchałaś?

Tonęłam od stóp w nieszczęściu jak w bagnisku, przez to już celu ani sensu nie widziałam w niczym, tak było.

Michał Józwiak

Nie wiedziałem, jak powiedzieć w domu, że się żenię w osiemnastej wiosnie życia. Jakbyśmy mało jeszcze mieli kłopotów i zmian. Nową gębę do wyżywienia do domu ściągać, skoro nie wiadomo, przy tej gospodarce bez ojca, czy dla nas samych starczy, kiedy czynsz

spłacimy? Jeśli spłacimy. Tamtej soboty działałem pod wpływem chwili, ale teraz nadeszła niepewność. Więc milczałem. Uciekałem w pole przed myśleniem. Kostka ze sobą brałem i wdzięczny byłem, że bez ustanku opowiada te swoje bajedy, że jak kapustę zasadzę, to na miedzę obok muszę kamień duży przykulać, wtedy głowy będą też takie twarde i duże.

W sobotę, jak co tydzień, mieliśmy w domu mycie, żeby się godnie prezentować w kościele nazajutrz. Matula z babką kilka wiader wody od studni naniiosły, ugrzały na piecu i tak żeśmy się czyścili od góry do dołu w cebrzyku. Na koniec nogi, bo te najbrudniejsze.

– Ale dziwne – powiedziała nagle matula. – Nie słychać krzyków ani razów od Lewandowskich.

Wszuchaliśmy się wszyscy. Faktycznie.

– Dziwne to i nie wiem, czy dobre – odezwał się zaraz dziadek Kostek.

I zaczął opowiadać, że bicie dzieci jest konieczne, jeśli się chce je wychować na ludzi, należy jednak to czynić z umiarem, żeby upomnieć, ale nie okaleczyć. Dziadek zawsze się z gadaniem rozpędzał i potem już mówił bez ustanku. Teraz też mówił o wsi, w której wszyscy chłopci byli wyjątkowo źli i dzicy, i wszyscy się zastanawiali dlaczego. Dopiero jeden mądry zrozumiał. Otóż w okolicy nie mieli lasu, a skoro drzew nie było, zabrakło też prętów. I dlatego nikt z nich nie karcił dzieci złych i zuchwałych. Tak się właśnie kończy wychowanie bez bicia, mówił Kostek. Źle się kończy, sąsiad więc dobrze robi, że córki karci. Może nieco za długo i za mocno, choć to jego córki i jest w prawie.

Już nie mówiłem dziadkowi, że ojciec nas, mnie i Janka, nie bił, czasem się tylko zamierzył, ale z gniewu pięścią w drugą dłoń walił, więcej nic. I już nie dodałem, że w końcu, po tych wszystkich sobotnich wieczorach, kiedy słuchałem krzyków i płaczów z sąsiedztwa, tydzień temu poczułem się wystarczająco mocny, żeby te dziewczyny obronić.

Już Janek się mył pod pachami, po nim ja być miałem, wszystko według starszeństwa. Dziadek Kostek zamilkł, bo właśnie sobie przystrzygał wymytego wąsa przy lusterku, matula czekała z nożycami od owiec i donicą, żeby mu włosy równo obciąć, kiedy drzwi skrzypnęły i rozległo się z sieni: „Pochwalony”. Wszedł Lewandowski.

Wsunąłem się głębiej w cień.

Okazało się, że zamiast bić córki, sąsiad przyszedł do nas, upomnieć się, kiedy przyślemy swatów. W czwartek czekali, nikt się nie pojawił. A dziewczuchy aż nosi i trudno z nimi wytrzymać.

– Janek chce się żenić?! – zdziwiła się matula.

– Ja?! – zdziwił się Janek.

– On?! – zdziwił się Lewandowski.

– A więc kto? – zdziwił się dziad Kostek.

– Michaś! – ucieszyła się babka.

Matula wpatrzyła się we mnie, jakby mnie zobaczyła po raz pierwszy w życiu. Potem przeniosła spojrzenie na Janka, który siedział z dziwną miną w kącie. I tak wodziła spojrzeniem od Janka do mnie i z powrotem. Lewandowski umilkł, niepewny, o co chodzi. Wreszcie się odezwał:

– To jak będzie, sąsiedzi? No i Andzia czy Dorotka? Bo obie by chciały...

– Obie by chciały za Michasia iść?! No, no – zagwizdał Kostek.

Janek wstał, do Lewandowskiego podszedł.

– Jak to, sąsiedzie, Andzia? A ona nie miała się ku mnie?!

– Może i się miała, ale teraz chce za Michała. Dorotka też, utrapienie z tymi córkami. Ale Andzia starsza, to i przychodzę pytać.

Janek wpatrywał się w sąsiada. Oczy mu ogromniały, czoło się marszczyło, wreszcie wybiegł z chałupy.

– A temu co?! – spytał niedomyślny Lewandowski.

Matula nabrała powietrza, wypuściła, spojrzała na babkę, Kostka, na koniec na mnie, a potem spytała, czy to wypada najpierw młodszego żenić.

– Ale, matulu, gdybym czekał, aż Janek się ożeni, mógłbym się do śmierci nie doczekać!

– Óóóó, nigdy nie mów głośno o śmierci! – syknęła matula. – Złe wywołasz, ono tylko czeka!

– Michał, naprawdę chcesz ślubu? – spytał poważnie dziadek Kostek.

Czy chciałem?

– Michał, gadajże, bo wstyd przecież przed sąsiadem! – zdenerwowała się matula.

– Swatów słać będę. Ale nic na łapu-capu, sąsiedzie. Muszę do tego zadania kogoś godnego poprosić, bo przecież nie wujów kowalczyków po tym wszystkim.

Lewandowski się stropił. A ja wtedy poznałem moc słów dobrze dobranych, poznałem ich siłę, zupełnie jakbym w Janka się przemieniał, i było to przyjemne.

Andzia Lewandoszczanka

Dorotki już ojciec w sobotę nie śmiał tknąć, my oberwałyśmy tylko po razie, nawet nie zdążyłam poczuć, na podziękowania też nie czekał. Ale i tak życie stało się trudniejsze. Bo nie to, że Dorotka się puszyła, ona kwitła. Gdyby to była jakakolwiek inna dziewczyna, życzyłabym, żeby ją pokręciło, ale Dorotkę kochałam. Teraz, po zrękowinach, matula z ojcem w ogóle jej nie pilnowali, znikwała prawie co wieczór, by wrócić, kiedy wszyscy już spali. Wsuwała się potem pod moją pierzynę, bo kiedy Władki nie stało, ona poczęła ze mną sypiać, pachniała czymś obcym i magicznym. Szczęściem. Śniłam przy niej, że nie jestem sobą.

Michał czekał na nią przy płocie, a potem szli z Dorotką po obu stronach, dłoń przy dłoni nad sztachetami, i gapili się w siebie tak, że nieraz moja siostra w jakąś kałużę wdepnęła czy błoto. Wtedy tylko się śmiała tym swoim dzwoneczkiem, stopy otrzepywała i szli do siebie dalej. Odprowadzałam ich wzrokiem i czułam, że nieszczęście wypełnia mnie po wręby i że zaraz się przez to wywróćę. Szłam potem na wszelki wypadek w inną stronę, niż tamci zniknęli, i czekałam mroku, wtulona w matkę ziemię, czekałam mroku, żeby mnie okrył miłosierną kołdrą i pomógł zapomnieć. Ale zamiast zapomnienia wilgotniały mi tylko plecy od rosy. Czasem słyszałam tuptającego jeża, czasem szelest zaskrońca, kury wierciły się w kurniku, kot mościł się w stodole, pies w budzie, wolałabym być każdym z nich, byle nie sobą. Z oddali niósł się po rosie śmiech Dorotki. Niech przynajmniej jej będzie dobrze, powtarzałam, zaciskając dłonie w pięści.

Nie chcieli spieszyć się ze ślubem, Michał upierał się, że nie prędzej niż po Świętym Marcynie, kiedy już spłaci tegoroczny czynsz. Jeszcze i to, myślałam, jeszcze do tego jest rozsądny, taki z niego chłopak cały udany. Jakim cudem nie zauważyłam tego przedtem?

Dzień płacenia czynszu był najtrudniejszy w całej wsi, najwięcej się wtedy piło, najwięcej obrywały z tych nerwów żony, dzieci, psy, nawet krowy patykami po chudym tyłku dostawały. Nasz rządca ustalił go właśnie na Święty Marcin, o tej porze roku dorobić mogliśmy tylko masłem, śmietaną, serem, bo z pola, z sadu, z warzywnika niewiele już można było wziąć. Liczyliśmy te pieniądze i liczyliśmy, z liczeniem marnie było. Poukładaliśmy tuzin przy tuzinie i ojciec ciągle sprawdzał, czy wszystko dobrze, i ciągle mu brakowało, ale jak inaczej ułożyliśmy, wydawało się, że starczy, i w końcu już nikt nic nie wiedział. Nie patrzyłam, jak się ojciec po domu miota, jak mu matula spod nóg rzeczy usuwa, żeby się jeszcze bardziej nie pogniewał, jeśli się potknie, jak w stół wali pięścią i tylko patrzeć, jak ta pięść na którejś z nas wyląduje. Zapakowałam do koszyka całe masło, jakie trzymaliśmy na dworze w garnku z wodą, żeby się nie popsło i żeby łasice nie ukradły, twarogu żeśmy z siostrami zrobiły, aż w całej izbie pachniało serwatką, odcedziłam na szmatce, zawinęłam w płócienco, w koszyk wsadziłam, nogi owinęłam płótnem, łapcie słomiane, co mi dziadek Józwiaków w darze wyplótł, na stopy nadziałam, na ramiona chusta ciepła wełniana, na głowę druga, i pobiegłam do Izbicy, żeby posprzedawać na szybko, żeby ojciec mógł się doliczyć i żeby tak nie szalał po domu, że aż małe z podkówkami na buziach po kątach się kryły.

A potem szliśmy do dworu wszyscy grupą, nasi i Olędry, w kupie różnie, mówili. Olędry też pewnie powtarzały to po swojemu, w każdym razie szli wszyscy, każdy w woreczku czy w szmatce swoje ruble ścisnął. Naszemu ojcu przed wyjściem nic nie pasowało, wyrzekał, pokrzykiwał, pięścią w stół wyrznął raz czy dwa, bo jego zdaniem mama za wolno śniadanie szykowała. Ciekawe, czy nas przed wyjściem stłucze jeszcze na dobry humor, spytała Dorotka i zachichotała mi do ucha, ale ojciec usłyszał i zgromił ją spojrzeniem.

I wreszcie, jakimś cudem, rządcą powiedział, że z tymi maślanymi pieniędzmi starczy, jeśli jeszcze miodu i jajek doniesiemy. Potem po wsiach miodu szukałam dla rządcy, ale żem w końcu znalazła. Ojciec, kiedyśmy już wszystko, co trzeba, rządcy oddali, poszedł do karczmy, zaraz się w karczmie innymi czynszownikami zapełniło i długo w noc niosły się stamtąd śpiewy i okrzyki, a myśmy śpiewały w domu, bo kiedy ojca nie było, mogłyśmy to robić spokojnie. Śpiewałam, patrzyłam na Dorotkę i myślałam, że właśnie z Michałem dali na zapowiedzi, jutro w kościele je wygłoszą po raz pierwszy i po trzech niedzielach Dorotka zostanie żoną mojego Michała. Nie wolno mi o nim myśleć „mój”, powtarzałam sobie, ale samo się myślało, i samo się śniło po nocy. Śniłam, że tym razem ja go uczę, jak być z kobietą, ja go uczę na różne piękne sposoby, jak się miłować, a po każdej takiej nocy budziłam się cała gorąca, z szybkim oddechem i wielkim niedosytem, biegłam do wiadra i z chochelki piłam wodę wielkimi łykami, ale za mało jej było na ten pożar we mnie.

– Co ci? – pytała Dorotka.

I co jej miałam odpowiedzieć?

W następną niedzielę gościliśmy Józwiaków z za płota, już zaraz przecież mieliśmy się stać rodziną, a myśmy, Dorotka zwłaszcza, miały pokazać, jakimi dobrymi gospodyniami jesteśmy. Matula jeszcze pouczała, że mamy też mało jeść i pić, a kiedy któreś z Józwiaków zapyta dlaczego, trzeba odpowiadać: „Jestem syta, ja w ogóle mało jem”. Wtedy przyszły mąż, jego rodzice, ucieszą się, że dziewczucha się okazała mało wymagająca.

– Tak rób, Dorotko – powtarzała matula. – I ty, Andziu, też.

– Ja? Dlaczego ja? – zdziwiłam się.

Kiedy jednak kazali mi usiąść przy stole obok Janka, zrozumiałam, o co chodzi, jemu też dużo nie zajęło, żeby zrozumieć, zaraz uśmiechnął się do mnie krzywo, ale wiele nie gadał, zupełnie jak nie on. Raz w życiu oboje chcieliśmy tego samego, a właściwie tego samego nie chcieliśmy, i wcale mnie to nie cieszyło, bo oboje gapiliśmy się na Michała i Dorotkę, jak szepczą coś do siebie, jak uszy im od tych szeptów czerwienieją, moja siostra co chwila wybucha zaraźliwym śmiechem, a jej narzeczony się rumieni. Jak mogłam kiedykolwiek pomyśleć, że nie ma w nim nic ciekawego?! Głupia byłam, głupia, głupia! Podniosłam się z za stołu, statki zebrałam, w cebrzyku ułożyłam, ale zamiast myć, wybiegłam płakać do stodoły. Tam w końcu zasnęłam, śnił mi się Michał i pachniał sianem, słomą pachniał i wszystkim, co dobre.

Janek Józwiak

Znowu zacząłem żartować pod kościołem, wystawać pod płotem, lepić bałwana, rzucać śnieżki na gromadzkim pastwisku, zbierać wokół siebie dziewczuchy, olęderskie też chichotały, zwłaszcza kiedy próbowałem wymawiać ich imiona, jak Derkie czy Jilke. Niektóre

Olęderki były podobne do mojej Władki, też duże i płowowłose, ale serce mi się do nich rwać nie chciało, choć się starałem. Patrzyły na mnie łakomym wzrokiem, wieczorem śnieżkami żeśmy się rzucali, zjeżdżaliśmy z górki na workach z sianem, śmiechu było co niemiara, ale jakoś zamierał we mnie, kiedy pojawiał się Michał ze swoją Dorotką, kiedy objęci zsuwali się z górki na wypchanym worku, kiedy turlali się po śniegu i robili w nim orły, rumiani, weseli, zadowoleni z życia. Wtedy już ciągnąłem Dirke do stodoły, chciałem pograć się w jej dużym ciele i zapomnieć o wszystkim, ale choć się tuliła, chichocząc, to do środka nie wpuściła, ojczec mój groźnym jest, powiedziała, i tak zostałem na tym ich zastodolu, rozdrażniony, rozgrzany, niezaspokojony i bardzo nieszczęśliwy.

Chodziłem do karczmy, bo miałem w tym ważny cel. Byłem bowiem pewien, że jeżeli się wreszcie dowiem czegoś o Władce, to właśnie tam, gdzie razem z ludźmi przybywają wieści ze świata. Ciągle więc czekałem, aż pojawi się ktoś nowy z daleka i powie, że widział Władkę. Co noc spać szedłem z nadzieją, że zdarzy się to jutro, ta nadzieja przy życiu mnie trzymała, ta nadzieja kazała mi do karczmy zaglądać. Nikomu o tym nie mówiłem, tylko raz się zwierzyłem dziadkowi Kostkowi. A ten, zamiast pochwalić, zakpił, że ułudą żyję i że drogo ta ułuda wychodzi. Ale co on tam rozumiał.

Michał chciał zrobić ślub na drugi albo trzeci dzień Godów. Ja wolałem, żeby stało się to na święty nigdy, ale im się zaczęło spieszyć, jakby już od wiosny w krzaki nie chodzili, ale może zimą z tymi krzakami trudniej, no więc zaraz świniaka trzeba było zarznąć i zacząć szykować wesele. Z tego wszystkiego najczęściej znikałem w karczmie, po spłaceniu czynszu wszyscy chętniej

stawiali piwo czy gorzałeczkę, a i karczmarz częściej na krechę dawał.

Hanka Józwiakowa

Uwielbiałam tę dziewczynę, wszyscyśmy ją uwielbiali, bo Dorotka była jak słońce, naprawdę. Nie narzekała na nic, śmiała się tylko, a w naszego Michała patrzyła jak w obraz, za to tylko bym ją pokochała, że się na moim młodszym wnuku poznała. Przy niej rozkwitł, przy niej się wzmacnił, widziała w nim to, co i ja od zawsze widziałam, i niewiele kto poza nami, bo i Szczepan, i Zośka zawsze starszego syna chwalili i za przykład stawiali, a tymczasem w godzinie próby to młodszy się spisał jak złoto, spisał się pięknie, nie zawiódł.

Sańmi jechaliśmy na ślub, z paradą, z dzwoneczkami, Michał zaprzągnął, jak jego ojciec zaprzęgał do kościoła w największe święta, w dwa konie. Nawet z Dorotką kobyłom wstążeczki w grzywy wpletli, tacy byli ucieszeni, że chcieli cały świat upiększyć, żeby i w mróz było na dworze kolorowo. Śmialiśmy się wszyscy, kiedy wplatali makowe wstążeczki w grzywy naszych kasztanek. Już nawet przez chwilę o niczym złym nie myślałam, na kilka zdrowasiek zapomniałam o śmierci mojego jedynego syna, Szczepana, o Jaguni też zapomniałam, dumałam o samym dobrym, bo jakoś samo dobro do człowieka przy Dorotce przychodziło.

Ja o Jaguni przepomniałam, ale ona nie przepomniała o nas.

Bo właśnie przez te radosne wstążeczki złe się stało.

Akurat w las wjechaliśmy w drodze do kościoła, na gościńcu wiatr zawiął od tyłu, jedna z kobył naraz łbem rzuciła i wtedy pewnie wstążeczka się jej w grzywie rozplątała, a kiedy zafurczała kobyłę

przy oczach, zwierz się zestrachał, poniósł, jakby był źrebakiem,
sanie z drogi zjechały, zarzuciły, o drzewo grzmotnęły, krzyk,
rżenie, cisza.

Bardzo cicha cisza, bez oddechu.

Część czwarta. Rok 1857, czas spotkań z duchami

Europę i Stany Zjednoczone opanowała moda na spirytyzm, w organizowanie kontaktów z duchami zaczyna angażować się mnóstwo osób ze średnich i wyższych sfer, wiele z nich nawet znajduje naukowe, eleganckie uzasadnienia fenomenu. W końcu skoro można przekazywać ludzkie myśli z kontynentu na kontynent za pomocą telegrafu, to dlaczego niemożliwe miałyby być przekazywanie myśli z zaświatów za pomocą mediów? Żeby rozmowa z duchami się udała, wystarczy spełnić kilka warunków, wyszczególnia je amerykański pastor Hiram Mattison. Uważa on, że uczestników seansu spirytystycznego wraz z medium powinno być dwanaścioro, jeśli znajdą się jacyś sceptycy, należy ich rozsadzić między entuzjastami, a cały seans powinien odbywać się w zupełnych ciemnościach. Jeśli jeszcze znajdziemy odpowiednio wrażliwe medium, bez trudu uda się porozmawiać z zaświatami. Jakie duchy są skłonne rozmawiać z nami? Przeróżne. Inny teoretyk spirytyzmu, Alan Kardec, dzieli duchy, które tłumnie odwiedzają ziemię, wprawiając w ruch wirowy stoliki, na niedoskonałe, dobrodusze i czyste. Wśród tych niedoskonałych wyodrębnia nieczyste, lekkomyślne, stukające i niepokojące. Duchy z zapamiętaniem próbują się zmieścić w tych kategoriach, te miejskie przynajmniej. Na wsi jednak ani te kategorie, ani zasady nie obowiązują. W Sokołowie i okolicach duchy nie potrzebują bowiem żadnych seansów ani mediów, żadnych stolików ani tabliczek, bo same głośno domagają się uwagi i energicznie pchają się z powrotem na ziemię. Topielcy wołają ze stawów, dusze

nieochrzczonych dzieci z za muru cmentarza, a duch samobójczyni, która powiesiła się na własnych warkoczach, nie ma zamiaru odstąpić od rodziny Józwiaków...

Hanka Józwiakowa

Nie chciałam pamiętać tamtego dnia, ale te obrazy podchodziły mi pod oczy w chwilach, kiedy byłam najbardziej bezbronna. Przed zaśnięciem albo w kościele, gdy ksiądz niezrozumiale mamrotał przy ołtarzu, zaraz przypląwała mi przed oczy Dorotka, leżąca w śniegu, skulona jak ptasie gniazdeczko, biała jak ten śnieg dookoła, z plamą krwi przy skroni, ze strumykami krwi z nosa. Kiedyśmy uspokoili kobyłę po tym, jak poniosła, wyplątali się z lejców, wygramolili z sań, zaraz Michał do narzeczonej przyskoczył, dotknął jej policzka i zaraz cofnął dłoń, jakby parzyła. Podeszłam, sprawdziłam. Jej skóra nie parzyła, przeciwnie.

I na to dotknięcie pomyślałam o innej martwej dziewczynie, o Jaguni. I zrozumiałam, że wcale nie odeszła tak cicho, jak się wszystkim wydawało. Jagunia ciągle pamiętała o naszej rodzinie i właśnie dawała nam o tym znać.

Kiedyśmy Dorotkę podnieśli z ziemi, Michał upadł w dołek, który zostawiło jej ciało, i leżał tak, zwinięty, z twarzą w dół, nie chciał wstać, wcale. I może leżałby tam nawet do dzisiaj, gdyby go w końcu Janek z Lewandowskim nie zanieśli do domu.

A w domu na ławie leżała Dorotka w swoim ślubnym stroju, który miał stać się jej strojem do trumny, Michał tylko zerknął na nią i zaraz legł w łóżku, które miało stać się ich małżeńskim. Leżał, nie płakał, nie gadał, na ludzi nie patrzył, wzroku nie podnosił, aż dwa

dni po pogrzebie wstał i milcząc, poszedł z domu, wrócił dopiero po ciemku i nijak nie wiadomo było, co robił, skoro grudzień był i śnieg wszędzie leżał.

Wszyscy chcieliśmy go pocieszyć, a już Andzia Lewandoszczanka najbardziej, sama w żałobie po siostrze, popłakująca, jednak ciągle do Michasia przychodziła, tuliła go, zagadywała. Nie opierał się, ale i wcale jej nie zachęcał, jakby mu było zupełnie wszystko jedno. W końcu to Andzia powiedziała, żeby się pobrali, bo Michał żony potrzebuje, a ona tą żoną chce mu być. Mój wnuk nic nie odpowiedział, ale się też nie sprzeciwił. Poszedł, gdzie go poprowadziła, ksiądz ręce im stułą związał, pobłogosławił w kościelnym języku. Weseliska nie wyprawialiśmy, bo wszyscy byliśmy w żałobie. Poza tym pieniędzy nijak nie było, jużemy się na ślub wykosztowali i to wesele, których nie było, a potem na pogrzeb, bo wiadomo, że ten w kościele potrafi być i ze dwa razy droższy niż ślub. Wszystko zrobiliśmy godnie, jak trzeba, z Lewandowskimi po połowie, więc na ten ślub Michała z Andzią wiele nam nie zostało.

I tak, po tym skromnym, prawie niewidzialnym ślubie, Andzia przeniosła się do naszego domu i z Michałem w jednym łóżku legła. Mieli całą izbę dla siebie, bo Zośka ze spaniem przeszła do kuchni, a Janek przeniósł się do naszej izby, znaczy do mnie i do Kostka. Andzia zrazu wydawała się zadowolona, że dopięła swego, że poślubiła Michała, włosy kwiatami stroiła, podsuwała mężowi najlepsze kąski, całowała go, zagadywała. Co on na to? Ano nic. Wychodził o świtaniu, wracał po zmierzchu, mało co jadł, mało na nią patrzył i prawie się nie odzywał. Choć chyba się troszkę

miłowali, bo w jakiś czas potem Andzia była już przy nadziei, a żadnej więcej nadziei niestety u nas w chałupie nie było.

Andzia Lewandoszczanka

Po śmierci Dorotki strasznie płakałam. Boże, jak ja tęskniłam za moją skowronkową siostrą, takie dziewczyny nie są przeznaczone do umierania, tylko do życia, do śmiechu, do zabawy. Dorotka była samą radością, a nie tym bladym zimnym chudym ciałem, które zamknęliśmy w sosnowej trumnie i wynieśliśmy z domu nogami do przodu, na cmentarz. Płakałam po niej i płakałam za czasami, gdyśmy jeszcze wierzyli, że ten najgorszy los może dotknąć wszystkich, ale przecież nie nas, dobrych ludzi.

W końcu jednak wytarłam oczy, schowałam wstyd do kieszeni i zapukałam do Józwiaków.

Michał bardzo się zdziwił, kiedy poprosiła, żebyśmy się na wzajemną pociechę pobrali.

- Ale ja miłuję Dorotkę.
- Wiem, ja też.
- Nie przestanę.
- Ja też.
- I nie wiem, czy kiedykolwiek pokocham ciebie.
- Pokochasz.

Żeby przypieczętować obietnicę, pocałowałam go mocno, ale trwał pod tym pocałunkiem jak chłodny kamień. Jeszcze cię rozgrzeję, obiecałam wtedy sobie i jemu, zakochana i uparta.

Potem z rzadka zdarzały się chwile, kiedy wydawało mi się, że go rozgrzałam, ale zaraz potem odwracał się do mnie tyłem i zasypiał.

Płakać mi się chciało, ale wstrzymywałam łzy – przecież sama chciałam tego ślubu.

Kiedym po raz pierwszy weszła do domu Józwiaków, gdzie dym nie stał w górnej połowie izby, jak u nas, i nie trzeba było się pochylać, by zaczerpnąć powietrza, poczułam się jak w pałacu z bajki, a nie w chłopskiej chacie. Piękny, duży dom z kominem i wymarzony królewicz Michał u mojego boku, taka byłam wtedy głupia.

Staralam się o Michała, Matka Boska mi świadkiem, jak bardzo się starałam o serce mojego męża. Uciekałam się do niezawodnego sposobu, którego używały młode panny, kiedy chciały co udatniejszego chłopaka sobie złowić: myłam twarz mlekiem, które później dawałam Michałowi do wypicia. Dzień w dzień, wracając po dojeniu z obory, przemywałam twarz i odlewałam tę porcję mleka do garnuszka. Mój mąż pił, jak wszystko, co mu podawałam, nic się jednak w nim nie zmieniało. No to kiedy nadszedł czerwiec, zaczęłam smarować twarz rozgniecionymi poziomkami, zmywałam je, zanim do domu wrócił, policzki mi jaśniały, czułam to, nawet babka Hanka i dziadek Kostek chwalili, zem śliczniejsza niż zwykle, śpiewałam z tej radości, czekając na męża. Michał jednak nic nie zauważał, choć kręciłam się po izbie tak, żeby koniecznie na mnie musiał spojrzeć. Ani nie patrzył, ani się nie odezwał, a mnie śpiewać się odechciewało, odechciewało mi się gnieść poziomki i mlekiem twarz płukać, odechciewało mi się wszystkiego, poza leżeniem w łóżku i wpatrywaniem się w powałę.

Bo teraz dopiero zaczynałam rozumieć, że ani to pałac, ani żaden królewicz. Michał był milczący, gburowaty, pochylony, dobrego słowa nigdy mi nie powiedział, co tam dobrego, żadnego słowa do

mnie nie mówił. Byłam sama, nawet kiedy spaliśmy w jednym łóżku, gdzie po ciemku mogłam marzyć, że Michał nie tylko leży obok mnie, ale i o mnie myśli. Miałam jednak pewność, że bez przerwy myśli o Dorotce.

Matula zachodziła do mnie czasem w gości, choć nie za często i nie na długo.

– Dobrze ci tutaj, dobrze, prawda?! – dopytywała z mocnym pragnieniem, bym potwierdziła.

Jak miałam jej się żalić?

Przychodziły też moje młodsze siostrzyczki, ciekawe wszystkiego. Przyglądały się piecowi z kominem, otwieranym oknom, pełnej komorze. Potem zagadywały:

– Andzia, powiedz: mocno Józwiaki biją w soboty?

– Wcale nie biją.

Dziwowały się bardzo. Wtedy ja pytałam:

– A ojciec? Nic wam z biciem nie odpuścił?

– My mu od razu za wszystko dziękujemy, to i szybko przestaje.

A Basia to nawet i popłacze, dlatego ją już zupełnie krótko biją.

No i jak miałam im się skarżyć?

Ojciec przy płocie wystawał i patrzył, jak sobie w nowym miejscu radzę, gapił się na nasze obejście jak na jasełka, więc kiedy zdarzyło mi się przystanąć na chwilę, żeby się choćby w plecy podrapać, pokrzykiwał, żebym się nie leniła, bo im wstyd przyniosę. Zamierałam wtedy jak kura z głową na pieńku, ruszyć się nie mogłam. Na to wychodziła moja teściowa, przytulała mnie i odkrzykiwała do ojca, że ja już Józwiakowa, a nie Lewandoszczanka, że teraz jestem ich i że to oni mnie pilnują.

Ojciec brwi marszczył, niezwykajny, że baba na niego krzyczy, a mnie to dziwnie cieszyło.

To były te lepsze chwile.

A te zwyczajne wyglądały tak: Michał wstawał o świcie, zaraz i ja się podrywałam, żeby dać mu jeść, ale nawet za stołem nie siadał, tylko po drodze w pole pogryzał chleb i ser. Do domu wracał dopiero pod wieczór, zgarbiony od harówki. Przelewała się we mnie czułość dla niego, było jej we mnie mnóstwo, więc to go pogłaskałam, to się do niego przysunęłam, ale ciągle było tak, jakbym próbowała kamień rozgrzać.

Reszta Józwiaków? Różnie. Z teściową dobrze nam szło w tych wszystkich szybkich: obierz, pokrój, zamieć, a już najlepiej się układało, gdy jej się usuwała z drogi. Ruszała się szybko, mówiła głośno i zawsze wiedziała, co zrobić. Kiedy czekała, aż coś postanowie, przestępowała ze zniecierpliwienia z nogi na nogę, jakby ani chwili bez ruchu wytrzymać nie mogła, zamierałam jak królik na widok lisa. Jeszcze gorzej było z babką, wścibską, dziwaczną trochę, która często wpatrywała się we mnie dziwnym wzrokiem, aż dreszcz mi przechodził po krzyżu. Czasem także zagadywała, jakby za dużo o mnie wiedziała, a czasem mówiła coś dziwaczego, jakby nic ze świata nie rozumiała albo jakby jej świat był gdzie indziej. Między tymi dwiema silnymi kobietami czułam się w chałupie zbędna, piąte koło u wozu. Po co trzecia kobieta, kiedy one we dwie gospodarstwo ciągną jak trzeba, na pewno lepiej niż moja matulka, to przyznawałam ze smutkiem.

Innym w chałupie też niespecjalnie byłam potrzebna. Dziadek Kostek? Niby opowiadał zabawne historyjki, a potem przerywał i czekał, aż się zaśmieję, ale kiedy z głębin mojej zgryzoty się nie

śmiałam, przestał zaczepiać. Janek? Tamten uroczy, roześmiany chłopak, który niegdyś zagadywał do mnie spod płotu i ten dzisiejszy domowy, cuchnący gorzałką ponurak to były dwie zupełnie różne osoby. Ten dzisiejszy ani się do mnie odezwał, ani spojrzął. Nawet kiedyśmy wszyscy razem przy stole siadali, a nasze łyżki spotykały się w jednej misce, nasze oczy nie spotykały się wcale. Biło od niego jakieś dziwne gorąco, groźne, niezdrowe, zupełnie jakby w upalnej chmurze chodził po świecie, co mnie jeszcze bardziej od niego odpychało.

Dochodziło do tego, że czasem nawet tęskniłam za naszymi sądnymi sobotami w domu, wtedy przynajmniej było wiadomo co i dlaczego, bo u Józwiaków nie wiedziałam nic. Tam nikt nie przestępował z nogi na nogę, kiedy nabierałam oddechu, żeby coś powiedzieć. Tam na mnie patrzyli, tu ledwie zauważali. Wytrzymałabym jednak wszystko, gdyby patrzył na mnie mój mąż. Pamiętałam ciągle, jaki czuły, uważający był dla mojej siostry, i płakałam w poduszkę.

Janek Józwiak

Smutno było w domu, z trudem się dawało wysiedzieć. Matula się po kuchni jak mucha tłukła, babka łąziła i coś pod nosem szeptała, ocierając łzy z oczu, Andzia, odkąd urodziła dziecko, nie wstawiała z łóżka. Przez to wszystko dziadek Kostek uciekał do stodoły, gdzie kosze i łapcie wyplatał albo tylko posiadał, pykając fajeczkę. Wcale mu się nie dziwiłem, bo ja, żeby w domu nie tkwić, do karczmy szedłem, gdzie z różnymi mądrymi ludźmi omawiałem rozwój naszej gospodarki, bo planować trzeba wszystko, żeby nie łązić bez sensu jak koń w kieracie.

Jak mój brat.

Bo z Michałem nie dało się o niczym innym pogadać.

– Robić trzeba – odpowiadał, kiedym go zagadał z rana.

– Naharowałem się – mówił, gdym go pod wieczór zaczepił.

– Daj pomyśleć – kiedy w niedzielę po obiedzie próbowałem z nim moje plany omówić, i znowu zniknął w polu. W niedzielę!

Przypominał mi motykę: w ziemię wali, bo myśli, że pojaśnieje od tej roboty.

Gorzej, że ja przewidziałem, że to wszystko źle się skończy. Byłem tego pewien jeszcze przed ślubem Michała z Dorotką.

– Dziadku, świat na głowie stanął. Dzieci się żenią – narzekałem wtedy do dziadka Kostka.

– Na dziecko to Michał już dawno nie wygląda – odpowiadał dziadek.

I rzeczywiście, mój brat rąbał wtedy drwa, nagi od pasa, i na dziecko już nie wyglądał.

– Może i nie. Ale jest dzieciakiem. Bo do pierwszej dziewczuchy, co chciała na niego spojrzeć, od razu swaty wysłał. A ona, drugi dzieciak, od razu się zgodziła.

– Czasem ludzie od młodych lat wiedzą, czego im w życiu potrzeba.

– Ale przecież Michał się nigdy dziewczuchom nie podobał!

– A wiesz, że wszystko na tym świecie zmianom podlega? Dziewuchy brzucha dostają, ludzie umierają, a inni, co nikt ich nigdy nie zauważał, nagle się podobać zaczynają.

– Ale też świat swoimi koleinami się toczy, a dziewczuchy nigdy za Michałem nie latały, tylko za mną. Nie można tak ciągle porządku świata zmieniać.

– To ty, wnuku, myślisz, że porządek świata ustaliłeś? – zaśmiał się dziadek, jakby nic nie rozumiał.

– Nie ja przecież, Opatrzność wszystko ustaliła, gdym się rodził. Ze mnie wygadanego zrobiła, śmiałego, z Michała milczka i pracusia. Za mną dziewczuchy latają, jego ziemia lubi.

– To sprawdź, może teraz i ciebie ziemia polubi? Skoro on się zaczął dziewczynom podobać?

– Ech! Dziadek zawsze kota ogonem wykręca. Ja tylko mówiłem, że Michał za młody na żeniączkę. Żeby z tego nieszczęścia nie było.

Czasem aż głupio mi się robiło, że wykrakałem. Wtedy musiałem kwaterkę piwa łyknąć. A jeszcze lepiej dwie.

Hanka Józwiakowa

Jak co roku strugaliśmy z Kostkiem łuczywa przez całą zimę, akurat będą na kolejną, bo takie łuczywo musi się suszyć przynajmniej przez rok, dopiero wtedy da więcej światła niż dymu. Deski na łuczywo były długie na mój łokieć, grube w sobie, z igłaka pachnącego żywicą albo i z liściastego drzewa, ale nie z każdego, najlepsze były graby, buki, brzozy. I taką grubawą deszczułkę dzieliliśmy strugiem na wąziutkie szczapki, które potem rozkładaliśmy niedaleko pieca, a kiedy trochę podeschły, wiązaliśmy w pęczki i odstawialiśmy, by wyschły już solidnie.

Kostek mówił, że są ludzie, którzy zapalone łuczywa wtykają w szpary w ścianie, ale ja takich beztroskich nie znałam. Myśmy wkładali je do garnka z piaskiem, łuczywo stało w nim bezpiecznie na sztorc, z dala od wszystkiego, co mogłoby się łatwo zapalić, odejmwaliśmy wypalone kawałki, strącaliśmy je do miski z wodą, najczęściej robiłam to ja, oswajałam ogień, mówiłam do niego. Ja

cię szanuję, to i ty nas uszanuj, szeptałam, a ogień mnie słuchał, służył, nie zagrażał.

– Babko! – zachwycił się Michaś kiedyś tym moim gadaniem. – Babka tak pięknie czaruje! – Kiedy mały Michaś podnosił na mnie oczy, miałam rzadką okazję podziwiać to miłe, siwoniebieskie wejście bardziej nieśmiałego z moich wnuków.

Teraz jednak nie odważyłabym się młodszego wnuka nazwać Michasiem. Chodził po chałupie, po obejściu chmurny, barczysty, silny, jeśli w ogóle pojawiał się w domu. Bo na ogół wychodził, trzaskając drzwiami, nim słońce wzeszło i po ciemku wracał. Pola przyciągały go tak bardzo, jak przedtem jego ojca, coraz bardziej robił się też do Szczepana podobny, nawet uszy odstawały mu tak samo, kiedy schudł od ciężkiej pracy. Nie umiałam się doliczyć, ile ten mój wnuk ma lat, myliły mi się wiosny i lata, palce płątały, bo przecież chyba niemożliwe, żeby miał ich tylko dwie dziesiątki, kiedy taki dorosły się wydawał? Nic prawie nie gadał, jeśli w ogóle się odezwał, to tylko po to, żeby zarządzić robotę. Babka robi to, dziadek Kostek to, matula to, co rano tak nakazywał, tylko Jankowi nie mógł wiele rozkazać, bo ten raz posłuchał, a drugi raz głową kiwnął i zniknął gdzieś, bywało nawet i na noc. Potem znajdowaliśmy go w stodole, pachniał gorzałką i z trudem się przebudzał, narzekając na ból głowy. Bo Janek marniał w oczach, na psy schodził. Wydawało się, jakby wyszedł gdzieś i już do ciała nie wrócił albo jakby zamknął się w sobie w środku, gdzieś głęboko, gdzie nawet okienka nie było. Błady, niemrawy, jak nie on, mało co mówił do kogokolwiek, a już do dziewczyn – wcale. Czasem czułam blisko niego szczególnie gorąco i coraz bardziej byłam pewna:

Jagunia cały czas nad nim krąży, nie odpuszcza. Nad nami wszystkimi wisi.

Zdarzało się, że Janek na chwilę stawał się taki jak dawniej, na przykład kiedy wracał wesoły z targu. Może mało pieniędzy przywoził, więcej opowieści, może te opowieści bardziej z karczmy niż z targu były, ale widziałam, że Zośka nie ma serca mu zwracać uwagi, więc nie krzyczała jak dawniej, że Janek pół zarobku przepuścił na nic. Ale potem chłopak znowu marniał, głupiał, tracił dowcip, przytulałam go więc, kaszę ze smalcem podsuwałam i modliłam się do Najświętszej Pani, bo już ona najlepiej wiedziała, co to znaczy martwić się o syna. Znaczący Janek był moim wnukiem, ale jak się martwić o wnuka, o dwóch wnuków przecież, Najświętsza Pani nie mogła wiedzieć.

Andzia tydzień temu porodziła córeczkę, ale dziewczuszka ciągle nie miała imienia, bo z Michasiem nijak dogadać się nie mogli, jak ją ochrzcić. To znaczy Andzia próbowała się dogadać, ale Michał mówił, że później wszystko ustalą, na razie jest robota do zrobienia, po czym zniknął z domu z dwojakiem albo chlebem w gałganku, wracał dopiero po zmroku, mył się, jadł, na dzieciaka ledwie spojrzał, po główce pogładził, a potem przymykał oczy i od razu zasypiał. A czasem to i na wracanie czasu mu było szkoda, spał w polu. Co prawda słowo gniewliwe między Michałem a jego żoną nie padło, ale widziałam, że w ogóle żadne słowa między nimi nie padają i że może jednak lepiej by było, gdyby się czasem pokłócili.

Widziałam, że Andzia nieraz łzę otarła, nieraz się w okno zapatrzyła, nie w to, przez które było widać jej rodzinny dom, w tamtą stronę nie lubiła patrzeć, zerknęła w to drugie, które wychodziło na drogę. Pytałam ją, czym się martwi i jak jej pomóc,

ale godna z niej była kobieta, odpowiadała więc, że nic takiego, że trochę po porodzie słabiej się czuje, że zaraz wydobrzeje. Tylko dzieciątko tuliła, jakby zasłaniała się nim przed światem. A malutka prawie się nie odzywała, jakby też nie chciała przerywać ciszy panującej u nas w chałupie.

Kiedy któregoś dnia z rana zagadałam przy kurniku do Zośki, że się martwię o naszą rodzinę, moja synowa odpowiedziała:

– Janek sobie poradzi, zawsze sobie radził. A Michałowi przejdzie przecież. Odżałuje w końcu Dorotkę, oswoi się ze wszystkim, do Andzi przyzwyczai. Ja od zawsze wiedziałam, że Andzia mu pisana.

Widziałam, że moja synowa bardzo chce w to wierzyć.

Poszłam więc do stodoły, gdzie Kostek wyplatał właśnie koszyk z wikliny, cmoktając dawno zgasłą fajkę. Aż mu te sękaty ręce migały, kiedy giął namoczone witki.

– Co ty na to, że nasza rodzina tak strasznie podupada? – spytałam od razu.

– Nie zauważyłem.

– Zauważyłeś, bo już nawet nie sypiasz w domu. A wiadomo, że uciekasz stamtąd zawsze, kiedy jest źle.

– Naprawdę?

– Widzę to przecież.

– To jednak na mnie patrzysz?

Pominięłam to milczeniem.

– To co z Jankiem zrobić mamy, braciszku? Z Michałem?

– Pogadam z nimi.

– Już gadałam.

– Przecież wiesz, że nikt nie gada tak jak ja. Może jakąś historię znajdę na ich bóle. Bajkę jakąś może. – Kostek podrapał się

w potylicę, co oznaczało, że właściwych myśli szuka, jakby je mógł tymi czarniawymi paznokciami z głowy wydrapać. Zawsze jednak tak robił, więc chyba pomagało.

Tym razem nic jednak mądrego nie wydrapał.

Michał Józwiak

W polu trwałem w ciszy. Tyle głosów co od ptaków i uderzeń motyki wystarczało. Jeśli czasem kobyła zarżała, było hałasu aż nadto. Bywało, że w tej ciszy nawet zostawałem na noc. Kobyłka skubała trawę z chrzęstem, a ja układałem się spać na derce. Potem plecy bolały, ziemia, nawet najsuchsza, miała w sobie akurat tyle wilgoci, żeby mi w kości weszła. Już w plony wchodzić nie chciała. Tak było, nawet kiedy z suszy kłosa głowy kłoniły, mnie z mokrości od leżenia na ziemi matce krzyż bolał. Ale spałem przy polu, spałem na miedzy, spałem daleko od domu i żony. Spałem z nadzieją, że tam prędzej niż u boku Andzi przyśni mi się Dorotka. Bardzo chciałem ją chociaż raz przyśnić, moją skowronkową narzeczoną. Przecież sen to nie zdrada, prawda? Dorotka jednak nie przychodziła do mnie. Mimo to czekałem na nią, trwając w ciszy, w głodzie, do następnego ranka. Wtedy babka lub Andzia przynosiła dwojaki z jedzeniem. Żeby kobiety nie dopytywały uparcie, co się stało i dlaczego milczę, trzeba mi było z nimi kilka słów zamienić. A już najlepiej pierwszemu się odezwać.

– Co tam w domu? – pytałem, żeby mieć to już za sobą.

– Dobrze – mówiła Andzia, mówiła babka. – Dziadek gada, córka ci rośnie. Kapuśniak gotujemy. Czubata się trzeci dzień nie niesie.

– Dobrze. A teraz mnie do roboty trzeba – odpowiadałem, kiedy umilkły.

I zaraz wracałem do roboty, do ciszy. Nawet nie patrzyłem znad motyki, grabi, łopaty, kosy, jak Andzia, jak babka odchodzą, jak znikają na drodze.

Hanka Józwiakowa

Któregoś wiosennego dnia Michał poszedł obradlić kartofle, żeby porodziły więcej bulw. Zaszłam do niego w południe, bo myślałam, że w największe gorąco będzie bardziej bezbronny, jedzenie mu niosłam, barszcz w dwojakach z suto okraszonymi kartoflami, najedzony złagodnieje, może będzie mniej mrukliwy niż na co dzień. Miałam nadzieję, że Michał już się położył w cieniu, żeby chwilkę odsapnąć, ale choć słońce stało wysoko i mocno grzało, już z daleka zobaczyłam, że nie. Przesuwał się po szerokiej bruździe kartofliska i pochylając się, podsypywał ziemią kolejne kartoflane pędy. Motyka poruszała się tak sprawnie, jakby mu przyrosła do ręki, do każdego kartoflanego zielska podchodził czulej niż do żony czy dziecka, posuwał się po bruździe szybko, jakby zmęczenie wcale go nie dotykało. Co chwila ocierał wierzchem dłoni pot z czoła, więc całą twarz miał uczernioną. Gdy zawołałam go w cień, zostawił motykę na znak, gdzie skończył, żeby potem nie tracić czasu na szukanie, poproszony usiadł niechętnie. Jadł, jakby go kto poganiał, siorbał żur w pośpiechu i na skorego do gadania wcale nie wyglądał.

– Michaś, ja przecież widzę, że ty od Andzi uciekasz. To twoja żona, może nie ta upragniona, ale to jej ślubowałeś.

Zaczął szybciej jeszcze w garnuszku łyżką wiosłować i gapić się w gruszę na miedzy, broń Boże nie na mnie.

– Michał?

– Ja uciekam?! Ja haruję. Od rana do nocy. Żebyście mieli co jeść.
Żeby Andzia miała co jeść.

– Ale ona i dobrego słowa by chciała.

– To niech jej babka jakie powie.

– Michał, ślubowałeś jej. Przed Panem Bogiem.

– I dlatego jestem z nią. W zdrowiu i w chorobie.

– Nawet żeście małej imienia nie nadali.

– Babko, ja do pracy muszę, samo się nie robi.

I już wstawał, i już szedł, i już za motykę chwycił.

– Michaś!

Nawet na mnie nie spojrział.

– Wieczorem pogadamy.

Też się zgramoliłam z ziemi, podniosłam z trudem, podeszłam na bolących nogach do wnuka na kartoflisko.

– Za Dorotką tęsknisz, prawda?

Jego niewzruszona mina nagle się połamala jak tafla lodu na jeziorze i wychynęły spod niej zmarszczone czoło i czerwone oczy. Tego się właśnie bałam, tęsknił. A przecież żywej dziewczynie trudno konkurować ze zmarłą.

– Andzia siły traci, nie uśmiecha się, jeszcze i mleko jej w piersiach od zgryzoty zaniknie.

Dziubał tą motyką, jakby od każdego ruchu zależały losy świata.

– Pocałuj ją w czoło, Michaś, jak do domu wieczorem wrócisz.
A potem powiedz, że dobrze ją widzieć.

– A babka to tak lubi rządzić, prawda?

Lubiłam, co zrobić.

Poczochrałam mu przydługie włosy na karku i wróciłam do domu, gdzie wzięłam malutką bez imienia w ramiona, bujałam ją,

żeby jej wynagrodzić, że ojca niewiele obchodzi, a jej mama, Andzia, od jakiegoś czasu Józwiakowa, ciągle przed zgryzotami tego świata ucieka w sianie. Do buzi niemowlątka wsadziłam szmatkę z chlebem polanym miodem, żeby trochę miało słodczy i radości w tym smutnym od początku życia. Zasnęło spokojnie, co chwila szmatkę ciuczkając.

Kiedy Michał wrócił pod wieczór do domu, widziałam, że się stara. Spojrzał na Andzię, czego właściwie od dawna nie robił, patrzyłam, czy ją pocałuje, nie, ale dalej na nią zerkał. Zdziwiła się zrazu, zaczerwieniła, jeszcze bardziej, kiedy Michał się odezwał:

– Córkę trzeba nam ochrzcić.

Spojrzała na niego zaskoczona i prawie uśmiechnięta, ale uśmiech spłynął jej z twarzy, kiedy Michał dodał:

– Będzie miała na imię Dorotka.

Wtedy zapanowała cisza, ciężka i nabrzmiała od oddechów. Andzia odwróciła się do pieca, ukradkiem ocierając oczy.

– Imię po zmarłej to niedobra wróżba dla dziecka – odezwałam się. – Całe życie w cieniu śmierci.

– Wszyscy żyjemy w cieniu zmarłych – powiedział twardo Michał. Wyjął z kredensu pęk tych niezgrabnych łyżek, które jego ojciec czasem w polu wyrzynał, wpatrzył się w nie, w rękach je obracał. Milczał. W końcu ja się odezwałam:

– To dziecko będzie żyło w podwójnym cieniu, za gęstym, żeby dobrze rośło.

– Powiedziałem – podniósł głos mój młodszy wnuk, zupełnie jakby ojciec i dziadek się w nim odrodzili.

Podniósł wzrok znad łyżek, czoło zmarszczył i patrzył na swoją żonę jak na wroga, a nie kobietę sobie poślubioną. W końcu Andzia

oparła się o ścianę i stała tam bez siły. Nawet dziecko bez imienia nie śmiało zakwilić.

Hanka Józwiakowa

I co z tego, że czasem Jagunię ułagodziłam, kiedy zaraz uderzała z drugiej strony? Czasem myślałam, że jest żywotna jak wierzba – niby ją na wiosnę ogłowisz, niby ci się martwym pieńkiem wydaje, a tu zaraz zielona witka znienacka wystrzeli, a potem ani się obejrzyś i już drzewo przed chwilą niby martwe zielonym gąszczem powiewa. Tak i ogławiałam tę naszą Jagunię to świeczką, to serdecznym do Maryi westchnieniem, to różańcem odmówionym przy jej mogile, przez chwilę wydawała się niegroźna, a potem ani się obejrzałam, a już znowu wyciągała ku nam złowrogie mściwe witki.

Potem szłam do drugiego grobu, który niedawno pojawił się obok. Pochowano tam innego samobójcę, gospodarza, który się powiesił, też z pańszczyźnianego Naczachowa. Niedawno stracił rękę na pańskim folwarku, w pańskiej sieczkarni poruszanej kieratem. Dali mu za to parę groszy, ale nic a nic nie zmniejszyli dniówek pańszczyzny, choć przecież już nie miał czym robić, bo ile zrobisz jedną ręką. Nie miał się kim za bardzo wyręczyć, żona w ciąży, dzieciaki nieduże, więc ostatnie grosze wydawał na parobków, żeby zań pańszczyznę odrabiali. Kiedy w końcu któregoś dnia ani parobek na odrobek na pańskie pole nie przyszedł, ani sam jednoręki gospodarz, rządca przyszedł go w domu szukać. W końcu go znalazł, w stodole, na haku do oprawiania świń na powrozie wiszącego, całkiem martwego. Tak jednoręki uciekł przed pańszczyzną, ale żona jego i troje maleństw komornikami się zostali,

teraz mieszkali u sąsiadów, którym pomagali za kawałek siennika i łyżkę strawy. Czasem nieszczęśnik woskową świeczkę na mogiłę ode mnie dostał, ogienek mu skrzesalam, przez chwilę źle nie miał.

– A jak się tam z Jagunią gdzieś spotkasz, to powiedz jej, żeby już na ziemię nie wracała – prosiłam przy okazji, bo przecież za moją grzeczność wypadało mu się odwdziaczyć.

Nie byłam jednak pewna, czy tam w zaświatach ze sobą gadają, bo niedługo Jagunia znowu zieloną witką ku nam wystrzeliła, bo jej klątwa po raz kolejny dała o sobie znać.

Andzia Józwiakowa

Nasze dzieciątko leżało przy mnie nagutkie, bezbronne. Kiedy na nie patrzyłam, przypominało mi się, jak szukaliśmy kiedyś z chłopakami od Józwiaków jajek w ptasich gniazdach, w sadku, w lesie, na przednówku nieraz ptasie jaja żeśmy jedli, maleńkie, ale pożywne, wysysaliśmy je na surowo albo kładliśmy w popiół ogniska. Czasem jednak zamiast jajka z rozbitej skorupki wypadało nagie pisklę, taka nagutka niespodzianka, cudna i przerażająca, bo ptaszyna szybko po tym wypadnięciu nieruchomiała i umierała, bezpióra i koścista.

Patrzyłam teraz na moją nagutką, chudą córeczkę i łzy leciały mi z oczu, mleko z piersi, co innego spomiędzy nóg, tryskałam z siebie jak rusałka, cała płynęłam, leżałam na naszym sienniku i płynęłam, odpływałam i wreszcie poczułam ulgę, rozchodziła mi się po ciele, dawno już nie czułam się tak słaba, dawno już nie czułam się tak dobrze.

– Dziecko, co ci? – potrząsnęła mną nagle babka Hanka. – Co się dzieje? Zośka, Kostek! Andzia nam słabnie! Odpływa.

Skąd wiedziała, że płynę? Ależ mi było dobrze, niech mnie nie szarpie.

– Andzia, wracaj!

Babka trzęsa mnie za ramiona, ale już prawie tego nie czułam, tuliłam dziecko, córkę naszą, cieplejszą niż moja skóra, ją też jednak coraz słabiej trzymałam, bo i ręce mi odpływały, ktoś mi ją wyjął z ramion.

– Ona krwawi! – wrzeszczała babka. – Andzia! Andzia, wracaj!

Słyszałam ją, była już gdzieś daleko i wcale nie chciałam do niej wracać, bo niby po co?

I przestała wołać. Odpłynęła? Nie byłam pewna, bujałam gdzieś daleko, ledwie czułam, że ktoś trzyma mnie za rękę. To teściowa. Szlochala, łzy ją rozrywały, a ze mnie płynęły łagodnie, powoli, prowadziły powolutku w dobrą stronę i właściwie przestałam się już temu opierać, bo gorąca kałuża wokół moich bioder była dobra i miła, postanowiłam się w niej roztopić.

Hanka Józwiakowa

Zajrzałam pod pierzynę, też już od spodu czerwoną, dawnom tak czerwonego płótna nie widziała, przeraziło mnie to. Ale jeszcze bardziej przeraziło, kiedy spojrzałam na Andziną twarz, muchy po niej chodziły, a ona nic, nawet ręką nie odgoniła. Zaraz więc wybiegłam z chałupy, a potem to kawałek biegłam, kawałek szłam, na więcej siły nie pozwalały. Michał na szczęście nie był daleko, w kilka pacierzy już nawoływałam z daleka, rękami machałam, zauważył dopiero po dłuższej chwili, rzucił motykę, przypadł do mnie, ledwie byłam w stanie coś powiedzieć, tak się zadyszałam.

– Andzia! Andzia! – próbowałam z siebie wypchnąć to słowo, ale tchu nie mogłam złapać, więc dopiero za którymś razem zrozumiał.

– Co Andzia?

– Umiera!

Rzucił się zbierać motykę, ale zrezygnował, machnął ręką i pognął do domu, jakby go wilcy ścigali. Ja więc ją zabrałam i ruszyłam za nim, a serce mało mi z piersi nie wyskoczyło. Wreszcie dowlokłam się do chałupy, rozejrzałam, nikogo w kuchni nie było, zaraz skoczyłam do drugiej izby, gdzie leżała Andzia. Pierś jej się wznosiła i opadała, jeszcze więc było co ratować. Michał siedział obok niej na zydlu, zbliżył rękę do jej białego jak płótno policzka, potem cofnął, nie dotknąwszy, nawet teraz Andzia nie miała zaznać mężowskiej czułości. Z drugiej strony trzymała Andzię za rękę Zośka i płakała. Kostek kręcił się po izbie bez sensu, po wodę pójdę, powiedział. Mamy wodę, odrzekłam.

– To wezwę Lewandowskich. Niech się z córką pożegnają.

– Co ty gadasz, Kostek?!

Wyszedł. Może i do Lewandowskich, kto go tam wie.

Michał oczy miał czerwone, ostatni raz widziałam go płaczącego, pewnie kiedy miał pięć lat, a teraz płakali oboje, Andzia wypuszczała spod bladych, spuszczonej powiek łezkę po łezce, poduszka pod nią cała była mokra, Michał miał mokre policzki. Naraz drgnął.

– Zabrała babka motykę? – spytał.

– Bezpieczna w stodole leży.

Pomyślałam, że sama muszę zadziałać. Wstałam, poszłam do komory, a tam zapakowałam szybko w kosze tyle, co na targ nosiłam, i pół idąc, pół podbiegając, ruszyłam w stronę cmentarza.

Kiedym dotarła do mogiłki Jaguni, głowę schyliłam przed jej wytrwałością, a potem świeczkę zapaliłam z najczystszeo wosku, takiej by się przy ołtarzu pleban nie powstydział.

– Jaguniu, posłuchaj! Janka dręczysz, bo cię porzucił. Rozumiem, źle zrobił – mówiłam w stronę, gdzie pod ziemią musiała leżeć Jaguni głowa. – Ale co ci Michał zawinił? Andzia? Ich dzieciątko? Poniechaj ich, Jaguniu, poniechaj, w niczym ci nie przewinili. Poniechaj Andzi, ona ci nic niewinna. Zostaw w niej krew, lepsze rzeczy ci tu przyniosłam.

I rozlałam jej na grób śmietankę, cały dzbanuszek najtłustszej, za którą bym sporo kopiejek na targu dostała, ale spokój rodziny nie miał ceny. Mówiłam jej, powtarzałam jak różaniec:

– Najedz się, napij, a wnuka mi nie męcz, poniechaj Michała, już się zemściłaś na Janku.

Potem jajka poczęłam rozbijać, cały koszyk przyniosłam, tuzin jaj, byłoby z tego jedzenia a było, serce mi krwawiło, że wszystko dla Jaguni, a nie dla rodziny mojej, ale wiedziałam, że dobrze robię. Przy dziesiątym wydawało mi się, że dmuchnęło mi w kark gorącym. Odwróciłam się, poczułam ciepło na policzkach, zniknęło. Rozbiłam ostatnie dwa.

– Przyjęłaś moją ofiarę?

Nie byłam pewna, bo znowu pochłodniało. Co było robić? Zdjęłam szmatkę z garnuszka z miodem, lać go na mogiłowy kopczyk poczęłam, pszczoły się zleciały, trzmiele, mrówki z całej okolicy szły karnymi rzędami, śmietanka, jajka, miód, ziemia z mogiły, takie ciasto dla Jaguni zmajstrowałam, takim ją częstowałam. Przyjmie? Potężnie mi chuchnęło w kark gorącym.

– Przyjęłaś zatem?

I wtedy moja świeczka na mogiłce zgasła, jakby ją kto zdmuchnął. Nie byłam pewna, czy to dlatego, że Jagunia prośby wysłuchiwała, czy też właśnie chce pokazać, że słuchać nie będzie.

Zośka Józwiakowa

Ocierając oczy, kładłam Andzi w kroku, na brzuchu szmatki moczone w lodowatej wodzie, kładłam jej te szmatki w kroku, szmatki różowiały, potem czerwieniały, Andzia już na twarzy wyglądała, jakby zamieniła się w białego anioła, a krew płynęła dalej.

Drzwi huknęły, miałam nadzieję, że może babka wróciła, ale do izby weszły płaczące matka i siostry Andzi, a za nimi wtoczył się Lewandowski, który chodził szeroko i głośno jak wielki chłop, choć duży wcale nie był.

– Trzecia z kolei ma nam iść na zmarnowanie?! – wrzasnął. – Andzia, wstawaj!

Zaraz bym mu zamilczeć kazała, gdyby Andzia nagle tych bladych, zapadniętych powiek nie podniosła i nie spojrzała na niego bystro. Wargi, też już białe, próbowały układać jej się w słowa.

– Co mówisz? – nachyliłam się do niej.

Szepnęła mi do ucha, zimny miała oddech, już jakby nieswój.

– Ojciec... Nie chcę...

Ale nic nie słyszałam, bo stary Lewandowski wrzeszczał:

– Wstawaj!

I, wierście albo nie, Andzia drżącą rękę do mnie wyciągnęła i kiedy dwa razy nią poruszyła, zrozumiałam, że mam jej pomóc się podnieść. Usiadła, trzymała się mnie cały czas, na ojca swojego patrzyła tą bladą twarzą bez żadnego koloru.

Najcichsze do tej pory niemowlę świata, moja wnuczka, naraz rozdarła się na cały głos.

– Uciszcie dzieciaka! – warknął Lewandowski.

A Andzia silniej jeszcze wpiła się w moją dłoń, by móc siedzieć, i zaczęła słabym głosem, szemrzącym jak struga, nucić córce kołysankę, ledwie dychała, ale nie spuszczała z ojca oczu, a śpiewając, prostowała się z całych sił.

*Siwe łoczka pozatulaj,
Siwe łoczka białe ciało,
Żeby rośło, nie bolało.
Aaaa lulaj, lulaj! Lulaj, lulaj!*

Mała cichła powoli.

– Nie chcę – powiedziała naraz Andzia, przestawszy śpiewać.

– Czego nie chcesz? – Przypadła do niej matka, ja się też nachyliłam, ale niepotrzebnie, bo Andzia mówiła głośno i wyraźnie.

– Nie chcę tutaj ojca.

Lewandowski aż się mienił od wściekłej czerwieni na twarzy.

– Wstawaj, Andzia, bo jak nie...

– Niech ojciec wyjdzie.

Lewandowski jednak ani drgnął, splótł dłonie na piersi i gapił się na Andzię wyzywająco.

Michał wstał.

– Teściu, dajcie spokój mojej żonie.

– To moja córka, smarkaczu!

– Powiedziane jest: zostawisz ojca swojego i matkę swoją i za mężem pójdziesz. Ona teraz jest pod moją opieką.

Michał wyprostował się i okazało się, że kiedy się nie garbi, większy jest sporo od swojego teścia. Lewandowski dał krok do tyłu, potem drugi, żona i córki patrzyły na niego zadziwionymi oczami. Stary obrócił się wreszcie i wyszedł z izby. Popatrzyłam na Andzię. Siedziała prościutko i spoglądała na drzwi, za którymi zniknął ojciec. Podniosłam pierzynę i, wierząc lub nie, krew przestała płynąć. Jeszcze sprawdziłam, czystą szmatkę podłożyłam, żeby się upewnić.

Andzia rozglądała się po izbie, jakby ją kto tu nagle z nieba wrócił.

– Nasza córcia?

– Śpi, szmatkę posysa.

– A matula czego płacze? – zdziwiła się.

Jakby cień koloru wrócił jej na policzki.

– Dźwignij ją, Michaś, siennik Andzi zmienimy – zarządziłam.

Wziął ją na ręce, a ona wtuliła w niego twarz i tak trwali jak kościelna rzeźba. Ażem się zasmarkąła ze wzruszenia. Na to do izby wróciła babka, powiodła po nas spojrzeniem i uśmiechnęła się, jakby to wszystko było jej zasługą.

Hanka Józwiakowa

Michał potem, a jakże, w pole poszedł, dokończyć, co przerwał. Wrócił już po ciemku, gdym już dawno krowy wydoiła i cały wieczorny obrządek zrobiła, z karmieniem i pojeniem zwierząt łącznie. Podałam mu wodę do mycia, zerknęłam na Andzię. A ta oczy otworzyła, jakby kto dwie świece naraz zapalił, usiadła na łóżku i spojrzała na męża. Potem wysunęła się spod pierzyny, niepewnie stanęła na podłodze, ale kiedy podeszła do Michała, stała

już tak pewnie, że mogła wziąć się pod boki. A że Michał siedział z nogami w cebrzyku, patrzeć musiał na nią do góry. Wtedy Andzia odezwała się, a głos miała mocny.

– Dziecko będziemy chrzczyć.

Milczał. Andzia ciągnęła:

– Ale Dorotka była jedna. Nikt jej nie zastąpi. A już na pewno nie moje dziecko.

Moje, nie nasze, tak właśnie powiedziała.

Patrzyli na siebie i żadne spojrzeniem nie ustępowało, powietrze między nimi drżało jak horyzont w upalne południe, wreszcie Michał wzrok spuścił. A Andzia dodała:

– Pójdziemy jutro do księdza, ochrzcimy ją i będzie miała silne, dobre imię. Marianna. Od dwóch kobiet, które się nią opiekują: Najświętszej Pani i ode mnie. Tak będzie, Michał.

Michał stopy z cebrzyka wyciągnął, szmatką obtarł. Stała nad nim i nie odpuszczała, nie krzyczała, patrzyła tylko.

Wreszcie skinął głową.

Zakrwawioną słomę, cośmy z siennika Andzi wyrzucili, zaraz pies począł lizać, kury dziobać, aż się niedobrze robiło, więc zgarnęłam ją i cisnęłam do pieca. Potem poszłam po czystą słomę i czystą poszwę. Starą zaraz cisnęłam do balii z zimną wodą, gorąca krew schodziła od zimnej wody, to był dowód na to, że wszystko na świecie musiało się składać z przeciwnych rzeczy: zimne z gorącym, wystające z wklęsłym, mokre z suchym.

Obmyłam Andzi zakrwawione nogi, kiedy Michaś ją podtrzymywał. Ułożyłam potem biedną dziewczyninę na swoim sienniku, który kazałam Kostkowi przynieść z naszej izby.

- Ze mną w łóżku dzisiaj będziesz spała? – zagadał zaraz.
- Chciałbyś. Leć, teraz dla mnie siennik napchaj.
- Starczy słomy?

Przed żniwami byliśmy, rzeczywiście mogło nie starczyć. Sienniki to była w ogóle osobna opowieść, dobry siennik zrobić to była sztuka, słomy często nie starczało, zwłaszcza wiosną, więc dosypywało się liści suchych, gałęzi chojaków, które potem kłuły w plecy. A wymieniać słomę trzeba było w miarę często, bo się w starych siennikach wszelkie paskudztwo lęło, robactwo, pająki, myszy. Czasem taka mysz umierała w sienniku, co okazywało się po jakimś czasie, kiedy izbę trzeba było długo wietrzyć, a płótno z siennika było do wyrzucenia, bo żadne pranie nie pomagało się pozbyć odoru śmierci.

I zaraz potem pomyślałam, że i tym razem pranie nie pomoże na złe, które już się w tym pełnym cierpienia sienniku zagnieżdżyło, więc poszłam na podwórko, wyszarpnęłam mokrą poszwę z balii i wcisnęłam do pieca, zadymiło, jakby zły duch naprawdę się krył w płótnie.

– Co babka robi?! – zakasłał Michał, ale jak zwykle nie umiałam tego wytłumaczyć, wiedziałam tylko, że tak trzeba.

Wtedy do mnie dotarło, że Janka ciągle w domu nie ma, że cały ten straszny dzień, kiedy Andzia mało nam się ze szczętem nie wykrwawiła i nie umarła, mój starszy wnuk przepił i przegapił. Ciemno już było, ale nadal moc czuła w sobie po wszystkich czarach, których dzisiaj dokonałam, więc chwyciłam łuczywo i ruszyłam w drogę do karczmy. Z daleka światło w niej było widać, rozległe się głosy z niej niosły. Gdym się znalazła bliżej, poczułam karczmiany smród: piwo i gorzałkę, szczyuny i pot, brud i wilgoć.

Janek siedział otoczony ludźmi, opowieściami płacił za piwo, żartami za gorzałkę. Przysiadłam się do niego, ale nie od razu mnie zauważył, bo czarował znajomków, w domu taki wyrywny do gadania nie był. Aż wreszcie mnie dostrzegł.

– Babka napije się ze mną, prawda? – Bardzo wyraźnie mówił każde słowo, co oznaczało, że już wkrótce zacznie bełkotać.

– Janek, a rubli ci nie szkoda? W domu tyle się dzieje, a ty tutaj od rana do nocy pieniądze na czynsz przetracasz?

Jakby nie słyszał.

– Do domu, ale już! – huknęłam. – A jutro świtaniem do roboty idziesz!

– Ale babko, co babka...

I znowu łyknął ze szklanicy. Wyrwałam mu ją z ręki, piwo chlapnęło dookoła, po czym resztą chlusnęłam wnukowi w twarz.

– Obudźże się wreszcie!

A wrzeszczyć to ja umiałam.

Cała karczma umilkła, Janek łapał powietrze, piwo spływało mu na płócienną koszulę. Ręce w pięści zacisnął, ale nie śmiał zrobić nic więcej, potem skulił się i przemknął wstydliwie do wyjścia. Szłam za nim jak królowa, patrzyłam na tych wszystkich pijusów z góry, żaden nie śmiał ani pisnąć. Ja też milczałam, żeby do reszty nie poniżyć tego mojego pogubionego wnuka. Ale jak tylko oddaliliśmy się dostatecznie, zaczęłam krzyczeć:

– Co ty robisz w ogóle? Ty, najbystrzejszy, najmilszy, chłopak, którego zawsze wszyscy najbardziej kochali, w ogóle o rodzinę nie dbasz?!

Niespodziewanie, nie tylko dla mnie, ale i chyba dla niego, mój dorosły silny wnuk się rozplakał. Szedł, nogami powłóczył i łkał.

Taki był w tym żaloszny, że przytuliłam go, choć mokry był nie tylko od łez, ale i od piwska. Przywarł do mnie, a potem zaraz otoczyło nas gorąco: Jagunia czuwała.

– Precz, maro nieczysta! – syknęłam.

– Co mówicie, babko?

– Idź prosto, pijusie! Przepraszam, Jaguniu, nie gniewaj się za te słowa.

Część piąta. Rok 1859, czas burz i płonącego ognia

Na Słońcu pojawiają się plamy, a potem rozbłyski. Nasza gwiazda mocno się gotuje, by niedługo potem wyrzucić z siebie potworne ilości gorącego, naładowanego elektrycznością gazu. Niewiele traci on impetu podczas osiemnastogodzinnej podróży przez kosmos, dlatego dotarłszy do Ziemi, ma jeszcze mnóstwo energii, by wywołać największą w historii burzę magnetyczną, która trwa i trwa.

Magnetyczne zamieszanie szaleje, wiele osób czuje, jakby płonęło im w głowach, płonie także niebo, bo zorzę polarną widać niemal wszędzie, także tam, gdzie nie pokazywała się jeszcze nigdy. Niejednego budzi ze snu jej blask. Jest tak jasno, że ludzie, zamiast spać dalej, zaczynają w środku nocy szykować śniadania i ruszać do pracy. Wszyscy czują, że z nadmiaru

światła i gorąca w głowach im buzuje, że z nadmiaru wokoło dzieją się rzeczy niezwykle. W całej Europie i Ameryce psują się telegrafy, niektóre ulegają samozapłonowi, łańcuch stacji telegraficznych zmienia się w łańcuch

zamieszania, który częściowo staje się łańcuchem pożarów.

W parafii Izbica Kujawska zorzy nie widać, telegrafu nie ma, ale w głowach wrze, wrze gwałtownie.

Janek Józwiak

Znienacka po wsi gruchnęła wieść, że wuj Ćwiartas chce się sądzić z Lewandowskimi. A za co? A za to, że oddali mu za żonę felerną dziewczuchę, czyli Władkę. Bo przecież na próżno kowalczykowie się wykosztowali na wesele, stroje i nowe łóżko dla młodej pary, kiedy nowa żona nie miała zamiaru wypełniać żoninych obowiązków. Ćwiartas oskarżał więc Lewandowskiego, że świadomie mu narowistą córkę za żonę oddał, chciał zwrotu pieniędzy i uroczystych przeprosin.

– Teraz ci się przypomniało?! – strofowała go nasza matula. – Tyle lat minęło, a teraz chcesz się z naszymi sąsiadami sądzić?!

– Na sprawiedliwość nigdy nie jest za późno! – krzyczał czerwony na gębie Ćwiartas.

Lewandowski może by i go przeprosił, ale nie miał żadnych pieniędzy na oddanie, zaczął więc Ćwiartasa unikać, a co za tym idzie – i nam wolał się na oczy nie pokazywać, przemykał po swoim obejściu pod ścianami, do płotu nie podchodził w ogóle. Może i lepiej, nie lubiłem dziada od chwili, kiedy Władkę wujowi za żonę oddał. Gdyby tego w swoim czasie nie zrobił, to dzisiaj wszyscy bylibyśmy szczęśliwi. A tak to ma za swoje.

To znaczy ja też mam.

Matula mówiła, że Ćwiartas na żaden sąd by się nie zdecydował, jednak honor go zmusił, bo choć tyle czasu minęło, ludzie ciągle się z niego śmiali, czy jak do kuźni przyszli, czy jak go gdzie indziej spotkali, wszyscy wiedzieli, że to ten, komu żonka z łóżka uciekła. Rechotali, że Ćwiartas może nie taki silny, skoro dziewczucha mu się postawiła, pękali ze śmiechu, że Władeczkę ojciec musiał paskiem mężowi do łóżka napędzać, żartowali, że tak się spisał, że dziewczucha musiała z domu zniknąć. Ćwiartas od razu za te kpinki

rzucał się do bitki, chciał ludziom pozamykać te roześmiane gęby, ale im więcej się stawiał, tym bardziej gadano, aż w końcu się okazało, że musiałyby bić się z każdym. Dlatego postanowił uciąć śmiechy, oddając rzecz do sądu.

Kto miał sądzić? Zawsze robiła to dziedziczka. Sądy chłopskie trwały u niej długo. Najpierw musiała wszystkich dokładnie wypytać o sprawę, a że niewiele już słyszała, trzeba było mówić głośno i wyraźnie. Potem długo się namyślała, na koniec polecała, żeby się wszyscy przeprosili i wódki na zgodę napili. Na koniec nakazywała, żeby za rozsądzenie sprawy wszyscy jej zapłacili, miodem najlepiej, bo strasznie była łasa na miód. Od dawna nikt więc sądzić u niej nic nie chciał, wódkę przecież mogliśmy pić bez jej nakazu, a miód na targu sprzedać, zamiast oddawać za darmo do dworu. Od paru jednak wiosen nastał nam nowy dziedzic, co się ożenił z córką starej dziedziczki, więc Ćwiartas liczył, że jako mężczyzna lepiej sprawę rozsądzi. Nie mogłem się tego sądu doczekać, bo bardzo byłem ciekaw i nowego dziedzica, i jak wszyscy będą opowiadać o swoich krzywdach, i jak Lewandowski będzie się korzył, a już najbardziej jak wuj będzie się czerwienił, bo chciałem patrzeć, jak cierpią wszyscy, którzy się do krzywdy mojej i Władeczki przyczynili. Wśród ludzi też wrzało, każdy chciał na sądy patrzeć, bo rzecz to na wsi rzadka. Już wszyscy się szykowali, a niejeden chciał coś w sprawie powiedzieć, bo przecież wszyscy znaliśmy Władkę. Nagle jednak rządcą do wsi zajechał, jednej i drugiej, i powiedział, że nowy dziedzic ma ważniejsze sprawy na głowie niż wiejskie swary i że mamy chłopską gromadą rzecz rozsądzić.

– Jaką gromadą, skoro rzecz tyczy się aż dwóch wsi? – zaniepokoił się. – Chodzi o Naczachowo i Sokołowo.

– To się we dwie wsie zgadajcie, albo jak tam chcecie, dziedzicowi szkoda czasu na te bzdury.

Bzdury. Kiedy Ćwiartas usłyszał to słowo, tak się nadał jak dmuchana przez słomkę żaba.

Gromada ma sądzić, czyli kto? Nowym sołtysem po naszym ojcu był w Sokołowie Johannes Olęder, nie wszyscy byli zadowoleni, że wsią zawiaduje nietutejszy, ale wszyscy się zgadzali, że człowiek z niego rozsądny. Wiadomo jednak: nasz sołtys po stronie Lewandowskiego stanie, nasza gromada raczej też, natomiast ichni sołtys z Naczachowa będzie musiał poprzeć kowalczyków, bo przecież będzie bał im się narazić. Co z tego wyniknie? Nic przecież, poza awanturą między wsiami, a my w samym sercu tego zamieszania będziemy, bo jedne to nasze wuje, a drugie – teść i sąsiad, niesporo nam będzie po którejkolwiek ze stron się opowiedzieć.

Więc choć chciałem patrzeć, jak cierpią, jak ze wstydu się wiją, i Ćwiartas, i Lewandowski, rozumiałem też, że na dobre nam to wszystko na pewno nie wyjdzie. W mądrości swojej postanowiłem więc sytuację ratować, bo kto, jeśli nie ja. Zadowolony, że mam takie ważne zadanie, pojechałem na oklep na naszej szkapinie do Naczachowa, gdzie Ćwiartasa w domu ucapił. Choć z kuźni walenie młotów dochodziło, to on akurat w chałupie siedział i do roboty się raczej nie wybierał, bo mocno pachniał gorzałeczką. Tym lepiej, że siedzi tu sam, łatwiej go będzie ugadać, pomyślałem. Tłumaczę mu więc od razu, że procesować się dla niego niedobrze. Głową jednak pokręcił:

– Chcę sprawiedliwości dostąpić.

– Jaka tam sprawiedliwość z tego będzie, wuju, nie wiadomo. Za to wiadomo, że ludzie, zamiast o całej sprawie zapomnieć, gadać będą o niej po wiek wieków.

– Nieprawda! Rozprawa im gęby wreszcie zamknie!

– Dopiero rozprawa na dobre je otworzy, wuju, nie rozumiecie tego?

– A skąd niby możesz to wiedzieć? Zawsze się tak mądrzysz i mądrzysz.

– A stąd, że już ludzie mówić o tym przestawali, za to teraz, kiedy wieść o sądzie się rozeszła, znowu każdy sobie tym gębę wyciera.

– W której karczmie? Na Pustyni? Pójdę tam i zaraz wszyscy gęby zawrą.

– Póki tam, wuju, będziecie, to zamilkną. Ale jak tylko wyjdziecie, znowu zaczną gadać. Musiałbyś chyba zamieszkać u nas w karczmie, żeby ich uciszyć.

– A choćbym musiał tam cały czas siedzieć, śmiać się z siebie nie pozwolę. – I w stół pięścią wielką jak bochen walnął, aż podskoczyły brudne statki.

– W każdej karczmie w okolicy byście, wuju, musieli siedzieć. W każdej karczmie przecież gadają, może i w Izbicy nawet. Poradzicie im wszystkim, we wszystkich karczmach, wuju?

Ćwiartas, coraz czerwieńszy, znowu walnął pięścią w stół, potem wstał i tak się na stół zamachnął, tak grzmotnął, że noga jedna zatrzeszczała i w sobie pękła, blat się przechylił, garnki zjechały i z hukiem rozbiły się na klepisku. Tak to wuja rozwścieczyło, że zaczął deptać gliniaki bosymi stopami, a w krzywy stół walił tak, jakby to był Lewandowski, a może nawet sama harda Władka. Coś

próbowałem gadać, ale walił i wrzeszczał jak wieprz zarzynany, gdyby wieprz basem krzycheć poradził, więc z chałupy się wymknałem, starając się wujowi nie podpaść pod pięści.

Zajrzałem do kuźni. Wujowie kowalczyki opuścili młoty i nasłuchiwali odgłosów z chałupy. Zaraz zapytali:

– Ćwiartas znowu wpadł w szal?

– Tak, i stołu też już nie macie.

– Nie pierwszy raz. Jak mu przejdzie, zacznie przeproszać i stół naprawi. Całą drewnutnię mamy pełną nóg stołowych, za ostatnim przeproszaniem wystrugał ich na zapas.

– A co wy o tym sądzie z Lewandowskim myślicie?

Jeden wuj w czoło się podrapał wolną ręką, drugi w potylicę.

– A co tu myśleć? Ćwiartas co chce, to robi, nie ma co się nad tym zastanawiać. W życiu w ogóle lepiej się za dużo nie zastanawiać. Ludzie mówią, że stąd właśnie, Janku, masz kłopoty, że za dużo myślisz.

– Ludzie mówią, że mam kłopoty?

– A nie masz?

Wzruszyłem ramionami.

– A ile twoich dzieciaków po okolicy lata?

– Nie wiem, ale żadna mnie o nic nie prosiła, więc raczej żaden.

Zarechotali aż miło, ale potem znowu spowaźnieli.

– Już swoje lata masz, czas na żeniaczkę.

– Wujowie tacy mądrzy? Żaden z was żony nie ma.

– I dlatego wiem, że czasem żona potrzebna.

– Dobrze mój brat mówi, smarku – dodał drugi.

– Ze wszystkim zdążę. Młody jestem.

– Jak uważasz. Ja też tak kiedyś myślałem.

– I ja – westchnął drugi.

Ten smutek w ogóle do nich nie pasował.

– Ja przecież chciałem się żenić. Z Władką – powiedziałem nagle.

– Jak to?!

– Janek, co ty gadasz?!

– A tak, chciałem być z Władką, ale mi ją Ćwiartas zmarnował.

Wujowie młoty odłożyli już całkiem.

– A więc to taka tam była historia?

– Siostra nic nam o tym nie mówiła.

– Wzajemna ci była ta Lewandoszczanka?

– To przez ciebie Władka od naszego Ćwiartasa uciekła?

Aż się uśmiechnąłem, bo podobał mi się taki pomysł.

– A może i przeze mnie...

I wtedy wujowie nachylili się nade mną, czarni, złością pachnący, jak te diabły z samego dna piekła.

– Janek, to u was w chałupie się Władka ukrywa?!

– Gdzie ją schowałeś?!

– Oddawaj Ćwiartasowi dziewczuchę, bo oszalejemy tutaj z tym wariatem!

Jednemu uciekłem, to teraz ci dwaj mnie pobiją.

– Ale przecież ja nie wiem, gdzie ona jest!

Zamilkli. Ale tylko na chwilę.

– Nie wiesz?!

– To nie do ciebie uciekła?!

– Wzajemna ci była czy nie?!

– Eeeee, nie wiem. Znaczy nie jestem pewien.

– Oj, Janek. Zawsze z ciebie była chwalipięta – powiedział jeden wuj.

– Ano była.

– A myśmy myśleli, że na jakąś dziedziczkę ze swatami czekasz.

A tyś się zwyczajnie w wujowej żonie zakochał?

Niemilo było słuchać, gdy tak o tym mówił.

Nagle coś do mnie dotarło, coś straszego. Wrzasnąłem:

– Ale nie mówcie o tym Ćwiartasowi, broń Boże, nie mówcie! Bo i do nas przyjdzie stół rozwalić!

– No co ty. W życiu. Nic nie powiemy.

– My w ogóle dużo nie gadamy.

– A już z Ćwiartasem ostatnio to w ogóle.

Tak obiecali.

Andzia Józwiakowa

Już ledwie pamiętałam czasy, kiedy tylko przelotnie zerkałam na Michała, bo ważniejszy był jego brat. Teraz jego brat nie liczył się wcale, za to patrzyłam chciwie na mojego męża, na jego zbrązowiałe od słońca, szerokie barki i złoty puszek pod nosem, na policzkach. Pamiętałam, jak Dorotka wodziła po tym meszku palcami, pamiętałam, jak patrzyłam na to zdumiona, że Michał tak się zmienia pod jej dłonią, że twarz mu się wygładza, łagodnieje. Teraz, kilka wiosen i lat po ślubie, po tym, jak urodziłam nasze dziecko, mogłam już przecież bezkarnie wodzić dłonią po jego twarzy, ale ciągle nie śmiałam. Wolałabym zresztą, żeby to on mnie dotknął pierwszy, żeby to on nie mógł się mi oprzeć, żeby on ku mnie ręce wyciągał.

Ale nie wyciągał.

Zrobiłabym wszystko, żeby mnie kochał tak, jak kochał Dorotkę.

Ale nic nie pomagało.

Zbliżało się jednak wielkie święto i w nim upatrywałam swojej szansy. Wszyscy się na nie szykowali, a i we mnie od tego krew poczynąła żywiej krążyć. Noc Kupały zwana była także przez niektórych sobótką, a przez naszego plebana – nocą świętojańską. A tak, bo właśnie tego dnia, w wigilię swoich imienin, Święty Jan chodził po świecie i chrzczył wszelką wodę – strugi, stawki, rzeczki, żeby bez strachu można się było kąpać, po Świętym Janie już wodnicy na nieostrożnych pływaków przestawali czyhać. Jako dzieci nie mogłyśmy się więc z siostrami doczekać sobótki, bo wielka to przyjemność wykąpać się wreszcie od stóp do głów, płukać w nurcie, zanurzać i wyskakiwać, a nie tylko w misce szmatką przecierać, dla oszczędności wody, którą matula musiała przecież przydźwigać w wiadrach. Jako dziewczęta, czekałyśmy tej nocy z jeszcze większym wytęsknieniem, i już wtedy nie tylko o tę kąpiel chodziło, ale jeszcze bardziej o wszystko inne. Na przykład o to, że od rana każda z nas w ciszy zbierała kwiaty na wianki, szukałyśmy takich, które złote czy żółte płatki rozkładały promieniście jak ten złoty obrąbek dookoła głowy Świętego Jana na świętym obrazie. Kwiatów musiało być dziewięć rodzajów, i choć w swoim czasie pytałam matulkę, dlaczego dziewięć, umiała tylko odpowiedzieć, że przecież tak trzeba. Każda dziewczucha się starała, żeby jej wianek był inny niż drugich, to było ważne, najważniejsze może nawet, żeby móc swój wianek łatwo rozpoznać i żeby chłopaki też ich nie pomyliły.

W tym czasie kawalerowie z całego Sokołowa, nawet i Olędry przecież, szykowali stos z chrustu, ustawiali go wysoko, daleko od obejść, żeby domom nie zagroził, i oczywiście niedaleko strugi, bo najbezpieczniej igrać z ogniem w bliskości wody. Wtedy gospodynie

w całej wiosce dokładnie zagaszały ogień w piecach, tak, żeby nie została żadna iskierka. No a potem należało iść do kościoła.

– Nie mówcie „noc Kupały”! Nie mówcie „sobótka”! – pokrzykiwał podczas mszy pleban. – To nie jakieś pogańskie wymysły, tylko wigilia męczeństwa Świętego Jana! Któremu głowę pogański król ściał na prośbę bezbożnej kusicielki! A wy, kmiecie, znowu pogańskie wierzenia wskrzeszacie?! Nie wolno! Święty Jan nad wami w niebie krwawymi łzami płacze!

Żeby nie płakał, czciliśmy go przecież w kościele, ale przecież na pewno świętemu nie przeszkadzało, że raz tak, raz tak mówimy, prawda?

Pleban w kościele kropił wodą święconą nas wszystkich jak na chrzcie, głowy wtedy skłanialiśmy i robiliśmy jak najwięcej znaków krzyża na piersiach, bo takie znaki wszystko złe odstraszą. Potem pleban szedł do siebie na wieczerzę, a dla nas zaczynało się drugie świętowanie.

Schodziliśmy się wszyscy do stosu. Tam już stare koło na nas czekało, umocowane na brzozowym paliku, na nim wiązaliśmy słomę smołą pomazaną, powrozy do koła mocowaliśmy, chłopaki łapały za powrozy i dalej kołem obracać. Biegali coraz szybciej, jak szalone konie w kieracie, jak rozpędzone ogiery dziedzica, rzeli też i się śmiali, sapali jak chłop, co się z kobietą niedawno kochał, aż dreszcz przechodził, kiedyśmy na nich patrzyli, a jeszcze większy, kiedy wreszcie błysnęło z koła złoto: iskra. Magia, ogień powstawał znikąd, z biegania tylko, przeskakiwał na słomę ze smołą, jedna iskra, druga, trzecia, płonęło! Chłopaki zmachane biegiem w kółko, zadyszane, opadały na ziemię. Podchodziły do nich dziewczuchy, żeby chłodzić ich, machając wiankami, wiechciami, a co

odważniejsze powiewały nad nimi spódnicami, bo w sobótkę wolno różne rzeczy robić, które na co dzień nie uchodzą.

Kiedy już stos płonął, świętowanie zaczynało się na dobre. Nasza babka dorzucała do ognia ziół, ruty, szaławii, piołunu, ale najczęściej to bylicy, która palona pachniała i dymiała tak, że się człowiek przestawał bać ciemności, nagle czuł się mocny i rozumiał, że wszystko ma sens, tej jednej nocy człowiek był tego pewien.

Jeszcze niedawno płaśałam z dziewczynami dookoła ogniska, po ślubie już mi nie wypadało, teraz mogłam tylko stanąć ze starszymi kobietami i wyśpiewywać sobótkowe pieśni, choć noga sama do tego chodziła. Gdy się ściemni, a młodzi odejdą od ogniska, i my ruszymy w tany. Co do tych starych kobiet, to zawsze wodziłyśmy wzrokiem od twarzy do twarzy, sprawdzając, czy wszystkie są obecne. Gdyby której zabrakło, rzecz była jasna: została czarownicą. Bo wiadomo przecież, że w noc Kupały czarownice wsiadają na miotły, ożogi albo pogrzebacze i lecą na wielką biesiadę na Łysą Górę, bo jak która nie przyleci, diablisko się piekli. Ale widać wszystkie nasze sokołowskie baby kochały Pana Boga, bo nigdy do tej pory żadna z naszych bab nie wyleciała na diabłą wieczerzę, wszystkie tu stały, śpiewały, przypominając sobie o świętym patronie tej nocy:

*Hejże ino, Święty Janie,
co tam robisz w tym łopianie?
Ale jak się chcesz ożenić,
my ci dziewczkę namówimy.*

Potem zaś wszyscy młodzi i niektórzy starzy włązili do strugi, chlapali się w ciasnej grupie jak karpie w stawie u dziedzica, polewali sobie plecy i głowy, wychodzili zimni i lśniący od wody w tych swoich koszulach. Wszystko przez mokre płótno było widać, i włosy w kroku, i sutki u dziewczuch, i włosy na piersiach u chłopaków, wszystko przez mokre płótno prześwitywało i budziło niepokój, kiedyśmy były małe, ale przecież i teraz także. Suszyli mokre tyłki, mokre koszule przy ogniu, zagadywali do siebie, pokrzykiwali, wszyscy zadowoleni. Dziewuchy zakładały wianki na głowy, poczynały płasać, chłopaki popisywali się, skacząc przez ogniska, starzy przyśpiewywali.

Zawsze się jakaś fujareczka znalazła, ktoś przygrywał, stare kobiety śpiewały z pełnych piersi, chłopcy huczały z całych sił, pewnie nas było aż na plebanii słyszać, może nawet u dziedzica we dworze, ale na myśl o tym jeszcze głośniej śpiewaliśmy, śpiewaliśmy, bo to było nasze święto i niech słyszą wszyscy, może nawet i sam Święty Jan.

A potem dziewczuchy zdejmowały wianki z głów, podpałały od stosów małe łuczywka i mocowały je do kwiatów. Schodziły z wiankami niżej, nad strugę, i każda puszczała na wodę swój wianek, wieńce płynęły po wodzie jak stado drżących na falach świetlików. Chłopcy ustawiali się poniżej i wyławiali wianki, czy to ręką, czy to kijami, potem wracali do dziewcząt, żeby się dowiedzieć, kto czyj wianek złapał, choć przecież większość wiedziała to od razu, o niektóre wianki prawdziwe bitwy się odbywały, nie kłamię. W swoim czasie o mój też chłopaki się ścigały, tu też nie kłamię. Potem, kiedy już wianki połączyły młodych, ruszali parami w las szukać kwiatów paproci, bo mieli już

miłość, tylko im bogactwa brakowało, a wiadomo, że kwiat paproci wskaże, gdzie skarby zakopano. Tej nocy starzy pozwalali młodym chodzić po dwoje do lasu, niektóre baby tylko nuciły, śmiejąc się trochę, że młodzi idą kwiatu paproci szukać, a znajdą przecież tam inne szczęście, bo jakoś z tą paprocią nigdy za niczyjej pamięci się nie udało.

Jako dziecko w ogóle nie miałam pojęcia, gdzie tej nocy znikają pary młodych, dlaczego podczas sobótki tak strasznie trzęsą się krzaki i dlaczego w ciągu następnych tygodni tyle par daje na zapowiedzi. Teraz już rozumiałam, ale strasznie tęskniłam za czasem, gdym jeszcze tego nie była pewna, bo wtedy wierzyłam, że wraz z miłością przyjdzie do mnie szczęście. Teraz już wiedziałam, że można kochać najgoręcej, ale co z tego, skoro głównie cierpienie z tego się rodzi, gorycz, jak z tego piołunu, co go babka wrzucała tej nocy na płonący stos.

Krzaki więc dygotały, a przy ogniu niektórzy starsi stawali tyłem do tej drgającej, sapiącej, szepczącej zieleni i starali się nie słyszeć. Byli jednak i tacy, którzy z lubością, z tęsknotą się wpatrywali w ciemność, nastawiali na nią uszu, taka to była noc.

Hanka Józwiakowa

Kostek, podpaliwszy łuczywo od sobótkowego stosu, jął się wybierać w las na poszukiwanie kwiatu paproci. Za dłoń mnie chwycił, w gęstwą pociągnął.

Nie znałam wprawdzie nikogo, kto by kwiat paproci znalazł, ale popróbować nigdy nie zawadzi. Gdyśmy jednak odeszli z kręgu światła, Kostek przystanął, łuczywo do góry uniósł, oświetlił moją twarz.

– Piękna jesteś. – I zbliżył swoje usta do moich.

Pachniał sobą, ładnie. Przymknęłam oczy. Opamiętałam się dopiero po chwili. Odsunęłam głowę i dałam krok do tyłu.

– Nie wolno. Jeszcze ktoś zobaczy.

– I co z tego?

– A to z tego. Powiedzą, żeś niecnotliwa. Niegodna.

– Przecież to nieprawda, Hanka. Jesteś najgodniejszą z godnych.

– Ale ważne, co ludzie będą mówić.

– Nie będą mieli racji.

– Czasem nie racja ważna, tylko to, co się wszystkim jawi.

Nie słuchał mnie wcale, bo znowu brał się do całowania.

– Przestań!

Tyleśmy czasu żyli w spokoju, w braterstwie i siostrzeństwie, tyle wiosen i lat udawało nam się sprawić, żeby nasz sekret zniknął w niepamięci, a on znowu przywracał rzecz na powierzchnię.

Bo Kostek, wbrew temu, co wszyscy myśleli, wcale nie był moim bratem.

Nikt na całym świecie nie wiedział, że od kilkunastu wiosen i lat żyję w jednej izbie w domu mojego syna z obcym mężczyzną. Nikt nie wiedział o tym, że jest obcy, nikt poza nami dwojgiem i moim świętej pamięci ukochanym mężem. Antoś dawno już jednak leżał na cmentarzyku przy kościele na Pustyni, więc teraz tylko ja i Kostek znaleźliśmy prawdę. No i Pan Bóg, jeśli zajmował się nami maluczkimi, a na pewno Matka Boża, bo ona o maluczkich dbała, jak to matka. Szczepan, mój syn ukochany, miał Kostka od zawsze za wuja, synowa i wnuki też, i nie miałam zamiaru nigdy im zdradzić, że rzecz ma się inaczej.

A teraz powiem, jak się miała naprawdę.

To było bardzo dawno temu, jeszcze żył mój mąż, gdy Kostek jako żebrak wędrowny zaszedł kiedyś do nas do chałupy. Chciał pojeść tylko, ale dałam mu parę rzeczy do roboty, żeby za posiłek odpłacił, bo mój mąż nigdy nie miał czasu ani głowy na drobne naprawy w obejściu. Kostek okazał się w gospodarstwie mocno przydatny, a kiedy brodę żebraczą zgolił – to i młodszy, niż myślałam. Nigdy nas nie było stać na parobka, więc postanowiłam, że Kostka na chwilę zatrzymamy, żeby tu i ówdzie pomógł. Antoś, mój mąż ukochany, co jakiś czas mu przypominał, że czas w drogę, ale Kostek jakoś nigdy w nią nie ruszył. Za łaskawy chleb odpłacał pomocą w gospodarce, a i opowiadać o świecie umiał, i doradzić, co było ciekawe i przydatne. Sypiał u nas w stodole, a żeby się ludzie ze wsi nie dziwowali, żeśmy dziada obcego na stałe zatrzymali, powiedziałam, że to mój brat, który odsłużył swoje w rosyjskim wojsku i wrócił do nas na starość odpocząć. Wszyscy uwierzyli i polubili Kostka, bo umiał opowiadać historie, oj jak umiał, i pocieszne, i pouczające, śpiewał też czasem i dobrą radę miał dla każdego. Wszyscy go cenili, poza moim mężem, który cięty był na niego strasznie, nigdy nie wiedziałam dlaczego. Kostek przez to trzymał się z dala od niego, przez większość roku sypiał w stodole, dopiero lute mrozy go stamtąd wyganiały. Potem nasz Szczepan zabrał sobie Kostka do Sokołowa. O to też mój Antoś był zazdrosny, że syn bardziej słucha Kostka niż jego.

Kiedy mój mąż zmarł, musiałam przenieść się do syna. Wielka to była zmiana! Z mężatki – wdowa, z Naczachowa do Sokołowa, z pańszczyzny na czynsz, z własnego domu na wycug do syna. Szczepan dom miał duży, izby i piece po obu stronach sieni, tak to zaplanował, a mnie postanowił umieścić w jednej izbie z bratem.

Przeraziłam się wtedy. Jak ja z Kostkiem będę mieszkać sama w jednej izbie?! Drżałam z niepokoju, kiedy mnie Szczepan przywiózł do siebie z rzeczami, bałam się, kiedy nastał wieczór. Nic się jednak nie wydarzyło. Było zwyczajnie, każde do swojego łóżka poszło, rano wstaliśmy, modlitwę odmówiliśmy i ruszyliśmy dzieciom pomagać.

Czego się bałam? Przed czym drżałam? Nic się przecież nie wydarzyło. Po pierwszej nocy było lepiej, dobrze było, zwyczajnie, czasem nawet ja zapominałam, że to nie mój brat pochrapuje pod drugą ścianą, tylko obcy, dziad wędrowny z daleka, z litości niegdyś do domu na chwilę wzięty, który został z nami na zawsze.

Ale po tygodniu czy dwóch u Szczepana Kostek mocno mnie zaskoczył.

– Wiesz co, Hanka? Moglibyśmy się pobrać.

Zarumieniłam się.

– Ja? Z tobą?

– A nie powinniśmy ślubu wziąć, skoro mieszkamy w jednej izbie?

– A widziałeś, żeby brat z siostrą ślub brali?

– Nie jestem ci bratem. Nigdy nie byłem.

– Dzieci myślą, że jesteś. Co byśmy im powiedzieli?

– Prawdę.

– Prawda jest taka, że bratem mi jesteś.

– Nie jestem.

– Ale tak wszyscy myślą. I tak ma zostać.

Kostek chodził potem smutny, ale ja wiedziałam, że mam słuszność. Miałam brata, z którym mogłam pogadać, poradzić się,

mądrego brata miałam. Żadnych ślubów. Żadnych gorących spojrzeń. Żadnych pocałunków. I żadnych kwiatów paproci.

– Przestań, Kostek – powiedziałam teraz. – Przestań! Bo ci każę znowu kij żebraczy chwycić i iść precz.

– A wtedy co ludzie powiedzą?

Odszedł jednak, ale zaraz się odwrócił, dwa kroki do mnie, trzy ode mnie, jak w tańcu jakimś diabelskim, głosy pieśni spod stosów się ku nam niosły, też dzikie.

Zadarłam spódnicę, żeby szybciej móc ruszyć ku światłu, jak stara, stanowcza ćma. Byle dalej od pokus w tę czarowną noc. Brat i siostra, tylko tyle, wystarczy.

Wróciłam do ogniska, do światła, do kobiet, i śpiewać z nimi poczęłam, a z waru, jaki płonął we mnie, śpiewałam najdonośniej.

Janek Józwiak

Kiedy dzisiaj z rana budowałem sobótkowy stos z chłopakami, czułem się jednym z nich, jednym z tych młodych, przed którymi jeszcze miłość i całe życie. Teraz jednak, kiedy patrzyłem na drgające krzaki, gdy słyszałem krzyki i sapanie, gdym krążył tam obcy, nieswój, kiedy w każdym ciemniejszym zakątku gołe tyłki widziałem, białe pozadzierane koszule, gdym nawet, o zgrozo, babkę z dziadkiem zobaczyłem, jak sobie całusy dawali, co bratu i siostrze nie przystoi, drżałem. Może bym poszedł jakiś wianek łowić, ale kiedy zbliżyłem się do strugi, wzięła mnie taka gorącość, że już nie kijem wianek łowić, lecz mogłem tylko lec na zimnej murawie i czekać, aż mię odejdzie ten upał, i zastanawiać się, skąd to na mnie przyszło i po co. Chłodu wszędzie szukałem, lecz gorącość za mną szła uparta i wredna, dusząca.

Jagunia od Wicków

Czy żalność w duszy po śmierci zostaje, pytacie? A może jako sprawa niezłatwiona przytrzymuje jak palik krowę, nie pozwalając daleko odejść?

Sprawy niedokończone czasem bowiem mocniej przy tym świecie trzymają niż chęć życia, a ja miałam tych spraw wiele, trzymały mnie w pół drogi między światami, trwałam tutaj, objając się o inne duchy, złe i niespokojne jak ja. Ziałam swoją gorącością na ziemię i nic mi z tego nie przychodziło, poza tęsknotą straszną. Zsyłałam niepokój na cudze życie, bo swoje przerwałam w pół słowa, w pół bólu.

Andzia Józwiakowa

Wianki dziś uplotłam trzy, wszystkie z magicznej bylicy, co to w parę tygodni z jednego listka wyrasta w zielsko większe niż najwyższy chłop, z czego widać, że ma moc magiczną. Wszystkie te trzy wianki, jak obyczaj nakazywał, założyłam naszym krowom na łby, na rogi, żeby dobrze się miały, żeby łatwo się dawały zacielić, żeby nie płakały potem za cielećkami i żeby długo dawały mleko. To były więc wszystkie wianki, jakie wypadało mnie, zameźnej, w sobótkę upleść, bom swój wianeczek w noc poślubną utraciła. Michał go wziął niechętnie, ale wziął, z obowiązku i dla zasady, bo obowiązkiem i zasadą się w życiu kierował.

Jako dorosła już i zameźna, bardzo się smuciłam, że w swoim czasie żeśmy z Michałem z dobrodziejstw nocy Kupały nie skorzystali, może inaczej by wyglądały sprawy między nami. Teraz nam, starszym, zameźnym, już raczej nie wypadało iść w ciemność,

choć gdy na drgające zarośla patrzyłam, krew we mnie grała nie gorzej niż wtedy, kiedy byłam dziewczątkiem. I naraz się wzięłam na pomysł, wygrzebałam go gdzieś ze szczelin pamięci, z głębi całkowitej, z takich miejsc, które mi się otwierały tylko wtedy, kiedy wdychałam dym z sobótkowego ogniska. Otóż było takie dziwne ziółko, nasięźrzał, może niepozorne, bo tylko jeden listek i jeden kłosek miało, ale mocne jak żadne. Matulka kiedyś nam o nim opowiadała, pamiętałam też, że chcąc, żeby tatulo był dla niej miłszy, wysmarowała się nim w czasie sobótki, ale kiedy potem pytałam, czy pomogło, nie chciała ze mną o tym gadać. No i dzisiaj, kiedy za dnia szukałam bylicy do ognisk i dla bydełka, zobaczyłam ten nasięźrzał. Rzadko się pokazywał, więc się podziwowałam chwilę i zostawiłam go na bagienku. Ale kiedy przy ognisku o matulce mi się przypomniało, nagle zrozumiałam, że może to jest moja szansa, może sam Jan Chrzciciel dziś z rana mnie pod to ziółko podprowadził, może tym samym dał mi znak i grzechem byłoby nie skorzystać.

Grzechem byłoby nie skorzystać, powtarzałam sobie, kiedy prawie już po ciemku szłam w tamto miejsce na bagienku. Żaby rechotały, zarechtywały się z tej sobótki, z tej gorącości, a ja błądziłam wśród nich, wśród zielska, ale przecież szłam, łuczywkiem przy ziemi świeciłam i chyba tylko Chrzcicielowi zawdzięczam, że w końcu ziółko znalazłam. Zerwałam je, zmięłam w rękach, spódnice i koszulę z siebie zrzuciłam, i dalejże się nacierać, nie bardzo wiedziałam jak, więc robiłam to dokładnie, raz koło razu, jakbym się w sobotę myła szmatką w misce. Zapach zielska kręcił w nosie, skóra mrowiła, jakbym się nurzała w mrowisku, ale nie

przestawałam, szepcząc pod nosem tę modlitwę, którą od matulki pamiętałam:

*Nasięźrzale, nasięźrzale, rwę cię śmiało,
pięć palcy, szóstą dłoń,
niech się chłopcy za mną gonią.
Po stodole, po oborze, dopomagaj Panie Boże.*

I znowu tarłam, mocno i dokładnie, i znowu szeptałam:

– Nasięźrzale, nasięźrzale, rwę cię śmiało...

Naraz usłyszałam szelest w krzakach i zanim zdążyłam koszulę na siebie narzucić, wyszedł z nich chłop, wysoki, barczysty, z jasną czupryną. Na mój widok zamarł.

– Andzia, co ty tu robisz?!

Janek, dopiero po głosie go poznałam. Zasłoniłam się w kroku dłońmi z nasięźrzałem, ale bezbronne piersi zostawały na widoku, więc odjęłam dłonie, sięgnęłam po koszulę, biała w półmroku, z pośpiechu nie mogłam wcelować głową w otwór, miotałam się, wszystko pachniało nasięźrzałem, a Janek zanosił się od śmiechu.

Ależ zła byłam, że mi cały czar zepsuł. Ależ byłam zawstydzona, że mnie nagutką widział, że patrzył, jak się uciekam do rozpaczliwych prób, by męża sobą zainteresować. Będzie Janek mi dokuczał przez najbliższe czasy, będzie znał moją tajemnicę, będzie mnie nią kłuł i bódł, tyle sobie tym nasięźrzałem pomogłam. Oj, Janie Chrzcicielu, ty też nie wspomogłeś. Zaraz się zawstydziłam, że tak do świętego mówię, ale gdy stałam naga przed Jankiem, wstydziłam się jeszcze bardziej.

– Jakie czary, ja nie mogę... Jaka ty dziwna jesteś! Ale wiedźmę udajesz! – rechotał, aż żaby umilkły, zadziwione, że ktoś tak głośno je naśladuje.

Nic nie mówiłam, tylko stałam, gdy smagał mnie tym śmiechem, trzymałam nasieźrzał przy ustach i zaciągałam się jego zapachem. Już wiedziałam, że czary mi nie wyszły, jak kiedyś matulce.

I wtedy z lasu, zwabiony tym szwagrowym rechotem, znowu wyszedł chłop jakiś. Zdał mi się znajomy, ale dopiero po chwili poznałam, że to Michał, mój Michaś, mąż.

– A co wy tutaj? Andzia, szukałem cię wszędzie...

– Czy ty wiesz, co ona tu robiła?! – zaśmiewał się Janek. – Czy ty w ogóle wiesz, co wyprawia twoja żona?!

Michał przystąpił ku mnie, zaniepokojony.

– Andzia, o co mu chodzi?!

– No bo... No bo ja...

– W czary się twoja baba bawiła. Wiedźmę poślubiłeś! Miłości twojej tutaj na goło szukała!

– Na goło? Andziu, tutaj?

– Michał... No bo ja...

Rozpłakałam się nagle, łzy nasieźrzałem ocierałam, dziwiłam się sobie i tej dziwnej nocy, nie chciałam słyszeć ohydneho rechotu Janka, nic nie chciałam słyszeć.

– Andzia – powiedział bezradny Michał, bo, jak każdy chłop, nie miał pojęcia, co robić, kiedy mu baba płacze.

A ja, nie puszczając ziela nasieźrzała, dałam krok do przodu i przylgnęłam do piersi Michała, szorstkiej od lnu i ciepłej.

– Dziwnie pachniesz – powiedział, a potem oplótł mnie ramionami.

Rehot Janka umilkł, żaby chwilę odczekały w ciszy i znowu podjęły swoją pieśń.

Po sobótce wymyśliłam sposób: postanowiłam stać się dla Michała tym, czym była Władka dla mojego ojca, ojciec Władkę przez to właśnie kochał najbardziej, może to sposób na mężczyznę. No i mój mąż, jak ojciec, także potrzebował w polu pomocy, bo Kostek więcej gadał, niż robił, czasem mi się nawet na to Michał żalił.

Wiązałam więc Mariankę w chustę na plecach i szłam z Michałem w pole. Z dzieckiem na plecach niesporo by mi się pracowało, więc ustawiałam dla małej na miedzy kolebacz: wbijałam w ziemię trzy ostro zakończone drążki, trochę wyższe niż chłop, u szczytu połączone rzemieniem, żeby się nie rozjeżdżały, a na tym wieszałam płachtę z Marianką. Pobujałam chwilkę, żeby zasnęła, i ruszałam do pracy, nie dorównywałam co prawda mojemu mężowi siłą, ale pracowałam gorliwie, nie żaliłam się, nie ustawałam, harowałam, jak niegdyś Władka z ojcem. Michał mi nie dziękował, nie cieszył się, że jesteśmy razem, ale wskórałam tyle, że po jakimś czasie, zanim wyszedł rano z domu, przystanął i czekał na mnie, czasem nawet na mnie spojrzał. Zdarzało się też, że w polu mówił do mnie niepytany. Co mówił? A że dziś tę bruzdę skończymy. Do wieczora jeszcze z pieleniem do lasu dojdziemy. Już południe, czas na chwilę w cieniu usiąść. Tylko tyle mówił, ale nie ustawałam ze staraniami, ruszałam z nim co rano, wolałam to niż w domu na niego przy babskiej robocie czekać, od babskiej roboty były Michała matka i babka, same mnie za mężem w pole wypychały, żebym szła, a one w domu poradzą.

Michał Józwiak

Z początku wcale mi się nie podobało, że Andzia zaczęła ze mną chodzić w pole. Bałem się, że utracę moją ciszę. Bałem się, że będzie pytać o te wszystkie nieważne rzeczy, jak to, czym niegłodny, jak się czuję i co będziemy robić jutro. Jednak jeśli mówiła, to do małej. Jeśli śpiewała, to do niej. Słowa mojej żony nie do mnie skierowane nie drażniły, lecz trochę koły. Dzięki nim widziałem, że gdzieś jeszcze jest życie.

Andzia Józwiakowa

Kiedyśmy raz w południe usiedli pod gruszą na miedzy, a Michał pochylił się nad dwojakami, zrozumiałam nagle, że jawi mi się obco i swojo jednocześnie. Skórę miał w kolorze skórki chleba, jedną brew wyżej, jeszcze pamiętałam, że kiedy się śmieje, ta brew właśnie podjeżdża mu pod spłowiałe włosy, i zrozumiałam, że od dawna, od śmierci Dorotki może, nie widziałam, żeby ta brew mu podjeżdżała, a więc od dawna nie widziałam, żeby Michał się śmiał. I nie szukając wymówki, mężem mi przecież był, wyciągnęłam rękę do jego twarzy, dotknęłam szorstkiego policzka. Mój mąż drgnął. Potem złowił moją dłoń, ciepłą miał skórę i chropawą, zadrzałam, a on ją oglądać moje palce pod światło.

Janek Józwiak

Nie minęło wiele czasu od mojej wizyty u wujów, gdy do naszego obejścia wpadł czerwony na gębie Ćwiartas.

– Janek!!! – ryczał. – Janek, gdzie jesteś, diabelskie nasienie?!

Akurat żem w stodole siedział i ból głowy podrzemywaniem leczyłem. Wrzask Ćwiartasa mnie z sąsieka zerwał, do dziury po sęczku podbiegłem, w sam czas, żeby zobaczyć, jak wuj wali w drzwi naszej chałupy, aż się tak ukochane przez mojego świętej pamięci ojca ściany z glinobitki trzęsą.

– Janek!!! – ryczał. – Janek, chodź no mi tutaj!!!

Czyżby nikogo w domu nie było? Michał z Andzię pewnie jak zwykle w polu, dziadek Kostek z babką pojechali na targ. Matula wyszła z obórki, gdzie w południe krowy doiła, stopy miała jeszcze umazane gnojem, ręce ocierała w zapaskę, niedodojona krowa ryczała z obórki, nie tak głośno jednak jak wściekły Ćwiartas.

– Zośka!!! Tak żeś tego łajdaka wychowała!

– O czym ty mówisz, braciszku? – Matula podeszła do miotającego się Ćwiartasa i położyła mu rękę na ramieniu.

Drgnął, a potem naraz krzyczeć przestał. Już nieco spokojniej zaczął matuli przedkładać rzecz całą, nieskładnie i w prostych słowach, cud, że wyrozumiała z tego cokolwiek.

– Że Władkę ci Janek znarowił? A gdzież tam! Ta dziewczucha zawsze była harda, sąsiedzi takie rzeczy wiedzą.

– Gdzie Władka?! Chowacie ją u siebie?!

– My? A dlaczego? Od twojego ślubu jej nie widziałam.

– Zośka, przysięgnij się. Nie ma jej tutaj?!

– A dlaczego miałyby być?

– Bo to Janek! Ten twój synalek ukochany! Pamiętam, co na naszym weselu wyprawiał!

– Pewnie mu się Władka podobała, jak każda, co spódnice nosi. Bo w kim on się nie kochał, ten mój starszy syn? Jakby tak

wszystkie mu miłowaniem odpowiadały, to byśmy się teraz od dzieciaków nie mogli opędzić. Nie przeceniaj Janka, braciszku.

To gadanie już mi się mniej podobało. Jak to: nie przeceniaj?

Wuj też się z matulą nie zgodził.

– Wszystkie za Jankiem kiedyś biegały, sam pamiętam, jak po kościele go obłąziły, jak mrówki kurze flaczki – powiedział.

Choć te flaczki mi się wcale nie podobały, myśl jednak była słuszna.

Matula jednak myślała inaczej.

– Kiedyś za nim może biegały, ale teraz już się trochę z niego śmieją. No bo zamiast do roboty, ten nasz Janek chodzi w świat mędrkować, czy to na targ, czy to pod karczmę, czy to na pastwisko gromadzkie. A zobacz, że tam, na pastwisku, jest najstarszy z tych wszystkich pastuszków, dziwnie więc na niego popatrują, już nawet nie śmieją się z jego żartów, jak przedtem. Mnie się Janek kiedyś wydawał bardziej z moich synów udany, ale teraz? Po domu łązi jak błędny, roboty sobie nie umie znaleźć. Nie, źle mówię, wcale roboty nie szuka, raczej przed nią ucieka. Tak jak dziadek Kostek, ale on już stary, jemu przystoi. A najczęściej razem siedzą i mędrkują w stodole, przekrzykują się jeden przez drugiego, bo każdy z nich woli gadać, niż słuchać. Taki jest Janek, więc zdziwiłabym się, braciszku, gdyby Władka go od ciebie wolała.

– Janek taki się zrobił? – zdziwił się Ćwiartas, sporo już spokojniejszy.

Wdzięczny mu byłem za to zdziwienie, bo w duszy coś mi się mrowiło nieswojo na te słowa matuli. Ale potem zrozumiałem, że nie dość, że matula już niemłoda i rzeczy mogą jej się czasem plątać,

to jeszcze specjalnie tak wujowi mówi, żeby go ułagodzić, żeby się po obejściu, po wsi nie rzucał. Tak musiało być.

– I to nie on schował mi gdzieś Władkę? – dziwił się ciągle Ćwiartas.

Uznałem, że czas wyjść ze stodoły i cały kłopot rozwiązać.

– Wuju Ćwiartasie – zacząłem.

Smagnął mnie spojrzeniem jak batem. Ale nie dałem mu wybuchnąć, mówiłem bez przerwy, mówiłem, jak matula przed chwilą, dużo i łagodnie:

– Władka kochała wolność i dlatego uciekła. Nikt temu nie winien. Nie ja, bo mnie nie chciała, naprawdę, wuju, nawet na mnie nie patrzyła, pamiętacie, jak mnie po gębie wytlukła na Świętego Floriana? Z wami wtedy poszła. I na pewno nie Lewandowski, bo przecież całymi latami tę hardość z niej rzemieniem wybijał. Ale nic nie poradził, bo Władka się harda urodziła i taka umrze. Niczyja to wina. Wasza, wuju, też nie.

– Wepchał mi złą dziewczuchę, ten czorci syn przeklęty, wasz sąsiad.

– Wszyscy ją chcieli, bo była gładka. Ja też. Ale mimo swojej hardości wybrała was.

Aż się wyprostował, napuszył.

– Ale nawet z wami żyć w spokoju, w pokorze nie umiała. Taka już z niej była rogata dusza. Niczyja to wina, jej tylko.

Pies w chlewie przecież nie wytrzyma – chciałem jeszcze dodać, ale na szczęście się pomiarkowałem. Więc pomyślałem chwilę, czym wuja najlepiej ułagodzić.

– Kura pod niebo nie wzleci. Ale procesować się o to nie trzeba.

Wuj głową pokiwał, ucieszony, że Władka to kura, a życie u jego boku niebem nazwał.

– To co, bracie? Odstąpisz od procesu? – upewniła się matula.

Teraz, gdy już czerwień Ćwiartasowi z policzków poczęła schodzić, już ich mogłem zostawić.

A potem poszedłem tam, gdzie ludzie mnie lubili i słuchali, gdzie mnie podziwiali i śmiali się z moich żartów, do karczmy. Tam znowu ku ogólnemu podziwowi wygłosiłem niedzielne kazanie plebana z pamięci, a oni wykrzykiwali, że łebski ze mnie chłopak, może nawet bardziej niż sam pleban.

No i tak chciałem o sobie myśleć.

Jagunia od Wicków

To, że powiesiłam się na warkoczach, które Janek tak lubił rozplatać, niczego w naszej historii nie rozwiązało, bo dalej chciałam z nim gadać, wyjaśniać, ciągle chciałam na niego patrzeć i stale chciałam, żeby on patrzył na mnie.

Nie patrzył.

Kiedy stanęłam za nim w karczmie, oblał się potem, jak zawsze, kiedy byłam blisko. Pogłaskałam go po głowie. Drgnął i zamilkł. Zaraz znowu gadać zaczął, a wtedy wczepiłam się w niego obiema rękami i dyszałam mu w kark, aż z trudem słowa kolejne wypowiadał, aż sobie o mnie przypomniał, aż się za siebie obejrzał.

Nie widział, ale wiedział.

Janek Józwiak

Nikt nie doceniał, że nie dopuściłem do sądu i awanturze wuja Ćwiartasa z Lewandowskim zapobiegłem.

Nikt mnie za to nie pochwalił, zupełnie jakby od razu zapomnieli.

Za to wszyscy z jednym tylko do mnie przychodzili, z jednym, do znudzenia, jakby innych spraw w życiu nie było.

– Ożeń się, wnusiu – mówiła babka, kiedy sobie czasem przy niedzieli araku popiła. – Janek, ludzie już gadają, że w latach jesteś. Twój młodszy brat ma żonę, a ty nawet narzeczonej. Żeś popsuty, mówią.

– Nie będę się przejmował, co baby przy studni gadają.

– Szacunek ludzki ważna rzecz. Siedząc w karczmie, go nie odnajdziesz.

– A z żoną niekochaną odnajdę? Mój brat co odnalazł?

Babka jakby mnie nie słyszała.

– Jak się ożenisz, baba od razu ci te karczmy z głowy wybije.

Ale przecież, jeśli się ożenię, nigdy już Władki w obcych krajach nie odnajdę. Ile to już wiosen i lat marzę o tej wędrownicy? I marzyć o niej nie przestanę, o nie. Pieniądzy na nią co prawda nie przybywa. Znaczący właściwie ubywa, ale byłem pewien, że przy odrobinie wysiłku będę mógł ich znowu całkiem dużo zgromadzić i na Dzikie Pola powędrować, poszukać mojej dzikiej ukochanej. A tam już przecież sobie poradzimy, tam już życie będzie łatwe i szczęśliwe.

Z dziadkiem ostatnio też już nie tak bardzo lubiłem pogadywać.

– Ja myślę, Janek, że ty sam nie wiesz, czego chcesz.

– A dziadek co wie?!

Kostek spowaźniał, palce na wiklinie mu zamarły.

– Wiem tyle, że rodzina i dom to rzeczy najważniejsze. Powodzenie u panien, u ludzi mija szybciej niż to, że się z kimś życie związało.

Pierwszy raz tak do mnie mówił, poważnie i w ogóle. Wzruszyłem ramionami i poszedłem tam, gdzie mnie chcieli.

Hanka Józwiakowa

Z sądem się na szczęście uspokoiło, za to z Jankiem się pogorszyło, już prawie z karczmy nie wychodził, nie byłem pewna, za co pije, na krechę pewnie, kiedyś trzeba będzie za to zapłacić, gospodarzom, którzy mu stawiali, będzie się musiał i on gorzałką odwdzięczyć. I rzeczywiście, po żniwach i młócce przyłapałam go, że worek żyta ze stodoły wynosi, spocony, na gębie czerwony, jakby przed chwilą biegał.

Albo jakby Jagunia mu w kark chuchała gorącem.

– Dokąd z tym idziesz? – zapytałam zaraz.

– Moja sprawa.

– Arendarzowi w karczmie chcesz oddać nasze ziarno?

– A nawet jeśli, to co? Przy żniwie pracowałem, przy młócce, na mojej w połowie ziemi rosło, należy mi się.

Coś tam rzeczywiście pracował, ale żniwo i młócka to była harówka tak wielka, że nawet najstarsi, najbardziej chorzy nie odmawiali wtedy pracy.

– W ogóle o spłacie czynszu nie myślisz, prawda?

Wzruszył ramionami.

– Michał będzie wiedział, dlaczego się tego worka nie doliczy?

– Jak się nie doliczy, będzie wiedział. Babka mnie przepuści, muszę iść.

Stał przede mną z tym workiem, a ja mu drogę zagradzałam, wzięwszy się pod boki. Miałam nadzieję, że odłoży zaraz worek na miejsce, on jednak dał krok do przodu. Jeszcze niedawno nie śmiałyby mnie odsunąć, nie mnie, swoją starą babkę. Teraz jednak nie chciałam sprawdzać, czy się na to nie odważy, więc sama się odsunęłam.

I przeszedł.

– Coś taka czerwona? – spytał Kostek, który właśnie wrócił z łąki z wiązką wikliny. Mógł pojawić się wcześniej, pomóc mi w rozmowie z Jankiem, to nie, teraz przyszedł i jeszcze omiatał mnie gorącymi spojrzeniami.

Zła na Janka byłam jak nie wiem co, teraz jeszcze na Kostka się zdenerwowałam.

– Przestań! – powiedziałam.

– Co? – uśmiechnął się zawadiacko, lubiłam w tym uśmiechu jego dwukolorowe zęby.

– Tak patrzeć na mnie.

– Tak?

I znowu się nade mną nachylił z tym gorącym spojrzeniem, z warem w oczach, który zarażał gorącem moje policzki. W takich chwilach zaczynałam się bać, że i nas z Kostkiem Jagunia zaczyna dręczyć, że zaraz nasz sekret wyda, najczarniejszy z czarnych. Więc zaraz postanowiłam Jagunię masłem ułagodzić. Zostawiłam tego drania w stodole, poszłam do komory w chałupie, wyłowiłam osełeczkę z garnuszka z wodą, wsadziłam do drugiego, suchego, serwetką przykryłam i ruszyłam. Daleko jednak nie uszłam, bo Janek ucapił mnie zaraz przy furtce.

– A dokąd to masło niesiecie, babko? Dziś targu w Izbicy przecież nie ma.

– A tak sobie noszę... Z mojej to krowy przecie.

– Ale babki krowa nasze siano zre, naszą sieczkę, to i masło jest nasze. Grzecznie babkę pytam, komu babka je wynosi?

Stał w furtce, przejście zasłaniał, przepychać się z nim miałam?

Oddałam mu to masło, jakby był rządcą we dworze, a on jak rządcą je wziął i na wozie obok worka z ziarnem położył, zaraz, zamiast Jaguni, karczmarz będzie się moim masłem cieszył. I tak mi się płakać zachciało, że do tej lodowatej stodoły do Kostka wróciłam. Chlipałam pod nosem, więc mnie do kapoty przygarnął, oboje wzdychaliśmy, przy tej jego kapocie trochę lżej mi było. Oj, Jaguniu, wybacz, że masła nie dostaniesz! Co to się porobiło z tą naszą rodziną, co to się porobiło! A Kostek gładził mnie po plecach.

Jagunia od Wicków

Czasem Janek stanął przy mojej mogile, wieczne odpoczywanie wyrzucał wtedy z siebie szybko jak kukułka kukanie i zaraz uciekał. Jego babka więcej czasu spędzała przy moim grobie, podarunki mi nawet dawała, choć zupełnie nieprzydatne, bo co mi po maśle rozsmarowanym na krzyżu. Jednak przynajmniej mnie zauważyła, przynajmniej mnie uszanowała. A ten nic. O Władce więcej nawet niż o mnie myślał, o mnie wspominał tylko wtedy, gdy go gorącym otaczała, a że pił teraz coraz więcej, to już i gorąco lekceważył, bo nie odróżniał, które ode mnie, a które pochodzi od gorzałki. Łaziłam za nim coraz bardziej wściekła, coraz bardziej rozpedzona, a że go w bezświaty jeszcze nie ściągnęłam, to tylko

babce swojej zawdzięczał, babce, której za życia nie zauważałam,
a teraz była dla mnie wśród żywych najważniejsza.

Bo ona jedna o mnie myślała bez przerwy.

Część szósta. Rok 1860, czas błyskotliwych pomysłów

Pewien francuski księgarz i zecer, zafascynowany nowiuteńką sztuką dagerotypu, wpada na dziwny pomysł. Skoro można na szklanej płycie utrwalić ludzką twarz, to na pewno dałoby się również unieśmiertelnić ludzki głos, prawda? Pragnienie zmienia się w obsesję, Édouard-Léon Scott de Martinville godzinami analizuje budowę ucha, zwierzęcego i ludzkiego, rozbiera je na czynniki pierwsze, wydaje wory pieniędzy na kolejne bezskuteczne próby, kiedy w końcu udaje mu się zbudować urządzenie wzorowane na układzie kosteczek słuchowych i błony bębenkowej. Teraz drży z niecierpliwości. Udało się?

I oto zbliża niecierpliwe usta do tuby, nuci drżącym głosem starca pierwszą rzecz, jaka przyszła mu do głowy, czyli kołysankę, którą w dzieciństwie słyszał od niani, Au clair de la lune, mon ami Pierrot. Wzmocniony dźwięk pobudza do drgań membranę, ta porusza rylcem, a ten z kolei dotyka okopconego papieru owiniętego na bębnie. Scott porusza korbką bębna, a rylec wydrapuje białe drżące linie na czarnym tle. Nasz księgarz patrzy na te zygzaki i nie umie powstrzymać wzruszenia: Udało się! Zapisałem dźwięk! Zmieniłem go w obraz!

Jego niezdatną mruczankę ludzkość odczyta i usłyszy dopiero za sto pięćdziesiąt lat, dopiero wtedy zrozumie, że to właśnie on, Scott de Martinville, a nie sławny Edison, po raz pierwszy zapisał ludzki głos. Struny głosowe Scotta dawno szczyły, ale ich wytwór wydrapany biało na czarnym trwać będzie, póki istnieje ludzkość.

Czasem pomysły są ważniejsze niż ludzie.

Andzia Józwiakowa

Nie chciałam mieć więcej dzieci, zamiast tego wolałam, żeby Michał mnie kochał, ale nie kochał przecież, choć trochę się do mnie przyzwyczajał. Dorotkę tulił inaczej, ciągle to pamiętałam.

Nie chciałam więcej dzieci tygodniami bezimiennych, nie chciałam bojów o to, żeby kolejnej córeczki nie nazywać Dorotką, nie chciałam popsuć tego, co udało się zbudować między nami, więc poszłam tam, gdzie mogłam dostać gorzkie zioła, dzięki którym nie zachodziło się w ciążę. Takie zioła miała, szeptało o tym wiele mężatek i niektóre panny, babka Golcowa z Naczachowa, stara, a więc świat znająca, której ze wszystkich zębów został jeden czarny pieniek. W ten właśnie pieniek wpatrywałam się, kiedy wykrztusiłam swoją prośbę, bo nie śmiałam jej spojrzeć w oczy. Wtedy to ona wzięła mnie sękatą dłonią pod brodę i zajrzała mi w oczy. Potem już o nic nie pytała, tylko dała płócienny woreczek z suszem w środku, kopiejki wzięła bez liczenia, wsunęła je za święty obraz z Matką Boską i Dzieciątkiem. Matka Boska być może też takie zioła łykała, skoro miała tylko jedno dziecko, pocieszałam się. Nie byłam pewna, czy takie myśli nie są grzechem, nie byłam pewna, czy picie tych ziółek grzechem nie będzie, więc na wszelki wypadek nie miałam zamiaru mówić o tym na spowiedzi, nie miałam zamiaru mówić o tym nikomu.

Nie chciałam mieć więcej dzieci, bo codziennie chodziłam w pole, gdzie przyzwyczajałam męża do siebie. W domu nikt nie protestował, że pracuję z Michałem ramię w ramię, matka i babka mojego męża nawet były zadowolone, że nie kręcę im się po kuchni. Ale wiedziałam, że niektórzy we wsi śmieją się, że pracuję jak chłop. Pewnie dlatego ojciec groźnie popatrywał na mnie zza płotu,

kiedym się rano zbierała z mężem w pole, ale że Michał stał obok, nie śmiał zagadać. Czoło jednak marszczył, pięścią w drugą dłoń strzelał, jakby chciał mnie skarcić, znaczy uderzyć. Widać już zapomniał, jak Władkę w pole ciągał co rano. Wiedziałam, że kiedy mnie ojciec zobaczy samą na podwórzu, zaraz do płota przywoła i będzie krzyczał, baczyłam więc, by mnie samej nigdzie nie przyłapał.

Przyłapał mnie jednak kto inny. Któregoś dnia, kiedym wciskała słomiany kapelusz na chustkę, żeby słońce w polu nie raziło, zagadał do mnie zniecka Janek. Dziwne to było, bo od tamtej sobótki nie odezwał się do mnie ani razu, wzrokiem mnie także omijał jak kredens czy osmalony kociołek, teraz jednak patrzył mi w oczy i mówił.

Bardzo niemiłe rzeczy.

Prawie w ogóle go jednak nie słyszałam, bo właśnie dziwiłam się, jak ta niegdyś miła Jankowa twarz w złą się zmieniła. Kiedyś, dawno temu, na mój widok uśmiechał się i ręką machał, teraz patrzył na mnie jak na żmiję, którą chciałby przytrzasnąć przy pysku rozwidlonym kijem. Wpatrywałam się w niego i ledwie słyszałam, co do mnie wykrzykiwał. Że dziecka nie pilnuję, tylko męża w brzdach! Że mężczyznę wolę udawać, niż jak prawdziwa kobieta pieca i domu pilnować! Że taka sama ze mnie polatucha jak Władka! Czarownica! Krzyząc, głowę przekrzywiał, jak wtedy, kiedy mi słodkie słówka prawił, ale zęby szczyrzył bokiem, jak ten pies z obejścia moich ojców, co zniecka wszystkich po łydkach kąsał.

– Dlaczego taki jesteś?

– Jaki? – zbaraniał.

– Kiedyś byłeś miły i wesoły. A teraz?

Pierwszy raz w życiu widziałam, żeby mu języka w gębie zabrakło. Musiała minąć zdrowaśka albo może nawet i dwie, zanim go odnalazł.

– Ludzie się z ciebie śmieją – powiedział.

– Nie tylko ze mnie.

– No tak, z mojego brata też. Że taki sam nieudaczny z niego mąż, jak i z mojego wuja Ćwiartasa.

– Z Michała ktoś się śmieje? Ja tam słyszałam, że go chwala. Słyszałam, jak z ciebie się śmiali.

Sama nie wiedziałam, co we mnie wstąpiło, że z taką odwagą napadam na mojego szwagra.

– Co ty bredzisz! – Zmarszczył czoło.

– Nie ja, ludzie mówią, że Michał musi żonę w pole ciągać, bo jego brat do roboty niezdatny.

Znowu zamilkł.

– Kiedy ostatnio z nim byłeś w polu?

– Gospodarka to nie tylko krecie rycie w ziemi. Ktoś musi myśleć, planować, szukać pomysłów na gospodarke.

– I to właśnie robisz w karczmie?

– Nic z tego nie zrozumiesz.

– A znalazłeś jakiś pomysł?

– O tym będę rozmawiał z bratem, nie z tobą.

– To jeszcze cię spytam: co by się stało, gdyby Michał przestał harować?

Zmarszczył brwi, niepewny, o co mi chodzi.

– To ci powiem. Wyrzuciliby nas z czynszu i umarlibyśmy wszyscy z głodu, chyba żeby Johannes pozwolił nam zamieszkać u siebie w komorze. A co by się stało, gdybyś ty przestał planować

naszą gospodarkę w karczmie? Nic. To znaczy mielibyśmy więcej pieniędzy. Bo to twoje planowanie psu na budę zdatne.

Drugi raz w życiu powiedziałam takie mocne słowa przeciw jakiemuś mężczyźnie. Pierwszy był ojciec, kiedy leżałam w położu, do dziś na mnie wilkiem patrzył. Dlatego zaraz przestraszyłam się tego, co wyszło z moich ust. Patrzyłam, jak Jankowi twarz się zmienia pod tym psim kąśliwym uśmiechem, przestraszyłam się, że zaraz mnie uderzy, już się kuliłam w oczekiwaniu, kiedy zobaczyłam, że odchodzi. Szybko przemierzył podwórze, drzwiami od stodoły trzasnął i do wieczora się nie pokazał. Następnego dnia przy śniadaniu walnął w stół, powiedział, że nie widziane to rzeczy, żeby babę codziennie ciągać w pole, i że dosyć tego. Ja mam się zająć swoją babską robotą.

– A moją w polu kto się zajmie? – próbowałam jeszcze walczyć.

– Gospodarz. Czyli ja.

Michał patrzył na niego i nic nie mówił. Pogładziłam go po ramieniu, spojrział zdziwiony na moją rękę, więc ją cofnęłam.

Teściowa szykowała im dwojaki.

– Więcej dajcie, matulu! Teraz dwóch mężczyzn idzie pracować, powietrzem się nie najemy – zarządził Janek.

Więc dodała po plasterze białego sera, a potem, zadowolona, że świat wraca we właściwe koleiny, przydała im nawet spory kawałek kiełbasy.

– Dawno tyle kiełbasy nie widziałem – ucieszył się Michał, ale szybko posmutniał, bo zrozumiał, że pojawiła się dopiero wtedy, gdy to Janek iść w pole zapragnął. Już go nie śmiałam gładzić po ramieniu.

Kiedy poszli, dziadek Kostek zaraz wdarł się do komory, by resztę wędzonki wywęszyć.

– Nie ma siły, nie znajdzie! – szepnęła do mnie teściowa. – W worku z pszenicą ją chowam, na to nie wpadnie.

Już dawno nie była dla mnie taka miła.

Tęskniłam za zapachem ziemi, za dotykaniem palcami grud, korzeni, dżdżownic, kamieni, a już najbardziej tęskniłam za mężem. Nie było jednak czasu na tęsknotę, bo babska robota czekała. Teściowa nigdy się nie żaliła, więc dopiero teraz zauważyłam, że babka mało się w gospodarstwie przydaje, jeśli w ogóle. Tu przysiądzie, tu chwilę kociołek piaskiem poszoruje, tu odcedzi popiół namoczony w wodzie, żeby ług odlać, ale potem w pół ruchu zamiera, coś jej się przypomni, zaczyna szeptać, do siebie gadać, chustkę na głowę naciągnie i idzie gdzieś. Dokąd? Nikt nie miał pojęcia dokąd, nawet dziadek Kostek:

– Ona czasem chce pobyć sama – tłumaczył.

Dobrze więc, że zostałam w domu, tak się pocieszałam, i robiłam swoje, kobiece robiłam. Najpierw nakarmiłam psa, pokornie czekał na swoją miche, więc za tę pokorę dostał pierwszy. Potem brudną słomę krowom z obórki wyrzuciłam za stodołę, świeżej podesłałam, Mariankę za sobą usadziłam w piasku podwórza, nie ruszaj się, mówiłam, ale od razu do wieprzka się pokulgała. Złowiłam ją na progu chlewika i w chustkę wsadziłam, na plecach obwiązałam, może ciężiej schylać się będzie, ale nie będę musiała mieć oczu z tyłu głowy. Krowy już dziadek na szczęście upalikował na gromadzkim pastwisku, teraz gnał owce gdzieś dalej, smutny z powodu kiełbasy. A ja po sprzątnięciu obórki wypuściłam ptactwo z kurnika. Patrzyłyśmy z Marianką, czy wszystkie zdrowe, bo jak kurza jakaś

czy kacza zaraza, to zaraz wszystkie padną. Kury prowadziły się i żywiły same, trzeba jednak było często patrzeć, żeby sobie nie wydziobały w płotku dziury do warzywnika. Jajek w kurniku poszukałam, potem poszłam, posiekałam zielsko dla wieprzka, dałam mu, aż miło było patrzeć, z jaką radością zajada, Marianka wychylała się z chusty, by go pogłaskać po włochatym czole. W chałupie okazało się, że wody już w wiadrach prawie nie ma. Wody codziennie nanosić jej trzeba było tyle, że babka już na stałe zgarbiła się od nosidła, jakby jej kto półeczkę na plecach zawiesił, teściowej już podobna półeczka zaczęła się robić, zostawiłam więc jej Mariankę i sama poszłam do studni pracować na swoją półeczkę. Dwa wiadra przyniosłam, wlałam kurom do miski, napiłam wieprzka, podlałam warzywniak, i zaraz się woda skończyła, teściowa posłała mnie po jeszcze dwa. Dobrze, że dziadek owce napoi po drodze, a krowy sama pognam w południe nad strugę. Krowy pognawszy, przy okazji urwałam mięty, zaparzę Michałowi na wieczór, bo gadali, że lepiej pić przegotowaną wodę, nie byłam pewna dlaczego, ale skoro tak gadają, chyba mają powód. Wracając, urwałam jeszcze szczawiu, bo teściowa chciała zupę z niego robić, potem znowu skoczyłam dalej w pole, po marchewki, szukałam większych, bo jeszcze nie całkiem wyrosły. Jak miło było macać je w ziemi, jak miło było ziemię powąchać, jak miło było zanurzyć w niej palce, ale przecież nie mogłam długo się tym cieszyć, kiedy w domu ziarno jęczmienne w stępie czekało, bym je utłukła na kaszę. Potem, z Marianką posapującą w kolebce, bo ją noszenie ukołysało, podgrzałam wczorajsze mleko, co już się zsiadło, na twaróg i obciekłam go na cedzaku wyłożonym szmatką. Serwatki doleję do zupy, będzie treściwsza.

A potem zalałam ukropem zioła od Golcowej, piłam je na stojąco przy piecu, bo nie wypadało usiąść, kiedy teściowa zaprowadzała ład w chałupie, zamiatała po raz kolejny brzozową miotłą. Siorbałam więc ziółka z garnuszką i zaklinałam, by zadziały.

– Co ty pijesz? – chciała wiedzieć teściowa.

– A takie, żeby mieć więcej siły.

W sumie tak bardzo nie kłamałam.

Wrócili z pola wieczorem, Janek stękał gorzej niż dziadek, ale uśmiechnięty był od ucha do ucha, pierwszy ruszył do miski z wodą obmyć się przed jedzeniem. Mój mąż westchnął, opadł ciężko na ławę, zgarbił się, jakby nie miał siły się ruszyć.

– Zmęczony?

– A jak myślisz?

Nie byłam z nim w polu, więc znowu odnosił się do mnie niemiło. A przecież ja też nie odpoczywałam, nogi to może bardziej bolały niż od pracy w polu, a grzbiet na pewno, bo Marianka była coraz cięższa. Ale nie miałam zamiaru się żalić. Już na pewno nie jemu.

Postawiłam przed nim na stole miskę z wodą. Zanurzył twarz i tak trwał, jakby chciał się utopić. Poderwałam go za ramiona, ociekał wodą.

– Co tam się stało?

Michał ręką tylko machnął, jak zwykle o słowo było u niego trudniej niż o cały dzień harówki. Janek na to wszystko uwagi nie zwracał, coś dziadkowi klarował, co chwila padały słowa: „pomysł” i „plan”.

– Daj mi, Andzia, wieczere, do miski osobnej, zjem przed chałupą, na przyzbie.

– Dlaczego tak?

Westchnął znowu.

– Cały czas gadał. Bez ustanku.

– Janek?

– Tak.

– Lepiej ci było w polu ze mną niż z Jankiem, prawda?

Skinął głową. To było jak najpiękniejszy podarunek.

– Lepiej mi z tobą było w robocie niż z moim bratem – wypowiedział na głos, zaskoczony.

– Będzie z tobą chodził codziennie?

– Tak mówi.

Oboje wiedzieliśmy, że to jednak nie przesądza sprawy, bo nikt się nie nudzi szybciej niż Janek.

Wzięłam miskę, szczawiowej wlałam, jajo wrzuciłam, kaszę, smalcu ze skwarkami, żeby takie czcze nie było, i poszłam z mężem na przyzbę. Wysiorbał zupę, miskę przechyliwszy, potem łyżką kaszę i jajo zgarnął. Dopiero potem się odezwał.

– Mówi, że zmieni całą gospodarkę. Że wszystko unowocześni. Każe zrobić kierat.

– Po co?

– Do młócki. Do siewkarni.

– Ale radzimy sobie bez kieratu.

– Tak też mu powiedziałem. Że najpierw się dorobić musimy, żeby pieniądze wydawać. A on mówi, żebyśmy najpierw gospodarkę poprawili, to się szybciej dorobimy. Wszystko na odwrót mówi. Nie tak tatulo wszystko prowadził, nie tak!

– Ale skąd pieniądze wziąć? Na ten kierat?

– No właśnie. Raz, że niepotrzebny. A dwa, że każdy grosz na czynsz odkładam.

Janek z dziadkiem też już zjedli, wyszli teraz na przyzbę fajkę pod wieczór popykać, ja szłam do domu, pomyć statki po wieczery, ale jeszcze stanęłam chwilę na progu, odetchnęłam ciepłym wieczorem, muchy już przysnęły, komary dopiero się zlatywały, nie było źle. I wtedy Michał spytał brata o pieniądze na kierat.

– Ale przecież wcale nie tak trudno zdobyć wolny grosz, braciszku! – wykrzyknął od razu Janek. – Pożyczkę można dostać od dziedzica. A jeszcze łatwiej od Żyda w Izbicy. Od niejednego Żyda. Aż się proszą, żeby ci pożyczyć!

– Nie będę od nikogo pożyczał! Pożyczki to prosta droga do żebraczego kija!

– Nie tak w świecie mówią.

– Nie jesteśmy w świecie, Janek. W Sokołowie jesteśmy.

– No właśnie. Za dużo harujesz, za mało myślisz, braciszku. Za mało świata oglądasz.

– Gdzie ten świat widziałeś? W karczmie? – mruknęłam, choć już sobie obiecywałam, że atakować go nie będę, bo po co mi wróg w domu. Na szczęście nie usłyszał, ciągnął:

– Nie tak wygląda nowoczesność, Michał, nie tak. Trzeba szeroko myśleć, żeby lepiej żyć. Dziadku, powiedzcie mu. Przecież mam rację.

– Tak, tak. Obaj macie rację – powiedział dziadek i powietrza nabrał, bo pewnie miał zamiar jakimś przykładem rzecz poprzeć.

Mój mąż skulił się w sobie. Rękę mu położyłam na ramieniu, bo żal mi się go zrobiło.

– Wiesz co, Janek? Od Michałowego myślenia, choć ci się nie podoba, żyjesz jak pączek w maśle. – Tym razem mówiłam całkiem głośno.

– A ta tu co, jak gospodarze rozmawiają?! – zdenerwował się Janek.

– Żono, daj pogadać mężczyznom – poparł go Michał, ale żadne słowa urazić mnie nie mogły, kiedy dłoń na mojej dłoni położył.

Trwaliśmy tak przez chwilę, dopiero gdy dziadek dorzucił: „Właśnie, Andzia. Męska to rozmowa”, poszłam kuchnię na wieczór uładzać, stół do czysta wyskrobać, statki wyszorować paznokciami, ługiem i piaskiem. Kiedy garnki i miski wieszałam do wyschnięcia na płotku, który nas od warzywnika oddzielał, mój mąż ciągle jeszcze z Jankiem i dziadkiem gadał.

Przyszedł do łóżka dopiero, gdym włosy przed snem czesała, całkiem już długie odrosły od ślubu. Popatrzył na mnie, jakby mnie dawno nie widział, wyjął mi z ręki drewniany grzebień i przygarnął mnie ku sobie. Nie jak pierzynę. Nie jak Dorotkę. Jeszcze inaczej.

Hanka Józwiakowa

Czyżbym wreszcie u Jaguni wyprosiła odpuszczenie Jankowych grzechów? Wyglądało na to, że tak. Wszystko zaczynało iść w dobrą stronę: wnukowie rozmawiali ze sobą, Janek do roboty się wziął, do karczmy nie chodził częściej niż w sobotę i niedzielę, jak każdy. Prawie każdy, bo Michał tam się prawie nie pokazywał, tak już miał, że sam wolał siedzieć niż w dużej gromadzie, milczeć bardziej lubił, niż mówić. Janek znowu w domu częściej wieczorami przesiadywał, za stołem albo i na przyzbie rozprawiał, sprawy planował,

z Kostkiem plany ustalał. Żniwa poszły całkiem szybko, kiedy Janek także się do nich na całego przykładał.

Pewnego jednak razu, kiedyśmy akurat po żniwach sił nabierali, oznajmił Michałowi, że dziś sam ma w pole iść, bo oni z Kostkiem mają sprawy. Zaprzęgli wóz i gdzieś pojechali. Wrócili z drewnem na kierat, młocarnią i jakimś chłopem, którego nawet z widzenia nie znała. Potem zaczęli maszynę w stodole montować, a ja stałam i się dziwowałam nowej maszynie, ogromnej i nieznannej.

Kiedy Michał wrócił wieczorem i zajrzał do stodoły, za głowę się złapał.

– Ileś na to wydał?

– Niech cię o to głowa nie boli.

– Boli właśnie, bo na Świętego Marcina czynsz nam przyjdzie płacić, nie nastarczymy.

– A komu tatulo kazał prowadzić gospodarkę?

Michał się skulił jak niegdyś, kiedy był dzieckiem, podobną też minę zrobił, aż żal mnie ogarnął na ten widok.

– Może powinniście o takich rzeczach gadać ze sobą zawczasu?

Janek się zeźlił.

– Widzę, że wszystkie baby w domu już chcą rządzić. Może jeszcze Marianka coś o gospodarowaniu powie, co?

Nie odpowiedziałam, bo nie chciałam gasić jego zapału.

A Michał? Michał wytrzyma.

Do tej pory machaliśmy cepem w stodole przez całą zimę, żeby wymłócić zboże i groch, całą zimę chodziliśmy z łuskami od kłosów za koszulami, całą zimę żeśmy ich szukali i drapali się, gdzie wlało. Teraz, dzięki kieratowi i młocarni, młócka zboża szła całkiem szybko, choć kobyły, nienawykłe do chodzenia w kółko, często się

zatrzymywały, zaskoczone widać, że tyle się nadreptały, a ciągle w tym samym miejscu są. Jak miło było ziarno do skrzyń zsypywać, groch do worków, nie po trochu, lecz naraz, czułam, że naprawdę dostatnio mamy, chwaliłam za to Janka, a ten się rozpromieniał.

– Ale kierat służyć może nie tylko do młócki – zachwalał swój pomysł, i znowu zaprzęgał do kieratu kobyły, by napędzały sieczkarnię.

Do tej pory sieczkarnię poruszaliśmy korbką, trwało to godzinami, wszystkim od tego ręce mdlały, Andzia musiała robić Michałowi okłady na rękę spuchniętą od tego ruchu, ja leczyłam rękę Kostka. Teraz wystarczyło zapuścić sieczkarnię raz na dwa tygodnie i załatwialiśmy sprawę w jedno popołudnie. Niewymłócone żyto cięliśmy na niej na snopówkę, konie to bardzo jeść lubiły i boki im wtedy błyszcząły. Z kolei wymłóconą słomę pszeniczną będziemy zimą dodawać do siana krowom, nie za dużo, akurat tyle, by się stale czuły syte.

Może i Janek miał rację, nie wiedziałam. Kostka o to pytałam.

– Ten chłopak ma dar! Ten chłopak ma odwagę! Jest całkiem jak Szczepan, twój syn!

To mi wystarczyło.

– Dziękuję, Jaguniu – westchnęłam pod nosem, obiecując, że lada chwila pod cmentarz pójde i coś jej na mogiłkę w podzięce zaniosę.

– Kobyły kieratu nie lubią, trzeba będzie może jakiego wałacha do maszyny kupić – zagadał któregoś dnia Janek.

– Nie teraz przecież! – przeraził się Michał.

– Ech, ty tchórze! – Janek poklepał go po plecach jak kobyłę, ale wałacha na razie nie kupował, tylko kobyłę do zażrebiecia poprowadził na drugą wieś.

Michał znowu przycichł, spochmurniał, tyle że więcej z Andzię pogadywał, przysiadali na przyzbie, bez przerwy plaskali się rękami od komarów i na Janka narzekali.

Dobrze, że razem.

Żyd pojawił się w obejściu którejś niedzieli tuż przed Świętym Marcinem.

– Witajcie. Po pierwszą spłatę przyszedłem.

– Jaką spłatę?

– Gospodarza wołajcie.

– Michał! – krzyknęłam.

Mój wnuk wyszedł ze stodoły. Co on tam robił w niedzielę? Ręce w spodnie wytarł i zbliżył się do Żyda, marszcząc brwi.

– Nie ten gospodarz – powiedział Żyd. – Inny pożyczął.

– Pożyczał? Co?! – przeraził się Michał.

– Ruble. A wy kto?

– Gospodarz. I o żadnej pożyczce nic nie wiem. – Michał zacisnął pięści.

Żyd się przestraszył.

– Ale co wy... Co wy w ogóle mówicie?! A przecież ja papierek nawet mam. Bo do Józwiaków trafiłem, prawda?

Wyciągnął kartkę, którą Michał zaczął czytać, wodząc palcem po literach.

– Janek! – krzyknęłam, bo już rzecz całą pojęłam.

Wyszedł z chałupy i od razu zakrzyknął:

– Nic dla was świętego! W niedzielę ludzi z interesami nachodzicie!

Żyd skłonił się przed nim pokornie:

– Wybaczcie, gospodarzu, ale tylko w niedzielę można wszystkich w domu zastać. Na pierwszą spłatę na jesień się umówiliście, to i po pieniądze przyszedłem.

– Ale że dzisiaj akurat?

– Święty Marcin zaraz, potem możecie nie mieć gotówki.

– Spryciarz z was, prawda? – Janek niby się śmiał, ale tak półgębkiem jakoś. – Jutro przyjdźcie. A jeszcze lepiej następnej niedzieli.

– A dlaczego?

– Kilka pacierzy przecież musi potrwać, zanim wszystkie pieniądze przeliczę.

Żyd skrzywił się na pacierze, ale powiedział, że ma czas i poczeka. Nikt go do domu nie zapraszał, więc na przyzbie siadł, podścieliwszy sobie swoją płócienną torbę. Siedział tam i w swoim czarnym chałacie wyglądał jak widmo nadchodzącej biedy.

Janek niby nie tracił humoru, ale z twarzy ciągle był jakiś krzywy. Do chałupy poszedł, zaczął grzebać w skrzyni. Wtedy Michał stanął nad nim, bruzdę na czole miał głęboką, jakby sto razy pługiem tam przejechał.

– Coś ty narobił, Janek! Coś ty w ogóle narobił!

– Cicho bądź! Nie pomagasz!

– Za to ty miałeś w gospodarce pomóc! A proszę, do czego doprowadziłeś!

– Cicho wreszcie! – wrzasnął Janek i pięścią się na Michała zamierzył.

Obaj zamarli, bo niewidziane to rzeczy były, żeby brat na brata rękę podnosił. Nie u nas w domu. Nie u nas w rodzinie. Nie do tej pory.

Dobrze, że Andzi akurat nie było, pewnie zagadała się przy studni, bo zaraz by stanęła po stronie Michała i awantura by się na całego rozpętała.

Janek opuścił pięść, Michał spojrzał na niego ciężko i wyszedł z domu. Janek znowu się schylił, żeby grzebać w skrzyni. Wreszcie znalazł, coś tam pobrzękiwało w sakiewce. Wysypał na stół i począł liczyć, wysunąwszy język. Nie doliczył się widać, bo zaraz powiedział do mnie:

– Babka da za masło.

– Ale...

Spojrzał groźnie. Byłam na wycugu, zrozumiałam, jeść darmo w gospodarce nikomu nie przystoi. Poszłam do kurnika, gdzie chowałam rubelki, wyjęłam spod grzedy woreczek, wysypałam połowę na rękę. Kilka monet chciałam sobie na czarną godzinę zostawić, ale wnuk już za mną stał, już za rękę łapał, już opróżnił mój woreczek do ostatniej kopiejki. Dłoń rozłożył, popatrzył.

– Dziadka Kostka zawołacie?

Tak mnie posyłał jak parobka jakiegoś, ale nie protestowałam, bo od tego lichwiarza w obejściu groza mnie ogarnęła. Wpadłam do stodoły.

– Kostek, szykuj pieniądze!

– Ani grosza nie mam.

– Akurat. Z masła ostatnio dawałam ci jeszcze na targu. Dużo całkiem.

– Tytuń przecie kupowałam.

– Daj Jankowi, bo nam kije żebracze da i każe iść pod kościół o zmiłowanie gospodarzy prosić.

Kostek sprytniejszy był niż ja, bo nie wyjmował całej sakiewki, tylko pod obluzowaną deską w sąsieku pogrzebał i trochę monet w garści wysunął. Ile tam zostawił, nie widziałam ani ja, ani Janek. Ale chyba starczyło, bo wnuk na razie o więcej się nie dopominał.

Żyd opuścił obejście ze sporo cięższą sakiewką, zapowiadając, że po następną spłatę przyjdzie na wiosnę.

– Na przednówku?!

– Później.

Trochę mi ulżyło. Może nie dożyję.

Zośka Józwiakowa

Od wizyty Żyda smutno się w naszym obejściu zrobiło. Michał znowu gadać z nikim nie chciał, już nawet nie pamiętałam, kiedy się śmiał, Janek nadrabiał miną, Andzia coraz później wracała z wodą od studni, Kostek prawie nie wychodził ze stodoły. Za to babka dreptała po chałupie bez przerwy, tu wytarła, tam przetarła, tu przestawiła, tam przygładziła, udawała, że się krząta, ale nie umiała już znaleźć w niej sensu, tyle, żeby być w ruchu, jak była w ruchu całe życie. Jedynym słoneczkiem w tym wszystkim była maleńka Marianka, już zaczynała gadać i śmiała się ze wszystkiego. Że mysz. Że kura. Że wieprzek. Że dziadek kaszlnął. Że babce łyżka z garści wypadła.

– Śmieje się jak Dorotka, prawda? – powiedział raz do mnie Michał, od czego zrobiło mi się jeszcze smutniej.

– Tylko Andzi tego nie mów.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

Czasem nawet ktoś do śmiechu Marianki dołączył, ale milkł szybko jak świeczka zgaszona w przeciągu.

Któregoś dnia Janek wpadł na kolejny pomysł:

– Wezmę od sąsiadów zboże, od tych, co nie mają kieratów. Niech zapłacą za szybszą młóckę.

Przez chwilę to się nawet kręciło, chłopaki pracowali przy kieracie, zsypywali ludziom z Sokołowa wymłócone ziarno w worki. Kilku gospodarzy zapłaciło, kilku jednak zwlekało, powoływali się na sąsiedztwo, pokrewieństwo, na jakieś dawne grzeczności i przysługi. Kiedy jednemu czy drugiemu Janek pozwolił nie płacić, to ci pierwsi, którzy zapłacili, chcieli zwrotu pieniędzy. Zamieszania od tego było dużo, pieniędzy mało.

Przez to wszystko odechciało mi się wstawać z łóżka, bardzo mi się nie chciało, dni wydawały się podobne jak koraliki w różańcu, niedziela jak ten większy, odleglejszy od innych, ale przecież podobny, bo gotuj, sprzątaj, tyle że jeszcze do kościoła idziesz, i jak po obiedzie i zmywaniu beczynnienie posiedzisz, nikt krzywo nie patrzy. Ta szarość, powtarzalność były tak dotkliwe, że nie miałam siły w nią wchodzić. I gdyby nie: – Dajcie, matulu, jeść, na rżysko idiemy. – Albo: – Do stodoły nam trzeba, dajcie pośniadać, matulko – to przecież bym się chyba z łóżka nie zwlokła.

Starając się nie myśleć za dużo, odsuwałam pierzynę, siadałam, potem stawałam, niechętnie wchodziłam w dzień, w kolejny koralik mojego różańca, monotonny jak mamrotanie teściowej, która na łóżku przy każdym kolejnym *Zdrowaś Mario* przesuwiała paciorek.

Sypałam ziarna kurczętom w skrzyni pod ławą, patrzyłam, czy wszystkie przeżyły noc, ale codziennie zdychało jedno, dzisiaj też, rzucałam truchelko psu, starając się nie myśleć o tym, że to dziecko, tylko kurze, starając się nie badać palcami puchu, delikatnych kosteczek, nic prawie te maleństwa nie ważyły. Potem szłam do

kurnika, żeby się pocieszyć, że niektóre kurczęta jednak przeżywają. Sypałam ziarno, jajka podbierałam i patrzyłam, czy kogutki potłuściły, czy którego będzie można zarznąć w niedzielę, żeby życiu dodać smaku. Tym koralikom jednakim.

Chrepałam słoninę, która jak omszałe polano wisiła nad piecem, i żeby się do niej dostać, należało mieć naprawdę ostry nóż, którym przy chwili nieuwagi od razu cięłam się w palce, siekałam tłuszcz na skwarki, smażyłam, gotowałam, mieszałam, cedziłam, przelewałam, zmywałam i znowu nadchodził czas kolejnego gotowania.

Teściowa w kręceniu się nie ustawała, dreptała po kuchni niespokojnie jak wiewiórka, to w tę, to w tamtą stronę, chętnie bym ją usadziła, ale przecież nie wiedziałam jak, na starszą kobietę huknąć nie wypada, więc wymyślałam jej coś do roboty, żeby przysiadła choć na chwilę, żeby przestała szurać stopami po klepisku. I takie były moje dni. Co chwila miałam ochotę wybiec w pole, w las może, i wrzeszczeć, ale tylko szłam pod ścianę stodoły i wrzucałam do kobiałki kawałki drewna, z wysoka, z hukiem, zamachiwałam się i rzucałam, krzyczałam: „Hu!” do każdego rzutu, i lepiej mi przez chwilę było, z każdym krzykiem lepiej, aż odwracałam się w bok i widziałam Lewandowskiego, który patrzył na mnie zza płotu szeroko rozwartymi oczami, a ja udawałam wtedy, że nic się nie stało, że zdawało mu się tylko.

Michał Józwiak

Gdyśmy wyłożyli na stół pieniądze na czynsz w kantorku rządcy, rządcą przeliczył wszystko, raz i drugi. Potem głową kiwnął. Ulżyło mi. Już chciałem iść, kiedy się odezwał:

– Czynsz macie spłacony. A pożyczka?

Zmartwiałem. Jaka pożyczka?! Spojrzałem na Janka i już wiedziałem, dlaczego od rana taki niespokojny chodził. Zaraz przyskoczył do rządcy, uśmiechnął się szeroko, białło, lśniąco, jak to on.

– Jaśnie wielmożnego pana rządcę chciałem prosić, bym mógł na drugą jesień dług spłacić.

– Tyle czasu dziedzic ma czekać na swoje pieniądze?! Teraz nie masz, a za rok niby będziesz miał?

– Sam jaśnie pan rozumie... Zimą wełnę sprzedamy... Pierze... Len... Z samej wełny będzie niemało... Potem, jesienią warzywo, kartofle, zboże, z nawiązką wszystko spłacimy.

Już sprzedawał to, czego jeszcze nie było. Rządca też nie wydawał się przekonany. Wtedy Janek jeszcze wełnę i dla niego dodatkowo zimą przyobiecał, i jajek tuzin co tydzień, aż do spłaty.

Wreszcie wyszliśmy. Gdyśmy teren folwarku opuścili, powiedziałem tylko:

– Ale wstyd.

Mój brat wzruszył ramionami.

– Przecież załatwiłem. Za rok spłacimy bez kłopotu.

– Załatwiłeś? Na te twoje obietnice owiec trzeba będzie dokupić. I kur. Tylko że niby za co?! Żyd na wiosnę przyjdzie, dziedzicowi jesienią trzeba będzie zapłacić! Z czego?!

– To jeszcze mnóstwo czasu!

– A skąd niby grosz weźmiemy? Wszystkośmy oddali, nawet na tacę w niedzielę nie starczy. Ale wstyd! Ale wstyd!

– Dziedzic sam zadłużony. Kiedy Żydzi do niego po długi przychodzą, zawsze ich z niczym odsyła.

– Łżesz!

Kiedyś bym się tak do brata nie odezwał, teraz jednak najgorsze słowa na usta mi się cisnęły. Ale Janek się nie obraził, co więcej jeszcze mnie przeraziło. Powiedział tylko:

– Prawdę mówię. Nieraz mówiły mi o tym parobki z folwarku. Wszyscy u Żyda w kieszeni siedzą, chłopcy, dziedzice. To normalna sprawa. Kiedyś to zrozumiesz, braciszku.

Ręce w pięści mi się zacisnęły. Żeby brata nie grzmotnąć w tę bezmyślną gębę, przyspieszyłem kroku. Knykcie mnie bolały.

W niedzielę babka musiała dać nam na tacę. Wysupłała ledwie po kopiejce, aż wstyd było przed sąsiadami.

– Po płaceniu czynszu u wszystkich marnie z pieniędzmi – pocieszył mnie Lewandowski zaraz po mszy.

Zauważył. Pewnie nie tylko on.

Co za wstyd.

Przez to wszystko spać w nocy nie mogłem. Kręciłem się niespokojnie, jakby mi się pożar w głowie rozszalał. Kiedy Andzia dotknęła mnie chłodną dłonią, cały się do niej zwróciłem. I przy niej pożar na chwilę ustał.

Hanka Józwiakowa

Mokry Dołek. Cięcie. Popodlasem. Marianowa Łąka. Lisie Dołki. Wierzba na Rozstajach. Kruchy Klon. Ława na Strudze. Peterowa Skarpa. Olęderskie Rozdroże. Śmiertelny Świerk. Idąc gdziekolwiek, przepowiadałam pod nosem nazwy wszystkich miejsc, żeby nie zapomnieć, bo ostatnio różne rzeczy wylatywały mi z pamięci. Każde z tych miejsc nie tylko miało imię, lecz i było jakieś. Żyzne. Pełne pokrzyw. Kumkające żabami. Ładnie pachnące. Każde miało swój charakter i we wszystkim był Pan Bóg, czułam to dobrze,

więcej go było tutaj, gdzie pachniało lipami czy zielskiem, niż w kościele, gdzie trwał zapach kurzu i kadzidła. Były jednak i brzydsze miejsca, bo wszędzie tam, gdzie człowiek musi dokonać wyboru, najłatwiej go wywieść na manowce. Kiedy więc diabliska i złe duchy z tych bagien czy dziupli znudziły się własną złością i chciały dla okrutnej zabawy zarażać nią boskie stworzenia, wychodziły na łowy, najczęściej właśnie na rozdroża, i tam czyhały na wędrowników. Zwykle były niewidzialne, ale zdarzało się, że z nudów przybierały różne postacie, najczęściej sowy, czarnego kota, nietoperza czy węża, te zwierzęta zawsze były podejrzane. Ale najbardziej podejrzane, bo Jagunią pachnące, były nagłe słupy gorącego powietrza, które najlepiej było czuć w chłodnym powietrzu wieczoru. Czasem też, gdyśmy latem w strudze się obmywali, znajdowaliśmy miejsca z cieplejszą niż gdzie indziej wodą. Chłopcy, gdy byli mali, bardzo je lubili. Wtedy może to było niegroźne, teraz jednak wszystko się zmieniło – nie wolno nam już było cieszyć się tym podejrzany ciepłem, należało czym prędzej stamtąd uciekać, bo znaki to były upiorne i zapewne Jagunia maczała w nich śmiertelne swoje palce.

Janek Józwiak

Babka, wszyscy już to mówili, sfiksowała. Pogadać z nią normalnie już się nie dało, może jeden dziadek Kostek to potrafił, ale to brat, on ją znał najlepiej. Za to ona gadała, ale nie z ludźmi, tylko ze zwierzętami, z kurakami na ubój, z wieprzkami, nawet z jabłonką gadać potrafiła, żeby jabłka obficie rodziła.

– Słyszysz was, babko, ta jabłonka? – pytałem dla śmiechu.

– Słyszysz. A czy urodzi? To już jej wybór. Jednego roku ma więcej jabłek, drugiego mniej. Może się kiedyś da ją namówić, żeby zawsze dużo owoców dawała.

Szedłem gdzieś na bok się wyśmiać, bacząc, żeby mnie matula nie dostrzegła, bo ona z babki śmiać się nigdy nie pozwalała.

Czasem babka szła pod świerk w lesie i tam z nim szeptała, naprawdę, widziałem to, słyszałem. Jak pytałem, po co z drzewem gada, kazała cicho być, żeby złego nie wywołać. I tak po lesie szukała nie wiadomo czego, no i pleban gadał, że babka niemal codziennie zachodzi pod cmentarz i dziwne rzeczy tam wyprawia, na przykład polewa mlekiem groby. Nie chciałem mu wierzyć, bo babka łąsa była na pieniądze i mlekiem by bez potrzeby nie szafowała, szkoda pieniędzy przecież. Ale że łąziła tam i nosiła jakieś garnuszki, to widziałem, nieraz patrzyłem, jak stoi pod cmentarnym murem, kiedy sam do karczmy się przemykałem.

Andzia Józwiakowa

Babka Hanka niedomagała ostatnio, chodziła po polach, mamrotała pod nosem, do siebie, może do zmarłych, bardzo męża kochała, tłumaczył mi Michał. Ja Antoniego Józwiaka ledwie pamiętałam, mądry był, silny i nawet mój ojciec go szanował, tyle wiedziałam, tyle mówiłam Michałowi, lubił tego słuchać.

Ale przez to, że babka ostatnio w domu rzadziej bywała, przez to, że plątała się po okolicy, że liczyć na nią z niczym nie było można, bo nagle zostawiała upalikowane krowy, żeby znienacka gdzieś sobie pójść, ja się nagle bardziej potrzebna w domu stałam, teściowa częściej mnie o pomoc prosiła. Już nie tylko zamieć, obierz, zetrzyj, ale i „zrób te twoje pyszne racuchy, akurat blachę skórką słoniny

wysmarowałam”, bo babka w domu już nic nie chciała robić, mówiła, że chodzi walczyć z klątwą, wracała czasem roztargana, jakby kto ją za włosy ciągał, usiana świerkowymi kolkami. Widać dwie kobiety w kuchni to było akurat tyle, ile ta kuchnia mogła znieść.

Hanka Józwiakowa

Pieniądze za masło chowałam w naszej izbie, znaczy naszej z Kostkiem, w której od ślubu Michała jeszcze i Janek sypiał, kiedy w stodole było mu za zimno. Wpychałam woreczek z grosiwem za święty obrazek ze Świętą Anną Samotrzcę, moją patronką, co to na kolanach trzymała niedużą Najświętszą Panienkę, która z kolei trzymała jeszcze mniejszego Jezuska. Czasem lubiłam myśleć, że to nasza rodzina, jedni z drugich porodzeni. Święty ten obrazek wisiał nad moim posłaniem, do Świętej Anny modliłam się każdego wieczora, a wiedziałam, że kiedy do niej się modlę, to i do Matki Boskiej, i do Jezuska modlitwa trafia, jak to w rodzinie. Święta Anna wisiała, jak wszystkie obrazki, nieco od ściany odchylona, akurat tak, bym pod jej pieczę oddawała swoje pieniądze. Lubiłam je mieć, nie tylko dlatego, żeby w kościele na tacę to i owo rzucić, bez wstydu przed sąsiadami, ale i dlatego, żeby czasem Michałowi czy Jankowi wcisnąć parę groszy, dorośli już byli, ale grosiwa nigdy nikomu dość przecież.

– Babka pożyczyci parę kopiejek – prosił czasem Janek.

Michał nigdy nie prosił, ale dawałam im przecież po równo, inaczej się nie godziło. Sięgałam wtedy za Świętą Annę, woreczek wyjmowałam i odliczałam Jankowi parę kopiejek na rozwartą dłoń, a on dziękował i całował mnie wtedy w rękę, a potem w czoło,

rozwłosnie i serdecznie, przemiły jak dawniej. Nazywał to pożyczką, a przecież oboje wiedzieliśmy, że nigdy ani kopiejki nie odda, ale widać honor nie pozwalał mu mówić inaczej.

Pewnego dnia patrzę za Świętą Annę, a mój woreczek jakby lżejszy, mniej kopiejkami wypchany, i zaraz pomyślałam, że ostatecznie starość, taka starość na mnie przyszła, że już nie pamiętam, ile czego mam. Smutne to, ale tak bywa, że się zapomina o najważniejszych rzeczach, posmutniałam przez to i kilka dni krzywa na twarzy chodziłam. Po targu, gdzieśmy z Kostkiem dużo masła sprzedali, znowu chcę pieniędzy do woreczka wrzucić, a tu sakiewka jeszcze lżejszą się zdaje, prawie pustą, kopiejki brzęczą tam nieliczne i samotne. Aż tak pamięć postradałam? Chwilę ze Świętą Anną obradowałam, aż wspólnie uznałyśmy, że to nie o pamięć chodzi, postanowiłyśmy też, żebym na jakiś czas oddała moje kopiejki w opiekę siennikowi, może tam przestanie ich ubywać. Świętej Annie przyniosłam za tę radę piękny słonecznik, który za obrazek wetknęłam.

Nie minęło wiele czasu, aż tu, kiedym razu pewnego nagle do izby wróciła, widzę jak Janek, który zdawał się na swojej ławie drzemać, grzebie za obrazkiem ze Świętą Anną Samotrzeć.

– Czego u mojej patronki szukasz?

Speszył się, ale zaraz począł zagadywać, że obrazek krzywo wisi, i że z szacunku dla świętej poprawiać. Już wtedy zaczęłam rozumieć, o co chodzi, alem wiedzieć tego nie chciała, bo przykro mi było podwójnie, potrójnie. Było mi tak przykro, że nie chciałam nawet o tym mówić, chciałam jak najszybciej zapomnieć, że moje grosiwo wyjęte ukradkiem wnuk chce przepić w karczmie.

A potem wzięłam te pieniądze spod siennika i wyniosłam tam, dokąd Janek nigdy nie zajrzy. Dokąd nie zaglądał? Do kurnika, gdzie za deskę nad grzędami woreczek z grosiwem wsunęłam.

Święta Anna Samotrzeć patrzyła na mnie ze ściany ze zrozumieniem. Postanowiłam jej się zrozumieniem odwdzińczyć, więc rzekłam:

– Ja dwóch ich mam, a ty tylko jednego wnuka miałaś, udanego, szkoda, że źle skończył.

Aż mi się głupio zrobiło, że tak gadam, więc poprawiłam się zaraz.

– Znaczy dobrze, Święta Anno, że tak skończył twój wnuk Jezus. Dla nas, ludzi, dobrze. Dla ciebie tylko gorzej.

Zamilkłam, nic jej więcej mówić nie musiałam, obie wiedziałyśmy, że z tymi wnukami łatwo nie bywa.

Jagunia od Wicków

Tu, gdzie trwałam, nie było ani spokoju, ani ładu. Panowało zamieszanie, duchy głodne uwagi się kręciły, zderzały się, nakręcały wzajemnie, wiecznie niespokojne, niezdecydowane ani na życie, ani na śmierć, na przeszkadzanie żywym tylko łase.

Bałagan mieliśmy tutaj i bałagan chciałam wprowadzać w życie Janka, żeby chociaż tak mu się przypomnieć.

Część siódma. Rok 1861, czas wrzenia

W marcu car Aleksander II ogłasza zniesienie pańszczyzny na terenie Imperium Rosyjskiego. Nie to, żeby akurat tak się troszczył o los chłopów, ale obawia się chłopskiej rewolucji, więc sam postanawia wprowadzić tę zmianę. Carska reforma nie obejmuje jednak Królestwa Polskiego, które w Imperium cieszy się pewną autonomią.

Wieść o zniesieniu pańszczyzny rozchodzi się jednak po wsiach i osadach, wędruje z ust do ust, z karczmy do karczmy, od wędrownych kramarzy do dziadów wędrownych, od chłopca do chłopca, i wywołuje we wsiach ogólne wrzenie. Stugębna plotka głosi, że chociaż car uwolnił chłopów od pańszczyzny, to polscy panowie postanowili utrzymać rzecz w tajemnicy. Chłopi zaczynają odmawiać wychodzenia na odrobek na pańskie grunty. Wieści o porzucaniu pracy rozchodzą się błyskawicznie, strajk przenosi się od wsi do wsi, od majątku do majątku. Już w kwietniu strajkują ponad dwadzieścia dwa tysiące wsi i osad, prawie dwieście tysięcy chłopów lekceważy polecenia karbowych i zostaje w domach, odmawiając pocenia się na pańskich niwach.

Szlachta jest przerażona, w niektórych majątkach nasyła na strajkujących chłopów rosyjskie wojsko. Zaczynają się aresztowania wichrzycieli, usuwanie ich z gospodarstw, do codziennego użytku wracają pręgierze.

Wszyscy jednak, nawet ci, którzy stoją w kolejkach do chłosty, czują, że już niedługo, że zmiany są nieuniknione. Szlachta też to czuje, choć wolałaby nie.

Michał Józwiak

We wsiach pańszczyźnianych wrzało. Chłopi zbierali się pod kapliczkami i rozpowiadali, wykrzykiwali, że koniec, już koniec tej niewoli. Ja ani łąziłem pod te kapliczki, ani słuchałem, miałem przecież swoją robotę. Wiosna to wiosna, jest co robić. Już się zaczyna kołowrót ze wszystkim: orka, siew, przycinanie jabłoni, ogławianie wierzb. Jeszcze nie żniwa, a już nie ma czasu na dłużej przysiąść.

Ale słyszałem, że nowy dziedzic ponoć ubrał się w sukmanę, poszedł do karczmy w Naczachowie, gdzie wszystkim chłopom kupił po wódce i śledziu. Kiedy jedli i pili, opowiadał, że jest dobrym panem i że pańszczyznę stworzył Pan Bóg, więc nie wolno się przeciw niej buntować. Janek strasznie żałował, że akurat był wtedy w karczmie na Pustyni, bo widok dziedzica w sukmanie to naprawdę coś, a i śledzia był wielkim miłośnikiem. Zaraz więc na drugi dzień mój brat poleciał do naczachowskiej karczmy na darmowy poczęstunek. Gorzej, że wtedy dziedzic ze swoimi oficjalistami, wszyscy w sukmanach, trafili akurat do karczmy na Pustyni. I tak Janka znowu śledź ominął.

Strasznie się Janek na to zżymał. A ja się tylko zastanawiałem, skąd dziedzic i oficjaliści te sukmany wzięli. No dobrze, śledzia też bym zjadł, ale nie potrzebowałem do tego pańskiej łaski. Zaraz więc w niedzielę po mszy zostawiłem rozpolitykowanych chłopów pod kościołem i zabrałem moją Andzię do karczmy na Pustyni. A tam zamówiłem nam obojgu po śledziku. Karczmarz z namaszczonej miną łowił je z wielkiej beczki.

– Ale przecież mamy jedzenie w domu – protestowała moja mądra żona. – Szkoda pieniędzy.

– Na to nam starczy – powiedziałem. – Nie musimy czekać na pana, żeby nas śledziami karmił.

Zjadła. Ależ była zadowolona. Ja też.

– Drugi śledź to już byłby zbytek, prawda? – zatroskała się.

– I to jaki!

Spojrzeliliśmy na siebie i roześmieliśmy się oboje. Zaraz poszedłem po jeszcze dwa śledzie.

Andzia kiedyś wydawała mi się smutną dziewczyną. Smutną mam żonę, myślałem, bom i sam smutny. Kiedyś miałem radosną narzeczoną, Dorotkę, która smutno umarła, a ta żona moja żadnej radości w sobie nie nosi. I tak już być musi, taki niewesoły jest mój los. Tymczasem Andzia z czasem poweselała. Śmiała się nie skowronkiem, jak Dorotka, ale po swojemu, Andzinemu. A ja lubiłem tego słuchać.

Do karczmy zeszły się tymczasem chłopcy spod kościoła i politykowały przy największym stole. Posłuchałem chwilę, ale się nie dosiadałem, bo po co. No dobrze, bałem się. Pan to pan, krzywdę zawsze zrobić może, skoro władza przy nim, a my mamy u niego dług do spłacenia.

Ale też w skrytości ducha myślałem, że skoro pan takich sztuczek z sukmaną, ze śledziami się chwyta, coś się zmienia na wsi, wszystko musi się zmienić.

U nas, w Sokołowie, we wsi czynszowej, było dużo spokojniej niż w wioskach pańszczyźnianych. Znaczący z gadaniem spokojniej, bo z robotą jak zawsze. Każdy na swoim robił, nie na pańskim, a roboty, jak zwykle, było nie do przerobienia.

Przyzwyczaiałam się już, że to Andzia pomaga mi codziennie w polu. Janek dołączał do nas z rzadka, jeśli w ogóle. Z Kostka w polu już żadnej prawie pociechy nie było, więcej się przydał, gdy wyplatał swoje koszyki w stodole. Za to z żoną rozumieliśmy się w pół słowa. Bo tylko ręką machnąłem, że ona na przykład od tamtej strony z płachtą z ziarnem idzie, ja od tej, i wszystko pojmowała. Teraz też zaraz mieliśmy iść do orki. Jechać, bo gdy dalej robotę wyznaczyłem, Andzia lubiła dosiąść szkapiny na oklep.

Nasza Marianka zawsze siedziała przed nią i udawała, że to ona trzyma wodze.

Już wyprowadzałem kobyłę ze stajni, gdy naraz z gościńca usłyszałem tętent, a potem w chmurze kurzu przy krzyżu na skraju wioski pojawił się zastęp jeźdźców. Lecieć i zamykać bramę czy uciekać?

– Leć do sadku z dzieciakiem, Andzia! Schowajcie się!

Potem jednak zobaczyłem, że to nie wojsko na nas najeżdża, tylko szlachetnie urodzeni. Stojnie byli odziani i rozglądali się, jakby nigdy wioski nie widzieli. Kto ich tam zresztą wie, może nie widzieli. Wtedy jednak zestrachalem się na nowo, bo najazd tłumu szlachty na wioskę także niczego dobrego nie zwiastuje. Okazało się jednak, że jest z nimi nasz nowy dziedzic z żoną, pomyślałem więc, że w razie czego swoich chłopów obronią. Zaraz podjechali do naszego płotu i wytłumaczyli, że przyjechali tu z zaprzyjaźnionymi panami z innych majątków.

– Chcą obejrzeć pierwszą wioskę czynszową w okolicy, macie się więc godnie zaprezentować, proszę was, gospodarzu, żeby żadnego zamieszania tu nie było. Pokażcie się z najlepszej strony, potraficie przecież.

Spojrzałem po sobie, potem po babce, która wyszła z obory, gdy tylko posłyszała, że coś się dzieje. Rozczochrana od opierania głowy o krowi bok, stopy miała całe w gnoju, umyje je dopiero wieczorem, po drugim dojeniu. Zaraz potem z sadku wychynęła nasza Marianka w łątanej koszulinie, bo jaką niby ma nosić w dzień powszedni, jeśli nie łątaną. Świeczkę miała w nosie, jak to przy wiośnie. Za nią szła Andzia, ciągle zaniepokojona. Kobyła też na gości popatrywała zadziwiona.

– Ale ja właśnie w pole, jaśnie pani... – odezwałem się. – Orka teraz przecież...

Młoda dziedziczka nieoczekiwanie się z tych słów ucieszyła, do panów odwróciła.

– Widzicie? Oto jak moi czynszowi chłopci w pocie czoła pracują. Ten tu oto gospodarz zaraz miał wyjeżdżać w pole, zaraz miał orać. Z samego rana! I nikt go nie pilnuje, formalnie nikt! A zauważcie, że na pańszczyźnie co karbowy się odwróci, to zaraz wszyscy chłopci przestają się nad skibą schylać. Popatrzcie, jaka to oszczędność, to oczynszowanie wioski, nie ma się co tego bać, wszystkim polecam, naprawdę. Karbowego nie trzeba, zarządzającego nie trzeba, tylko raz w roku musimy dopilnować, żeby zapłacili czynsz.

– Wierzyć mi się nie chce, że te chłopcy tak same z siebie poradzą na czynsz zarobić – wątpił jeden grubas, pod którym dziwne, że koń nie stękał. – Sami sobie radzą z zarządzaniem, co gdzie sadzić, czy trzeba im wszystko palcem pokazać?

– Nasi chłopci sami sobie radzą. Sami, wyobraźcie sobie.

– A to ci dopiero!

– Pocieszasz, Mario kochana, ale to jednostkowy przykład. Zresztą mówiłaś, że w tej wiosce głównie mieszkają imigranci z Holandii.

– Polskich chłopów też w Sokołowie nie brakuje, jest ich tak mniej więcej połowa.

– Może ci Holendrzy ton reszcie narzucają, weź to, Mario, pod uwagę. Ja tam nie wierzę w rozsądek naszego chłopstwa. Oni są przecież jak dzieci, poradzą sobie tylko wtedy, gdy się ich dobrze przypilnuje.

Przestąpiłem z nogi na nogę. Iść w pole czy dalej stać z kapeluszem ściszanym w dłoni? I słuchać tych pochwał, które brzmiały trochę jak obelgi? Pole się samo przecież nie zaorze.

A tak w ogóle, to ci panowie nie znali zasad grzeczności. Nikt ze wsi by o tej porze głowy nie zawracał.

Andzia stanęła za mną, położyła mi dłonie na barkach.

Panowie jednak nie zwracali na nas żadnej uwagi.

– Ja się z tobą zgadzam, Jeremi – odezwał się inny, ale że wszyscy na tych wielkich, z chudymi nogami koniach siedzieli, a ja na nich patrzyłem pod słońce, nie byłem pewien, który mówi. – Nasi chłopci nie są gotowi na zniesienie pańszczyzny i jeszcze długo nie będą. Wiadomo, zaraz ziemię zapuszczą i przepiją, nieprzyzwyczajeni do takich hojnych, nagłych darów. Dziecku też się nie daje wozem powozić.

– Niestety tak. – Ten cienki głosik jednak chyba należał do mężczyzny. – Rozdawanie ziemi zaraz się carowi odbije czkawką. Rozdawnictwo zniechęci chłopów do pracy, zaraz się zaczną mnożyć hultaje, złodzieje i rozbójnicy, zaraz się chłopstwo rozpije i rozpróżniaczy, wspomnicie jeszcze moje słowa.

– Rosja dziki kraj, wiadomo. Oni tam nijak nie rozumieją, że Królestwo Polskie świętym prawem własności stoi! Muszą być

przecież jakieś świętości, szanowane przez wszystkich! A nie że nagle, co nasze, chłopom miałyby się dostać!

– Ależ kochani, widzicie przecież, że u mnie jakoś działa ta wioska czynszowa – zaczęła nas bronić nasza młoda dziedziczka. – Właściwie nie jakoś, tak naprawdę działa nie najgorzej. Płacą wszyscy w terminie. Chcemy teraz oczynszować jeszcze kilka kolejnych wiosek.

– Obyście nie pożałowali tych reform.

– Kiedy płacą przecież.

– Może za niski czynsz wyznaczyliście...

– Może? – zadumała się młoda dziedziczka. Aż zdrętwiałem z niepokoju. – No dobrze, chodźcie, pokażę wam, jak się moje chłopstwo tutaj rządzi.

– Chętnie obejrzymy, jeśli pozwolisz, Mario, oczywiście.

Nas nikt o nic nie pytał. Jaśniepanowie z koni poczęli zsiadać, w obejście się wtarabanili, zaraz się pełno zrobiło, jakbym właśnie wyprawiał wesele, i to dla szlachty.

– Pozwolicie, gospodarzu? – spytała dziedziczka, która wchodziła jako ostatnia.

– Jakby chciał nie pozwolić, to i tak za późno – wymamrotała pod nosem babka, która stała obok i gniewnie pociągała nosem.

Na szczęście zębów już prawie nie miała, więc mało kto ją rozumiał. Poza Andzią, która prychnęła mi śmiechem do ucha i zaraz się trwożliwie za usta złapała. Nikt jednak na nią szczęśliwie nie zwracał uwagi.

Pogoda na orkę była dziś w sam raz. W nocy popadało, więc by się nie kurzyło, nie za zimno, nie za gorąco. A ja, zamiast iść w pole, patrzyłem, jak panie zamiatają sukniami piasek z podwórka,

zaglądają do stodoły, potem do obórki i owczarni, gdzie zatykają nosy, przytykają do twarzy pachnące chusteczki. Po wyjściu z obory wszyscy prosili o gałganki, by buty z gnoju obetrzeć. Moja córka tak się od tego zaczęła śmiać, aż się rozkaślała. Jedna z pań zaraz jej dała karmelka z woreczka przy pasie. Wtedy pozostałe dzieciaki zaraz rączki po cukierki wyciągnęły. Bo ze wsi zdążyło się już zlecieć mnóstwo maluchów, wszystkie dzieci wyczuwają słodkie z daleka, jak osy.

Reszta szlachciców łąziła, wszędzie zaglądała i gadała, nic się przy nas nie krępując, jakbyśmy głusi byli. Dziwowali się na przykład, że nie mieszkamy w kurnej chacie.

– A bo u nas całe chłopstwo w dymie i brudzie, w tych chatach bez komina żyje – opowiadali sobie i wzdychali.

– I okna się nawet u nich nie otwierają, wyobrażacie sobie tę duchotę?

– Drzwi przez to ciągle otwarte muszą mieć, zimno przez to, to i palą więcej. A przez to wytwarzają jeszcze więcej dymu, błędne koło. A wystarczyłoby przecież zbudować zwyczajny komin.

– A umiałbyś ty taki komin zbudować, spaślaku? – zamamlała babka pod nosem.

Gdyby mnie jaśnie oświeceni spytali, może bym im powiedział, w jakim trudzie mój ojciec budował naszą chatę. Jak podpatrywał u kupców w Izbicy, u Olędrów, jak postawić piec z kominem. Ile osób musiało mu przy budowie pomagać, ile razy musiał prosić u wujów kowalczyków o zawiasy do okien. Panowie nie pytali mnie jednak o nic.

W końcu zaczęli po jednym, bo drzwi wąskie, wchodzić do naszej chałupy.

Nie chcieliśmy tłoku powiększać, ale za nimi i my do środka weszliśmy. Chciałem bowiem dać matuli jakieś wsparcie przy tym całym jaśniepaństwie.

Zośka Józwiakowa

– O, całkiem czysto – zdziwiły się jaśnie panie. – Pewnie na naszą wizytę posprzątane.

Babka, która też się wepchnęła z nimi do środka, aż westchnęła. Od razu usta jej zakryłam, bo się bałam, że znowu bluźnie na panów grubymi słowy, bo im starsza była, tym mniej hamowała język.

– Przestań, Zośka. Ja jaśnie panom wszystko wytłumaczę – mamląła babka zza moich palców, ale nie mogłam na to pozwolić, bo bałam się, że powie o jedno słowo za dużo. A przecież nieważne, że car zniósł pańszczyznę, kara na nas i tak się znajdzie, bo jednak pan to pan, a chłop to chłop.

Dom nasz dostatni był, to prawda, nie było wstydu, gdy pokazywałyśmy z Andzią izby i komorę, w której stały worki pełne mąki i kasz. Nad nimi wisiała szynka, drugą sprzedaliśmy na jarmarku. Suche kiełbasy przechowywaliśmy w zbożu, głęboko pochowane, raz, że tam sucho było i nie pleśniały, a dwa – że dziadek Kostek nie wiedział, że tam ich można szukać, a bardzo na kiełbasy był łakomy. W komorze stała także beczka z kiszoną kapustą, przykryta talerzem przyciśniętym kamieniami, gąsiory z nalewkami – tarninówką i tą na zielonych orzechach, na wątpia dobrą. I zalane woskiem butelki z sokiem malinowym na poty. Na kołkach wisiały warkocze cebuli, czosnku, majeranku. Na półkach stały garnuszki z suszonymi śliwkami i orzechy w woreczkach. Pod sufitem wisiały suszone borowiki nanizane na lnianą nić, na jednych

same kapelusze, na drugich same nóżki, jeszcze się ostały z zeszłej jesieni, babka wiedziała, gdzie zbierać i zносиła ich całe kosze. Panowie podziwiali zasobność, ale potem zaraz spytali, czy ich czymś pysznym z tej pełnej spiżarni poczęstujemy. To już mi się mniej spodobało, ale gość w dom, Bóg w dom. Wyjęłam więc śliwek suszonych, jedli, mlaskali, nawet dobrze ich nie obgryźli, tylko pluli pestkami obrośniętymi mięszem na podwórko, a niektórzy nawet na kuchenne klepisko, gorzej niż dzieci. Bo przecież nawet dzieci wiedziały, że suszoną śliwkę zawsze należy obcmoktać do końca, żeby daru Bożego nie marnować, a już najlepiej kompot ze śliwek ugotować, wtedy zmiękną i nic się nie zmarnuje. Gorzej, że panowie zaraz postanowili, że teraz szynki spróbują. Popatrzyłyśmy na siebie z Andzią, ale co było robić, zdjęłam szynkę z haka i niechętnie ukroiłam kilka cienkich plasterków. Takich rzeczy się u nas na co dzień nie jadało, ale panowie się rozochocili, sami grubsze zaczęli rzezać i że szynka nasza lepsza niż we dworze, chwalili.

– Miałaś rację, Mario – pokrzykiwali do naszej młodej dziedziczki
– ci chłopci umieją koło swojego chodzić!

– My umiemy, a za was służba chodzi, niezguły – zamamlała babka.

Przez zamieszanie z szynką nie zdążyłam jej ust zatkać, ale na szczęście panowie nie zrozumieli.

Cóż, najwyżej mniej mięsa zjemy na Wielkanoc, pomyślałam, bo tym, którzy mają dużo, więcej będzie dane niż tym, którzy mają niewiele. Plotka głosiła nawet, że dziedzice mają wszystkiego tak dużo, że nawet przy sadzeniu nie tną ziemniaków na części, całe każą sadzić, wtedy podobno więcej rodzą. Tak to jest z bogatymi: mają dużo, a z tego jeszcze więcej. A co do szynki – podobno we

dworze dziedzić po obiedzie odsyłał, nie zjadłszy, do kuchni tyle dobra, ile nakarmiłoby całą wieś przez cztery tygodnie przednówka.

Naszej szynki nie chcieli jednak do komory odesłać, za bardzo im smakowała.

– Mamy na wsi taki zwyczaj, że jak gospodarz zakąskę daje, to gość wyciąga swoją gorzałkę – odważyła się zagadać moja synowa Andzia.

Struchlałam, że który z panów ją szpicrutą zajedzie za te niegrzeczne słowa, ale oni się tylko roześmiali, że kto o czym, jak o czym, ale ci chłopcy zawsze o picciu gadać lubią.

– Tak to u nich jest – tłumaczyli sobie wzajemnie – że u chłopcy żadna uroczystość bez wódki się nie obędzie. Czy wesele, czy chrzciny, czy nowa stodoła, czy odpust, zawsze piją.

– I zauważcie, że piwem albo gorzałką się raczą, nie winem. Szlachetne trunki nie bardzo im chyba smakują – dopowiedziała jedna z pań.

– A bo wina w karczmie arendarz nie podaje – odezwał się zaraz Janek, którego chyba ktoś powiadomił, że panowie są we wsi, więc zasapany i lekko tylko piwem pachnący zdrowską temu do chaty wszedł. – Ja to bym może wina spróbował, alem ostatni raz w niedzielę je na mszy widział. No i pleban wtedy wszystko sam wypił.

Panowie się zaśmiali.

– Bystry z was chłop – zdziwił się któryś, a Janek się wyprostował i szeroko uśmiechnął.

– Gospodyni, a co tu macie w tym worku w spizarce? – zagadała nasza dziedziczka.

– A żołądzie.

– Tak mi się właśnie wydawało. Jecie to? Naprawdę?

Jadły to głównie wieprzki, gdy pod koniec zimy brakowało innej karmy. Zdarzało się jednak, że z braku zwykłej, i ja na przednówku tłukłam w żarnach żołądzie na mąkę. Jak się je przedtem wymoczyło w kilkukrotnie zmienianej wodzie, traciły gorycz.

– Tak, jaśnie pani, czasem się zdarza.

– Zobaczcie no tylko! Żołądzie jedzą! Naprawdę chłopci są od nas mocno odmienni – zdziwił się któryś z panów. – Prawdę mówią, że mają nawet inne układy pokarmowe niż my, skoro biorą do ust takie rzeczy, od których szlachcic by się niechybnie rozchorował.

– Oj, Jeremi, przecież znana to rzecz, że chłopstwo i my innych przodków mamy, dlatego tak się od nich różnimy, w kompleksji, w trawieniu, w upodobaniach, w wyglądzie. Co im służy, nam nie służy i odwrotnie.

Przypomniało mi się, że pleban też o tym nieraz mówił na kazaniu, gdy akurat przedtem przyszło mu czytać o potopie, arce i o innych przygodach Noego. Proboszcz tłumaczył wtedy, że szlachetni Sarmaci ród swój wywodzą od najszlachetniejszego z synów Noego, czyli Jafeta. On to właśnie, gdy Noe się upił, ojcowską nagość z szacunkiem zasłonił kocem. Chłopi natomiast pochodzą od tego najgorszego syna Noego, czyli Chama, który z pijaństwa i nagości ojcowskiej tylko wyśmiewać się potrafił. Dlatego też chłop nigdy panem nie zostanie, brak mu szlachetności – tak nam tłumaczył pleban, a myśmy głowami kiwali, choć żadnemu z nas nie przyszłoby do głowy, żeby się z własnego ojca wyśmiewać. A pleban dodawał, że każdy powinien znać swoje miejsce, pan swoje i chłop swoje. Grzechem jest więc szukanie zmiany, bo Pan Bóg wiedział, co robi, gdy każdego człowieka na jego miejscu stawiał.

– To jak teraz będzie, gdy car ten obowiązek chłopskiej pracy chce u nas zakłócić? – zaniepokoił się któryś z panów.

– No właśnie. Co on z naszego kraju rozumie...

– Ja się pocieszam tym, że inne zabory jakoś sobie radzą bez pańszczyzny. I nasze Sokołowo, jak widać, też – od razu dodała nasza dziedziczka. – To i my może sobie poradzimy, kochani sąsiedzi.

– Ale ci twoi chłopci znają swoje miejsce, skoro od lat na czynsz zarabiają. Od lat się przyuczają, nikt ich na głęboką wodę od razu nie rzucił, jak to car proponuje. A w innych zaborach mocno narzekają, pisali do mnie znajomi.

– Może dlatego tak dobrze idzie naszym czynszownikom, że od lat prowadzimy u nas w majątku szkółkę dla wiejskich dzieci – odparła nasza młoda dziedziczka. – Ten tu oto gospodarz też tam kiedyś uczęszczał, prawda, gospodarzu?

– Chłopską szkółkę macie? Naprawdę?

– Od lat. Już mój ojciec postulował utworzenie szkoły, a wtedy jeszcze prawie nikt w Polsce o tym nie myślał. Ale papa nie zdążył... Po jego śmierci my z siostrą rzecz całą doprowadziłyśmy do skutku. Najpierw same uczyłyśmy, potem zgodziłyśmy nauczyciela... Od tego czasu już wielu wiejskich chłopców naszą szkółkę ukończyło z powodzeniem.

– U nas córka też głupot się naczytała i szkołę dla wiejskich dzieciaków chciała zakładać, ale nikt nie przychodził – zarechotał ten tęgi. – Ja myślę, że to może i lepiej. Jeśli chłopstwo nie wie za dużo, łatwiej je trzymać w ryzach.

– Oj, kochany sąsiedzie! U nas szkoła działa tylko zimą, od listopada do lutego – wyjaśniła nasza dziedziczka. – Jeśli chcieliście

uczyć dzieci w letnie czy jesienne miesiące, wiadomo, że nikt nie przychodził. Oni wszyscy przecież wtedy pracują w polu, dzieci też.

– Zimowa szkoła jest dobra – postanowił odezwać się Janek – pod warunkiem że mróz za bardzo nie ściśnie. Bo kiedy mocno przymroziło, to nauczyciel nam szkołę zamykał, bośmy nie mieli czym palić w klasie.

Dziedziczka zaraz zagadała te jego słowa, czemuś jej widać nie w smak:

– Gospodarzu, a może pokażecie moim gościom, jak umiecie czytać.

– Ja?! – spłoszył się Michał.

– To może ja? – ucieszył się Janek.

– A wy. Pokażcie, jak w naszej szkółce was wyuczono.

– Ale co mam czytać? – Jankowi zrzędała mina. – Niestety nic w chałupie do czytania nie mamy.

Panowie popatrzyli po sobie, pokiwali głowami.

– Na szczęście ja mam przy sobie modlitewnik – powiedziała nasza dziedziczka i pogrzebała w woreczku, żeby wyjąć maleństwo takie, nie książkę.

Janek chwycił książczynę i rozchylił bez strachu, choć karteluszeki były w niej cieniuchne, przezroczyste niemal jak woda, odrobinę tylko mętna. Do oczu rzecz przysunął, usta w ryjek ułożył, aż w końcu przeczytał, wcale niedużo dukając:

– Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy Królestwo Niebieskie...

Kiedyś te same słowa czytał pleban w kościele. Zastanawiałam się wtedy, co znaczą ubodzy w duchu. Ubodzy w pieniądze – to wiedziałam, ale w duchu?

– Coś tam i przeczyta rzeczywiście – ucieszył się ten najgrubszy z panów. – Ale po co to chłopu, nie mam pojęcia. Liczenie mu się może tylko przyda, żeby wiedział, ile tego czynszu płacić. Umiecie liczyć, gospodarzu?

– Świetnie umiem.

Bałam się, że Janek zaraz spyta, czy by czegoś na pokaz nie policzyć, ale na szczęście zamilkł.

– Ale, wracając do Sarmatów i plebejów... – odezwał się inny szlachciura, który ciągle podkrecał sobie wusa. – Na pierwszy rzut oka widać, jak te nasze dwa plemiona się od siebie różnią. Bo my, szlachta, wiadomo, biali jesteśmy, rumiani czasem trochę, wysocy, skórę mamy gładką, a twarze łagodne. A oni? Brązowi, nieledwie czarni na twarzach, to po pierwsze. Chudzi, żyłaści, wzrost najwyżej średni, starzy wszyscy garby mają, ale i młodzi nie chodzą prości, popatrzcie sami. Od razu widać, że to inna ludzka rasa.

– Nawet te ich dzieci są mocno brązowe i chude, a nasze pociechy we dworze bieluchne i tłuściutkie.

– Jak wieprzki na ubój – warknęła pod nosem babka. Odchrząknęłam, żeby jej nie usłyszeli. A wtedy babka nieoczekiwanie zaczęła śpiewać, drżącym głosem, patrząc na panów spod zmrużonych gniewnie powiek:

*Orabym ja wami, panowie, panowie,
Macie moc nad nami, żebym ja miał nad was,
Orabym ja wami, panem bym ci orał,
okunomem włóczył, a pisarzem radlił,
robić bym was uczył...*

Nie wiedziałam już co robić, żeby babkę zagłuszyć.

– Ale mimo życia ciężkiego są, jak widać, pogodni. – Dziedziczka pewnie nie rozumiała, o czym babka śpiewa. – Zaśpiewajcie i wy coś wesołego, gospodyni.

Zanuciłam pod nosem jakąś piosneczkę, choć czułam się z tym wszystkim niesporo, jak dzieciak, który się przed dziadkiem popisuje, żeby dostać karmelka.

– Twoja to, Mario kochana, zasługa, że są tacy pogodni. Widać, że dbasz o swoją ludność – odezwał się jakiś panek, który w odróżnieniu od reszty wąsik cienki miał i do góry zadarty jak żuk.

– A teraz zapraszam wszystkich państwa do dworu! – wykrzyknęła nasza dziedziczka. – Skromne śniadanie czeka. Potrawy kazałam na kartkach wypisać, byście mogli siły dobrze rozłożyć. Zapraszam! Zapraszam!

Zaraz poprowadziła panów do wyjścia z naszej chałupy, a potem do bramy, a ja ucieszyłam się, że reszta naszej szynki jednak ocaleje.

– Siły? Siły na jedzenie rozkładać? – zamamlała babka. – Siły to do roboty trzeba. Sodoma i Gomora! Sodoma i Gomora z tym jaśniepaństwem!

Michał Józwiak

Ucieszyłem się, że w obejściu zapanuje spokój, a ja będę mógł wreszcie ruszyć w pole.

Panowie poczęli się wdrapywać na konie, które przed płotem zostawili. Podajcie, gospodarzu, ręce, bym mógł na konia wsiąść, mówili. Splatałem więc dłonie w koszycek i podsadzałem jednego po drugim. Z każdym następnym coraz mocniej czułem, jakie

twarde podeszwy mają ich buty. Kiedym jednak chciał podsadzić także naszą dziedziczkę, jej mąż się oburzył:

– Marii sam pomogę, no gdzież wy się tu z rękami pchacie! Żadnego rozeznania, no naprawdę...

Jeśli jeszcze kto ze wsi nie przyszedł dziwnych naszych gości oglądać, to teraz gapił się na nich kto żyw w okolicy. A już na pewno wszystkie dzieciaki.

Konie ruszyły zgodnym tętentem. Panie bokiem siedziały na siodłach, zupełnie nie wiedzieliśmy, jakim sposobem, siedząc tak dziwnie, nie spadają z grzbietu.

– I że plecy ich od takiego krzywego siedzenia nie bolą – dziwowała się babka. – Prawdę mówili, że panowie z innej niż my mąki upieczeni. Prawdę mówili.

Janek Józwiak

Zawsze mi się wydawało, że panów jest dużo mniej niż włościan, wystarczyło przecież rozejrzeć się po kościele, dziedzic, dziedziczka, dzieci i wszystko, dużo ich z tego dworu nie było. A nas, chłopów, tłumy. Co z tego jednak, skoro dziedzice ciągle czuli się od nas przynajmniej sto razy ważniejsi, skoro mogli wtargnąć do nas do domu, wynosić jedzenie z komory, śmiać się z matuli i zmuszać mnie do czytania, jak Cygan na jarmarku niedźwiedzia do tańca. Kiedy im czytałem, byłem zadowolony, że jaśnie panowie na mnie patrzą, że słuchają, ale po czasie przyszło opamiętanie. Teraz głupio mi się robiło, gdy przypominało mi się, jak się popisywałem czytaniem, a ci wszyscy jaśnie dziedzice patrzyli na mnie jak na cielę z dwiema głowami.

Może bym z tego poszedł do karczmy i popił, żeby zagłuszyć zamieszanie w duszy, nie chciałem jednak opowiadać nikomu o tej wizycie, bo dziwnie się jej wstydziłem, a przecież by pytali. Zamiast tego pojechałem na jarmark, gdzie sprzedawałem wszystkie nowo wyklute kurczęta i ciele, o co Michał prosił mnie już od dawna.

Nie planowałem niczego poza sprzedażą i grzecznym powrotem do domu, ale przecież mądry człowiek czasem planuje, ale czasem także daje się ponieść fantazji. Ja się wtedy jej ponieść dałem i dobrze zrobiłem, jak szybko się okazało.

Kram olejkarza stał ledwie parę kroków od mojego wozu, z którego handlowałem. Poszedłem więc się pogapić na cuda olejkarza, lekarstwa miał w ciemnych zalakowanych butelkach, cukierki kolorowe, wstążki różnobarwne, korale, głównie czerwone, guziki, agrafki, igły, szpilki, powbijane w poduszeczkę kolorową na kształt jeża, no i pachnące olejki dla dziewczuch. Zacząłem otwierać jedną buteleczkę z olejkiem po drugiej, żeby wdychać niespotykane zapachy, przez co zaraz zacząłem myśleć o dalekich krajach, o krajach, w których nie ma panów, czynszów ani pańszczyzny, w których może nawet czeka na mnie moja Władka.

– Kupujecie czy nie? – warknął olejkarz i zaraz wyjął mi pachnącą buteleczkę z ręki.

A komu miałbym pachnidła kupować? Smutno mi się zrobiło. Ale zaraz zobaczyłem coś jeszcze. Bo za olejkami leżały książki. Takie maleńkie, z jakich nie tak dawno temu czytałem przed panami o ubogich duchem, ale obok wypatrzyłem inną książkę, grubą, dużą, solidną, jak do chłopskiej dłoni stworzoną. Wziąłem ją do ręki. Otworzyłem. Kartki miała grube, pomarszczone, a litery solidne,

a nie mróweczki, jak w książeczce tamtej dziedziczki. Zacząłem czytać:

– Hi-sto-rya o Ma-gie-lo-nie, kró-lew-nie ne-a-po-li-tań-skiey.

Te dziwne słowa dźwięczały dalekimi krajami, pełnymi niespodzianek.

– W pewnym księstwie francuskim żył książę imieniem Wolfgang – czytałem. – Wolfgang – powtórzyłem. Wolfgang, to było jak nieznaną muzyka.

– Kupujecie czy nie? – Kramarz gapił mi się na ręce, jakby miało mu ubyc, że chwilę książki podotykam.

– A wiele sobie za to liczycie?

– Trzydzieści kopiejek.

– Za pięć to może bym kupił.

No i kupiłem w końcu za piętnaście. Całą, grubą, solidną księgę tylko dla mnie, znaczy dla nas, dla Józwiaków. Teraz już żaden jaśnie panek nie będzie się dziwował, że ani jednej książki w domu nie mamy.

W chałupie ułożyłem książkę na kredensie, leżała tam i czekała, a co na nią spojrzałem, cieplej mi się na duszy robiło. Dopiero przy niedzieli usiadłem, książkę rozłożyłem na kolanach i przeczytałem Mariance, że „w pewnym księstwie francuskim żył książę imieniem Wolfgang. Posiadał żonę z książęcego domu, rodzoną siostrę królowej francuskiej imieniem Petronela...”.

– Petronela – powtórzyła Marianka ze smakiem. – Petronela...
Czytajcie dalej, stryjku.

I czytałem, niech się mała oswaja z wielkim światem. Hrabia Piotr, syn Wolfganga i Petroneli, i jego ukochana, piękna Magielona. A do tego zaczarowane pierścienie, bajeczne ptaki, podróże

i tajemnice, morza i statki, ryby ze skarbami w brzuchu, potajemne schadzki, ucieczka z domu, wielkie rozstanie kochanków. Malutka Marianka słuchała z wypiekami, gdym jej, siedząc na przyzbie, czytał, nawet i ta nasza Andzia, co to w ogóle ani patrzeć na mnie nie chciała, usiadła obok, niby że nic, ale widziałem kątem oka, że czytania słucha. Nie chciała się przyznać, że to Magielona ją przyciągnęła, udawała, że szyje, że ceruje, że łąty naszywa, akurat na przyzbie przypadkiem przysiadłszy.

Tej nocy śniłem o pięknej Magielonie, wyglądała mi jak Władka, rośła, warkoczowa, bielutko się śmiejąca, marzyłem o obu, śniłem o obu i kiedy się rano obudziłem, to tylko po to, żeby o nich obu myśleć. Nie miałem serca czekać z następnym czytaniem aż do niedzieli, siadłem więc z Marianką na przyzbie od razu po wieczery, dzień na szczęście był coraz dłuższy, a mała słuchała z wypiekami. Wypieki miała także Andzia, która chwilami zapominała, że jakieś łątki miała przyszywać, i zamierała wpatrzona we mnie. Ale wcale mi się nie podobało, że ani nie pochwaliła, że książkę kupiłem, ani nie doceniła, że tak pięknie czytam, tylko siedziała i udawała, że nijak nie słucha. „Oj, poczekaj ty”, powiedziałem sobie w duchu.

Na kolejny wieczór Marianka ściągnęła na to moje czytanie dzieciaki z całej wsi, aż miło było popatrzeć na tyle dziecięcych główek czekających na podwórku, aż się odezwę. I czytałem, czytałem, aż w pół słowa, w pół przygody zamilkłem, specjalnie dla mojej bratowej. Dzieci zaczęły jęczeć, że jeszcze, że co rybie z brzucha wyciągnęli, że Janku, czytajcie, ale ja książkę zamknąłem i czekałem.

Doczekałem się wreszcie. Andzia przemówiła do mnie.

- Janku, poczytaj jeszcze, wcale nie jest tak późno. Dzieci czekają.
- A ty niby nie czekasz?

Głową pokręciła i dopiero po chwili przyznała:

- To bardzo piękna historia.

W takim razie wróciłem do opowieści, tego wieczoru czytałem tak długo, aż w ciemnościach przestałem widzieć litery, a wtedy zacząłem zmyślać Magielonie kolejne przygody, żeby nadal widzieć te wszystkie wpatrzone w siebie oczy: Marianki, dzieciaków, Andzi.

Z czytaniem szło mi coraz lepiej, coraz płynniej, im bardziej zakochiwałem się w Magielonie, tym mniej się zacinałem na słowach, chodziłem po zaczarowanej krainie Magielony coraz pewniej, coraz swobodniej, teraz niechby jaśnie panowie mnie posłuchali, dopiero by się dziwowali, że tak dobrze czytam i że takie piękne historie.

A potem zaraz myślałem, że więcej jaśnie panów widzieć w domu nie chcę, w karczmie też nie, żadnych darmowych śledzi nie potrzebuję, darmowej gorzałki też nie, wcale. Niech w swoich dworach, pałacach siedzą, niech daleko od nas zostają, o tyle brzydsi, o tyle mniej szlachetni niż Magielona, królowna neapolitańska.

I dalej czytałem o hrabim i królownie, czytałem i czekałem, aż zakochani się zejdą i będą szczęśliwi po wszystkie czasy, Marianka też na to czekała, dzieciaki wszystkie bardzo tego chciały. A Piotr i Magielona jak na życzenie w końcu się zeszli, i żyli potem długo i szczęśliwie, bo tak właśnie jest, tak bywa, tak być musi.

Michał Józwiak

- Żniwo wielkie, ale robotników mało – czytał pleban w kościele.

Zaskoczyło mnie wtedy, że Pan Jezus tak dobrze znał się na naszej robocie.

Lepiej niż pleban, na pewno.

Bo u nas tak właśnie było. Właśnie nadeszły żniwa żytnie i pszeniczne, te najważniejsze, bo z żyta i pszenicy powstanie chleb nasz powszedni.

– No i kluski – śmiała się Marianka.

Żniwa więc były wielkie, bo żyta i pszenicy mieliśmy razem piętnaście morgów. Harówki z tym było a harówki, a robotników mało. Bo tylko troje młodych, a do tego matula i dwoje starych, bo babka i dziadek. Oni wiele już zdziałać nie mogli. Ale że wszyscy na wszystkich patrzyli, robota jakoś szła. Klepaliśmy kosy, kiedy po żdźbłach widziałem, że się stępiły. Głos klepania rażno rozbrzmiewał także z innych pól, cała wieś, wszystkie wsie przy pszenicy pracowały. Serce rosło, kiedym słyszał to solidarne klepanie, co się pod niebo unosiło. Patrz, Panie Boże, jak dbamy o twoje dary! Na naszych własnych polach o nie dbamy! My, czynszowi, na pańskie chodzić nie musimy!

Kosiliśmy, potem na rżysku zestawialiśmy zboże w snopkach po pięć, w koziołki. Po mniej więcej tygodniu mieliśmy zwozić suche snopy do stodoły. Planować trzeba było niemało, kiedy co kosić, kiedy zwozić, żeby wszystko grało. Tym trudniej było, że na kośbę szło się pieszo, na zwożenie należało zaprząć wóz, na kośbę jechaliśmy wszyscy, na zwożenie tylko we trzech. Dziś mieliśmy zwozić, bo już ponad tydzień od kośby na tym akurat polu mijał, zboże już zdążyło wyschnąć. Gorzej, że niebo ciemniało i babka mówiła, że ją w kościach na deszcz łamie. Musieliśmy się więc z tym pospieszyć. Przecież nawet dziecko wie, że jak mokre zboże się do

stodoły zwiezie, może spleśnieć, może zacząć kiełkować, może też zwalone w sąsieku tak się rozgrzać, że się samo zapali. A wtedy cała stodoła spłonie, bo słoma pali się błyskawicznie.

Wiedzieliśmy więc, że powinniśmy się z Jankiem i dziadkiem zwijać jak najszybciej, choć wszyscyśmy byli obolali po wczorajszej koźbie. Zboże jednak przecież najważniejsze. Jeszcze nie czas na odpoczynek, to żniwo, żniwo wielkie.

W południe żeśmy na miedzy zalegli, chwilkę odsapnąć i coś zjeść. Wszystko mnie paliło żywym ogniem, czułem każdą kosteczkę w ciele, tak zawsze w czas żniwny było. Z tej duchoty pot spływał mi po twarzy strumieniami. Cały kompot żeśmy wypili, cośmy go tu w dzbankach przywieźli, a dalej chciało się pić.

– Przejdę się z dzbankiem po wodę do strugi – powiedziałem.

– Ej, ja mam lepszy pomysł! – odezwał się zaraz Janek. – Piwo lepiej gasi pragnienie. Albo wiem, na kobyle do karczmy pojedę, jeszcze szybciej będzie. Cały dzbanek przywiozę. Albo lepiej dwa, co? Raźniej nam potem pójdzie.

– Robota jest, Janek.

– Raz-dwa obróć.

– Znam ja to twoje raz-dwa. Nigdy żeś z karczmy szybko nie wyszedł.

– Nie ty tu rządysz.

– Nie?

– A pamiętasz, co tatulo na łożu śmierci mówił?

Pamiętałem. Pamiętałem aż za dobrze.

– Janek, dużo piwa przynieś! – ucieszył się dziadek. – Tego kompotu było tyle co nic!

– Dziadku, mamy niewiele czasu. Skończymy to pole, zwieziemy, a potem Janek pójdzie sobie do karczmy.

– Ale mnie teraz chce się pić!

Zupełnie jakbym go widział w dawnych czasach, małego i upartego. Tatulo się śmiał, kiedy mój brat tak gadał, po włosach gładził, że taki cwany, taki wygadany.

Dziadek też go poparł:

– Babkę może w kościach łamie, ale przecież ona ciągle stęka, deszcz nie deszcz. A mnie dzisiaj nic nie boli, niebo też całkiem jasne. Mówię wam, chłopaki, przejdzie bokiem. Leć, Janek, poradzimy sobie tutaj.

I tak Janek wyprzągnął kobyłę i pojechał po piwo na pokrzepienie. Myśmy z dziadkiem wrócili do wrzucania snopków na wóz, ja widłami ciskałem, dziadek układał. Szło sporo wolniej, niż kiedy obaj z Jankiem wrzucaliśmy, dziadek też coraz częściej ustawał, zwłaszcza że straszna duchota nastąpiła. Co jakiś czas więc musiałem na wóz się wdrapać i pomóc z układaniem. Znienacka zerwał się wiatr, ale nic nie ułatwiał, bo także duszny był i gorący, tyle że chmury przywiał.

– Musimy się pospieszyć – powiedziałem.

Już prawie kończyliśmy, kiedy znienacka lunęło. Woda się lała z nieba, jakby ktoś z wiadra na nas chlustał. Znaczący nie tylko na nas, ale i na ułożone na wozie snopki. Normalnie bym je przykrył derką i co koń wyskoczy, gnał do stodoły, tyle że nasza kobyła pewnie teraz skubała zielsko pod karczmą.

– Cały dzień roboty na nic!

Bo kiedy przestanie padać, trzeba będzie snopki zestawiać z wozu i znowu suszyć.

Janka z kobyłą nadal nie było widać, zresztą lało tak, że nie tylko Janka, ale i swojej ręki nie widziałem. Stopy na snopkach na wozie się ślizgały, a na domiar złego jeszcze z oddali zaczynały dochodzić grzmoty.

Burza to jedna z najstraszniejszych rzeczy na świecie! Pioruny najczęściej waliły w gromadzką łąkę, wbrew temu, co mądrzy powiadali, że drzewa bardziej je przyciągają. Żeby chałupę ochronić, należało wystawić w oknie gromnicę. Wtedy diabelskie siły widziały, że dom to pobożny, i odstępowały. Czasem jednak i gromnica nie pomagała. Znaczyło to, że grzechów jest tak dużo w chałupie, że i opieka boskiego światła nie wystarczy. Wtedy piorun w chałupę trafiał. Każdy brał w ręce, co było obok, i wybiegał. Potem ludzie cebrami sobie wodę podawali, żeby pożar na następne chałupy nie przeszedł, bo ta płonąca już była dla świata stracona.

– Trzeba nam będzie wóz w polu zostawić i lecieć do domu! – przekrzykiwał deszcz dziadek. – Wrócimy, jak przestanie padać.

– Bez opieki wozu ze zbożem nie zostawię!

– Co? – krzyczał dziadek.

Nie odpowiedziałem. Podłożyłem kamienie pod koła i wlałem pod wóz, żeby tam czekać, aż się deszcz uspokoi.

Dziadek też próbował się za mną wczołgać, ale stęknął tylko, za grzbiet się złapał.

– Dziadku, wracajcie do chałupy! Gromnicę w oknie wystawcie! A ja zostanę tutaj, żeby nikt nam zboża ani wozu nie ukradł.

Coś jeszcze mówił, ale nie słyszałem. Odwrócił się i począł iść w stronę domu, pioruny na szczęście z dala biły, bo inaczej i wóz, i ja pod nim bylibyśmy zagrożeni.

Leżałem w tym błocie, już zaczynałem szcząkać zębami, więc po chwili wahania ściągnąłem snopek z wozu, powróści rozwiązałem, rozsypałem sobie słomę pod wozem i trochę było lepiej.

Ale ciągle nie za dobrze.

– Co wy byście zrobili, tatulu? – zapytywałem się w duchu. – Co mogłem lepiej zrobić?

Należało Janka z kobyłą do karczmy nie puszczać, ot co, sam wiedziałem.

Zimno mi było coraz bardziej, przysypałem się słomą, kłosa tonęły w błocie pod furmanką, cały snopek będzie na zmarnowanie. Chyba z tej rozpaczki w końcu przysnąłem, bo mocno się przeraziłem, kiedy z nagła dotknęło mnie coś ciepłego i mokrego. Otworzyłem oczy.

Pod wozem leżała obok mnie Andzia, osłonięta od deszczu derką, drugą derkę z garnka odwijiała, aż dymiło z niego w tej wilgoci pod wozem.

– Co tu robisz?

– Wieczerek ci przyniosłam.

– Janek wrócił?

– Wrócił do domu, piwo pije i czeka, aż deszcz przejdzie. Jedz, póki ciepłe.

Kasza, skwarki, kapusta, nic lepszego chyba w życiu nie jadłem.

– I derką się przykryj, Michaś, bo usta masz sine.

– A ty?

– Mam drugą. A najlepiej się dwiema razem owińmy.

Zwinęliśmy się na słomie, jeszcze ciepły garnek żeśmy między siebie wsadzili, owinęliśmy się derkami i tak trwaliśmy w podciekającym błocie pod schronieniem z wozu.

– Nie wracasz do domu? – spytałem.

– A ty?

– Jak mam pełen wóz zostawiać? Na łaskę ludzką i zmiłowanie boskie?

– To i ja zostanę. We dwoje różnie, prawda?

Brzmiała jak ja, kiedy za dzieciaka u ojca się o pochwały dopominałem.

– Różnie – przyznałem.

Tak się rozpromieniła, że nie mogłem się napatrzeć, co chwila zerkałem na jej rumieńce.

A potem, leżąc tak obok siebie, na słomie, w derkach, znaleźliśmy jeszcze jeden sposób, by się rozgrzać.

Wrzaski usłyszałem jeszcze przez sen. Już świtało, w plecach mnie strasznie łamało, ta strona ciała, do której tuliła się Andzia, była ciepła, ta druga taka sobie, ale nie byłoby źle, gdyby ktoś tak strasznie nad głową nie wrzeszczał.

Już poznawałem głosy. Kostek. Matula. Janek. Babka. No i Marianka na dokładkę.

Co oni krzyczą?

– Pożar! Pożar! Gore!

Wyturlałem się spod wozu, niepomny – błoto nie błoto, patrzę w górę od razu, ale wóz cały, snopki wszystkie, tylko mokre, parują. A moi stoją obok i krzyczą.

– Gdzie gore?! – wrzasnąłem.

Umilkli, popatrzyli po sobie. W końcu odezwał się dziadek Kostek.

– Nasza stodoła się spaliła. Piorun grzmotnął i poszło. Paliła się lepiej niż łuczywo.

– A obora?

– Trochę tylko osmałiło, ale udało się uratować. Dom też.

– A kierat?

Pokręcił głową.

– Stał przecież tuż przy stodole.

– Młocarnia? Sieczkarnia?

– W stodole były przecież.

Płakać mi się chciało, ale przecież chłopu płakać nie wolno, nawet kiedy całe życie się wali.

Andzia też już wygramoliła się spod wozu. Rozejrzała się, czy wszyscy są, Mariankę na ręce chwyciła, przytuliła.

– Jezu, Jezu! – zapłakała. – Matko Boska, zmiłuj się nad nami!

– Całą noc gasiliśmy, wodę nosiliśmy, sąsiedzi pomagali, Boże, co tam się działo – opowiadał dziadek Kostek, faktycznie na twarzy usmolony. – Całą noc!

Gdybym tam był, gdybyśmy tam z Andzią byli, może udałoby się coś ocalić, kierat przynajmniej. Gdybyśmy tylko wrócili, gdybyśmy tylko wiedzieli! Kręciłem głową na bezmiar straty, kręciłem głową na to wszystko. Czyżby Opatrzność już całkiem się od nas odwróciła? Myśmy mogli pasa zacisnąć, mniej jeść, ale jak dziedzica spłacimy? I wszystko przez Janka pomysły! Piwo w środku zwózki, widział to kto?!

– No widzisz, Michał? – odezwał się naraz Janek. – Dobrze, żeśmy wczoraj nie zwieźli pszenicy. Jakbyśmy ciebie słuchali, cała by spłonęła. A tak żeśmy ją ocalili. Furmankę też. Miałem rację, widzisz?

I wyprostowałem się zadowolony, jakby dostał podarek. Pokręciłem głową, chciałem odegnać sprzed oczu tę czerwoną mgłę, która mi się przed nimi pokazała. Nie odchodziła jednak, złość narastała jak płomień w naszej stodole, której już nigdy nie zobaczę. Tak się kłębiło we mnie, że i zimno ode mnie odeszło, i ten ból z krzyża, już tylko pożar we mnie został.

– Widzisz, Michał? Zawsze brata słuchaj. – Janek poklepał mnie jak kobyłę.

Nie wytrzymałem, odwinąłem się i tak go w gębę grzmotnąłem, że aż się zachwiał. Krwią splunął, zamachnął się i byłby mi oddał, gdybym się nie uchylił. Wtedy przyskoczył i walnął mnie pięścią w brzuch, dobrze, że rano nic nie zjadł, bo nie rzygnąłem, tylko się zgiąłem wół, ból poczułem dopiero po chwili.

A potem już biliśmy się na całego, krew nie krew, zęby nie zęby, tarzaliśmy się po błocie i waliłem w tę jego zadowoloną z siebie gębę, w te jego gładzone grzebykiem włosy, w ten jego uśmiech, którym doprowadzał dziewczuchy na śmiertelny świerk, waliłem z całej siły i nawet nie słyszałem, że wszyscy krzyczą. Biłem brata i go nienawidziłem, nienawidziłem jego długów, planów, pomysłów i wypraw na piwo, chciałem go zabić razem z jego starszeństwem, z tym gładkim uśmiechem na wszystkie okazje, razem z tym, co tatulo o nim na łożu śmierci powiedział.

I może byłbym go zabił, jak Kain Abla, gdyby mnie dziadek Kostek z matulą i babką nie odciągnęli, a wcale im to łatwo nie przyszło. Trzymali mnie potem wszyscy, a ja się wyrywałem do Janka, rwałem się z okrwawionymi pięściami, chciałem bić i zabić mojego jedyne go brata.

Hanka Józwiakowa

– Zabiję go, zabiję! – dyszał Michał, rzucając się z pięściami do zakrwawionego Janka, który gramolił się z ziemi, nie do końca chyba pewien, co się stało.

Michał wyszarpnął nam się w końcu, dopadł brata, uderzył, znowu się zamachnął, wtedy mój dzielny Kostek skoczył na niego, przygniótł go do ziemi, znaczy do Janka, i tak leżeli we trzech, jeden na drugim, a mój młodszy wnuk miotał się, usiłując bić dalej.

Do dzisiaj, a minęły trzy dni, com powieki przymknęła, stawało mi to przed oczami i ogarniała mnie rozpacz, bo było to gorsze od wszystkich nieszczęść, jakie nas ostatnio spotkały, było to najgorsze ze wszystkiego, bo nienawiść przełamująca naszą rodzinę na pół była gorsza nawet od śmierci.

Nie potrafiłam żyć w takim domu, nikt z nas nie potrafił, kiedy między Jankiem a Michałem nienawiść aż tryskała. Andzia na Janka wilkiem patrzyła, mało nie spluwała mu pod nogi, Zośka wzdychała, aż dziw, że od jej westchnień przeciąg się nie robił, Kostek uciekał do sadu, skoro w spalonej stodole schronić się nie mógł, a Marianka przestała się już zupełnie śmiać, gapiła się smutna w ścianę, co mnie przerażało chyba najbardziej, bo dziecko niczemu nie było winne. Tak się zemściła Jagunia na nas, Józwiakach, za swoje zmarnowane, nagle zakończone życie. Zmarnowała je nam.

Zbolała, zrozpaczona, poszłam więc po pomoc tam, gdzie zawsze jej szukała: zapukałam do drzwi plebanii. Opowiedziałam co i jak, ksiądz jednak o kłątwie samobójczynie gadać nie chciał, choć mu całą osełkę masła w darze wręczyłam. Dał mi tylko na wszelki wypadek wody święconej we flaszeczce, pokropić nigdy nie zawadzi, to zawsze złe odpędza, powiedział.

Zośka nie rozumiała, dlaczego tak obficie ochlapuję sienniki moich wnuków.

– Żeby im Jagunia wreszcie odpuściła – wytłumaczyłam.

Wtedy synowa ręką na mnie machnęła i zostawiała mnie z moją wodą święconą. Znaczą księżowska to woda była, ale skoro za nią masłem zapłaciłam, teraz już moja trochę także.

Michał walnął się spać, nie zwracając uwagi na to, że siennik mokry, a Janek akurat tego dnia spać do domu nie wrócił. A kiedy już się rano pokazał, chłopcy nadal do siebie się nie odzywali, nawet na siebie nie patrzyli. Tyle nam przyszło z tej pomocy plebana.

Co było robić, skoro księżowska wiedza nie wystarczyła, postanowiłam się poradzić kobiety, która wiedziała wiele o sprawach nie z tego świata.

Dawno już nie szłam sama tak daleko, dawno w ogóle nie szłam nigdzie z Sokołowa, tyle co do Pustyni i na targ w Izbicy, a już w Naczachowie nie byłam bardzo dawno. Dziwnie więc było mi wchodzić teraz do wsi, w której niegdyś mieszkałam. Minęłam kapliczkę, gdzie niejedną pieśń dla Najświętszej Pani w maju wyśpiewałam, minęłam i kuźnię, gdzie bracia naszej Zośki kuli podkowy, aż doszłam do obejścia Golców, niegdyś naszych sąsiadów. Golcowa od lat odbierała porody w okolicy, ziółka warzyła, gdy kto chorował, a i niejedno wiedziała o sprawach zwykłym śmiertelnikom nieznanym. Kiedy weszłam do obejścia i pies się rozszczękał, zaraz pokazała się, wycierając dłonie o zapaskę.

– Witajcie, Golcowo.

– A witajcie, Józwiakowo.

Stara już była, bezzębna, ciemna na twarzy jak cholewiaki moich wnuków, kiedyś gadała dużo, teraz długo milczała, co robiło większe wrażenie. Wiedziałam, że nie wypada od razu do rzeczy przechodzić, więc zaczęłam, że upalne lato, nawet noce gorące, co niechybnie zwiastuje mroźną zimę, ale Golcowa mi prawie od razu przerwała.

– Józwiakowo, nie szłabyś tak daleko, gdybyś chciała mi tylko o upale opowiedzieć. Z czym przychodzisz?

No to opowiedziałam o wszystkich nieszczęściach, jakie nas spotkały. Śmierć Dorotki. Andzia o mało w połogu nie umarła. Janek narobił długów. Stodoła spłonęła. Młocarnia i siewkarnia się spaliły, a kierat nie nadaje się do użytku. Nie mamy dokąd snopków zwozić. No dobrze, Lewandowski trochę miejsca dał nam u siebie, ale stodołkę ma małą i sam ledwie się mieści. Michał poszedł więc z prośbą do Johannesesa, ten ma zabudowania porządne, jeden sąsiad obiecał nam udostępnić, ale ciągle czeka nas budowa stodoły, ale jak tu budować, kiedy dług u dziedzica mamy do spłacenia i to już lada chwila. Nie tylko jednak budować nie ma jak, zbożem też nie ma się kto zająć, gdy chłopcy nienawidzą się tak strasznie, że zaraz się przecież pozabijają.

I wtedy już nie wytrzymałam, musiałam się rozpłakać.

Golcowa podsunęła mi ścierkę do otarcia łez.

– Macie rację, Hanko. Sprawa jest poważna i nie z tego świata.

– Tak, od dawna to widzę, Jagunia mści się na nas.

– No właśnie, to mi wygląda na działanie upiora.

– Upiora?!

– Samobójcy często wracają na ziemię jako upiory, żeby załatwić niedokończone sprawy. Niejednego żywego wówczas udręcą. Janek

słabuje od śmierci Jaguni?

– A tak wiecznie zmęczony, do roboty już prawie w ogóle nie chodzi.

– A śni mu się Jagunia?

– Nic nie gadał.

– Budzi się spocony?

– To tak. Wiem, bo z nami śpi w izbie.

– A widzieliście kiedy Jagunię? Znaczą upiora? W domu, w obejściu?

– Uchowaj Boże!

– Ale czuliście jej obecność?

– Co chwila wieje dziwnym gorącym. A już zawsze, jak złe się dzieje.

– Czyli Jagunia – Golcowa się przeżegnała – postanowiła załatwić niezakończoną sprawę. A tą sprawą jest zemsta!

Mówiąc „zemsta”, Golcowa zasyczała przez liczne szczyrby, a mnie od tego świstu aż dreszcz po plecach przeszedł.

Nie taką Golcową pamiętałam. Za młodu była znękaną biedą i licznymi porodami kobieciną, która pomagała przychodzić na świat cudzym dzieciom, bo sama rodząc, już chyba wszystkiego doświadczyła. Teraz, jako starucha, wydawała mi się silna i tajemnicza, mocna i niezwyciężona, a i za swoje ziółka i rady chyba trochę zarabiała, bo zupa, która na piecu stała, mocno pachniała mięsem. Takie rzeczy kiedyś u Golców były nie do pomyślenia, bo co odrobinę do jedzenia mieli, zaraz ich liczne dzieci pochłaniały, a już mięso widywali głównie przez okna sąsiadów. Teraz już jednak dzieci poszły na swoje, mąż do grobu, a Golcowa, w samotności, nagle nabrała dużej ważności.

– Co z tym robić, Golcowo?

A ona wtedy powiedziała coś tak strasznego, aż się zaczęłam trząść.

Teraz albo nigdy, powtarzałam sobie, teraz, zanim coś jeszcze gorszego się w tej rodzinie wydarzy. Wiedziałam, że musimy zrobić to nocą, bo za dnia jeszcze nas ktoś przyuważy, a noc musi być księżycowa, gdyż jeśli z łuczywem pójdziemy, widać będzie nas z daleka.

A że właśnie zbliżała się pełnia, czas naglił.

Sama jednak nie dam rady. Muszę więc przekonać Kostka.

Nie miałam zamiaru przyznawać mu się do tych wszystkich lat, kiedy lałam śmietankę na mogiłę, kiedy krzyż drewniany Jaguni nabłyszczala masłem, kiedy stawiałam jej woskowe świece i szeptałam do niej prośby, gdy mlekiem świerk śmiertelny polewałam.

Nie, tego mu nie powiem.

Zamiast tego usiadłam obok i zaczęłam wyliczać Kostkowi wszystkie nieszczęścia. Wysłuchał, nie uwierzył mi jednak wcale.

– Co?! – odpowiedział. – Zwariowałaś, siostrzyczko?! Upiór? Upiór nas prześladowuje?!

– A kiedy się złe zaczęło? Kiedy? Przypomnij sobie, Kostek!

Coś liczył, coś mamrotał, włosy pocierał, aż chrzęściło.

– Powiem ci od razu. Złe się zaczęło wraz ze śmiercią Jaguni.

– A nie wtedy, kiedy Szczepan nam umarł?

– Źle pamiętasz, źle. Jagunia się powiesiła, Janek zeszedł zaraz na psy, a potem poszło! Posypało się i sypie się ciągle.

– I mówisz, że to upiór nas nawiedza? Tamta nieszczęsna dziewczuszka? Widziałaś ją?

– Jak upiorzyca nie chce, to się nie pokaże przecież. Ale czułam ją, co i raz ją czuję. Nigdy ci takie dziwne gorąco po plecach nie chodziło?

– W stodole chłodno przecież, po plecach to mi wiatr hula.

– Ale pomożesz mi czy nie?!

Głową pokręcił i zamilkł.

Poszłam wtedy nad Mokry Dołek, akurat już po burzy błoto obsychało, więc było dokładnie widać kości morowiaków, i zastanawiałam się, jak teraz może wyglądać Jagunia. Do widoku kosteczek w Mokrym Dołku już się całkiem przyzwyczaiłam, ale od śmierci morowiaków minęły ze dwa pokolenia, a Jagunia obwiesiła się całkiem niedawno, więc na pewno tak nie wygląda. Pomodliłam się o opiekę do tych naszych martwych sąsiadów i wróciłam do domu.

A kiedy nastał wieczór, już z Kostkiem staliśmy pod cmentarnym murem i zastanawialiśmy się, czy damy radę wbić łopaty w mogiłę Jaguni.

Kostek przymierzył się z łopatą i pokręcił głową:

– Myślałem, że zrobię to dla ciebie, ale chyba nie poradzę. W grób? Nie godzi się.

Ktoś jednak musiał sobie z tym poradzić, więc przywołałam przed oczy obraz Michała leżącego w śniegu po śmierci Dorotki, przywołałam obraz płonącej stodoły, wnuków, którzy z nienawiścią okładali się pięściami w błocie, zamachnęłam się i z całych sił wbiłam łopatę. Mogiłę już trawa porosła, darń bronila tego, co pod

spodem, ale przebiłam się przez nią, po czym odrzuciłam łopate i poczęłam rękami, pazurami rwać darni, poderwałam płat, odłożyłam na bok, potem drugi, ogołociłam cały grób.

– Kopże, Kostek, bo już siły nie mam!

– Kiedy ja... Kiedy ja... – dyszał.

– Im szybciej zaczniemy, tym szybciej skończymy. Miejmy to już za sobą, a będziemy bezpieczni.

– Mroczki mam przed oczami.

I usiadł ciężko na stosie darni, łapał powietrze jak ryba wyjęta z wody.

Oparłam się o łopate.

– Widzisz? Tak właśnie działa Jagunia. Odbiera siły. A ty mi nie wierzyłeś.

Westchnął.

Pochyliłam się nad mogiłą.

– Jaguniu, nie jesteś już tym wszystkim zmęczona?

– Hanka, do kogo ty mówisz?

– A jak myślisz?

W świetle księżyca Kostek wyglądał strasznie blado, zielono nawet, za pierś się trzymał i coraz bardziej na tej darni garbił. Żeby go ratować, mówiłam do Jaguni, mówiłam cały czas.

– Jaguniu, ja przecież chciałam cię w naszej rodzinie, Kostek chciał, wszyscyśmy chcieli, tylko Janek był na to za głupi. Dobrze, że się na nim zemściłaś, należało mu się. Ale tyle lat minęło od twojego spotkania ze śmiertelnym świerkiem, a ty ciągle w pół drogi między ziemią a niebem, ciągle przy nas, a przecież popatrz, i w życiu włościanina nadchodzi czas na odpoczynek, sześć dni pracuje, siódmego odpoczywa. Tak samo robił nasz Pan Bóg, kiedy

się zabrał za stwarzanie świata. I tobie więc odpoczynek się należy, pozwól nam, pomożemy ci odpocząć, odpoczniesz w niebie od tej ciężkiej harówki, bo się nad nami naharowałaś mocno. Odpocznij!

Kostek jęknął.

– Co ci?

– Boli, aż oddychać nie mogę. Coraz bardziej.

Przeraziłam się.

– Jaguniu, poniechaj Kostka! Odstępujemy.

Oparł się na mnie. Już nie patrzyłam na rozgrzebany grób, tylko prawie ciągnęłam Kostka do domu, w drugiej ręce dźwigałam dwie łopaty, nie wiem, jak dałam radę z tym wszystkim dowlec się do Sokołowa w tych ciemnościach, kiedy księżyc to się chował, to pokazywał zza chmury. Kiedyśmy wreszcie dotarli do domu, pomyślałam, że się zaraz przewrócę ze zmęczenia, ale przecież musiałam ułożyć Kostka w łóżku, musiałam przy nim czuwać. Zasnął, mnie się też głowa kiwała, ale budziłam się co chwila i sprawdzałam, czy oddech mu pierś unosi. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby przestał oddychać, ale sprawdzałam co chwila.

Dopiero o świcie obudziła mnie z niespokojnej drzemki nagła myśl, żeśmy nie zrobili porządku z mogiłką. Dałam więc Kostkowi pić i czym prędzej pobiegłam pod cmentarz. Przyglądałam ziemię, ułożyłam na mogile darń, jak była, pomodliłam się chwilę, już sama nie wiedziałam do kogo, do Maryi czy do Jaguni.

Wróciłam niespokojna, zaraz dopadłam do Kostka. Żył, nawet kolory na twarz mu wróciły, słaby był tylko. No i nic nie gadał, co było niepokojące.

Przez okno dobrze widziałam zgliszcza stodoły.

Jagunia od Wicków

Babka Janka tłumaczyła mi, że czas odpocząć. Nie rozumiała, że tu, gdzie trwam, w ogóle nie ma czasu. Trwałam więc w bezczasy, i już nawet niewiele gorącości czułam, ciepławego znużenia więcej. I zdziwienia, że żadnych odpowiedzi na wszystko, co mnie za życia dręczyło, nie będzie.

Hanka Józwiakowa

Dziś Michał kosił gdzie indziej, owies tym razem, Andzia z Zośką podbierały i wiązały. A że chłopcy już nie chcieli razem chodzić w pole, Janek pojechał na zwózkę żyta, jeszcze srodze po tej bójce z bratem posiniaczony. Kostek za słabo się czuł, by mu pomagać, więc ja się zabrałam.

Stałam na wozie z widłami, czekałam na snopy, jeszcze całkiem jestem krzepka, powtarzałam, poradzę sobie z układaniem. Ale że bałam się, że się zaraz zasapię, od razu zaczęłam mówić, bo i na co było czekać, kiedy Jagunia mogła zaatakować w każdej chwili.

Byłam pewna, że Janek wyśmiej mnie jak Kostek, może szybciej nawet, ale mój wnuk stęknął, obolały jeszcze po tej bójce, snopek odłożył i spojrzał na mnie poważnie.

- Upiór, to by wiele tłumaczyło.
- Tak, dlatego złe z ciebie czasem wyłazi. Przez tego upiora.
- Złe? Jakie złe? Przez upiora mi się nie darzy, teraz już wszystko rozumiem.
- Wszystkim nam się nie darzy.
- Wszystkim? – zdziwił się mocno.

Wy tłumaczyłam. Potem powiedziałam, co trzeba zrobić. Janek nie protestował, bo mądry był z niego chłopak, choć tak błędził ostatnimi czasy. Teraz jednak zgodził się na wszystko.

Odczekaliśmy z Jankiem, aż się ściemni, a ludzie w chatach się schronią, z tego niepokoju nawet spać mi się nie chciało. Znowu moglika przy cmentarzu nocą, znowu dwie łopaty, znowu zdejmowałam darń, teraz poszło szybciej.

Janek wbił w ziemię łopatę. Chwyciłam drugą.

– Babka poniecha.

– Dlaczego? Będzie szybciej.

– Ale to sprawa między mną a Jagunią, teraz to już rozumiem.

Od tak dawna sprawę z Jagunią sama na swoich barkach niosłam, że zapomniałam: to przecież od Janka się zaczęło. Odłożyłam łopatę i czekałam, aż Janek sam się z tym upora. Starał się. Kopał, jakby go kto gonił, w polu nigdy tak sprawnie mu nie szło.

– Nie boisz się?

– Boję się. Ale wiem, że Jagunia chce mnie widzieć. I ja ją chcę widzieć, bo mnie dręczy. Strasznie mnie dręczy.

Oczy miał dzikie.

W końcu łopata zastukała głucho o trumnę, świerszcze umilkły, wiaterek zamarł, tak jak i ja z Jankiem. Patrzyłam na wnuka z góry i w ciemnościach widziałam, jak schyla głowę, w ciszy słyszałam, że coś szepcze, nie byłam jednak pewna co.

– Wolisz, żebym ja to zrobiła? – spytałam.

Nie chciałam, bardzo nie chciałam, ale przecież ten chłopaczyna rady sobie z tym nie da, on umiał się śmiać, gadać i migać od pracy, a nie walczyć z upiorami. Poradzę sobie? Muszę, za daleko już

doszliśmy, by zrezygnować. Grób rozkopany, przybrudzona trumna łypała na nas sękami z głębin.

Janek jednak nie odpowiedział. Odłożył łopate, przykucnął, począł odgrzebywać wieko rękami, aż się pokazało, i został tak, z dłońmi na trumnie. Cała jeszcze była, po tylu latach!

– Pomóc ci? – szepnęłam z góry.

Nadal nie odpowiadał.

Wreszcie podniósł się z trudem, z boku łopate przyłożył, podważył wieko, poszerzył szparę. Ręką nos zatkał, zawahał się, długo to trwało. Ale potem mocniej oparł się na łopacie. Wieko ustąpiło z głuchym trzaskiem, który pewnie aż w Sokołowie było słyhać. Janek pochylił się nad trumną, złapał wieko obiema rękami, jakby dziewczuchę obejmował, podniósł je, ustawił z boku i znowu rękę do nosa przyłożył.

Ciągle nie patrzył na Jagunię.

Za to z brzegu mogiły patrzyłam na nią ja.

Piękna niegdyś córka Wicków warkocze ciągle miała takie jak dawniej. Ubranie właściwie też, biała koszulina jaśniała w ciemnościach.

Cała reszta wyglądała jednak inaczej. Dobrze, że światło księżycy było litościwe, litości tej jednak było za mało dla tych rąk, dla tej twarzy. A więc tak wygląda człowiek w kilka wiosen i lat po śmierci, tak się zmienia młoda buzia. Ciekawe, jak zmienia się stara. Zadrżałam.

Janek odsunął rękę od twarzy, nabrał powietrza. Pochylił się nad ciałem, przesunął warkocze, które leżały dziewczynie na piersi, na bok, wpatrzył się w to, co kiedyś było jej twarzą.

– Jaguniu, przebacz – powiedział.

Wycelował, uniósł łopatę i ciął. Zachręściło tak nieludzko, że ledwie zdążyłam się pochylić, żeby sobie spódnicy nie zarzygać.

Kiedy znowu spojrzałam na Jagunię, jej głowa już leżała na koszuli, między tym, co kiedyś było jej udami.

– Babko? Szyją w dół czy w górę? Jak trzeba?

Znowu mnie zemdlilo.

– W dół daj.

Janek poprawił głowę, a potem zaczął układać warkocze Jaguni, zwinął je w dwa precle i upychał obok bioder, gładził, żeby wyrównać. Wpatrzył się. Jeszcze poprawił.

Nie mogłam na to patrzeć, musiałam na to patrzeć.

– Przykryj ją już – powiedziałam.

– Ona jeszcze nie chce.

– Skąd możesz wiedzieć?

– Jagunia chce na mnie jeszcze popatrzeć.

Na wschodzie już zaczynało różowieć. Janek śpiewał cichutko:

*Oj, żal mi cię panno młoda, żol mi cię,
żebyś była jagodeczką, zjodbym cię.
Żebyś była jagódeczkom borowom,
zjodbym jo cię raniutyńko surowom.*

I znowu od nowa:

*Oj, żal mi cię panno młoda, żol mi cię,
żebyś była...*

– Janek! Nakrywaj ją wreszcie!

Spojrzał na mnie, jakbym mu czułe spotkanie z dziewczuchą w sianie przerwała.

– Daj jej wreszcie spokój! I niech ona też tobie odpuści!

Pocałował palce, dotknął nimi czoła trupa.

– Jaguniu, słyszysz? – powiedziałam głośniej. – Słyszysz? Odpuść już Jankowi! Odpokutował. Żałuje, widzisz, jak żałuje. I odpuść nam wszystkim Józwiakom, bośmy ci w niczym nie zawinili.

W nastającym świetle coraz lepiej było widać głowę Jaguni na podołku, ślimaki warkoczy obok, koszulinę, stopy, wszystko rumieniło się, różowiało od świtu.

Janek się zawahał.

– Przykryj ją! Niech i ona wreszcie odpocznie.

Rzygałam, kiedy patrzyłam na odciętą głowę upiora.

Rzygałam, kiedy mój wnuk nakrywał wiekiem trumnę.

Rzygałam, kiedy znowu uniósł łopatę, a ja zobaczyłam, że na ostrzu matowieje coś czarnego, czerń, która kiedyś była Jagunią.

Zaczął przysypywać. Po dwóch sztychach łopaty się zawahał.

– Kop!

Przyspieszył.

Jagunia od Wicków

Przyjrzałam się sobie, takiej obnażonej w tej trumnie, widziałam Janka, takiego znowu dla mnie czułego, kiedy gładził moje włosy, czoło, zobaczyłam tę głowę, taką obciętą.

Odwróciłam się.

To już nie byłam ja, to już nie był on.

Odeszłam.

Hanka Józwiakowa

W domu znaleźliśmy się nad ranem.

– Już? – spytał Kostek, który zwlókł się z łóżka i czekał na nas na progu. Znowu był blady i zmarnowany.

– Już.

– Strasznie blada jesteś – powiedział i dotknął mojego policzka. – I zimna.

Rzeczywiście dygotałam. Długo myłam Jankową łopatę pod studnią, wiechciem słomy tarłam ostrze, żeby go rękami nie dotykać. Położyłam potem łopatę obok, niech słońce jej dotknie, wypali, oczyści ciepłem i jasnością.

Weszłam do kuchni mięty się napić, pachniało swojsko, trocinami, mlekiem, masłem i sadzą, siedziałam ciężko i starałam się nie pamiętać. Byłam zmęczona, jakbym furmankę kartofli przerzuciła.

Kostek zawołał na mnie z naszej izby. Już siedział w łóżku, nie leżał, wyglądał nie najgorzej, całe szczęście. Wydobrzeje, pomyślałam. Usiadłam obok niego, ciężko, jakbym miała już nigdy nie wstać, a on wziął moje ręce w swoje dłonie. Ciekaw był, widziałam, że ciekaw jest strasznie, co się działo w nocy, ale nie śmiał pytać. A ja nie miałam siły mówić, bo chciałam zapomnieć.

Ale w końcu się odezwałam.

– To Janek wszystko zrobił. Ja tylko stałam.

I nagle się poderwałam.

– Gdzie on jest?!

Wybiegłam na podwórze. Stodoły już nie było, więc sprawdziłam szopę, chlewik, kurnik, nigdzie jednak nie widziałam Janka, co tu robić, co robić?!

Przystanąłam na chwilę w tej bieganinie i dopiero wtedy się domyśliłam, gdzie może być mój wnuk. Wyprowadziłam ze stajni kobyłę, wdrapałam się na nią po odwróconym wiadrze i czym prędzej ruszyłam na oklep ku cmentarzowi na Pustyni.

Tak, miałam rację, Janek siedział nad mogiłą Jaguni, skulony, z daleka wyglądał staro jak jego ojciec, a może nawet jak Kostek, a do tego kiwał się i mamrotał. Na tętent kopyt drgnął, obejrzał się, zerwał na równe nogi, ale zamiast do mnie podejść, uciekł, zniknął w lesie. Próbowałam go dogonić, ale gdzie tam, przepadł. Gdy wróciłam do domu, ległam bez sił na łóżku. Kostek dopytywał, co z Jankiem, ale już prawie go nie słyszałam, spałam.

Obudziłam się dopiero wieczorem i zaraz się dowiedziałam, że Janek się do tej pory w domu nie pokazał. Strasznieśmy się martwili, ale syn Mariana, który pod Pustynią opróżniał sidła, zajrzał do nas i doniósł, że mój wnuk pije w karczmie i raczej prędko nie przestanie.

– Gada? Dużo gada? – zestrachałam się.

Jeśli opowie, cośmy zrobili z grobem Jaguni, ludzie spokoju nam nie dadzą, a Wickowie własnymi rękami spalą nam chałupę.

– Nie, bo na smutno pije. W ścianę się gapi.

Nie powinnam się z tego cieszyć, ale odrobinę mi ulżyło. Na picie jednak Janek na ogół zarabiał gadaniem, skoro milczał, to...

– Skąd ma pieniądze?

Syn Mariana wzruszył ramionami.

– Żyd czasem na krechę daje.

– Oj, Hanka, a przecież miało być lepiej – marudził Kostek. – Po tym zabiciu upiora miało być lepiej. Przecież tak mówiłaś.

Sama nie rozumiałam, co się dzieje. Janek miał uwolnić się od upiornej narzeczonej, od złego losu i znowu być takim dziarskim chłopakiem jak dawniej, tymczasem zachowywał się jak w najgorszych czasach po śmierci Szczepana.

Znowu zaszłam na Jagunią mogiłkę, nie zliczę, ile razy w ostatnich latach nogi mnie tą drogą niosły. Darń poukładałam tak, że wyglądała jak nieruszana, o tym, co pod darnią, wolałam nie myśleć, krzyż jeszcze błyszczał od zaprzeszłego masła i lekko nim pachniał. Stałam obok, odmówiłam *Wieczne odpoczywanie*, postąłam chwilę. Już nie czułam obecności Jaguni, gorąco też gdzieś uleciało.

I wtedy zobaczyłam, że między darnią na grobie zdążyła już wyrosnąć delikatna łodyżka rumianku. Wpatrzyłam się w nią i zrozumiałam, co jeszcze mogę dla Janka zrobić.

Ziółka trzymałam w woreczkach, rozpoznawałam je po zapachu, mięta, szaflwia, piołun pachniały tak, że i bez rozwiązywania płóciénka wiedziałam, co jest w środku. Rumianek zawsze trudniej było znaleźć, bo ziółko to z woni delikatne. Ten jednak nie – zapach wiercił w nosie, jakbym go zerwała wczoraj, a już przecież minęło kilka dobrych wiosen i lat od tamtego, dziwnie ciepłego października po śmierci Jaguni, kiedym ten rumianek rwała. Zapach kusił i mamił, gdybym przymknęła oczy, miałabym wrażenie, że leżę wśród żółtych kwiatków, że się w nich tarzam jak kobyła, że jak kobyła niczego się nie wstydę.

Więc nie zamykałam oczu.

Nabrałam garść suchych kwiatków, zalałam ukropem, przykryłam. Rumianek czekał i pachniał, wirował w powietrzu,

łaskotał w nosie, a Janek kiedyś wróci.

Wreszcie pojawił się w drzwiach, śmierdzący, zgarbiony, z przekrwionymi oczami i zmarszczonym czołem, jakby harował ponad siły, a przecież tylko siedział za karczmianym stołem. Chwiał się, więc pozwolił mi się poprowadzić, pozwolił się usadzić za stołem, pozwolił sobie garnuszek z naparem w rękę wcisnąć. Suszyło go, więc duży łyk zaczerpnął, przełknął. I zaraz kubek odstawił, aż chlapnęło.

– Co mi daliście, babko?!

– Rumianek przecież.

– Pali!

– Gorzałka jakoś cię nie paliła, a rumianek pali?

Znowu łyknął.

– Pali! I śmierdzi.

– Niby czym?

Zawahał się.

– Chyba śmiercią.

– Śmiercią?

– I chyba... smołą jakąś. Piekłem?

Przeraziłam się. Biedna Jagunia.

– Może ze stodoły spalenizną zawiąło. Pijże, Janek, pijże! Po pijaku wszystko śmierdzi, a i ty fiołkami nie pachniesz. To cię uleczy.

– A choruję?

– A nie? Na nieróbstwo chorujesz.

– Są na to ziółka?

– Te najlepsze. Pij!

– A na nieszczęście są jakieś?

– Te także pomogą.

Pokiwał się trochę, już się wydawało, że głową na blat stołu opadnie i zachrapie, więc go za ramię szarpnęłam, podniosłam, garnuszek pod rękę podsunęłam. Zatkanął nos i posłusznie wlał sobie wszystko do gardła. Odstawił garnuszek z hukiem, wypuścił powietrze, poczułam gorącą falę z jego ust, ział jak smok, tak myślałam, bom nigdy smoka ogniem ziejącego nie spotkała, ale gdyby, to pewnie takim właśnie gorącem by dyszał.

Naraz Janek zerwał się z ławy i na podwórze pobiegł, żeby się wyrzygać.

Taką moc miał rumianek, który wyrósł tamtej niezwykłej jesieni, wiele lat temu, tuż po śmierci Jaguni.

Janek Józwiak

Nie chciałem o tamtym myśleć, wcale.

Ale co z tego, skoro pod palcami ciągle czułem gładkie kościane czoło Jaguni, czegokolwiek dotykałem, miałem w palcach tę okrutną gładkość. Żeby tego nie czuć, łapałem za wszystkie narzędzia, jakie w domu znalazłem, i nie chciałem ich z rąk wypuszczać. Przez to zagrabiłem podwórze, porąbałem wszystkie pniaki na drobne szczapki, wyrąbałem gracką wszystkie chwasty z sadku, ale nie pomagało. Babka dziwowała się, że ani chwili usiedzieć nie potrafię, ale com usiadł, to zaraz czułem martwą kość Jaguni pod palcami, więc zrywałem się i musiałem coś w palce chwycić.

Kiedy więc zoczyłem na podwórzu babkę z wiadrami, nosidła jej wyrwałem z ręki i sam poszedłem do naszej sokołowskiej studni. Mężczyźni nie zwykli tam chodzić, ale nic mnie to nie obchodziło,

chciałem patrzeć w studnię, chciałem się śmiać, chciałem, żeby kobiety na mój widok rumieniły się, chichotały i zagadywały, chciałem, żeby było jak dawniej, kiedy jeszcze nie widziałem, jak wygląda dziewczyna, kiedy poleży parę lat w ziemi. Przy studni jednak baby popatrywały na mnie ponuro, jakbym im przeszkodził w darciu pierza albo innych babskich zabawach, a przecież robiłem tylko to, co one, po wodę przyszedłem.

Wiadro ze studni baby wyciągały kulką. Ciągnięcie kulki wymagało dużo siły, nogi się ślizgały w błocie pod studnią, a drewno kulki było tak gładkie, że zaraz mi się przypomniało to, o czym myśleć nie chciałem. Na szczęście myśl szybuje jak bocian, więc moja zaraz pomknęła pod studnię na dziedzicowym folwarku. Tamta studnia miała taki sprytny kołowrót, który dziewczki folwarczne kręciły jedną ręką, więc pewnie wodę ciągnęło się nim łatwiej. Zaraz więc, kiedy wiadra do domu zaniósłem, powędrowałem na folwark, za bramę się wślizgnąłem, popatrzyłem co i jak, poruszałem kołowrotem, całkiem szybko zrozumiałem, jak działa, nawet jednej dziewczce pomogłem nabrać wody. Dawniej bym z nią także pogadał, pożartował, może nawet całusa skradł, teraz mi się nie chciało, zresztą miałem robotę. Jaką robotę? A ważną, do wujów musiałem iść po łańcuch i inne potrzebne żelastwa. Jak dobrze było chodzić szybkim krokiem i mieć tyle ważnych rzeczy do zrobienia.

Dobrze, że wujowie mieszkali na skraju Naczachowa, nie musiałem dalej wchodzić w wieś, bo jeszcze bym tam spotkał kogoś od Wicków. Na szczęście prawie od razu mogłem nurknąć w ciemną dziurę kuźni. Wujowie kręcili się tam we trzech, a ja nawet na Ćwiartasa patrzyłem bez gniewu i obrzydzenia, tym bardziej że

wydawał się najbardziej zmarnowany ze wszystkich trzech. Wyklarowałem wujom co i jak, że łańcuch, że korba, że jak na folwarku. Koło sam z drewna zrobiłem, dociąłem pniak i następnego wieczoru zamocowałem wszystko na naszej sokołowskiej studni, żeby babom było lżej.

No dobrze, nie tylko po to. Tak naprawdę chciałem, żeby mnie wszystkie chwaliły.

Następnego rana stanąłem więc obok studni i czekam.

– A cóż to za nowości?

Pierwsza przy studni znalazła się Marianowa z ostatniej chałupy pod lasem, co u swoich dzieci na wycugu była. Babka zawsze powtarzała, że jak człowiek stary, mniej snu potrzebuje, i miała rację, ledwie słońko wyjrzało, a Marianowa już na nogach.

Wyciągnąłem dla niej cały ceber wody, ruszając korba przy kołowrocie, nalałem w podstawione wiadra, korba była ciepła od słońca i chropowata, rączka wiadra chłodna od wody studziennej, ale też nie całkiem gładka, młotem kowalskim na całkiem gładko się nie dało. Marianowa patrzyła z rozwartymi ustami to na mnie, to na kołowrót.

– Widzi Marianowa, jakie urządzenie zmyślne?

– A jak u dziedziców całkiem.

– Tam właśnie taki kołowrót podpatrzyłem.

– Za dużo masz, Janek, pieniędzy? Bo ja słyszałam, że macie długi. I spaloną stodołę.

– Ale to nic nie kosztowało, tylko trochę pomysłu. No i stryjów namówiłem, żeby łańcucha trochę odstąpili.

Teraz już musiała mnie pochwalić, no musiała przecież. Ale Marianowa się uparła.

- A co ci, Janek, stara kulka przeszkadzała?
- A wam nie przeszkadzała? Ciężko było przecież wodę ciągnąć.
- Pan Bóg nie stworzył świata po to, żeby było lekko.

Głupia baba była z tej Marianowej, głupia i złośliwa, wiedziałem, że niejedną plotkę o mnie rozpuściła, kiedyś jeszcze biegał za dziewczynami.

I nagle przypomniałem sobie, jak dawno z żadną dziewczyną nigdzie nie chodziłem. Ostatnia, której dotykałem, to była Jagunia w trumnie, tak się u mnie pozmieniało. Posmutniałem przez to wszystko i z tego smutku wróciłem do naszej chałupy z wiadrami, zamiast czekać pod studnią na dalsze pochwały.

Ale że i w domu nikt mnie chwalić nie chciał, na drugi dzień znowu stałem przy studni, korbą kręciłem, lałem babom wodę w podstawione wiadra.

- Szybko i sprawnie, co? – zagadałem.
- Szybko, szybko. – Olęderka Greta, wysoka i zgarbiona, sucha i sękata, wzruszyła ramionami.
- Za szybko – marudziła Marianowa.
- A niby dlaczego za szybko?
- Kto to widział, żeby chłop stał pod studnią, już nic powiedzieć nie można, bo posłyszysz – odezwała się chuda Jarka.

Kiedyś się z nią przeszedłem po łąkach raz czy dwa, ciekawiło mnie, że chuda, ale piersi pod koszulą sterczą u niej wielkie, niepasujące do reszty ciała. Teraz dalej była chuda, piersi dalej miała wielkie, ale już nie sterczały, bo od czasu, kiedyśmy się obściskiwali po zaroślach, zdążyła wyjść za mąż i urodzić trojkę dzieci.

Tak wszystkie marudziły, że zeżliłem się w końcu.

– O co wam, baby, chodzi? Naprawdę lubiłyście się z kulką siłować?

– E nie, tak lepiej – powiedziała Greta.

– Ale chodzi o to, że Pan Bóg stworzył wszystko na dwa podzielone – zaczęła się znowu mądrzyć Marianowa. – Dzień i noc, kogut i kura, chłop i baba.

Za mądra ta jej gadanina nie była, każde dziecko przecież to wszystko wiedziało. Ale Marianowa z mądrą miną na zapadniętych z braku zębów ustach ciągnęła dalej:

– Kogut pieje, kura jaja znosi. Chłop w polu robi, baba w chałupie. Chłop brudny wraca, żona mu wodę podaje. A u was, Józwiaków, wszystko na odwrót.

– A tak, tak – ożywiły się baby.

– U was wcale nie tak, jak się u ludzi robi. Andzia w polu, ty przy studni, kto to widział, wszystko na odwrót macie. A przecież nie tak Pan Bóg świat wymyślił.

Nie chciałem stracić okazji, by jej dogadać.

– A Marianowa to niby skąd wie, jak Pan Bóg myśli?

Marianowa pod boki się wzięła i gadała dalej:

– Ja wiem, a nawet Olędry wiedzą, powiedz sama, Greta. Ty może Olenderka, ale porządek świata znasz, prawda? U was jak u nas, ty w obejściu robisz, twój w pole chodzi, nie tak jest? Powiedzcie temu tu Jankowi.

Greta nie całkiem zrozumiała, czego się od niej chce, ale zaraz spojrzała na dziewczuszkę u swojego boku, to była chyba najmłodsza jej córeczka, a ta jej zaraz przedkładać zaczęła w tej ich mowie, która brzmiała jak charczenie borsuka. Greta głową kiwała

i patrzyła przy tym na mnie, żebym broń Boże nie przegapił, że o mnie chodzi.

– Tak, właśnie tak jest – mówiła.

– Widzisz, nawet ludzie innej wiary rozumieją, że co babskie, to babskie, a ty, Janek, nic nie pojmujesz.

– Kołowrót wam do studni zrobiłem, wodę pomagam wyciągać, a wy ciągle na mnie krzywe?

Stały i gapiły się na mnie, a gęby miały czerwone i nieżycziwe, nawet Jarka, nawet te najmłodsze. Cóż było robić, nabrałem wody i do chałupy wróciłem jak niepyszny. Tam się matuli pożaliłem, że mnie baby od studni przegoniły.

– Oj, Janek, Janek, a tobie by się podobało, jakby w wasze męskie rozmowy w karczmie jakaś baba wtargnęła i pogadać chciała?

– To one tam na pogadanie chodzą? A ja myślałem, że po wodę...

Matula potargała mi włosy, jak wtedy, kiedy byłem mały i jakieś głupstwo palnąłem. Tak się też poczułem, mały i głupi. I czegoś smutny.

– A ten kołowrót to ty zmajstrowałeś? Sprytne to, siły mniej trzeba, stare szybciej poradzą, a i młode mniej się zmęczą.

– Dlatego zdziwiłem się, że żadna się nie cieszy – dorzuciłem, zadowolony z pochwał.

– Bo do studni każda idzie postać, pogadać, do kulki kolejka, to trochę zajmuje, młodsze starszym pomagają, zdrowsze chorym, i posiedzieć, i pogadać można, i wieści wymienić, i poradzić się jest kogo, nikomu się nie spieszy do chałupy wracać, gdzie wieczna robota czeka. Mądry niby chłopak z ciebie, a tego nie rozumiesz.

Aż mi się zachciało iść pod studnię i kołowrót rozwalić z tej żalości, że nikomu się moje pomysły nie spodobały. Potem jednak

wyobraziłem sobie, że dziedzic do wioski konno przyjeżdża, patrzy na studnię, dziwuje się, potem pyta, kto tu takie sprytnie coś wymyślił. Wtedy ja stoję przed jego obliczem, dziedzic mnie chwali i rubla rzuca albo i do dworu bierze, bo jeszcze tam takiego zmyślnego chłopca nie widziano.

Kołowrót zostanie, postanowiłem.

Ale już więcej nie poszedłem po wodę do studni.

W końcu nawet wybrałem się w pole z Michałem. On mnie nie przeproszał za tamto bicie, więc i ja nic do niego nie mówiłem, po prostu o świcie dołączyłem z motyczką do reszty i poszliśmy robić wykopki. Tego dnia bardziej jeszcze niż zwykle palce pamiętały kościane czoło Jaguni, więc nie rozstawałem się z motyką, uderzałem, roślina po roślinie, tak mi szło szybko, że zaraz wyprzedziłem wszystkich w swojej bruździe i kolejną zacząłem.

– Nie omijaj! – krzyczała matula, i sprawdzała po mnie, ale ani bulwy nie zostawił, co wszystkich dłaczegoś zdziwiło.

W południe żeśmy na miedzy przysiedli, ale nie mogłem wytrzymać, bo od razu mi się przypominało to, o czym nie chciałem pamiętać, więc chwyciłem motykę i wróciłem na kartoflisko. Lepiej mi było, kiedy w ziemię uderzałem, a potem podnosiłem bulwy z ziemi, choć gładkie były jak czoło Jaguni, ale cieplejsze, cieplejsze pod tą ziemią, no i inaczej pachniały.

– Janek, a odetchnij sobie trochę! – namawiał z miedzy Kostek. – Południe przecież!

– Niech robi! – krzyknął Michał. – Dobrze mu idzie!

Poczułem się wtedy, jakbym jakiś podarek dostał, choć było to tylko dobre słowo od mojego młodszego brata.

No i przez to wszystko skończyliśmy z wykopywaniem kartofli w trzy dni, choć normalnie ledwieśmy w pięć dawali radę.

– To dzięki Jankowi tak nam dobrze poszło – chwalił Kostek, a Michał przyznawał mu rację. Trochę się z tego cieszyłem, choć w ogóle z cieszeniem się miałem ostatnio kłopot.

Nikomu tego nie mówiłem, ale za pokutę z powodu Jaguni uczyniłem obietnice. Uroczyście i tak jak trzeba. Poszedłem do kościoła na Pustyni, ukląknę przed ołtarzem, wyszeptałem oba postanowienia, rozejrzałem się, pusto było, więc dla większej mocy powtórzyłem oba przyrzeczenia półgłosem.

Pierwsze, co obiecałem: cudzych pieniędzy już z domu nie wynoszę.

I drugie: długów nie zaciągam, nawet na krechę nie piję.

Tak właśnie postanowiłem. Poza tym nic więcej obiecywać nie chciałem, bo się bałem, że nie dotrzymam. Znaczący obiecać trwa chwilę, ale już dotrzymać – to całe bajora męki.

Kiedy wychodziłem z kościoła, jak nowy się czułem, mocniejszy i bardziej prawy. Tylko że potem moje spojrzenie padło na cmentarz, na mogiłkę za jego płotem, zaraz też do ust mi napłynęło coś, co mi przypomniało, jakim rzygał po wódce i po rumianku.

Więc zaraz wsadziłem w kieszeń fajkę, obok niej tytoniu trochę, i ruszyłem do karczmy.

Moi ciągle narzekali, że za często tam bywam, ale niewiele z tego rozumieli. Nie o gorzałkę przecież w karczmie chodzi, tylko o wielki świat i wieści, o nowych ludzi, pociechę i żarty. W różnych karczmach siadywałem, ale w tej na Pustyni bywałem najczęściej. Nieco większa od chłopskiej chałupy, w izbie, gdzieśmy się

gromadzili, karczmarka szykowała też jedzenie dla rodziny i zwierząt. Pod długim stołem uwijały się kury, dziobiąc co popadnie, choć popadało niewiele, bo ludzie rzadko zagryzali wódkę chlebem, śledziem czy ogórkiem, jedzenie, mówili, mamy w domu, pić przyszlśmy. No i pogadać.

W dzień powszedni w karczmie siedziały same chłopcy, inaczej było w niedziele. Wtedy schodziły się tam całe rodziny. Jeśli przyszło trochę młodszych ludzi, a i znalazł się ktoś, kto umiał grać i miał na czym, zaczynały się tańce, wszyscy walili stopami w klepisko, aż dudniło. Dziewki stały grupkami wedle pieca lub szynkwasu, czekając, by je poprosić do tańca. Muzyk co jakiś czas ustawał z graniem i obchodził zebranych, żeby zbierać za muzykę do czapki, czasem ktoś bogatszy zamawiał taniec i płacił za niego. Starsi siedzieli przy stołach, młodszy stali, ja chodziłem pogadać od starszych do młodszych i z powrotem. Czasem było aż tak wesoło, że ludzie nie chcieli wychodzić, śpiewali do młodej Żydóweczki za szynkwasem:

*Karczmareczko, szynkareczko, nie wyganiaj nas,
sama piwka nie wypijesz i nam go nie dasz...*

Ona się wtedy śmiała, błyskała czarnymi wielkimi oczyskami i czasem pozwalała zostać dłużej.

Inaczej niż myślała babka czy Michał, w karczmie można było także siedzieć bez picia, tylko dla samego towarzystwa. I niejednym tak siedział o suchym pysku, żeby pogadać, wymienić plotki i wieści ze świata, posłuchać muzyki, czasem pośpiewać. Bardzo lubiłem hałas, gdy wszyscy razem mówili, ale jeszcze bardziej lubiłem, gdy

milki, dlatego że mnie słuchali. Prawie zawsze znalazł się wtedy ktoś, kto poczęstował piwem czy gorzałką. Ostatnio jednak miewałem kłopot z gadaniem, a już z ucieśnym zwłaszcza. Wracałem więc do tego, co zawsze działało, w niedzielę po mszy najlepiej, czyli wygłaszałem kazanie plebana, słowo w słowo, nawet ręką podobnie ruszałem, zdarzało się nawet, że jak i on popluwałem w powietrze.

– Janek na plebana! – Pijaki dziwowały się, że słowo w słowo pamiętam, kłóciły się, czy się przypadkiem nie pomyliłem, zamieszanie było, piwo się lało, a i gorzałka czasem się pojawiła.

Tak jednak koło wtorku, środy już ich księżowska gadanina zaczynała nudzić. Wtedy zaczynałem odwiedzać inne karczmy w majątku, gdzie mniej mnie znali, więc plebanowe kazania bardziej ich cieszyły. I tak obchodziłem wszystkie karczmy, do Naczachowa tylko nie zaglądałem, gdzie Jagunię wirującą w tańcu widział, gdzie mnie jej rumiankowe warkocze po twarzy w tańcu uderzały, tamtych ścian, tamtych ludzi oglądać nie chciałem.

Wielu opowiadało historie o karczmarzach, którzy dolewają wody do piwa, odmierzają gorzałkę mniejszą miarką, a już najgorzej, jak piszą pijącym podwójną kreskę, bo robią to wyżłobioną na końcu kredą. Karczmarz z Pustyni chyba nic nie dopisywał, a i kredę miał w porządku, ale zawsze bacznie obserwowaliśmy, gdy za jedną kwartę pisał kreskę przez całą belkę, a za kwaterkę ćwierć belki, każdemu w jego przedziałce. Raz w miesiącu karczmarz wysyłał po wsiach dzieciaka, a ten dolatywał do okna, bębnił i krzychał: „Przynośta za gorzałkę!”. Dłużnik brał ćwiartkę zboża, wiózł na targ i wieczorem w karczmie spłacał zaległości. Niektórzy tę ćwiartkę żyta, łańcuch, postronek czy nawet kurę lub gęś przywozili od razu

karczmarzowi, może płacił mniej niż na targu, ale wszystko trwało krócej i mniej było z tym zamieszania. Czasem też dawali karczmarzowi rzeczy wcześniej, a on wtedy otwierał im kredyt. Te sprawy już nie dla mnie, przysiągłem w kościele, na myśl o tym czułem żal, ale czasem pojawiała się i ulga.

Gdy kończyły mi się opowieści i poczęstunki, wracałem do domu. A tam nikt mnie nie denerwował bardziej niż Andzia, która już całkiem nie miała dla mnie szacunku, dobrego słowa także, tylko w Michała patrzyła jak w obrazek. A do tego w pasie pogrubiła i z czasem stało się jasne, że niedługo Michał doczeka się kolejnego potomka. Nie mogłem patrzeć, jak ją po tym brzuchu z wystającym pępkiem gładzi, nie chciałem tego widzieć, więc z dziadkiem Kostkiem szliśmy do sadku, gdzie żeby przestać czuć czoło Jaguni pod palcami, kosze z nim wyplatałem.

Wiklinowa kora na szczęście bardziej była chropowata niż kość.

Część ósma. Nadal rok 1861, czas niebacznie kiełkujących nadziei

Ludzie coraz bardziej duszą się pod carskim zaborem, więc po Warszawie co i rusz przechodzą patriotyczne manifestacje. Na tej w lutym od salwy oddanej przez kozaków ginie pięć osób, ich pogrzeb przeradza się w kolejny tłumny protest. Podczas pochodu w kwietniu ginie już kilkaset osób, a tysiące odnoszą rany. Kiedy w pewnej chwili Rosjanie zaczynają strzelać do tłumu, i ginie zakonnik idący z krzyżem na czele pochodu, krzyż podejmuje siedemnastoletni żydowski gimnazjalista Michał Landy. Sam wkrótce pada, cięty pałaszem. Tym razem, żeby uniknąć manifestacji, jego pogrzeb na cmentarzu żydowskim na Okopowej odbywa się nocą, a policja pilnuje, żeby w kondukcji nie pojawił się nikt poza rodziną.

Rosyjski namiestnik wprowadza stan wyjątkowy, ale co z tego, ludzie nadal szumią, burzą się, gotują. Warszawiacy następnego dnia znowu wychodzą na ulice,

tym razem żeby uczcić rocznicę śmierci Tadeusza Kościuszki.

Rosyjska policja aresztuje i wywozi do Cytadeli ponad trzy tysiące manifestantów. Urzędnicy carscy wymyślają kolejne represje, nie pozwalają już gromadzić się w kościołach, chyba że podczas mszy, ale nawet wtedy nie wolno śpiewać Boże, coś Polskę. Na ulicach policja zatrzymuje osoby w czarnych i amarantowych strojach, czerń bowiem kojarzy się z żałobą narodową, a amarant z barwami narodowymi. Chcieli wolności, a tymczasem car ze swoimi sługusami wdziera się im

*nawet do świętych miejsc, nawet do garderoby, już nie ma czym oddychać pod carskim butem, no naprawdę, tak mówią, tak czują.
To się musi zmienić, są tego pewni.*

Michał Józwiak

Jedno mi sen z powiek spędzało: spalona stodoła.

I drugie: nasz dług u dziedzica.

Prawie co wieczór siadałem przy stole, liczyłem ruble i kopiejki, za każdym razem wychodziło inaczej, ale zawsze za mało. Na czynsz starczało, ale na spłatę długu – dużo brakowało.

Babka przyszła, dorzuciła garść drobniaków i po raz kolejny liczyłem od początku.

Matula przyszła, dwa ruble położyła, i znowu.

Nawet dziadek parę groszy dorzucił ze sprzedaży koszyków i łapci. Nie starczało.

Nadal byłem wściekły na Janka, że tak się zapożyczył na kierat i młocarnię, a teraz ani kieratu, ani młocarni, a pieniądze zwrócić trzeba. Co o tym pomyślałem, to waliłem pięścią w dłoń, żeby nie walić w Janka. W takim razie niech przynajmniej ten mój brat cokolwiek na spłatę zarobi. Posłałem go więc z dziadkiem Kostkiem, żeby połowę naszych owiec na jarmarku sprzedali, wiedziałem, że kto jak kto, ale tych dwóch wytarguje za nie najlepszą cenę.

– Ojcowe owce sprzedajesz? – zmartwiła się matula.

Mnie też nie było do śmiechu, ale co miałem robić? Nie odpowiedziałem. Zresztą lepiej przecież było ojcowe owce sprzedać, niż całą ojcowiznę stracić.

Za owce dziadek z Jankiem dostali nie najgorszą cenę, ale na spłatę ciągle brakowało.

Mogliśmy sprzedać kilka kur, ale nie były drogie, bardziej się chyba opłacało na jajka je trzymać. A może pozbyć się jednej z trzech krów? Dwie były nasze, a trzecia babki, ale babka tyle zarabiała na maśle, że nie byłoby to rozsądne. Wieprzki jeszcze nie urosły i nie potłuściły, trzeba im będzie więcej kartofli dawać, na razie nie dostalibyśmy za nie dobrej ceny, a zimą i na przednówku trzeba będzie przecież coś jeść. Wujowie kowalczyki parę groszy pewnie pożyczą, ale nie tyle przecież. Co robić? Co tu robić?!

Zostały już tylko trzy tygodnie do spłaty, kiedy wreszcie zrozumiałem, że innego wyjścia nie mam. Ubrałem się jak na niedzielę, założywszy kapelusz z krajką i buty skórzane z cholewami, i ruszyłem do Izbicy. Nikogo nie pytałem o zdanie, bo i kogo tu pytać? Janek by się tylko mądrzył, a przecież przez niego to wszystko, wuj by z radami przez całe miesiące nie ustawał, a kobiet pytać w ogóle nie miałem zamiaru, bo i po co, one są od domu, nie od gospodarki.

Żyd mieszkał przy rynku, dom miał niezbyt wystawny, okna nieduże, kobietę skromną, na czarno odzianą, suknię żydowską długą, małą czapeczkę na głowie i loki przy uszach. Bogaty był, skoro miał z czego pożyczać, ale nie wydawał za dużo, co nieoczekiwanie mi się spodobało.

– Pożyczę wam, gospodarzu. Wiecie jednak, że będziecie musieli spłacić więcej, niżście wzięli?

– Co?!

– To się nazywa odsetki.

– Ale to jakieś oszustwo przecież.

– No no, panie Polak. A jaki inaczej miałbym w tym interes, żeby pożyczać obcemu?

Zadumałem się.

– Nie wszystko robi się dla interesu.

– Macie rację, nie wszystko. I dlatego ja swoim pomagam. A innym pożyczam, bo na tym zarabiam. Wy, gospodarzu, kiedy uprawiacie zboże, to samo robicie: zasiejecie jedno ziarno, zbierzecie pięć. Jakbyście dostali tyle samo ziarna, ile na siew poszło, toby wam się w ogóle nie opłacało siać, prawda?

Pokiwałem głową, ale nadal węszyłem w tym podstęp.

– No i ja tak samo jak wy, tylko nie żyto uprawiam, lecz pieniądze, zasieję rubla, dostaję rubla i dwadzieścia kopiejek.

Dziwne to było, trudne i wcale mi się nie spodobało. Poza tym, czy nastarczymy, żeby Abramowi zwrócić więcej? Czy też już zawsze będę całymi nocami liczył, ile mi potrzeba na spłatę kolejnego długu?

– Sami do mnie przyszlście, gospodarzu.

Przyszedłem, bo nie widziałem innego wyjścia. Ale milczałem, bo chciałem być czujny na izbickie podstępny.

– Wielu waszych sąsiadów na przednówku do mnie przychodzi po pieniądze – dodał Abram.

– A niby kto?

– Wielu. Ale kto, nie powiem. Bo taką mam zasadę. Tak samo jeśli wy ode mnie coś pożyczycie, to i o was nikomu nie powiem.

Dziwne, ale po tych słowach nabrałem do niego zaufania.

– Tu się podpiszcie. Można krzyżykami. – Podsunął mi jakiś papier.

– Umieć pisać – oburzyłem się.

– Od razu wiedziałem, żeście światli, gospodarzu.

Od tych słów miło mi się zrobiło, choć wiedziałem, że Żyd chce się tylko przymilić.

Wyszedłem stamtąd prawie zadowolony, ściskając pieniądze w garści, tyle ich było, nigdy tylu naraz nie widziałem. Dopiero na rynku zacząłem się z tego wszystkiego zastanawiać, gdzie je schować, i wystraszyłem się, że jeszcze ktoś podpatrzy i mnie ograbi. Rozejrzałem się, mając za plecami ścianę, i faktycznie, szedł za mną mały Żydzia, możliwe nawet, że go widziałem w domu lichwiarza. A więc taki to izbicki podstęp: Abram pożyczka i zaraz z powrotem odbiera, tak się interes z chłopami kręci! Schyliłem się, niby to cholewy poprawić, wepchnąłem rubelki jak najgłębiej do buta, tak szybko nikt mi go nie zdejmie, mnie samemu zajmowało to wiele czasu, i jeszcze musiałem sobie przy tym pomagać drewnianym koziółkiem. Potem, już z wolnymi rękami, wyskoczyłem na Żydzia, który stał obok, ale udawał, że wcale na mnie nie patrzy.

– Złodziej! – wrzasnąłem.

Ludzie poczęli się zatrzymywać, przypatrywać, ale skoro Żydzia nie uciekał, a ja nie goniłem, ruszali dalej.

Chłopak spytał:

– A co wam niby ukradłem?

– Dopiero chcesz ukraść. Powiedz, stary Abram cię przysłał?

– A przysłał.

– A więc się przyznajesz, złodzieju?!

Złapałem go za koszulinę przy gardle. Chudy był, niewysoki. Kiedy go podniosłem do góry, oczy wybałuszył. Głupio mi się wtedy zrobiło i odstawiłem smarkacza na ziemię. Włosy przy uszach

przyglądał, koszulę poprawił i spojrzał na mnie nieustraszony, choć jakbym chciał, to bym go jednym palcem wywrócił do rynsztoka.

– Siłą mi nic nie odbierzesz – wytłumaczyłem, jakby sam jeszcze nie zauważył.

– Ale ja nie chcę nic wam odbierać, gospodarzu. – Pochylił się ku mnie, zaczął mówić ciszej. – Ojciec mnie posłał, żebym was do wyjścia z Izbicy popilnował, żeby nikt tu wam nie zabrał pieniędzy, bo różni tu krążą, a wy, naiwniak ze wsi, możecie łatwo dać się obrobić.

– Ja co?

– No ze wsi jesteście, to naszych izbickich podstępów nie znacie. Poczuję się jeszcze marniej.

– Poradzę sobie.

– Wszyscy tak mówią, ale nie wszyscy sobie radzą. Dajcie Żydowi pomoc. Nigdzie z pieniędzmi nie chodźcie, tylko od razu do domu, a i tam nie chowajcie ani pod siennikiem, ani między ścierkami w skrzyni. No i przede wszystkim nie za świętym obrazem.

– A co ty, Żydzio, masz do świętych obrazów?

– Ja nic, ale złodzieje je lubią. Wszyscy wieśniacy tam pieniądze pchają, złodziej więc wie od razu, gdzie sięgać.

Wszystko wiedział, wszystko, jakby nas w domu odwiedził, a przecież pierwszy raz go na oczy widziałem.

– To gdzie chować?

– Najlepiej tam, gdzie nikt nie znajdzie.

Patrzcie go, jaki mądrała.

– A wy, Żydzi, gdzie chowacie?

Spojrzał na mnie ze sprytnym uśmieszkiem.

– Tam, gdzie wam nie powiem. Idźcie już, bo zwróćcie uwagę na siebie. Ja nie obok was będę szedł, tylko dalej z tyłu. Jakbym szedł obok, zrozumieją, że pożyczycie właśnie pieniądze od mojego ojca.

Na wszystko miał odpowiedź, na wszystko!

Co jakiś czas się oglądałem, młody Żydek drobił kilka kroków za mną. Poprowadził mnie do granic miasta, tam głową skinął na pożegnanie, odwrócił się na pięcie i poszedł sobie. Ruszyłem dalej gościńcem wśród łąk, potem przez las, cały czas z duszą na ramieniu. Co tylko kogoś na gościńcu zoczyłem, wskakiwałem w las. Niby w lesie też niebezpiecznie, zmije są i boginki, ale im akurat pieniądze na nic.

Kiedym wreszcie do domu dotarł, spocony byłem jak od żniwa, a ręce mi się trzęsły jak starcowi. Zaraz też wyjąłem wszystkie pieniądze z za świętego obrazu. Miotłem się po chałupie, zastanawiając się, gdzie je przechować do Świętego Marcina.

– Co się dzieje? – spytała Andzia, duża, coraz większa, jaśniejąca, z dłońmi splecionymi na całkiem już okrągłym brzuchu.

Nie chciałem nic gadać, bo nie były to babskie sprawy, ale dopytywała natrętna jak mucha, więc w końcu powiedziałem jej wszystko. Głową pokiwała, po ręku mnie pogładziła, „dobrze zrobiłeś”, powiedziała, „poradzimy sobie”, dodała. Poszła do komory i wyniosła dwa sporawe garnki. Jeden okręcony szmatką i przewiązany sznurkiem, drugi bez nakrywki. Zdjąłem szmatkę z pierwszego, pod spodem był smalec.

– I co ja mam z tym zrobić?

– Nic, chciałam ci tylko pokazać, że dużo ich tam stoi.

– No i co z tego?

– A to.

I włożyła pieniądze do pustego garnka, przysypała je kaszą, przewiązała szmatką.

– Nawet jeśli złodziej po smalec przyjdzie, to przecież kaszy nie będzie zabierał. Chyba że na przednówku. Ale wtedy już dawno zdążymy wszystko spłacić.

Tak mi ulżyło, że mi ją soczyście w usta pocałował. Zarumieniła się, ale potem i ona mnie ucałowała. Marianka przylazła skądś, za nogę mnie złapała.

– Tata – powiedziała. – Mój tata – i rozchichrała się na całego. Nie byłem babą, nie chciałem więc nazywać tego szczęściem.

Hanka Józwiakowa

Rozkładałam na łące płótna do wybielenia, szare były, a chciałam, żeby były bielsze, takie do kościoła w sam raz. Może i na ślub się Janka przydadzą, przecież dziewczuch tyle wolnych, którąś tam sobie w końcu wybierze i ugada. Stałam tak przy tych płótnach, a tu patrzę – gościńcem Kostek idzie, kij żebraczy na ramieniu niesie, na nim tobołek obwiązany.

– Kij żebraczy wezmę, bo już tutaj wytrzymać nie idzie. Oszczędzicie na jedzeniu, będzie łatwiej dziedzica spłacić – zapowiadał od jakiegoś czasu Kostek i dla przydania wagi temu gadaniu kij sobie strugał i szukał jeża, żeby kij u dołu jego skórką okręcić i mieć broń na psy. Wiedziałam jednak, że Kostek dużo gada, a mało z tego robi. Nie, niemożliwe, żeby nas teraz porzucił.

– A dokąd to, braciszku?

– Spytaj: a dokąd to, kochany Kostku, to ci może powiem.

Zaczerwieniłam się.

- Dokąd idziesz, kochany Kostku?
 - A w świat. Dobrych ludzi o pieniądze i jedzenie prosić. Przynajmniej tak ulżę naszemu Michasiowi. Znowu Zośka mówiła, że za dużo jem.
 - Więcej zarobisz na maśle niż na żebrach.
 - Skoro tak mówisz, to nawet nie wiesz, ile kiedyś na zebraniu potrafiłem zarobić.
 - Wiem. Pamiętam. Dobrze ci wtedy szło.
 - A i teraz dobrze pójdzie.
 - Rodzinę masz przecież.
 - Dla was to robię.
 - Ale... Co ludzie powiedzą?
 - To, co im każesz myśleć, jak zawsze. Na przykład, że miałem sprawy w innych miastach.
 - A jakie sprawy?
 - To się jeszcze zobaczy.
 - Ale, Kostek... My to byśmy woleli, żebyś został.
 - My?
 - Ja bym wolała.
 - Nosi mnie, Hanka, nosi mnie. No i stodoły swojej już nie mam...
 - Ale wrócisz?
 - Spytaj: wrócisz do mnie, kochany Kostku?
- Spytałam.
- Wrócę – obiecał i odszedł.
- Patrzyłam za nim znad tych płócien. Nogą trochę powłóczył, kurz z drogi wzbudzał, ale szedł dzielnie, coraz mniejszy w moich oczach.
- Już teraz strasznie za nim tęskniłam.

– Zaczekaj! – wrzasnęłam.

Nie słyszał, ostatnio słyszał coraz gorzej. Więcej gadał, niż słuchał, więc mało kto zauważył, ale ja wiedziałam.

Ruszyłam za nim szybkim krokiem, aż w końcu zaczęłam biec, dognałam go wreszcie, za ramię złapałam, ale tak się zadyszałam od tego biegania, że nie mogłam słowa wykrztusić. Przytuliłam go więc, zamiast gadać, tuliłam go do siebie mocno i kiedy już mogłam szeptać, wyszeptałam mu do ucha:

– Wróć! Wróć do mnie koniecznie! Jak najszybciej, dobrze?

Poszłam z nim kawałek, póki płótna widziałam, potem musiałam zawrócić, ktoś musi przecież pilnować. Płótno akurat mi się przydało do wycierania łez, szare, białe, nieważne, kiedy tak strasznie płakałam.

A potem podniosłam wzrok i Kostek stał znowu nade mną i oczy mu się czemuś szklily.

– Chciałem tylko popatrzeć, jak za mną płaczesz.

Ależ wściekła na niego byłam! Do końca dnia z nim nie gadałam.

Na szczęście on gadał za trzech, jak zawsze.

Zośka Józwiakowa

Prawie wszystko w rodzinie odmieniło się na trochę lepsze. Aż się zastanawiałam, czy na mszę w podzięce nie dać, ale się na razie wstrzymywałam, bo raz – jeszcze bym zapeszyła, a dwa – zbieraliśmy teraz na czynsz i na dług u dziedzica, no i kiedyś trzeba będzie stodołę przecież odbudować. Andzia jednak wydawała się mimo wszystko mocno weselsza, a w rodzinie trochę jak w kurniku: kiedy jedna gęś się zaniepokoi, zaraz wszystkie krzyczą, a w domu: jedna osoba szczęśliwsza, wszystkim lżej na duszy się robi. Michał

więc okrzepł, Janek nie wracał nad ranem cuchnący gorzałką, Kostek częściej się w domu pokazywał, babka mniej łąziła po polach, szepcząc pod nosem, Marianka się chichrała do wszystkiego i niedługo miało się nam w rodzinie pojawić nowe dziecko.

Jeszcze żeby Janka ożenić.

Najlepiej przed kolejną Środą Popielcową, najtrudniejszym w roku dniu dla starych kawalerów, bo wtedy wszyscy we wsi mogli z nich drwić do woli. Chwymano ich i zaprzęgano do kłoca, który musieli ciągnąć za sobą tak długo, aż się wykupili, a dzieciaki ostatnimi czasy sprytne były, nie zadowalały się byle kopiejką. Janek wiedział o tym i już w zapusty chował się na stryszku nad szopką, ale dzieciory zawsze go jakoś wytropiły i potem musiał swoje odcierpieć. Smarkacze jakby nie pamiętali, że to Janek nieraz im wieczorami czarodziejskie historie ze swojej książki czytał, tylko biegły z kłocem się zabawić, a jego udręczyć.

– Ale ja mam narzeczoną! – kłamał, ale dzieciaki nie wierzyły mu nic a nic i pastwiły się nad nim dalej, jedyny to był bowiem w całej wsi stary kawaler.

A z tą narzeczoną – spać przez to nie mogłam. Widziane to rzeczy, żeby ktoś nie założył rodziny? Przecież trzeba się ożenić, trzeba wyjść za mąż, bo kto ci pomoże w niedoli, jeśli nie rodzina? Kto ci będzie szanował, kto ci w pracy ulży, kto ci da dzieci?

Janek już się przecież nakochał, tyle tych dziewczuch miał, teraz powinien wreszcie włączyć do sprawy rozsądek, bo ożenek to zbyt poważna sprawa, żeby zdać się tylko na porywy serca. Porywy ustana, a młodych musi wtedy łączyć coś więcej. Wzajemny szacunek. Podobne nawyki. Zbliżone usposobienie. Ziemia blisko siebie.

No i co było robić, poszłam w tej sprawie do Lewandowskiego. Przecież gdyby druga Lewandoszczanka u nas w domu się znalazła, dogadałaby się z siostrą. Teraz po starszeństwie Basia u Lewandowskich była do wydania. Chciałam rzecz załatwić jak należy, najpierw z ojcem. Lewandowski jednak wcale nie wydawał się chętny do swatania. Skrzywił się trochę, ręce na piersi splótł, zadumał. Milczał.

– Nie krzywcie się na mnie, sąsiadko. Ja bym na pewno dał zgodę, bo czemu nie, poza tym sąsiedzi z was porządni. Baśka jednak nijakiego zainteresowania w Janku nie ma.

– Nie krzywam na was, sąsiedzie, gdzież tam.

I tak oboje sobie kłamaliśmy.

Potem, kiedy widziałam Lewandowskiego, to nie zagadywałam jak dawniej, tylko ledwie głowę skłaniałam, z tego żalu, z tej złości. A on ledwie się odkłaniał.

Michał Józwiak

Od czasu pożaru zboże trzymaliśmy u Johanna, a siano u Lewandowskiego. Po każde napełnienie końskiego koryta, po każdą wymianę podściółki musiałem więc biegać do sąsiadów, sam już nie wiedziałem, ile czego mam.

Babka starała się sąsiadom wynagrodzić niedogodności, nosiła Lewandowskim i Johannesowi masło i jajka, niby się wzbraniali, ale w końcu brali, i dobrze, bo inaczej miałbym i u nich wielki dług, a tak – miałem trochę mniejszy.

Byłem zmęczony. Dziadek Kostek z braku stodoły przesiadywał teraz ciągle w domu albo na przyzbie, i nie przestawał gadać. Szedł zawsze tam, gdzie byli ludzie, sadowił się obok i zaraz zaczynał

gawędę, którą przerywał tylko, by coś zjeść, a i tak pogadywał między kęsami. Uciekałem więc z domu, nawet z jedzeniem szedłem na podwórze, niby że mam coś do zrobienia. Ale i tam było niełatwo. Nie tylko dlatego, że na podwórzu jeszcze więcej much zlatywało się do misy, ale przede wszystkim dlatego, że w środku naszego obejścia ziała dziura. Starłem się omijać ją wzrokiem. Patrzyłem na lewą część podwórza, gdzie był dom, obórka, potem na prawą, gdzie stały szopa, kurnik. Udawałem, jak mogłem, że tej stodoły w tyle nigdy nie było, że tatulo nigdy jej nie postawił, że nie spłonęła. Ale i tak czarne, najeżone spalonymi belkami zgliszcza odbierały mi siły.

Byłem nie tak dawno u księdza z pytaniem. Chciałem wiedzieć, dlaczego Pan Bóg zesłał na nas ten pożar. Przecież człowiek ze mnie poczciwy, pacierza nie opuszczam ani rano, ani wieczorem, choć spać się chce. Ludziom pomagam, żonę szanuję, zwierzęta też, moja kobyła zawsze w cieniu odpoczywa i często ją prowadzę nad wodę. Na mszy nigdy nie skąpię na tacę, a już na Świętego Floriana zawsze daję godną ofiarę. Słowem: wszystko robię, jak Pan Bóg przykazał. Tymczasem Opatrzność zsyła piorun na moją stodołę. Na nikogo we wsi, tylko właśnie na mnie. I za co chce mnie w ten sposób ukarać?

Pleban wysłuchał wszystkiego, w podbródek się mądrze podrapał, czoło zmarszczył, by popatrzeć na mnie z troską. W końcu powiedział, że jemu co prawda zdaje się godnym parafianinem, ale Pan Bóg widzi więcej niż on. Widać zatem zobaczył we mnie coś takiego, za co postanowił mnie upomnieć.

– Twoja babka wspominała, że z bratem się bijesz. Prawdę chyba mówiła? – dodał.

– Ale to było dawno, proszę księdza. I miałem powód. A Janek potem mocno wygrzeczniał.

– No nie tylko gniewem, ale i jeszcze pychą grzeszysz, synu. Żałuj za grzechy, żałuj, a może będzie ci przebaczone.

– Czy to oznacza, że jak nie pożałuję, znowu nam coś spłonie?

Pleban jednak chyba nie usłyszał, bo ciągnął:

– Dziękujcie Panu Bogu, że dom wasz oszczędził i sąsiadów, dziękuj Panu Bogu za wszystko dobre, a za złe przepraszaaj.

Uderzyłem się w piersi kilka razy, a pleban pokiwał głową. A potem poszedłem do kościoła i klęknąłem w zapachu starego drewna, który zawsze mi się kojarzył ze świętością. Szukałem w sobie grzechu. Kiedy wychodziłem, Świętemu Florianowi żadnej ofiary nie dałem, bo dopuścił u nas do pożaru. Ale Najświętszej Paniencie wrzuciłem aż rubla. Może chociaż ona do Pana Boga się za nami wstawi.

A teraz kręciłem się po podwórzu, pogryzając chleb, cebulę, skrawek słoniny, a Lewandowski popatrywał na mnie od siebie. Pozdrowiliśmy się i tyle, gadać nie było o czym. Powinienem iść do jego stodoły, wziąć siana, żeby naszym kobyłom zadać. Zamiast tego przytrzymałem słoninę zębami, wziąłem kosę i skosiłem trochę zielska sprzed domu, z tego także kobyły się ucieszyły. A potem spojrzałem na pogorzelnisko, pierwszy raz od dawna.

I naraz zakasałem rękawy, poplułem w dłonie i zacząłem uprzątać popalone belki.

Rzuciłem okiem za płot, ale Lewandowski gdzieś zniknął. Pewnie się bał, że go poproszę o pomoc.

Upaprany popiołem, śmierdzący spalenizną znosiłem co większe kłody na stos, może coś się z nich jeszcze nada. Te mniejsze szły na

inną stertę, na opał. Po jakimś czasie napatoczył się Janek.

– Co robisz? – Zaczął rozpalać fajkę, jakby jeszcze mało tu dymem śmierdziało.

– Zgadnij.

– Ma to sens teraz? Na zimę budować?

– A kiedy ma sens?

– Musimy przedtem wszystko dobrze zaplanować.

– To ty planuj, a ja porobię.

– Michał, to trzeba z głową. – I zrobił tę swoją mądrą minę.

– Znowu mnie chcesz rozwścieczyć?!

– No już, już, nie ciskaj się.

Nie chciałem z nim więcej gadać. Smród spalenizny wiercił w nosie jak jego głupie pomysły.

Doszedłem właśnie do najtrudniejszego: tu sieczkarnia, to, co z niej zostało. Tu młocarnia, i z niej trochę osmolonego żelastwa wygrzebałem. Tu kierat, belki popalone, kruszyły się pod dotknięciem, ale żelazna reszta przecież powinna się jeszcze zdać na coś, prawda? Upaprałem się i zgrzałem, więc zdjąłem koszulę, i nosiłem wszystko dalej, pokasłując od chmur popiołu spod moich stóp.

Aż tu nagle zajechał do nas na podwórze wóz wyładowany długąśnymi belkami. Powoził Johannes, z tyłu siedział jego syn, Peter, z Lewandowskim.

– Gdzie zrzucić? – spytali.

– Ale o co chodzi?

– O pomoc sąsiedzką.

– O nic nie prosiłem.

– Michale, wy nigdy nie prosicie.

– Bo i sobie radzę.

– Wiemy. Ale wiemy też, że jakby nam się coś spaliło, pierwsi ruszylibyście z pomocą.

Zamyśliłem się, czy to prawda. Po chwili uznałem, że tak. Tak by zrobił nasz tatulo i ja tak samo bym zrobił. Bo inaczej nie uchodzi.

– Dziękuję wam, sąsiedzi. Dobrzy z was ludzie.

– To gdzie belki zrzucać?

Zaraz wjechał drugi wóz, a z niego zeskoczyli wujowie kowalczykowie.

– Młocarnię będziemy ci odbudowywać, Michale.

– A niby czemu?

– A niby temu, żeśmy rodzina! – krzyknął do mnie Ćwiartas. – Już wygrzebałeś żelastwo z popiołów? Zabierzemy i odremontujemy jak trzeba.

Na razie jednak zaczęli podnosić i przekładać co większe belki, w ich wielkich jak bochny dłoniach wyglądały jak grubsze kije.

– A poza tym wiemy, czemu stodoły nie stawiacie – dorzucił Lewandowski. – Boście długów nazaciągali, Michale, i brak wam na nowy budynek. To i postanowiliśmy, że pomożemy. Moja córka przecież u was mieszka, przy nadziei jest, nie może tak być, żeby biedowała.

Ale wstyd, pomyślałem. Ale wstyd.

– Ale ulga – powiedział wieczorem Janek. – Tylko wiedz, że te sąsiedzkie względy mnie zawdzięczasz, Michał. Tylko mnie.

– To ty ich do pomocy namówiłeś? Naprawdę?

– Ja ich wcale namawiać nie musiałem, inaczej to zrobiłem, bardziej zmyślnie. Bo przecież pamiętasz, jak im młóciłem za darmo całe nasze zboże, gdyśmy jeszcze mieli młocarnię? Pamiętasz, jak

zbudowałem kołowrót przy studni gromadzkiej? A oni to wszystko dobrze zapamiętali i teraz nam dług spłacają. Mnie więc zawdzięczasz to drewno, braciszku, i mnie dziękuj, że pomogą odbudować stodołę. Widzisz? Warto ludziom pomagać!

Głową pokiwał jak dziadek Kostek i strojąc mądre miny, począł rozpalać fajeczkę.

Babka wyszła z obórki i popatrywała na nas z niepokojem. Wiedziałem dlaczego. Ale nie miałem zamiaru go bić ani nawet na niego krzyczeć. Głową pokiwałem, po plecach brata klepnałem, niech myśli, że jest najzmyślniejszy na świecie. Niech myśli, że jest ważny. Bo co mi szkodzi?

Potem zostawiłem go w kuchni z tą jego ważnością. A sam poszedłem do naszej izby, gdzie żona na mnie czekała, skąd słyszałem chichranie córki. Tam się właśnie schowałem przed Jankową mądrością i minami i stamtąd z Andzią patrzyliśmy przez okno na stosy drewnianej sąsiedzkiej pomocy, i robiło nam się od niej ciepłej na duchu.

Część dziewiąta. Rok 1865, czas niepokoju

Rok wcześniej car jednak wydał ukaz, w którym uwłaszczył chłopów również na terenie Królestwa Polskiego. Teraz wszyscy chłopci powtarzają z nabożną wdzięcznością imię cara Aleksandra Drugiego, bo właśnie dzięki niemu każdy chłop będzie teraz harować na swoim i na siebie, a nie na cudzym i na pana. Ileż się na to naczekali, ileż się nabuntowali, ilu za te nadzieje oberwało, ilu ucierpiało! Teraz chłopci się cieszą, że wreszcie dostali użytkowaną ziemię na własność, że mogą się do ziemi przywiązywać, nie bojąc się co noc, że pański kaprys grunt im odbierze albo ich gdzieś przesiedli.

W okolicach Izbicy Kujawskiej wrze jak wszędzie, gdzie car popisał się łaską. Nie łaską się popisał, lecz przekupstwem, tak wolą mówić panowie. Przekupił nam chłopów tą wolnością. Podbuntował ich przeciw nam. Zapłacił im ziemią za to, żeby nie dołączyli do powstania. Tak właśnie mówią panowie: ciemni chłopci nie rozumieją, że Polska, że ojczyzna, że wolność, że niepodległość, tylko za swoim zyskiem patrzą, żołądkiem myślą. Ale czego od ciemnoty wymagać, tak mówią. A potem panowie dają łapówki, wydają bale dla carskich wielmożów, kupczą córkami, wydając je za wpływowych urzędników, żeby uniknąć podziału ziemi. I w większości się udaje – w chłopskie ręce trafia ledwie osiem procent gruntów. Co za ulga.

Andzia Józwiakowa

Trójka ich już była, i czwarte w drodze. Chwilami nawet nie pamiętałam, jak to jest nie być w ciąży, bo coraz to z mniejszym lub

większym brzuchem chodziłam, jedno jeszcze u cyca wisało, a już drugie się w brzucho zagnieżdżało, zupełnie jak u mojej matuli. Nasze jednak nie umierały. Boże, po co ja to powiedziałam, oby nie w złą godzinę, i splunęłam trzy razy przez lewe ramię, żeby uroku na naszych synków, na naszą córeczkę nie rzucić.

Dzieciaki po domu biegały, po podwórzu, teściowa niezbyt dawała radę je przypilnować, a babka to już nie potrafiła przypilnować nawet samej siebie. Czasem nie umiałam się powstrzymać i klapsa jednemu z drugim dzieciakowi wlepiłam, kiedy za głośne były, gdy nad miarę biegały, gdy wrzucały jakieś śmieci bratu do kolebki. Kiedy nadal nie słuchały, brałam do ręki rzemień, bo ktoś te dzieci musiał karcić, żeby wyrosły na ludzi.

I rosły nam pięknie.

Już się nie bałam zachodzić do mojego rodzinnego obejścia. Pozmieniało tam się zresztą mnóstwo. Matula trochę mniej się garbiła, siostry wydawały mi się nieco mniej zalęknione, odkąd mojego starego ojca choroba przykuła do łóżka. Jakiś rok temu nagle go trafiło, padł, gdzie stał, i już się nie podniósł. Zachorował akurat w ten radosny czas, gdy wszyscy w karczmie, w kościele zaczęli gadać, że panowie wreszcie i u nas pańszczyznę na polecenie cara znieśli, i szybko się okazało, że to prawda, choć trudno było w to uwierzyć. Wszyscy pod kapliczką śmiali się, krzyczeli, śpiewali, a mój ojciec to czerwieniał, to bladł, aż padł w końcu na ziemię bez czucia. Michał pomógł nam wtedy ojca do domu zanieść, siostry z matulą czuwały przy nim na zmianę.

Nie umarł, ale z łóżka już się nie podniósł.

Zachodziłam tam czasem, niby matuli i siostrom przy ojcu pomóc, ale i trochę popatrzeć, jaki leży bezradny. Patrzyłam, jak pożółkł,

nie tylko na gębie, jak kaszle krwią. Pod pierzyną widać było zarys chudych nóg, na pierzynie leżały jego chude ręce. Drżały, kiedy próbował je unieść.

A że łązić nie mógł, robić nie mógł, to gadał. A właściwie wyrzekał i wykrzykiwał.

– Oj, te nowe wymysły! Że wolność niby macie! I z czego się cieszyacie?! Że pańszczyznę znieśli? Myślicie, że to na długo?! Bzdura! Panowie muszą być i chłopcy muszą być. Tak było, jest i będzie. Jesteś chłopem, musisz być pokorny, wtedy coś tam zarobisz i łaski zaznasz. Tak jest i w wojsku, oficerzy są i żołnierze, oficerzy rozkazują, żołnierze słuchają, nie ma inaczej. Tak powinno być i we wsi. Co byłoby bez pana? Cham by ci rozkazywał! A przecież sameś chamem i nic mądrego by z tego nie było. Bóg już tak stworzył i tak musi być. To przedwieczny porządek. Nie wolno go psuć.

Tak ojciec marudził z wyrka, rękami machał, jeśli dał radę, zębów już miał niedużo, więc nie całkiem wyraźnie, ale całkiem głośno wykrzykiwał swoje: „Cham by ci rozkazywał, a sameś chamem”, a potem dalej złorzeczył na nowe porządki, które ustalił jaśnie car Aleksander na wsiach, a panowie niechętnie się im poddali.

Wydawało się, że przy tym wszystkim ojciec z braku sił z bicia moich sióstr zrezygnuje, ale gdzież tam. Rzemień kazał zdjąć z kołka na ścianie i ułożył go obok siebie, więc strach było podejść. Dlatego na przykład wszystkie bałyśmy się go ogolić, nawet matula się z brzytwą nie zbliżała z obawy przed rzemieniem, ojciec leżał więc jak dziad podkościelny, coraz bardziej na polikach rosochaty. Jeść mu trzeba było do gęby dawać, ale karmić go też się bałyśmy, siadałyśmy jak najdalej, większość zupy na koszulę mu więc trafiała,

nie do ust. Za stodołę sam się próbował zwlec, ale wtedy lepiej go było podtrzymać, a jak miał gorszy dzień, to robił złośliwie pod siebie.

Skoro nie miał tyle siły, żeby się rzemieniem porządnie zamachnąć, kazał sobie też kija przynieść i teraz, jak mu się coś nie podobało, bódł nim nas gdzie popadło. Wszystkie nas, naprawdę, bo nie tylko moje siostry chciał dosięgnąć, choć go w tej biedzie cierpliwie pielęgnowały, ale i na matulę się zamierzał. Na mnie także, mężatkę już szanowaną, nie bacząc na mój błogosławiony stan.

– Matulu, dlaczego cierpisz to wszystko tak pokornie?

– To mój mąż. Ślubowałam mu.

– Ale co? Że będziesz bicie znosić? Kiedyś bił tylko nas, a teraz i na ciebie rękę podnosi?

– A gdzie on tam rękę podniesie, chory taki...

Matula nad kuchnią się pochyliła.

– Co mi tu żonę buntujesz, babo przekłeta?! – wrzasnął ojciec.

Zaraz też sięgnął po kij, z trudem go w niezdarną garść chwycił i usiłował ku mnie wyciągnąć.

Przystąpiłam ku niemu. Łóżko z ojcem brzydko pachniało, nie byłam pewna, może znowu się pod siebie zsikał. Wbrew przykazaniu „Czcij ojca swego i matkę swoją”, teraz go w ogóle nie czciłam.

– Nie męczcie się, ojcze, bo jeszcze wam zaszkodzi.

Zacisnął na ladze palce, aż zbieleły, stęknął, gdy próbował ją na mnie podnieść. Nie zwracałam na to uwagi.

– Uprzątnę tu trochę.

Złapałam za drugi koniec kija, teraz już dzierżyliśmy go oboje. Ojciec coś próbował powiedzieć, ale nie czekałam. Szarpnęłam i wyciągnęłam mu kij go z dłoni. Teraz ja nad nim stałam z lagą w ręku.

Skulił się.

Złamałam kij na kolanie, zniosłam do pieca. Rzemień odwiesiłam na kołek, gdzie go za żadne skarby z łóżka nie dosięgnie.

Zacharczał, rękami zamachał, czerwony na twarzy teraz bardziej niż żółty.

Bardzo się cieszyłam, że mogę wreszcie stąd wyjść.

Michał Józwiak

Już prawie nie myślałem, jakie dzieci miałbym z Dorotką. Już prawie o niej samej nie myślałem, już właściwie o niej nie śniłem, wspomnienie o niej wracało tylko, gdyśmy jechali gościńcem do kościoła na Pustyni i mijaliśmy miejsce, gdzie kobyła poniosła, a Dorotka straciła życie. Tam smutniałem, kiedyś wpatrywałem się w to miejsce, bacznie, jakbym chciał jej ducha ujrzeć, teraz odwracałem głowę, a Andzia chwyciła mnie wtedy za rękę. Może kiedyś nastąpi chwila, gdy w ogóle o Dorotce w tamtym miejscu nie pomyślę, ale to jeszcze nie było teraz.

Ale poza tym o Dorotce nie myślałem, nie było czasu, tak bardzo pobłogosławiła nas Opatrzność. Mój dziad, Antoni, miał jednego syna, mój ojciec dwóch, u nas już czwarte było w drodze. Andzia mówiła, że znowu syn będzie, a nie dziewczynka. Kiedy na nich patrzyłem, wszystkich żywych, zdrowych, rumianych, serce się we

mnie radowało. Potem przenosiłem wzrok na moją Andzię i radowało się jeszcze bardziej.

W chałupie głośno było, nasza Marianka chichrała się ze wszystkiego, do niej dołączali synkowie, tyle radości nam w chałupie przybyło. Czasem z wieczora siadałem na przyzbie, za plecami pełen dom, po lewicy pełna obora i owczarnia, dalej stodoła, którą sąsiedzi pomagali nam odbudować, do dziś widziałem, kto które deski przybijał. Lewandowski walił młotem jak wściekły, jego gwoździe miały więc zapiekłe drewniane doliny dookoła. Wujowie uderzali mocno i wbijali głęboko, najgłębiej, ale bez uszkodzenia drewna. Marian wbijał gwoździe krzywo i trzeba było po nim poprawiać, jego syn bił młotkiem za lekko, więc wieszałem na tych wystających łebkach powrozy i postronki. A już nasz olenderski sąsiad, Johannes, w ogóle gwoździ nie używał, tylko wwierał śruby. Co patrzyłem na stodołę, serce we mnie rosło, że otaczają mnie dobrzy ludzie. Dlatego często na nią spoglądałem.

A potem wracałem do domu, gdzie czekała na mnie Andzia, zarumieniona od pieca, pachnąca mlekiem i chlebem.

Wszystko lubiłem w mojej żonie, wszystko, poza jednym. Co z tego, że nawet i sam nasz pleban często powtarzał „rózeczka Duch Święty dziateczki bić radzi, różeczka bynajmniej zdrowiu nie zawadzi”, a wiadomo, że jak Duch Święty radzi, to należy go posłuchać, bo prawie on tak samo ważny, jak ważni są Pan Bóg i Pan Jezus. Ja jednak nie mogłem znieść, gdy Andzia rzemieniem, ścierką czy sznurkiem robiła czerwone pręgi na chudym ciałku Marianki, gdy ta okazała się pyskata lub nieposłuszna. Wzdragałem się za każdym razem, gdy rzemień spadał na chudy tyłek, chude plecki mojej córki, jak niegdyś wzdragałem się na uderzenia

dobiegające w soboty od Lewandowskich. Gdy Marianka po biciu płakała i obiecywała poprawę, Andzia powtarzała:

– Pamiętaj, koniecznie to zapamiętaj. Za lenistwo, za niepocziwość zawsze przyjdzie kara. Jak nie od matki, ojca, to od losu.

Synkowie też czasem od niej obrywali, rzadziej, bo mniejsi, mniej jeszcze pojmują, mawiała Andzia, i ich czas na karcenie nadejdzie.

– Ty to powinieneś robić – mówił dziadek Kostek. – Ty, nie matka. To ojca zadanie.

– Jak będzie trzeba, to wkroczę – odpowiadałem dziadkowi, ale wiedziałem, że to nieprawda. Nigdy nie zabiłem kury, i dziecka nigdy nie uderzyłem, nie wyobrażałem sobie, że walę w te chude plecki, te chude tyłki, na samą myśl było mi nieswojo.

Przywykłem do tego, że kiedy z obejścia wchodziłem do domu, ogarnia mnie zapach dziecięcych siuszków. Nad kuchnią zawsze schły pieluszki, ostatnimi laty ciągle któreś w pieluchy robiło. Trochę mi nos wykręcało, a trochę myślałem, że tak właśnie pachnie rodzina. Wraz ze mną do kuchni wchodziły zapach gospodarstwa i zapach zjełczanej słoniny. Po każdym świniobicu w kuchni pojawiał się świński ogonek z kawałkiem wrośniętego weń tłuszczu. Przed wyjściem na dwór nacierałem nim buty z cholewami, żeby nie przemakały. Ludzie mawiali zresztą, że poznać pana po cholewach, a ja zawsze miałem je błyszczące.

Teraz wszedłem do kuchni, ale obok zwykłych zapachów w powietrzu śmierdziało coś jeszcze. Trochę jak spalona obora, uchowaj Boże! A może raczej jak spalona krowia skóra.

– Andzia, co tak cuchnie?

– Nic takiego – spieszyła się.

Spojrzałem na ścianę, gdzie obok pieca zawsze wisiał rzemień, którym karciała dzieci. Rzemienia nie było. Rozejrzałem się, nigdzie go nie widziałem. Zajrzałem do pieca, pogrzebałem pogrzebaczem.

– Spaliłaś rzemień?

Zaczerwieniła się jak ten maczek w życie. Spuściła głowę. Potem spojrzała na mnie, wzruszyła ramionami.

– Zawsze mogę dać im klapsa, prawda?

Trochę mi ulżyło.

A moja żona stała taka bezradna, że ją przytuliłem.

Którejś niedzieli znowu doczekaliśmy się w Sokołowie konnej wizyty jaśnie panów z różnych majątków. Tym razem jednak nie wjeżdżali dalej w wieś. Konie wstrzymali zaraz pod kapliczką, tą nową, którą we wsi nazwaliśmy pomnikiem wolności. Nasza dziedziczka z mężem też przyjechali, więc nie niepokoiłiśmy się jakoś szczególnie. Ludzie jednak zaraz zaczęli się schodzić, jak zawsze, gdy coś się we wsi działo. Najpierw dzieci, potem wszystkie chłopcy, a na koniec i kobiety rzuciły szykowanie obiadów i przyszły popatrzeć.

Konnych było kilkunastu, panie i panowie, strojnie poubierani. Objeżdżali nasz pomnik wolności dookoła, dziwowali się mu mocno. I słusznie, bo piękny był i duży. Przedstawiał chłopca klęczącego przed Matką Boską. Chłop wspierał się o krzyż i patrzył w górę, w niebo, na Maryję, a może nawet na samego cara, który podobno także siedzi na wysokości. Babka Hanka przysięgała, że w twarzy chłopca rozpoznaje twarz swojego męża, dawno zmarłego Antoniego, ale inna starowina z Naczachowa twierdziła, że ona tam swojego Bolka widzi, tak to udatnie snycerz wyrzeźbił. Nasz dziedzic palec podniósł dla uwagi i przemówił:

– Obiecałem wam, że pokażę wam coś, co was na pewno zadziwi
– rzekł. – No i, uprzedzam, pewnie również nieco zasmuci.

Po czym pochylił się lekko i przeczytał napis, któryśmy tam kazali wyryć nie tak dawno temu na pomniku wolności, na krzyżu, obok chłopa.

– Bogu cześć, chwała y dzięki. Pamiątka uwolnienia nas od pańszczyzny. Ten krzyż postawiła gromada na pamiątkę dania nam wolności za cara Aleksandra II. Dzień 15 kwietnia roku 1864. Wolność y swoboda.

Dziedzic skończył czytać i zamilkł z tym wzniesionym palcem, panowie też się nie odzywali, w napis się gapili jak sroki w gnat. I dobrze, niech dobrze zapamiętają wszystko, cośmy tam wyryć kazali.

Bo my, gromada z Sokołowa, postawiliśmy pomnik wolności prawie od razu po tym, jak pod kościołem odczytano nam akt carski, że pańszczyzna zostaje zniesiona. Pomnik miał być po wsze czasy żywym dowodem na to, że pańszczyzny już nie ma. Gdyby dziedziczka czy rządca chcieli ją jednak przywrócić, pomnik krzyżem zwieńczony miał im pokazywać, że nie mają do tego prawa.

– Niebyszałe, droga Mario! – odezwał się w końcu do naszej dziedziczki jeden z panów. – Niebyszałe!

– Zatkano, co? – zamamlala nasza babka.

– W takim razie ja bym zapytał – powiedział drugi z jaśnie panów – jak tam u twoich czynszowników z patriotyzmem? Tak jak widać, czy też mają poza tym jakąś świadomość patriotyczną?

– A to ja wam zaraz pokażę. Powiedzcie, gospodarzu – nasz dziedzic zwrócił się do mnie – jakeście przeżyli ostatnie powstanie?

– Powstanie? Jakie powstanie? – zdziwiłem się.

– Widzicie, kochani? – Pokiwał głową dziedzic. Po chwili znowu spojrzał na mnie. – To, gospodarzu, które się ledwie skończyło. Zaczynają nazywać je styczniowym, bo wybuchło w styczniu zeszłego roku.

A co miałem myśleć o powstaniu? Pański pomysł dla panów. Co mieli do tego chłopci? Nic. Wiedzieliśmy, że gdybyśmy poszli w bój, moglibyśmy stracić wszystko. Życie. Zresztą pod nieobecność gospodarza pada gospodarka. Co mogliśmy zyskać, idąc walczyć? Wyłącznie rany.

– Jak przeżyliśmy? A normalnie, słyszeliśmy, że w sąsiednich gminach toczą się jakieś walki. Wiemy, że ginęli ludzie z obu stron.
– Z szacunku dla zmarłych zdjąłem czapkę. – Wieczne im odpoczywanie.

– Wszystkim wieczne odpoczywanie? Rosjanom także?

– Wszystkim. Wszyscy to stworzenia Boże i dusze mają przecież nieśmiertelne.

– Widzicie? Świadomość patriotyczna na wsi nie istnieje – westchnął nasz dziedzic, aż mu wąs obfity nad ustami zafruwał.

Od tego widoku moja córka znowu zachichotała.

– Smutne, bardzo smutne to wszystko – westchnęła nasza dziedziczka. – Dlatego takie ważne są wiejskie szkoły.

– Cóż chcecie, kochani – rzekł najgrubszy z panów. – No ale trzeba przyznać, Mario, że ta wasza szkółka chyba niewiele tu patriotyzmu wniosła, prawda?

Zośka Józwiakowa

Panowie ruszyli do dworu, choć przecież nie wszyscy, bo na przykład jedna pani karmelki z wysokości siodła rzucała i zaśmiewała się, jak dzieciaki sokołowskie sprawnie je łapiają z powietrza, jak rybka przynętę, a inne znowu skrzętnie wygrzebują je z kurzu, jak zasmarkane kurczęta, nasza Marianka także, więc ją zaraz do siebie przywołałam. Tym prędzej, że właśnie dwóch młodszych panów zaczęło się ścigać konno po naszej drodze, od pomnika wolności do krzyża morowego i z powrotem, nic a nic się nie bojąc, że któregoś dzieciaka końskim kopytem zaczepią. Na szczęście dzieciaki mądrzejsze były od nich i zaraz skoczyły w łopiany z boku drogi. Inny znowu panek wypatrzył najmłodszą Lewandoszczankę, Agatkę, która, oparta o płot, przypatrywała się zamieszaniu. Mocno jej w rozcięcie koszuli zaglądając, paniczek opowiadał, że świetnie by się na pokojówkę we dworze nadała i że on z naszą dziedziczką wszystko załatwi, dlatego mała może z nim jechać do dworu choćby zaraz. Stara Lewandowska patrzyła na to z przerażeniem i zadziwieniem jednocześnie, to krok ku nim dawała, żeby córki bronić, to się cofała, ze strachu przed jaśnie panem. Podeszłam do Agatki szybkim krokiem, głowę skłoniłam przed paniem, choć młodszy był pewnie od każdego z moich synów.

– Witajcie, jaśnie panie! Jak dobrze, żeście uwagą naszą dziewczyninę zaszczylicili, to wielki honor dla nas! Tylko że ona już narzeczona, więc pracy przy dworze nie szuka.

– Ja narzeczona? – zdziwiła się dziewczuszka.

– A narzeczona. Przyrzeczona, jaśnie panie – podjęła Lewandowska, bo już zrozumiała, co próbuję zrobić.

– A swaty kiedy u nas były? – dziwiła się nadal Agatka, ani w połowie tak bystra jak jej starsze siostry.

– Ja bym ci, mała, swaty przysłał – zagadywał paniczek. – Ja bym ci świat pokazał. Chcesz się ze mną przejechać? Nie widziałaś jeszcze takiego pięknego araba, prawda?

– Araba? A ja myślałam, że to koń!

Naiwna Agatka już za furtkę chciała wychodzić, już na siodło z paniczkiem wsiadać. Lewandowska patrzyła na mnie przerażona, żebym coś zrobiła, zaraz, koniecznie, bo jak paniczek dziewczuszkę zniewoli, to nawet zwyczajowej krowy i paru rubli za popsucie młódki nie będzie gdzie szukać, bo nie mieliśmy przecież pojęcia, skąd ten panek tu zjechał.

Na szczęście podszedł do nas Janek, który pewnie z daleka zrozumiał, o co chodzi, potem się jeszcze rozejrzał i już wiedział, co robić. Zaraz do naszego nowego dziedzica podbiegł, bo jemu akurat nigdy nie brakowało śmiałości do jaśnie urodzonych.

– Jaśnie panie dziedzicu, za dużo ludzi u siebie w majątku macie?

– A kto wam to powiedział, gospodarzu?!

– Bo tu jeden z panów chce wam młodą dziewczynę podebrać. Już ją prawie ugadał.

Dziedzic się rozejrzał i szybko zobaczył, jak paniczek, Agatkę w pasie chwyciwszy, na siodło ją już niemalże usadził.

– Ej, Edwardzie! Co tam z moją chłopką robisz?

– Świat jej chciałem pokazać, mówi, że chętnie popatrzy.

– Proponuję, byś go dziewczuchom w swoim majątku pokazywał, tym moim chłopkom, jeśli pozwolisz, sam co trzeba zademonstruję.

Panicz Edward pomyślał chwilę, wreszcie jednak ręce podniósł, żeby Agatkę Lewandoszczankę z siodła zdjąć. Trzymał ją potem jednak długo i po kształtach jej wodził, po piersiach, aż zmartwiała, speszona.

– Zostaw to dziecko! – krzyknął nasz dziedzic. – Na śniadanie proszę przecież, do dworu zapraszam!

Wreszcie panicz zarumienioną Agatkę na gościniec odstawił i odjechał. Jeszcze z daleka oglądał się na nią i machając, krzyczał, że do niej wróci.

– Jak ci pozwolę! – roześmiał się nasz dziedzic.

Agatka stała zadziwiona, że tyle zamieszania w życie panów wprowadziła.

I tak się wreszcie skończyła wizyta panów w naszym Sokołowie.

A my na odtrutkę poszliśmy wszyscy pod pomnik wolności. Babka coś mamrotała, zaraz zapaliła świeczkę i ustawiła ją u stóp pomnika. Janek stanął przy Agatce Lewandowskiej i teraz on z kolei ją słowem czarował. Uśmiechała się oszołomiona, koszulinę poprawiała, a myśmy z Lewandowską uznały, że lepiej szybko ją za mąż wydać, zanim się wydarzy nieszczęście.

Janek Józwiak

W domu pytali, czy się do Agatki odezwę, czy ją sobie ugadam, czy będę chciał w konkury do niej chodzić, znowu nadziei nabrali, że się będę żenić.

Dziewuchy? Wiadomo, tęskniłem, żeby mnie któraś do piersi przytuliła, żeby pożałowała. Biedny Janek, dzielny Janek – tak mogłaby do mnie mówić, tego bym chciał. Przez chwilę więc nawet chciałem sobie z tą dziewczuszką od Lewandowskich pożartować, podobało mi się, kiedy chichotała na moje słowa, kiedy się rumieniła, warkocz skubała, przypomniały mi się dawne czasy, kiedy co wieczór czarowałem jakąś dziewczuchę. Ale potem wpatrzyłem się w tę jej buźkę, dziecięcą jeszcze prawie i jakiś cień

jej siostry Władki ujrzałem, przy oczach może, w głosie może odrobinę, a wtedy cała ochota mnie odeszła.

Bo ja ciągle czekałem na wieść o Władce.

I okazało się, że wieść o Władce wreszcie przyszła.

Akurat polegiwałem w stodole, starając się nie rzucać nikomu w oczy, póki mi ból głowy nie przejdzie. Babka kręciła się po obejściu, dziadek poszedł po wiklinę do tych swoich koszyków, Michał z żoną jak zwykle gdzieś w polu przepadli, miałem więc chwilę, żeby dojść do siebie. Kiedy jednak usłyszałem stukot kopyt na drodze, zaraz przez szparę w wierzejach wyjrzałem na dwór. Przed naszym płotem konia wstrzymywał parobek z folwarku, ten sam parobek, który dwa razy w tygodniu pocztę dla dworu odbierał z dylizansu. Teraz jednak szkapina skubała nasz płot, a parobek pokrzykiwał, że przywiózł list do Józwiaków, z dylizansu, pierwszy taki list do chłopca w okolicy! Parobek zwał się Staszek, wiedziałem, bo nieraz z nim piłem, gdy czekając na pocztę, pokrzepiał się w karczmie piwem.

Zaraz do niego wyskoczyłem, bo tak już miałem, że do nowinek byłem pierwszy.

– O, jednak jesteś w domu – zdziwiła się na mój widok matula. – Może i lepiej, bo dziwne to wszystko. List? A niby skąd i od kogo? Strach trochę. Ale pewnie się parobek pomylił, bo jak inaczej?

– Oj, matulu, list przyszedł, nic takiego. Dawajcie no, Staszku, ten papierek!

– Hola, hola, a pieniądze? – krzyknął Staszek z konia.

Matula wzięła się pod boki.

– Pieniądze? A jakie znowu pieniądze?!

– A normalne, carskie.

– Niby za co?!

– A choćby za to, że nie musiałem wam tu wcale tego listu przywozić.

– Nie musiałeś, ale chciałeś. Boś ciekaw, kto do nas napisał – odezwałem się.

– A nawet jeśli, to porządnie drogi nadłożyłem. Zapłata się należy.

– Sera wam dam – powiedziała matula. – Kopiejkami się przecież nie najecie.

– Ale już rubelkiem bym się najadł!

– Sera z miodem dostaniecie. I dawajcie ten cały list!

Staszek zdążył już wciągnąć ser i porządnie się miodem ochlapać, a matula ciągle trzymała list w wyciągniętej ręce i patrzyła nań jak Adam na węża w rajskim ogrodzie.

– Złe to wieści czy dobre?

Wyjąłem jej w końcu list z ręki. Przyszarzały był, plamę miał na sobie nawet jakąś, został owinięty dziwnie poskładaną kartką i sklejonny jakąś pieczęcią. Dawno już niczego nie czytałem, więc nie byłem pewien, czy jeszcze będę umiał. Ale zacząłem wodzić palcem po brudnym papierze na wierzchu, szepcząc literka po literce, i w końcu litery na liście złożyły się w całość. Napisane tam było:

Majątek Izbica Kujawska. Wieś Sokołowo. Józwiakowie.

A więc jednak ktoś ten list wysłał do nas.

– Otwieraj! – krzyknął Staszek ze swojej szkapiny.

– Poczekaj z otwieraniem, aż Michał wróci z pola – poleciła matula.

– A niby dlaczego? To ja jestem starszy.

– To chociaż niech Kostek się pokaże.

– A na co tu czekać?! Czytajcie! – pokrzykiwał Staszek.

Już coś czułem, mrowiło mnie w palcach, kiedym ten papier obracał. Podrapałem pieczęć paznokciem. Nie odchodziła.

– Złamać może? – doradził Staszek.

Nie chciała się jednak złamać. Niecierpliwość we mnie narastała, rozejrzałem się, z pniaczka wziąłem siekiere, położyłem list na pieńku i huknąłem weń obuchem. Pieczęć rozsypała się w drobny mak.

– Popsujesz! – zagniewała się matula.

Jeszcze się wstrzymywałem, Staszek jednak z konia patrzył, nie mogłem okazać się tchórzem. Rozłożyłem papier. Cały zapisany, dużo, dużo liter w kolorze wieczornego nieba, tyle ich było, żem się onieśmielił. Ale zaraz zobaczyłem, że na samym górze strony widać znaki, com je często na gościńcu kiedyś patykiem pisał: Władka.

– To Władka pisze! Władka z Dzikich Pól!

– Władka? – zdziwiła się babka.

– Z jakich pól? – zdziwił się Staszek.

Składałem literka po literce, a szło mi strasznie powoli. Z chęci, żeby to zrobić jak najszybciej, aż mi się w oczach ćmiło, głowa bolała, ale czytałem, czytałem uparcie, literka po literce.

– *Władka Lewan... Lewando... szczanka daje znać, że zdrowa jest i cała. Po wielu przygodach tu i tam do Bra... Brazylii dojechała po dwóch tygodniach podróży statkiem przez morze. Ciepło jest tutaj i pięknie, choć sucho, ludzi dużo cza... czarnych, a i pracę dobrą znalazła. Do domu nie wrócę, bo daleko, a i dobrze mi tutaj. Pozdrówcie moich i powiedzcie, żeby tatulo sióstr moich nie bijał.*

I tyle.

Brazylia?

Statek? Morze?

Czarni ludzie? Tacy, o których jej kiedyś opowiadałem, pewien, że to bajki, w sam raz do czarowania dziewczuch dobre?

– Czytaj jeszcze raz – upierała się babka.

– Władka? To ta dziewczucha, co dawno temu Ćwiartasowi z łóżka uciekła? – upewniał się Staszek.

– A wy czego z naszej rodziny kpicie? – Babka podeszła groźnie do parobka, aż konia cofnął, i dobrze, bo szkapina już nieźle chrust z płota wyskubała.

Wpatrywałem się w list, ale im dłużej to robiłem, tym bardziej byłem pewien, że żadnego „Miłuję cię, Janku. Przyjedź do mnie” tam nie ma. Władka napisała nie do mnie, lecz do nas, do Józwiaków. Dlaczego? Nic z tego nie rozumiałem. Zastanawiałem się tylko, czy mi starczy tych pieniędzy, którym uskładał, na podróż do Brazylii. Statkiem przez morze!

Ale na razie wybiorę się do Lewandowskich przekazać dobre wieści, zadowolony, że wszyscy będą mnie słuchać i się dziwować. Tylko jeszcze włosy grzebykiem przygładzę, i list złożę z powrotem, żeby dopiero przy nich go rozłożyć i przedłużyć wspaniałą chwilę oczekiwania.

Michał Józwiak

Kraina za morzem, do której trafiła Władka, nazywała się Brazylia, pięknie, jak wszystko, co obce i nieznane. „Brazylia”, powtarzałem. „Brazylia”, szeptałem. Jakie piękne było to słowo, zupełnie jakby nieznany ptak śpiewał. Ciekawe, czy tam ptaki mają za tym morzem, pewnie mają, czarne, jak i ludzi. I Władka jedna biała, pszeniczna, nasza. Co tam robi? Jak teraz wygląda?

Andzia dumna była z siostry, że w dzikich krajach sobie poradziła.

– Ona zawsze chciała wyjechać tam, gdzie nie zmuszają dziewczuch do zameścia. I udało się jej, popatrz Michał, dała radę! Moja siostra poradziła sobie! Bez męża, bez tatula! Sama jedna dziewczucha!

Teraz to już baba raczej, nie dziewczucha, pomyślałem.

A kto miał to zrobić, jeśli nie Władka, silne dziewczuszko, które zawsze wiedziało, czego chce, a czego nie chce. Ćwiartasa i mojego brata odrzuciła, a potem sama ruszyła w świat tam, gdzie Lewandowski swoim rzemieniem nie sięgał, gdzie od Ćwiartasa była bezpieczna, gdzie robiła, co chciała, i panom się nie musiała kłaniać.

Lewandowska co i rusz do nas przybiegała, żebyśmy ja lub Janek czytali jej ten list, już go prawie na pamięć umiała, ale nigdy nie było jej dość.

– Czytajcie Władkę, czytajcie. Patrzcie, jak nauczyła się pisać w dalekich krajach. Zuch dziewczuszka!

– Albo i ktoś jej list napisał – poddałem myśl. – U nas też można zapłacić, żeby ktoś napisał pismo.

– Ale że miała czym zapłacić! Że miała pieniądze! Zuch dziewczuszka!

Aż wreszcie, z którąś wizytą Lewandowskiej, naszło na mnie nagłe zrozumienie, dlaczego Władka list akurat do nas, nie do swoich pchnęła. Bo nie chodziło o Janka. To znaczy chodziło, ale nie do końca. Chodziło o nas obu, bo tylko my dwaj z sąsiedztwa umieliśmy czytać po naszymu, to i do nas Władka list wysłała, ale tak naprawdę pisała przecież do swoich, znaczy do Lewandowskich. Zaraz podzieliłem się tym odkryciem z Andzią, a potem z matulą.

– Chyba masz rację, Michaś – przyznała matula. – Ale nie mów tego Jankowi. Niech chociaż z tego będzie dumny, że dostał list z dalekiego świata. Z Bra... Brazylii. Niech się tym cieszy.

Kiedy matulka zaczęła żałować Janka? Kiedy zaczęła go chronić? Dawnymi czasy to mnie ten jej żal otulał, pamiętałem to ciągle, pamiętałem też słodycz i gorycz od tego w ustach. Teraz na Janka kolej przyszła, może powinienem się z tego cieszyć, ale posmutniałem.

Janek Józwiak

Nie wiedziałem, gdzie ta Brazylia, nie miałem pojęcia, jak wygląda ani jacy ludzie w niej żyją, ale od tej pory o niej śniłem. Śniłem o Brazylii i o mojej o silnej, prędkiej w rękach, różowoustej Władeczce, która rozplata w tym dzikim kraju warkocze grube jak przeguby, śniłem, że jej tam dobrze. Czasem też śniłem, że płynę do niej, płynę do niej statkiem po morzu, choć ani statku, ani morza, ani ludzi o czarnej skórze nie widziałem nigdy w życiu i bałem się, że już nie zobaczę, bo pieniędzy na podróż miałem trochę, ale chyba jednak ciągle za mało.

Ale im bardziej się tego bałem, tym więcej opowiadałem ludziom, że Władka za mną tęskni, czeka na mnie w tych krajach odległych, a ja wreszcie pojedę do niej i będziemy tam żyli długo i szczęśliwie. Opowiadałem, komu popadło, czy chcieli mnie słuchać, czy nie, i chwilami sam nawet w to wierzyłem.

Michał Józwiak

Zadowolony Janek raz po raz odczytywał list Lewandowskim i tym wszystkim, którzy ze wsi przychodzili posłuchać nowin, cieszył się bardzo, że tyle się dzieje. Ale z czasem posmutniał, aż w końcu skwaślił się ostatecznie i już wiedziałem, że zrozumiał to, co i do mnie dotarło. Wtedy znowu poszedł pić, przez dwie noce do domu nie wrócił, a ludzie mówili, że pije tyle, jakby konia sprzedał.

– Skąd miałeś tyle rubelków? – spytałem, kiedy po trzech dniach przywłókł się wreszcie do chałupy.

Tylko wzruszył ramionami i wałnął się spać do stodoły, legł w sianie, nic a nic nie bacząc, że po twarzy mu szczypawki chodzą, tego roku nadzwyczaj ruchliwe.

Andzia Józwiakowa

Rano wstałam jak zwykle o świcie, żeby ugotować ziemniaki, zrobić żuru na cały dzień, przygotować dzieci. Nasza Marianka jadła sama, Jędrusiowi trzeba było pomagać, a Stasiulka jeszcze karmiłam piersią, z trudem mi to przychodziło, bo ledwie dawałam radę go przystawić nad tym wielkim brzuchem, tyle że dzięki temu mogłam sobie chwilę posiedzieć. Babka łąziła po domu bez celu, tu coś pomamrotała, tu coś starła, tu poprawiła. W ten sposób starała się być użyteczna i namawiała do tego Kostka, żeby nie byli tylko zbytecznymi gębami do żarcia, co dzień prawie mu to powtarzała, a w dodatku na przednówku odejmowali sobie od ust, żeby było dla dzieci, bo oni już się dość nażyli. Kostek czasem dopowiadał, że racja i że on ma już sto lat, Hanka tylko się z tego śmiała, ale brodę taką zapuścił, siwą, do pasa, że nikt nie śmiał mu zaprzeczać, nikt we wsi na pewno. W domu też nikt nie chciał mu się sprzeciwić, bo inaczej Kostek zagadałby go na śmierć.

– Kiedym cię poznała, też miałeś taką brodę – mówiła czasem babka i to świadczyło, że mocno już zrobiła się nieprzytomna, bo przecież był jej bratem, więc na pewno poznała go w dzieciństwie, zanim brodę wyhodował.

Babka, pokręciwszy się, zarzuciła na siebie chustę i poczęła się wybierać z domu.

– Babka dokąd idzie? – zainteresowała się Marianka.

– Sprawy mam.

– Jakie sprawy?

– Ważniejszych nie ma.

– A jakie to są?

– Kiedyś ci wszystko wytłumaczę, dziewczuszko – powiedziała babka i znikła za drzwiami.

Może zostawić dziś dzieciaki w domu?, zastanawiałam się, ale Marianka już z teściową w dwojaki jedzenie pakowały, dzielna moja córunia, aż głupio byłoby ją teraz zostawić, gdy tak się postarała.

Żeby wdrapać się na wóz, musiałam sobie podstawić cebrzyk odwrócony do góry nogami. Marianka wskoczyła na górę jak wiewióreczka, Michał podał mi Stasiulka, Jędrus machał do nas z dołu, teściowa trzymała go za rączkę. Ruszyliśmy. Furmanka trzęsa dziś niemiłosiernie, aż plecy od tego bolały.

Dojechaliśmy na najdalsze pole, Marianka usiadła pod gruszą, gdzie miała bawić Staszka, a my z Michałem chwyciliśmy grabie i ruszyliśmy do roboty. Grabienie owsa szło mi dziś niesporo, w krzyżu ciągle łamało, ale nie ustawałam, musieliśmy zdążyć do wieczora, bo pogoda jakaś była niepewna, a babka rano narzekała, że ją wszystkie kości bolą.

Pracowaliśmy do południa, potem chwila na miedzy, zjadłszy, chwilę się przespałam i znowu do roboty, szkoda czasu. Szło mi jednak marnie, wszystko pobolevało. Michał już bardzo mnie wyprzedził na swoim pasie, przyspieszyłam, nie mogę aż tak od męża odstawać. Znowu mnie ból ścisnął w sobie, aż stęknęłam. Przystanęłam, oparłam się o grabie, dotknęłam brzucha. Był strasznie twardy.

I dopiero wtedy zrozumiałam, co mnie tak od rana męczy.

Trzeba szybko wracać do domu, pomyślałam, teściowa, babka, Greta ze wsi pomogą mi jak zawsze. Znowu mnie ścisnęło w pasie, aż tchu nie mogłam nabrać. Po chwili odetchnęłam, raz, drugi, trzeci, ale znowu ścisnęło.

Michał był już na końcu pola, nie oglądał się na mnie, grabił.

Wyprzęgnięta kobyła pasła się spokojnie na miedzy.

Znowu mną ból zatrząśł. Zrozumiałam, że już nie zdążę do domu.

Zośka Józwiakowa

Kostek wpadł do kuchni, bałam się, że będzie chciał znowu w komorze grzebać i szukać kiełbasy, ale nawet w tamtą stronę nie spojrział. Jak tylko tchu zdołał nabrać, zaraz zakrzyknął:

– Hanka!

– Co? Poszła gdzieś przecież.

– Wiem! Ale coś się z nią stało!

Tak krzyczał, że Jędrusź zaraz się rozbeczał, chłopaczek miał naprawdę oczy na mokrym miejscu.

– Co mi tu, dziadku, dziecko straszycie?!

– Kiedy naprawdę! Żle mi Hanka wygląda!

On też wyglądał źle, bardzo źle.

- A gdzie ją widzieliście?
- Pod cmentarzem.
- A co jej?
- Nie wiem przecież! Chodź, zobaczysz! Pomożesz, prawda?

Wzięłam wnuka za rączkę i za dziadkiem poszliśmy, który mało portek nie pogubił, tak pędził. Jędrus płakał, że nie nadąza, więc na ręce go wzięłam i przyspieszyłam kroku.

Andzia Józwiakowa

Bolało tak, że nabrałam pewności: to już. Nadchodziło, teraz czułam to wyraźnie.

– Zaraz wracam – powiedziałam do Marianki i poszłam w las, głębiej trochę, żeby córka nie widziała.

Robiłam to już trzy razy, zrobię i czwarty, co z tego, że sama, pocieszałam się. Ale też i nie miałam siły się martwić, tak bolało.

Gdy ból na chwilę zelżał, zdjęłam spódnice, ułożyłam obok, szkoda płótna.

Kucnęłam.

Czułam, że dzieciak idzie.

Podłożyłam ręce, żeby nie wypadł główką od razu na mech, niech zrozumie, że matula czuwa.

Stęknęłam.

Wypadło ze mnie mokre, ciepłuteńkie, zadziwione zmianą, rozglądało się dookoła i wcale nie płakało. Przestraszyłam się, że coś z nim nie tak. Kłapa mu dałam, gulgnął najpierw, aż wreszcie wrzasnął z całej siły.

Dobrze jest, już wiedziałam.

Patrzyliśmy na siebie. Chłopiec. Wszystko miał na miejscu, widziałam.

Odgryzłam pępowinę.

Zawinęłam małego w zapaskę, ciasno, one lubią ciasno, i ułożyłam obok siebie, na spódnicy.

Nie wstawałam z kucek, czekałam na łożysko. Poszło prawie zaraz.

Oderwałam kawałek płótna od koszuli, szkoda trochę, ale co robić, musiałam coś wsadzić między nogi. Usiadłam, oparłam się o drzewo, żeby trochę odpocząć, małego do piersi przytuliłam. Inne dzieciaki, utrudzone wychodzeniem na świat, od razu po narodzinach usypiały, ale ten ciągle czegoś szukał. Rozwiązałam koszulę na piersi. Był na świecie ledwie od kilku pacierzy, a już wiedział, jak ssać.

Patrzyłam na niego i nie mogłam się nadziwić, że zrobiliśmy go z Michałem z niczego, taki cud. Śpiewałam mu nad małą główką z mokrym jeszcze meszkiem włosków, coś takiego bez słów, coś bardziej z jagodzin, z mchu, z sosen niż z pamięci. Jeszcze ciumkał, już spał.

Musiałam wracać w pole, do moich, zaraz zaczyna się o mnie niepokoić.

Podniosłam się, łatwiej mi to przyszło, niż gdy jeszcze brzuch nosiłam, mały pomrukiwał mi przy piersi, piękny był mój leśny chłopiec, dzielny taki, silny i duży.

Wyszłam z lasu z małym w ramionach. Marianka już się za mną rozglądała, więc podeszłam do niej, powiedziałam, że dzidziusia w lesie znalazłam, zdziwiła się trochę, ale bardziej ucieszyła, zaraz go lulać zaczęła.

Nie siadałam obok, bo bałam się, że nie wstanę. Popatrzyłam na pole. Michał? Już kolejny pas kończył, grabił jak wściekły, pewnie nawet nie zauważył, że na tyle czasu zniknęłam w lesie. Co było robić, i ja odnalazłam swoje porzucone grabie. Wsparłam się na nich, spojrzałam na Michała i poczułam w sobie dziwną moc.

Zośka Józwiakowa

Z trudem dobiegliśmy z Kostkiem tam, gdzie zostawił babkę. Siedziała przy mogile pod płotem cmentarza.

Skoro siedzi, nie jest źle, pomyślałam. Skulona była, na rękach wsparta, ale ostatnio przecież ciągle się garbiła.

– Babko! – krzyknęłam. – Dobrze się czujecie?

Babka jednak milczała. Ani drgnęła.

– Dziadek Kostek się o was martwi! Babko, co wam?

Podeszłam bliżej, dziwne gorąco ją otaczało, dotknęłam jej ramienia, pod dotykiem osunęła się na ziemię. Nachyliłam się, spojrzałam jej w twarz.

Kostek, stękając, przykucnął przy niej, począł szlochać, co od mężczyzn rzadko się słyszy. A mnie taka groza od tego ogarnęła, że i ja od jego smutku, od bliskości śmierci się rozplakałam.

Jagunia od Wicków

Niektórzy ludzie może by i żyli wiecznie, gdyby się o nich ktoś z tamtej strony nie upomniał. Tym razem byłam to ja, bo smutno mi tutaj było, cniło mi się za ziemią, cniło mi się za ludźmi, za gorącem mi się cniło. Czekałam, aż babka Hanka przyjdzie do mnie, bo musiałam ją o wszystko wypytać.

A tamci poradzą sobie bez niej, właśnie przecież witali nowe życie.

Andzia Józwiakowa

Do wieczora skończyliśmy z owsem, jak było zamierzone. Popatrywałam ku dzieciom i uśmiechałam się do nich, machałam do Marianki i lekko mi było, jak już dawno tego nie czułam.

Słońce poczęło chylić się ku zachodowi, już ustawaliśmy z robotą, należało się zbierać. Dopiero teraz Michał podszedł do mnie, zobaczył, że dziwnie wyglądam, ku Mariance popatrzył, i wtedy zobaczył obok niej posapujące zawiniątko. Naprawdę, dopiero teraz pojął, że dziecko nam się porodziło!

– Ale co?! Ale jak?! Ale skąd?! – dopytywał.

– Mocno jesteś zajadły na pracę, skoro nic nie zauważyłeś. – Roześmiałam się. – A ja przecież syna ci w lesie urodziłam!

Michał podszedł i ostrożnie wziął małego na ręce.

Jechaliśmy do domu powoli, z tą niezwykłą nowiną, że oto w lesie nowy Józwiak nam się narodził, ale będzie krzyku, ale będzie z tego radości! Gdy wchodziliśmy z nim do domu, mały jak na zawołanie się rozdarł, niech wszyscy się dowiedzą, że się na świecie pojawił. Zawsze cichuśko po wszystkim spały, ale ten malec od urodzenia był silny i głośny, a z takim w lesie narodzeniem pewnie będzie i niezwykły.

Wszyscy razem weszliśmy do chałupy i już chcieliśmy całą przygodę zacząć opowiadać, gdy zobaczyliśmy, że matka i dziadek oczy mają czerwone, a policzki mokre. A potem się rozsunęli i ujrzeliśmy, że przed nimi na ławie leży babka, w odświętnym stroju, a na oczach ma po rublu, żeby jej się powieki nie podniosły.

Zamarliśmy.

Usiedliśmy zmartwiali przy ławie, popatrzyliśmy na babkę z plecami dziwnie prostymi, dziwnie poważną, w ogóle inną.

Podniosłam małego, pokazałam jej.

– Nie zobaczyłaś prawnuka. Przyszedł na świat, kiedy oddawałaś ducha. W lesie się narodził, szybko i gwałtownie. Będzie silny, poradzi sobie ze wszystkim, nie martw się. Odpoczywaj sobie spokojnie.

Zazwyczaj, kiedy urodziłam, babka z dziadkiem szli do kurnika po najtłustszego kuraka, babka go trzymała, Kostek łeb mu obcinał, babka skubała i opalała stosiny nad piecem. Potem w całej chałupie pachniało rosółem, a babka dorzucała to lubczyku, to kopru, to innych ziółek, smakowała, pomlaskując. Właśnie z tym mi się połówg kojarzył, z rosółem, dzieciak posapywał w kołysce, a ja jadłam.

Michał wziął ode mnie małego, zaniósł go do komory, rączkę mu w worku z ziarnem zanurzył. Mały zagulgotał.

A Kostek naraz wybuchł płaczem jak dziki, strasznie łkał, pierwszy raz słyszałam, żeby mężczyzna tak płakał.

Nie umiałam w sobie tego wszystkiego pomieścić.

Michał Józwiak

Po pogrzebie babki dziadek Kostek zaczął się niespokojnie kręcić po chałupie. I wcale nie zaglądał do komory, tylko patrzył, jakie ubrania na drągu wiszą, przewieszał, macał.

– Łapcie brać czy boso iść? – zastanawiał się.

– A dokąd to, dziadku, idziecie?

Podrapał siwy zarost, aż zachrząściło.

– A w świat mi trzeba.

– Dlaczego?!

– A bo już wysiedzieć w domu nie umiem. Spać nie umiem. Smutna ta nasza izba teraz bez Hanki. Pójdę w świat, może mi ulży trochę.

Czerwone oczy mu się szklily.

– Ale, dziadku, po co? Co będziecie w świecie robić?

– A to co w domu przecież. Opowiadać będę różne historie, to i w zamian rzucą mi coś albo i na zupełną zaproszą. Koszyk wyplotę, to może na noc do stodoły wezmą.

– Jak to samo będziecie robić, to po co idziecie?

– A żeby wam ulżyć. Co ja tam teraz w polu zdrałam, tyle co nic. I przez to ciężarem wam jestem, dzieci coraz więcej, zaraz się w chałupie nie pomieścicie.

– Gdzie tam! Zawsze mamy dla was łóżko. I strawę.

Jak zawsze dużo gadał, to teraz zamilkł. Dopiero po dłuższej chwili przełknął ślinę i przemówił:

– Nie umiem tam teraz spać, w tamtej izbie. Bez Hanki? Budzę się, patrzę na jej siennik, a tam nikogo, Janek tylko czasem. Poza tym pajak sieć snuje, nad Hanki łóżkiem obrazek Świętej Anny Samotrzeciej, więcej nic.

Odwrócił głowę ode mnie.

– Dziadku, nie odchódźcie! – prosiłem. – Chodźcie spać do naszej izby. Albo do kuchni. Marianka przecież będzie za wami płakać. I Jędrus.

– Dlatego opowiadajcie im o mnie. O Hance. Koniecznie opowiadajcie. Janka o to proście, on dobrze mówi. Będziecie opowiadać? Że był taki sobie dziadek przybłąda?

– Jaki przybłąda?

– Że była taka babka, która całowała kurczaki w łebek? Która się panów nie bała i gadała z upiorami?

– Z jakimi upiorami?! Dziadku, co wy opowiadacie?!

– Gadała z upiorem i upiora pokonała, nic nie wiesz, Michaś. Ale na razie ćśśś, ćśś. W drogę mi czas.

Dziwnie gadał, zaczynałem się o niego martwić. A poza tym co on wyprawiał, po co?! Wiedziałem, że niejeden starego dziadka czy babkę z domu na żebry puszczał, kiedy nie było co do gęby włożyć, ale myśmy nawet na przednówku dawali przecież radę, co to jest jeden stary, nawet żarłoczny, gdy u niejednego w gospodarstwie dwóch czy trzech na wycugu było.

Ale przecież dziadek wróci. Tak, na pewno zaraz wróci, zmęczy się poniewierką i niedługo znowu zobaczymy go na progu. Nie może tak być, żeby naraz z domu tyle osób ubyło, nie może tak być. Bo czy jeden mały Władek tę pustkę zapełni?

A Władek właśnie się rozdarł i słychać go było pewnie aż na drugiej wsi.

Janek Józwiak

Pusto w chałupie się zrobiło, w izbie dziadka i babki wiatr hulał. Ale na szczęście ostatnio rzadko chciałem do ludzi. Gdy zapragnąłem towarzystwa, szedłem do karczmy albo do drugiej połowy chałupy, gdzie kłębiły się dzieciaki. Czasem wtedy czytałem im książkę o pięknej Magielonie, niech się cieszą, niech wiedzą, jaki wielki jest świat poza tym naszym Sokołowem, Pustynią, Izbicą, niech zatęsknią.

A one się cieszyły, gdy mnie widziały, z daleka krzyczały na cały głos:

– Stryjek! Stryjek Janek!

Miło było do domu wracać.

Któregoś dnia pojechałem na jarmark z wełną. Nie było komu jej uprząć, gdy babki zabrakło, więc załadowałem wory puchatą strzyżą. Całkiem lekkie były, wóz pełen, a ciężar niewielki, więc z miejsca na koźle ciągle się odwracałem, żeby sprawdzić, czy któregoś worka nie zgubiłem po drodze.

I tak jechałem przez las, oglądając się co chwila. Naraz zobaczyłem, że z tyłu szybko nadjeżdża powozik pańskiego rządcy, zaprzęgnięty w dwa bystre konie, nie wlokły się tak jak nasza kobyła, która z zasady lubiła oszczędzać siły. Rządca zaraz z tyłu począł wołać, że zjeżdżaj, chłopie, z drogi, dawaj tu zaraz miejsce dla pańskiego oficjalisty, a nuże, a chyżo, tak wrzeszczał. Udawałem jednak, że nie słyszę, bo każdy ma przecież prawo jeździć po gościńcu. Chłop, rządca czy pan.

– Zjeżdżaj mi z drogi, chamie! – nie ustawał z wrzaskiem tamten.

A ja nic, na kobyłę cmokałem i powolutku się przesuwałem. Na swoje worki tylko się czasem oglądałem, czy nie spadają, a wtedy i tamtego, coraz bardziej czerwonego ze złości, widziałem kątem oka. Im on był czerwiejszy, tym ja weselszy. I tak się wlekliśmy, tamten krzyczał, ja nic, wiedziałem, że dużo mi tą dwukółką nie zrobi, gdy ja solidnym wozem na okutych kołach sobie spokojnie jadę. Powoli, w tempie, które narzucała nasza spokojna kobyła, dojechaliśmy do Izbicy. Dopiero w mieście przy rynku tamten zajechał mi drogę i zaczął wrzeszczeć, że cham bezczelny i że on się na mnie dziedzicowi poskarży.

– A skarżcie się, panie rządco, skarżcie się. I co wam z tego przyjdzie? Ja przecież teraz, z łaski cara, taki sam dziedzic, jak

i twój pan. Bo ziemię mam na własność. A ty co masz? Tylko ten głos donośny, prawda?

Aż splunął z wściekłości, aż pięści zacisnął, ale że się chłopów naschodziło popatrzeć na awanturę, nie chciał się brać do bicia.

Zresztą przecież dałbym mu radę jedną ręką, temu chudzinie oficjaliście, co to nic robić nie umiał poza wymachiwaniem bacikiem nad chłopskimi grzbietami. Sam to zrozumiał, bo odszedł jak niepyszny. Chłopy się ucieszyły, po plecach mnie klepać zaczęły, że nowe czasy nadeszły i że dobrze zrobiłem, że pańskiemu sługusowi nie ustąpił.

A ja, weinę na jarmarku sprzedawszy, zrobiłem coś mocno niezwyčajnego, bo tak mnie przygoda z rządcą rozgniewała i uskrzydliła jednocześnie.

Bo naraz zobaczyłem, jak ktoś sprzedaje zegar. Duży i pański, solidny, drewniany, do powieszenia na ścianie, z wahadłem, które godzinę zaraz zaczęło wybijać. Liczyłem i szybko okazało się, że jest godzina ósma, taki sprytny ten zegar, że to wiedział! Wiedziałem, że podobne mają we dworze, i uznałem, że teraz, gdy nie musimy się już panom wysługiwać, gdy już prawie im równi jesteśmy, i nam się zegar w domu należy. Będzie godziny wybijał, a my będziemy dokładnie wiedzieć, o której kładziemy się spać i o której wstajemy, wszystko będzie miało swoją porę według zegara, a nie tylko według słońca na niebie.

Targowałem się z kupcem długo i zażarcie, ale w końcu ostrożnie ułożyłem nabytek na wozie, otuliłem derką.

Kiedy wniosłem zegar do domu, matula usta otworzyła ze zdziwienia, a dzieciaki Michała od razu zaczęły wykrzykiwać, że stryju, jakie piękne! Jak gra! Bo zegar akurat dziewiątą zaczął

wybijać. A ja te uderzenia liczyłem, jeden, dwa, trzy... Dzieciaki powtarzały za mną zgodnym chórem, nawet ci Jędrus i Staszek, a Marianka najgłośniej, zuch dziewczuszka.

Kiedy z pola brat z bratową wrócili, Michał nawet spojrzeć na zegar nie chciał, spytał tylko, ile za niego dałem. Nie chciałem odpowiadać, bo i tak by nie zrozumiał, że wart był przecież każdą cenę. Nie o pieniądze tu przecież chodziło, lecz o godność. Andzia jednak stanęła w zadziwieniu, gdy zegar zaczął oznajmiać, że jest siódma.

– Ależ on pięknie gra! – Uśmiechnęła się.

Za każdym razem, gdy godzinę wybijał, podchodziła i patrzyła na niego prawie jak na swojego męża, z zachwytem.

– Co ci, bratowo?

– Dorotka tak się śmiała, pamiętasz?

Nie pamiętałem. I wcale mi się tak nie wydawało. Ale niech jej będzie.

Kiedy zegar co godzinę wybijał swoją melodię, czułem, że życie zmieniło się na lepsze. Dźwięczało nam teraz jak we dworze. Nowy czas nam dźwięczał.

Podziękowania

Przede wszystkim dziękuję mojej córce, Adeli, która, przy wszystkich swoich talentach, jest także jedną z lepszych redaktorek, jakie znam. To opowieść również i o jej przodkach bardzo rozkwitła pod tym czujnym okiem.

Mojemu mężowi, opoce, za rozśmieszanie i całą resztę. Jak ja bym bez tego żyła? Chwała mu, że wytrzymał spory między zacierzewanymi potomkami chłopów pańszczyźnianych (ja) i zdeklasowanej arystokracji (on), i że nasz dom przetrwał te gorące dyskusje. A najbardziej się cieszę, że w dzisiejszych czasach już nikt nie wpadnie na to, by nazwać nasz związek mezaliansem.

Redaktor Ewie Orzeszek-Szmytko z wydawnictwa W.A.B, która uwierzyła w tę opowieść, nie wahała się dzielić ze mną dobrymi słowami i konstruktywnymi uwagami oraz wymyśliła tytuł „Saga o ludziach ziemi”.

Redaktor Kamili Sypniewskiej z wydawnictwa W.A.B, która z czułą uważnością opiekowała się słowami i formą tej książki.

Piotrowi Chojnackiemu, redaktorowi czujnemu i bezkompromisowemu, za wiedzę, erudycję, fachowość, cierpliwość i szacunek dla moich szyków zdań.

Manuli Kalickiej, przyjaciółce i agentce, za pomoc, czytanie, uwagi i mentalne poszturchiwanie.

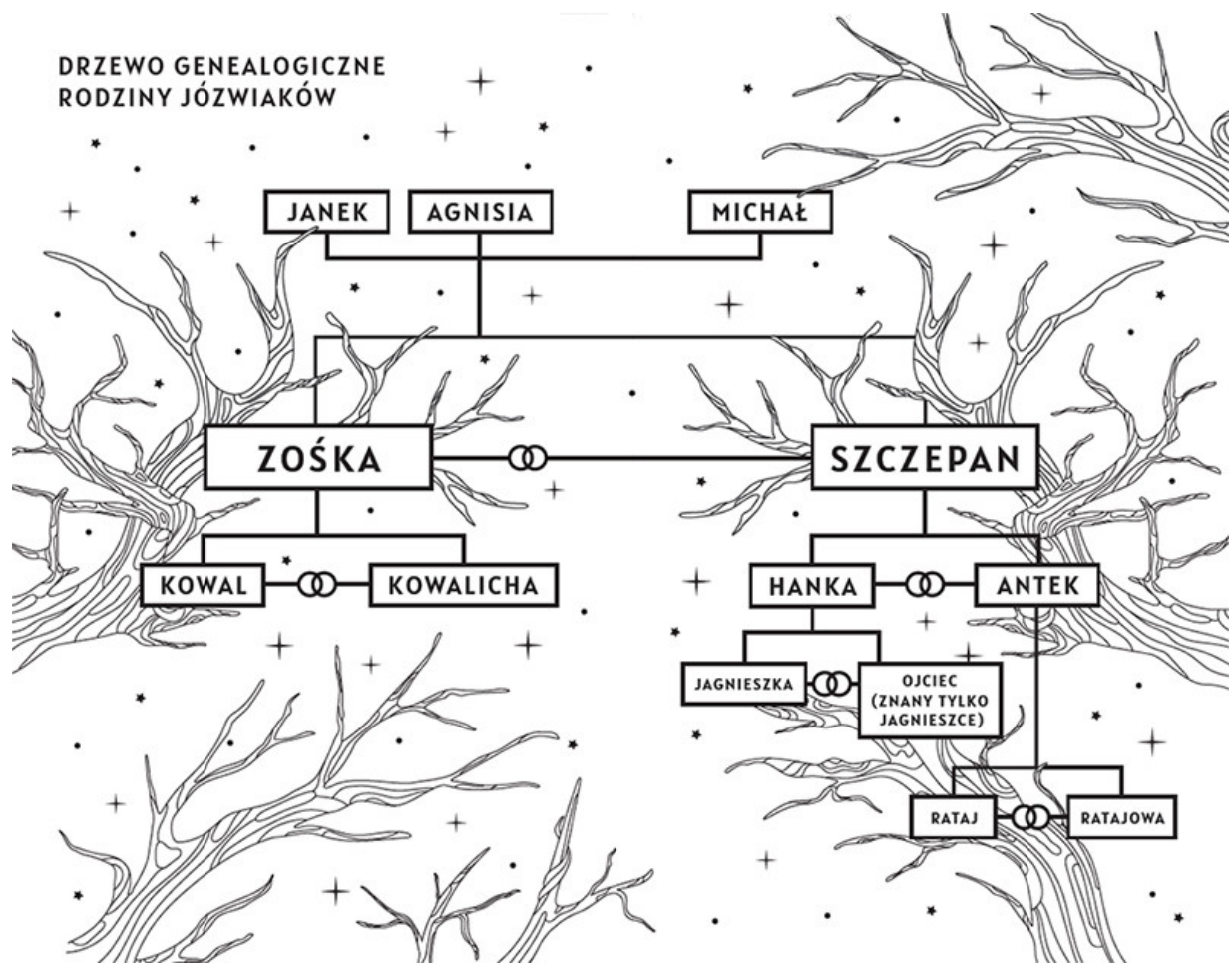
Joannie Lorynowicz, przyjaciółce i mojej bazie, za foty, słowa, filmy, pokrzepienia.

Mamie, Marii Józwiak, za wyznanie, w których momentach tej historii się wzruszyła.

Mojemu tacie, Wojciechowi Józwiakowi, który zainspirował powstanie tej książki, przekazał mi tony swoich notatek, a potem cierpliwie czytał tę opowieść kawałek po kawałku, kontrolował, czy wszystko jest zgodne z prawdą i kiedy tak naprawdę robi się pierwszy pokos oraz żniwa rzepakowe.

No i wszystkim Józwiakom oraz ich potomkom, którzy zgodzili się i godzą ze mną rozmawiać, gościć, wozić po Kujawach i dzielić ze mną najsmaczniejszymi opowieściami, przede wszystkim cioci Wandzie Dramińskiej i stryjowi Marcinowi Józwiakowi. Jak dobrze, że tradycje gawędziarskie żyją w tej rodzinie, ja, która zawsze byłam bardziej od pisania niż gadania, doceniam to podwójnie. Bez tego, co zgodziliście się mi opowiedzieć, tej książki by nie było.

DRZEWO GENEALICZNE
RODZINY JÓZWIAKÓW



Redaktorka inicjująca: Ewa Orzeszek-Szmytko

Redaktorka prowadząca: Kamila Sypniewska

Redakcja: Piotr Chojnacki

Korekta: Hanna Trubicka, Anna Dworak

Projekt okładki: Urszula Gireń

Ilustracje wykorzystane na okładce i w środku książki: © Martin Johnson
Heade/Artvee.com, © Rawpixel, © Moss, Sasi, Ton/Rawpixel, © Envato, drzewo
genealogiczne © Paulina Piorun

Skład i łamanie: pagegraph.pl

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48

tel. (22) 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-8319-130-0

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)
i Michał Latusek